



Paul Eddy
Wet za wet

ROZDZIAŁ 1

I

Grace Flint dysponuje niewielkim urządzeniem, mniejszym od paczki papierosów; może je umieścić w twoim samochodzie, na łodzi, w samolocie, nawet w twojej walizce, jeśli uzna to za konieczne. Małeństwo będzie przez pół roku dokładnie informowało, gdzie się znajdujesz.

Chyba że wcześniej wyczerpią się baterie albo zawiedzie satelita.

Grace Flint ma też mikrofon wielkości guzika od koszuli, połączony z nadajnikiem grubości karty kredytowej, który przekaże każde słowo w każde miejsce na Ziemi.

Chyba że zanieczyszczenie niższych warstw atmosfery spowoduje zakłócenia przekazu albo nawali nadajnik, ale chłopcy z technicznego nie lubią o tym mówić.

Nawet gdy wszystko działa, techniczne cudenka mogą się okazać całkowicie bezużyteczne.

Grace Flint jest właśnie na schodach wielopiętrowego parkingu na Belgravii, mikrofon ma umieszczony pod lewą piersią, nadajnik ukryła na lewym udzie. Ubezpiecza ją kilku ludzi przyczajonych w odległości zaledwie kilku jardów, nasłuchują sygnałów z nadajnika, gotowi wkroczyć do akcji w razie jakichkolwiek kłopotów. Nie wiedzą, że od Grace oddzielają ich obite stalą drzwi, zainstalowane przez skrupulatne kierownictwo parkingu, by uniemożliwić złodziejom i wandalom dostęp

do samochodów. Drzwi zamyka się tylko na noc, ale akurat tego dnia ktoś zapomniał je otworzyć.

- Nie chcę rozmawiać z twoimi znajomymi - oznajmia ni stąd, ni zowąd Frank Harling, zwracając się do Claytona Bullera. - Wiesz, co to za jedni? To gliny.

„Patrzcie im w oczy - mawiali instruktorzy w Hendon. -Nie słuchajcie, co mówią, bo zwykle kłamią, podobnie jak wy. Patrzcie im w oczy”.

Grace nie może spojrzeć Claytonowi Bullerowi w oczy, ponieważ ukrył je za okularami słonecznymi. Inspektor Pendle nie jest zaniepokojony, a Grace chce wierzyć, że Frank Harling blefuje, że tak naprawdę nie może potwierdzić swoich racji.

- Wpadasz w paranoję - prycha Buller. - Myślisz, że ich nie sprawdziłem?

- Naprawdę? - pyta Harling z pogardą w głosie. - Śmierdzi od nich na milę. Wierz mi, durniu.

Jeśli obiekt wykonuje gwałtowny ruch, zakładajcie, że ma wrogie zamiary, i reagujcie natychmiast. Buller nie wykonuje jednak żadnego gwałtownego ruchu, przeciwnie, jak na tak potężnego mężczyznę porusza się powoli i z gracją. Pochyliła się, wyjmując coś ze swojej teczki. Neurony w mózgu Flint wysyłają gwałtowne ostrzeżenie: broń.

Potem nie będzie pewna, czy najpierw zobaczyła pistolet, czy usłyszała strzał. Wielu rzeczy nie będzie pewna. Poszczególne detale odcisnęły się wyraźnie w jej pamięci, nie potrafiła tylko odtworzyć kolejności wydarzeń.

Pete Pendle reaguje dopiero wówczas, gdy odgłos pierwszego strzału wypełnia klatkę schodową, wprawiając Flint w osłupienie. Ogłuszający dźwięk jeszcze nie przebrzmiał, a już pada następny strzał, zaraz potem trzeci. Pierwsza kula odrzuca Pendle'a w tył, schody są wąskie, od Bullera dzielą go zaledwie cztery kroki. Flint zapamięta, jak druga i trzecia kula, trafiając w pierś, szarpie jego ciałem, jakby potrzęsała nim jakaś niewidzialna ręka. Potem w czasie przesłuchania powie, że po drugim, a może po trzecim strzale z ust Pendle'a trysnęła krew. Zapamiętała doskonale jej jaskrawoszkarałaty kolor i to, że była ciepła.

Przywiera plecami do ściany po drugiej stronie schodów i osuwa się na ziemię, kiedy Buller do niej celuje. Rozpoznaje natychmiast rodzaj broni, to dziewięćmilimetrowy browning, chociaż przesłuchujący będą uważali, że dopiero później dowiedziała się, z jakiego pistoletu strzelał Buller. Nie przypomni sobie, by zamknęła oczy czy zasłoniła twarz dłońmi, skulona czeka, aż Buller ją zastrzeli.

Buller z kolei nie czyni tego, a powód jest prosty: pistolet zacina się i Flint traci rachubę, nie wie już, ile razy Buller usiłuje wprowadzić pocisk do lufy. Dopiero teraz zaczynają docierać do niej inne odgłosy, mnóstwo odgłosów i wrażeń. Inspektor Pendle usiłuje złapać oddech. Z daleka dobiegają podniesione, zdesperowane głosy i uderzenia twardymi przedmiotami w stalowe drzwi. Słyszy, jak Frank Harling mówi z miękkim akcentem z południowego Londynu:

- Kończ, Buller. Skończ z nią, do jasnej cholery. Przede wszystkim jednak świadoma jest wysiłków grubego prawnika z Beverly Hills, który stoi nad nią i wali ją po głowie kolbą bezużytecznego browninga. Zgodzi

się potem, że musiała osłonić się dłońmi, bo ma połamane prawie wszystkie palce.

Przewraca się na plecy i Buller przygniata ją swoim ciężarem. Czuje jego łokieć na gardle, palce wpijają się w skórę. Przychodzi jej do głowy absurdalna myśl, że tamten chce ją zgwałcić, ale on rozrywa bluzkę na jej piersi, bo szuka mikrofonu. Kiedy już go znajdzie, podnosi się i kilka razy powtarza:

- Dziwka, dziwka, dziwka.

Dopiero teraz Flint zaczyna odczuwać ból.

Buller opiera się o ścianę i metodycznie depcze po jej klatce piersiowej. Wiedziony jakimś irracjonalnym impulsem chce zniszczyć mikrofon, jakby w ten sposób mógł usunąć zarejestrowane słowa. Tymczasem osiąga tyle, że wgniata go głębiej pod żebra. Potem zaczyna kopać ją w twarz, obojętnie, z siłą młota pneumatycznego. Flint traci przytomność - nie na długo, jeśli pamięć jej nie zawodzi. W czasie zeznań przypomina sobie, że leżała na schodach niczym szmaciana lalka, w ustach czuła smak krwi, dotykała językiem połamanych zębów, cuchnęła własnym moczem i słyszała tupot nóg na schodach oraz jęki umierającego Pete'a Pendle'a.

Clayton Buller nie uciekł daleko. Być może świadomość, że zabił właśnie oficera brytyjskiej policji, a twarz drugiego zamienił w krwawą miazgę, sprawiła, że serce grubasa i nałogowego palacza nie wytrzymało. Znalaziono go na Elizabeth Street, martwego, za kierownicą wypożyczonego u Hertza samochodu. Wóz wjechał w elegancki butik i go zdemolował.

Frank Harling znikł i nie pomogły zażarte poszukiwania prowadzone przez brygadę specjalną. Detektyw inspektor Pete Pendle był wyjątkowo lubiany przez swoich podwładnych. Morderstwo i świadomość, że nie potrafili mu zapobiec, podziały na ludzi jak smagnięcie biczem. Ci, którzy widzieli zmasakrowaną twarz Flint albo tylko słyszeli o odniesionych przez nią obrażeniach, chętnie dopadliby Clayтона Bullera, ale że tego już zrobić nie mogli, przenieśli swój gniew na Franka Harlinga.

Słusznie, bo to Harling prowokował Bullera do tego, by skatował Flint.

„*To gliny* - mówił z niezachwianą pewnością. - *Skończ z nią, Buller*”.

To Harling zadbał, by drzwi na klatkę schodową pozostały zamknięte, i uniemożliwił interwencję czekającej w korytarzu grupy wspomagającej, tak w każdym razie podejrzewała policja. Jak tego dokonał i skąd wiedział, że wpadną w zasadzkę, na to pytanie nikt nie potrafił na razie odpowiedzieć.

Do poszukiwań włączyła się policja z całego Londynu, potem z całej południowej Anglii, wreszcie z całego kraju. Sprawdzano pasażerów we wszystkich portach i na wszystkich lotniskach. Jeśli Harlingowi udało się uciec z kraju, nie korzystał z transportu publicznego, chyba że miał fałszywe dokumenty i doskonałą charakteryzację. Jeśli nadal przebywał na Wyspach Brytyjskich, nie mógł zatrzymać się w żadnym hotelu ani pensjonacie, nie ukrył się też w żadnej ze znanych policji melin, bo o tym doniósłby ktoś z niezliczonej rzeszy policyjnych informatorów, których groźbą, prośbą i rozmaitymi obietnicami zmuszano bądź zachęcano do współpracy.

Nie, Frank Harling po prostu zniknął, rozplynął się w powietrzu. Zrobiono rewizję w jego domu w Virginia Water, gdzie znaleziono dokumenty na cztery różne nazwiska, którymi się posługiwał. Odnaleziono jego żonę, z którą żył w separacji, a właściwie kobietę, która uważała się za jego żonę i dopiero teraz dowiedziała się, że Harling był bigamistą.

Dzięki niej trafiono do skromnego biura w Surbiton wynajmowanego przez firmę UniFi Consulting, gdzie znaleziono dowody, że Harling miał sto osiemdziesiąt dwa konta bankowe, każde na inną firmę: przez każde przepływały ogromne sumy. Znaleziono też komputer z dwoma gigabajtami zakodowanych danych. Ludzie z wydziału specjalnego dotarli do ekspertów z FBI, którzy obiecali rozszyfrować pliki Franka Harlinga. Niestety, w trakcie przegrywania zawartości twardego dysku - zdawałoby się, że to całkiem rozsądny sposób zabezpieczenia danych - uruchomił się automatycznie program, który skasował wszystkie informacje na dysku. Sekrety Harlinga zniknęły podobnie jak on sam.

Wyczerpawszy wszystkie możliwości, policja zaniechała w końcu poszukiwań. Nie powiedziano o tym Flint. Lekarze uważali, że jeśli dziewczyna ma wrócić do zdrowia i nie zwariować, powinna nadal wierzyć, że Frank Harling zostanie odnaleziony.

Prawie rok odtwarzano zmasakrowaną twarz. Zdjęcia rejestrujące bolesny proces (bolesny dla Flint) nie są przyjemne. W tym czasie porzucił ją mąż, Jamie. Tłumaczył, że odchodzi, bo nie potrafi zrozumieć, że po tym, co przeszła, nadal chce wrócić do wydziału specjalnego. Pewnego dnia, wkrótce po kolejnej operacji, podstawił jej pod nos lusterko, w którym odbijały się sine blizny i ciemne kręgi pod oczami.

- Przyjrzyj się sobie, Grace - powiedział, tak jakby sama nie wiedziała, jak wygląda. - Nie mogę tego znieść, po prostu dłużej już nie wytrzymam.

Spakował trochę swoich rzeczy i wyniósł się, zapewniając kłamliwie, że to tylko na pewien czas, że musi odetchnąć. Minał miesiąc, zanim odkryła, że zamieszkał na Pimlico z jakąś dziewczyną, która miała na imię Caroline i rocznego synka. Z Jamiem, jak się okazało.

Będąc ciągle na zwolnieniu lekarskim, wyjechała na wieś i zamieszkała na starej farmie, gdzie się wychowała. Wiedziała, że zaleczy tu przynajmniej fizyczne urazy.

Ojciec nazywał ją Niezwykłą Grace. Doktor John Flint modlił się po nocach, żeby nigdy już nie godziła się być policyjną przynętą, ale wychodził z założenia, że nie jego rzeczą jest mówienie córce, jak powinna postępować. Nigdy nie rozumiał, skąd u niej te ciągoty - na pewno nie po nim -kochał ją taką, jaka była.

W pełnej aprobaty atmosferze, którą wokół niej roztaczał, Grace powoli wracała do siebie. Kiedy nie była w szpitalu na kolejnej operacji plastycznej, pomagała ojcu przy operacjach. Jego pacjentów nie odstraszała zdeformowana twarz.

- Wiesz, Grace, byłabyś doskonałym weterynarzem - oznajmił pewnego dnia. Tylko ten jeden raz i tylko w ten zawołowany sposób dał wyraz swoim lękom.

II

Wobec komisji, która ją przesłuchiwała i która nie próbowała nawet obciążać jej winą za śmierć detektywa inspektora Pendle'a, wobec lekarzy i psychiatrów, wobec panów z działu personalnego, którzy sceptycznie

oceniali jej zdolność powrotu do pracy, wobec instruktorów w Hendon, gdzie została posłana na trening i gdzie chciano ją złamać, wobec nowego szefa, który zastąpił Pendle'a, ale nie potrafił być jak on serdeczny dla podwładnych, wobec kolegów z wydziału, którzy zgotowali jej owację na stojąco, ale nie potrafili spojrzeć w oczy, przede wszystkim zaś wobec siebie Grace Flint utrzymywała z uporem, że Clayton Buller mógł połamać jej kości, ale nie złamał ducha. Nie była to prawda.

Lekarze dokonali niemal cudu. Odtworzyli szczękę, w miejsce powybijanych zębów założyli implanty i koronki. Krok po kroku zrekonstruowali nos, kości policzkowe, przeszczepili płaty skóry. Kiedy skończyli, wyrzeźbili maskę, replikę równie piękną jak oryginał i znacznie trwalszą.

- Tak będzie pani wyglądała, mając pięćdziesiąt lat - zapewniali i choć Flint nie była próżna, te zapewnienia stanowiły dla niej pewną pociechę.

Nikt nie zajął się urazami psychicznymi, bo Flint twierdziła, że żadnych nie odniosła.

Mówiła, że wszystko jest w porządku. Nie była to prawda.

Prawda wyglądała inaczej. Grace Flint, która wcześniej naprawdę lubiła niebezpieczeństwo, lubiła udawać kogoś, kim nie jest, teraz żyła w nieustannym strachu, poruszała się w przerażającej pustce.

Dopóki Buller nie zrobił tego, co zrobił, była doskonałym tajniakiem, ponieważ nie wyglądała na tajniaka. Zależnie od okoliczności i stroju, który wybrała, mogła być, kim tylko chciała: luksusową dziwką z klubu w City, gdzie dokonywano nielegalnych obrotów walutą, *script girl* z BBC, która ma na utrzymaniu chorą matkę i która za dobrą kasę gotowa

jest polecieć na Kajmany z pieniędzmi dla kartelu z Cali. Raz nawet, udając bojowniczkę IRA, kupowała w Miami skrzynkę pocisków raketowych od chilijskiego handlarza bronią. Grała, dopóki Frank Harling nie wyprowadził Claytona Bullera z błędu, finansistkę z Zurychu gotową wyprać kilkaset milionów dolarów, o których fiskus nic nie wiedział.

Lubiła snuć swoje pajęczyny-pułapki i była w tym naprawdę dobra. Lubiła ryzyko i uczucie euforii, kiedy już wszystko się kończyło. Przed wszystkim lubiła ten błysk w oczach, gdy przekonywali się, że nie jest ich ofiarą, klientką ani współniczką, ale przyczyną ich zguby.

Skończyło się. Jej obecna pewność siebie była równie sztuczna jak jej twarz. Leżała nocami w ciemnościach w małym mieszkaniu w północnym Londynie i czekała na sny, które zawiodą ją znowu do piekła przypominającego klatkę schodową parkingu Belgravii.

Czekała, kiedy znowu zacznie się migrena, która nie pozwala myśleć i ściska czaszkę żelazną obręczą.

Jej koledzy z wydziału specjalnego wiedzieli oczywiście o wszystkim, lecz udawali, że nic nie zauważają. Być może nie potrafili zrozumieć jej lęków, ale rozumieli, że Grace Flint nigdy już nie przeprowadzi żadnej tajnej operacji. Podsyłali jej informatorów, zabierali ze sobą na akcje, a kiedy i to okazało się dla niej zbyt wiele, wysłali ją na bezpieczną posadę do konsulatu w Miami, gdzie pełniła funkcję łącznika między policją brytyjską i federalnymi.

Nikt nie próbował prosić Flint, by znowu podjęła ryzyko, do momentu, kiedy na scenie pojawił się Cutter.

Czy był szalony? Postanowił postawić Flint na nogi albo złamać ją ostatecznie? A może był zbyt próżny i lekkomyślny, żeby zadawać sobie

pytania? Nawet teraz, po wszystkim, co się wydarzyło, przy wszystkich dowodach, którymi dysponował Harry Cohen, Cutter nie potrafiłby odpowiedzieć na te pytania.

III

Thomas Breslin rozsiadł się wygodnie na narożnej kanapie obitej białą skórą. Kanapa zajmuje pokaźną przestrzeń w wielkim salonie apartamentu Alhambra, najbardziej luksusowego w całym Buccaneer Hotel w Miami Coconut Grove. Obok Thomasa siedzi jego młodziutka żona, zbyt młodziutka, by być pierwszą panią Breslin.

Stanowią ładną parę, są dobrze ubrani: on ma na sobie jedwabną błękitną koszulę zapinaną na małe perłowe guziki i spodnie z białego lnu, ona - purpurowy jedwabny kostium. Breslin przesuwając leniwie palcami po wewnętrznej stronie uda żony, gestem, który mówi: „Ona należy do mnie”. Widać, że posiadanie to dla niego sprawa niezwyklej wagi.

Tego popołudnia przylecieli do Miami z Nowego Orleanu -podobno z Nowego Orleanu. Na lotnisku czekało na nich dwóch młodych ludzi wyglądających na takich, co wiele czasu spędzają w siłowni. Obaj ubrani w luźne, lekkie marynarki, pod którymi wiele można ukryć. Nie wzięli walizek Breslinów, woleli mieć wolne ręce. Dopilnowali tylko, żeby bagażowi zapakowali wszystko do kufra limuzyny czekającej przed halą przylotów. Wsiadli do samochodu dopiero wówczas, kiedy Breslinowie zajęli już swoje miejsca. Czujni, to najlepsze określenie.

Breslinowie nie meldowali się w Buccaneer Hotel, po prostu przyjechali. W holu drogich gości przywitał rozpromieniony kierownik zmiany i poprowadził prosto do windy obsługującej wyłącznie apartament Alhambra. Razem z Breslinami do windy wsiadło dwóch młodych ludzi,

jechały też bagaże. Nikomu nie przyszło do głowy, że mogłoby być inaczej.

W apartamencie kończono jeszcze sprzątanie, co zirykowało Breslina, choć musiał przyznać, że o swoim przyjeździe zawiadomił hotel w ostatniej chwili. Niecierpliwiał się, czekał na gości.

Gości było trzech, pojawili się dokładnie o oznaczonym czasie. Przeszli pospiesznie przez hol hotelowy, na moment zatrzymali się przy recepcji, czekając, aż Breslin potwierdzi, że rzeczywiście ich oczekuje. Boy nacisnął trzycyfrowy kod przywołujący windę obsługującą apartament Alhambra.

Mężczyzna siedzący w jednej z głębokich nisz holu odłożył gazetę, której wcale nie czytał, i powiedział, zdawało się do siebie:

- Alfa cztery. Rykow i dwóch niezidentyfikowanych. Jadą na górę. Aldus Cutter poklepał Grace Flint po udzie, przesunął dłoń w górę.
- Zrób nam drinka, skarbie, dobrze?

Nie musisz tego robić, Grace. Nie musisz być w tym pokoju, z tymi ludźmi i udawać podrzędnej dziwki. Możesz to skończyć. Możesz powiedzieć: „Zaraz wracam, skarbie”, iść do sypialni, wydostać się schodami przeciwpożarowymi i zniknąć. To w końcu operacja Cuttera, on jest odpowiedzialny za jej powodzenie. Ten skurwiel nie ma prawa stawiać cię w takiej sytuacji. Zapłaciłaś już swoje. Nie musisz tego robić, Grace. Posłuchaj: NIE MUSISZ.

Oczywiście musi. Jaki ma inny wybór?

Kiedy tego ranka Aldus Cutter wezwał ją do swojego biura federalnego w North Miami i oznajmił, że „Rykov połknął haczyk” i dalej, że „sprzeda nam fałszywe osiemdziesiąt milionów dolarów w

banknotach studolarowych, świetna robota fałszerzy z Bejrutu", kiedy powiedział, że tamten „chce się spotkać z ważnym gościem. To ja. Ty będziesz panią ważnego gościa. Pomożesz mi go złowić" - co miała odpowiedzieć?

Że nie czuje się dobrze, bo lada chwila zacznie się jej miesiączka i że pęka jej głowa? A może powinna oznajmić jednemu z najbardziej wytrawnych agentów specjalnych FBI: „Nie mogę, panie Cutter. Nie nadaję się do tej roboty. Przestałam być tajniakiem, od kiedy Clayton Buller skopał mi twarz".

Innymi słowy, miała się przyznać przed nim do czegoś, do czego nie przyznawała się przed samą sobą?

Może powinna, tak podpowiadał rozsądek, ale nie zrobiła tego.

- Dlaczego właśnie ja? - zapytała, usiłując nadać swojemu głosowi normalne brzmienie i nie zwracać uwagi na mętlik panujący w jej umyśle.

- Ponieważ jesteś w tym podobno dobra, Flint. Znasz się na tej robocie, prawda? - Nie odpowiedziała, a Cutter mówił dalej: - Czas, żebyś znowu poczuła się w siodle.

- Słucham?

- Kiedy spadniesz z konia, musisz dosiąść go szybko z powrotem. Im dłużej zwlekasz, tym trudniej potem się przemóc.

- Jasne.

- Ubierz się tak, żebyś wyglądała na luksusową laskę - powiedział Cutter, a ona odpowiedziała lekko:

- Luksusowe laski są znacznie młodsze. - Słowa, które zostały skwitowane półuśmiechem.

- Wszystko będzie w porządku - zapewnił Cutter. Nie próbowała z nim dyskutować.

Przynajmniej nie musiała, ukrywać mikrofonu na ciele. Chłopcy z ekipy technicznej uważali co prawda, że Rykow sam będzie chciał wyznaczyć miejsce spotkania, ale nie, zgodził się przyjść do hotelu, do apartamentu Thomasa Breslina; nie musieli zatem głowić się, jak przemycić sprzęt.

- Na co masz ochotę, Aleksiej? - pyta, podchodząc do barku, ale Rykow macha tylko ręką na znak, że nic nie będzie pił. Do tej pory nie odezwał się do niej jeszcze słowem i najwyraźniej nie ma takiego zamiaru.

Flint z pozoru nic sobie z tego nie robi. Ignoruje pozostałych czterech mężczyzn; żona Tommy Breslina nie będzie przecież obsługiwała facetów z obstawy, i zwraca się do męża:

- Ty, kochanie?

- To, co zawsze.

Wielkie dzięki, Cutter. Skąd, do licha, mam wiedzieć, co zwykleś pijać. Szykuje wódkę z martini dla niego i dla siebie, do jego szklanki wrzuca kilka oliwek i całość przyozdabia maleńkim papierowym parasolem z motywem Buccaneer Hotel.

- Proszę, skarbie. Słodka i wilgotna, taka, jaką lubisz.

Cutter posyła Rykowowi porozumiewawczy uśmiech, szeroki i obleśny, ale twarz Rykova pozostaje martwa nawet wtedy, kiedy pani Breslin siada obok na kanapie, na wpół obrócona w jego stronę.

Udając, że sączy swojego drinka, obserwuje, jak tamten patrzy na Cuttera. Nie działają według scenariusza, nie mieli czasu na próby przed swoim występem. Flint musi grać, zdając się na intuicję. No i gra.

Mówi do Rykowa, faceta, która ma się za wielką fiszę w biznesie:

- No i co, Aleksiej, wstaniesz wreszcie z nocnika?

Thomas Breslin nie istnieje. Jest całkowitym wymysłem Aldousa Cuttera i pozostałych architektów operacji Żniwo.

A jednak ludzie Rykowa bez trudu trafili na jego trop w Nowym Orleanie. Stwierdzili, że jest zupełnie czysty i federalni nic na niego nie mają. Mało, legenda Thomasa Breslina zatoczyła tak szerokie kręgi, że obyczajówka, narkotyki, wywiad, wszyscy zadawali sobie pytanie, kim jest ów Thomas Breslin. Nie tylko oni, mafia też. Chłopcy z miasta tyle o nim słyszeli, że w końcu doszli do przekonania, że to on właśnie, człowiek, którego nigdy nie widzieli na oczy, rządzi hazardem, prostytutką i narkotykami w Las Vegas. Mówi się jednak, że ma powiązania z mafią, nie bezpośrednie i nie bardzo wiadomo jakie, ale że ma, to pewne. Zważywszy na zasięg jego działalności i sławę, jakiej zażywa w świecie przestępczym, musi mieć.

A obrót fałszywymi pieniędzmi jest jedną z domen imperium Breslina. Na razie to nic wielkiego: papiery, które mu dostarczano, były po prostu niezadowalającej jakości. Tommy, idzie wieść po Nowym Orleanie, chciałby tymczasem poważnie wejść w interes.

W Nowym Orleanie rozchodzi się pogłoska, że byłby gotów przyjąć i dziesięć milionów tygodniowo, może nawet więcej.

- Wy, chłopcy, jesteście zwyczajne szczyle - mówi Breslin, nawiązując do pytania żony. - Ten interes trzeba było zrobić już kilka tygodni temu, tymczasem ciągle słyszałem jakieś żalosne wykręty. Tak się nie prowadzi interesów. Albo będę wiedział, że mogę na was liczyć, albo będę musiał was skreślić. Może wybiorę się do Bejrutu i sam znajdę

kogoś, kto nie kręci palcem w dupie. Rozumiesz, co mam na myśli, Aleksiej?

Rykw uśmiecha się, ale jego oczy nadal pozostają martwe.

- Szkoda, żebyś miał wydawać pieniądze na bilet, Musimy się przekonać, z kim robimy interesy, a to zawsze trochę trwa. Sam rozumiesz. - Wzrusza ramionami dla okazania swej całkowitej obojętności.

- No więc? - mówi Breslin.

- Przekonaliśmy się i jesteśmy zadowoleni. Możemy ubić z tobą interes. - Rykw wyjmuje z wewnętrznej kieszeni marynarki niewielki plik przyjemnie sztywnych studolarówek i kładzie je na stole.

- To próbki - informuje. - Resztę możesz dostać w każdej chwili. Znasz warunki.

Napięcie sięga szczytu. Jest wyczuwalne nawet na nagraniu wideo.

Tommy Breslin siedzi na kanapie z drinkiem w dłoni. Ani na chwilę nie spuszcza wzroku z Rykowa, wreszcie mówi:

- Rick, przynieś torbę.

Oglądając kasetę, aż do tego momentu nie dostrzegają się pozostałych mężczyzn obecnych w apartamencie, bo też nie brali oni dotąd udziału w grze. Szczególnie Rick, który cały czas stał bez ruchu oparty o ścianę, z założonymi na piersi rękoma, jest niemal niewidoczny. Jeśli przyjrzeć się uważnie, można dojrzeć, że prawą dłoń ma wsuniętą pod modną lnianą marynarkę. Nawet nie próbuje ukryć, że tkwi tam kabura z pistoletem.

Na polecenie Cuttera odrywa się od ściany. Jest muskularny, mocno zbudowany, ale zbliża się do kamery z wyjątkową gracją. Umieszczona w

ścianie i wyposażona w obiektyw z pleksi kamera nie może go śledzić i Rick znika z kadru. Na ścieżce dźwiękowej słychać odgłos otwierania drzwi, potem drzwi się zamykają i Rick na powrót pojawia się w kadrze. Widzimy go od tyłu, w lewej ręce trzyma jedną z tych toreb, które wbrew zapewnieniom producenta nie mieszczą się wcale pod siedzeniem fotela lotniczego. Torba wydaje się ciężka, nawet dla Ricka. Prawej dłoni nie widać, tkwi za pazuchą marynarki.

Rick podchodzi do Cuttera i stawia torbę na stoliku, tuż obok opartych o blat stóp szefa, zasłaniając na moment swoją sylwetką tego ostatniego. Słychać charakterystyczne kliknięcie zamka szyfrowego, po czym Rick odsuwa się i znowu staje na swoim miejscu pod ścianą, po lewej stronie kadru. Prawą dłoń trzyma cały czas na piersi pod marynarką, jakby ktoś mu ją przywiązał. Lewą rękę opuścił luźno wzdłuż ciała: to prawa będzie musiała wykonać całą robotę, jeśli zajdzie potrzeba. W tej chwili nikt się nie porusza, nikt się nie odzywa słowem.

Cutter nie spieszy się. W transkrypcji nagrania stenograf odnotował pauzę trwającą dwadzieścia osiem sekund. Potem jeszcze raz sprawdzono czas: rzeczywiście. Kiedy jednak ogląda się kasetę, zwłoka wydaje się nie mieć końca, trwa i trwa niczym zastygła w wieczność chwila. Cutter nadal obejmuje szklankę dłońmi, jej dno oparł na piersi. Z poziomu nisko umieszczonej kamery wygląda to tak, jakby przyglądał się Rykowowi spod idiotycznego parasola zdobiącego drinka. W szklance ubyło może ze dwa centymetry alkoholu.

Rykw siedzi prawym profilem do kamery: uderzająco przystojny, z dumnym czołem i fryzurą tak doskonałą, jakby kruczoczarne włosy

pociągnął lakierem. Jest w nim coś staroświeckiego, co przywodzi na myśl Rudolfa Valentino.

Kiedy Cohen pokazał kasetę A. J. Devereaux, wicedyrektorowi MI5, ten z charakterystyczną dla siebie wyższością zauważył:

- Wygląda, jakby prowadził orkiestrę w tancbudzie.

Ale w postawie Rykowa, w jego wyglądzie jest coś groźnego: ta sama drapieżność, którą wyczuwa się u Cuttera. Są jak dwa szakale szykujące się do obiadu.

Flint siedzi obok Rykowa. Jakby zapadła się w sobie, skurczyła. Jest bardzo blada, ale może to tylko wina oświetlenia.

Kiedy dwadzieścia osiem sekund minęło, Cutter zdejmuje nogi ze stołu. Robi to bardzo powoli, jakby zmagając się z ich ciężarem. Pochyla się do przodu, stawia drinka na stole, po czym otwiera torbę. Z poziomu kamery nie możemy dojrzeć, co jest w środku, ale Cutter mówi:

- Banknoty studolarowe. Prawdziwe. W paczkach po pięćset. Pięćdziesiąt sześć paczek, co daje w sumie dwa miliony osiemset. Przelicz.

Widzimy, że trzyma w dłoni gruby na pięć centymetrów plik dolarów. Rzuca je na stół, w kierunku Rykowa i na ścieżce dźwiękowej rozlega się głośny, głuchy łoskot. Plik upadł tuż koło nogi stolika, w której chłopcy z działu technicznego umieścili główny mikrofon.

Rykwow nadal siedzi, zdawałoby się, bez ruchu, podobnie Flint. Dopiero przy przeglądaniu taśmy w zwolnionym tempie, klatka na sekundę, zauważamy niemal niedostrzegalne skinienie głową.

Wysoki mężczyzna z obciętym dotąd w kadrze czubkiem głowy podchodzi bliżej. Przekonujemy się, że nie został oskalpowany, ale

widziany z bliska okazuje się przeraźliwie szpetny. Dopóki stał w cieniu, na lewo od Rykowa i dokładnie naprzeciwko Ricka, nie mogliśmy dojrzeć jego twarzy. Teraz widzimy straszną, purpurową bliznę biegnącą od ucha do ucha przez oba policzki, pod nosem, jakby ktoś rozplątał twarz na pół, a potem jakiś partacz usiłował na powrót zespawać obie części. Szrama zamienia usta w jedno ogromne nacięcie, jest jak uśmiech zgłodniałego rekina. Flint nie może oderwać od niej oczu.

Devereaux na moment zabrakło tchu z obrzydzenia, kiedy uświadomił sobie, że to, co widzi, nie jest błędem technicznym taśmy, tylko obrazem ludzkiej fizjonomii.

- Boże miłosierny, a co to za potwór?

- Ma na imię Władimir - powiedział Cohen. - Tak w każdym razie zwracał się do niego Rykow. Nie ustaliliśmy jego prawdziwej tożsamości.

- Skąd ta blizna na twarzy?

Cohen w odpowiedzi wzruszył ramionami.

Devereaux też miał swoich techników, a oni sprzęt, który pozwalał na powiększenie dowolnego fragmentu stop klatki bez szkody dla jakości obrazu. Na ekranie twarz Władimira miała teraz półtora metra szerokości.

- Strzeżmy się szlachetnego dzikusa. Lękam się o naszą heroinę, Harry - mruknął Devereaux.

- Słusznie - odparł Cohen.

Nagranie trwa, a my nadal musimy oglądać straszną gębę Władimira. Cutter przeszedł do barku i stoi tam teraz ze znudzoną miną. Jego miejsce na kanapie zajął Władimir: siedzi na wprost kamery i metodycznie przelicza zawartość torby. Wyjmuje kolejne paczki banknotów i kładzie je na stole. Wkrótce cały blat założony jest równo ułożonymi jeden obok

drugiego plikami. Chodzi o to, czy są dokładnie tej samej wysokości. Przesuwa po nich dłonią niby stolarz sprawdzający gładkość zheblowanej powierzchni. Zadowolony wybiera na chybił trafił jeden z plików, zrywa banderolę, banknoty cicho furkoczą pod jego kciukiem. Powtarza tę czynność kilka razy, jak gracz szukający w talii jokera. Potem rozkłada je w wachlarz, czyta numery seryjne. Nie znajduje widać dwóch identycznych, gdyż składa w końcu wachlarz i starannie wyrównuje plik.

Teraz liczy banknoty. Robi to bardzo szybko, od czasu do czasu bacznie ogląda któryś, sprawdza jego fakturę, jakość i dokładność druku. W pewnej chwili mamy wrażenie, że skończył, ale nie. Bierze następny plik, zsuwa banderolę i wszystko zaczyna się od początku.

- Skrupulant pieprzony. Takiego nie natniesz, co? - odezwał się Devereaux.

- Raczej nie - odpowiedział Cohen.

Wreszcie Władimir jest usatysfakcjonowany, chociaż nic nie mówi. Wstaje z kanapy i wraca na swoje miejsce. Jego budząca wstręt twarz niknie na powrót w cieniu. To Rykow mówi:

- Bardzo dobrze.

- Co teraz? - odzywa się Cutter. Oparty o barek stoi tak, by nie zasłaniać nam Rykova ani Ricka.

- Teraz ty możesz być zadowolony. Towaru oczywiście nie mamy ze sobą.

- Oczywiście - przytakuje Cutter z sarkazmem.

- Czeka niedaleko, Breslin. W bezpiecznym miejscu. Pańscy ludzie mogą jechać i sprawdzić. Slawić ich zawiezie. - Rykow kiwa na niskiego

mężczyznę o wyzywającej minie i alabastrowej skórze, który opiera się o drzwi prywatnej windy w głębi planu.

- Nie o to chodzi.

- Aha. A o co? Jest pan bystrym człowiekiem, panie Breslin.

Pierwszy raz robimy interes. Cieszy się pan co prawda znakomitą opinią, ale my nie mamy pewności, jak sprawy mogą się dalej potoczyć. To tak, jakby iść raz pierwszy do łóżka z piękną kobietą. - Zerka na Flint. -

Człowiek ma nadzieję, że jej namiętność będzie dorównywała urodzie, tymczasem niekoniecznie. W życiu jak w miłości, panie Breslin, musimy być przygotowani na rozczarowania.

- Przestań pieprzyć, Rykow, i mów wreszcie, jak dokonamy wymiany?

- Z największą ostrożnością. - Widać, że Rykow świetnie się bawi. - Pańscy ludzie pojedą ze Slaviciem, a my poczekamy w kawiarni na dole. Oczywiście zabierzemy pieniądze. Podobno mają tutaj świetną kuchnię. Sala pełna gości. Żadnemu z nas nie powinno przytrafić się tam nic złego. Posiedzimy, poczekamy. Jeśli pańscy ludzie będą zadowoleni z towaru, przejmą go. Znajduje się w ciężarówce, dostaniecie ją od nas gratis. Kiedy już zadzwonią do pana i powiedzą, że wszystko w porządku, biorę kasę i znikam. Jeśli wszystko pójdzie gładko, następnym razem przeproszę pana, że byłem taki głupi.

- A on? - Breslin wskazuje na Władimira.

- Jak już wspomniałem, jest pan bystrym człowiekiem. Władimir to moje zabezpieczenie. Zostanie tutaj z pańską żoną. Nie będzie żadnych niespodzianek, zadzwonię do niego na pager i odwołam. Gdyby jednak coś

poszło nie tak i Władimir nie doczekał się wiadomości ode mnie... -
Rykow nie kończy zdania.

Nie, nie, nie, nie, nie.

Grace Flint krzyczy, ale krzyk rozbrzmiewa tylko w jej głowie.

Piętro niżej, w niemal takim samym salonie jak ten w apartamencie Alhambra, tyle że wypełnionym najróżniejszym sprzętem elektronicznym, Kevin Hechter, szef grupy prowadzącej operację Żniwo, poczuł się tak, jakby za chwilę miały pęknąć mu płuca.

Zamknął oczy i zaczął przeliczać zmitrężony czas swojej grupy i zmarnowane państwowe pieniądze. Wreszcie powiedział sobie: „Pał diabli”. Doskonale wiedział, że nie zabraknie chętnych do przeprowadzenia podobnych kalkulacji.

- Zaczyna się - rzucił do mikrofonu. - Cutter musi się wycofać, nie wiemy, jak Rykow zareaguje. Wszyscy na miejsca. Natychmiast.

Jego słowa wywarły niezwykły efekt. Kręcący się w hotelu i jego pobliżu ludzie zatrzymywali się w pół kroku, podrywali ze swoich miejsc i spieszyli na z góry ustalone pozycje.

Konserwator, który naprawiał właśnie klimatyzację w apartamencie Granada, ruszył ku drzwiom, mrużąc: „Idę po klucz nasadkowy”, chociaż trzymał go właśnie w ręku.

Pokojówka uzupełniająca zapasy w barkach na trzecim piętrze zostawiła swój wózek na środku korytarza. Kelnerzy, boye hotelowi, parkingowi porzucali swoje zajęcia, nie próbując nawet przeproszać gości. W holu głównym jeden z czterech młodych ludzi wyglądających tak, jakby przed chwilą zeszli z kortu tenisowego, wystukał kod windy

obsługującej apartament Alhambra. Kiedy drzwi kabiny się zamknęły, wyjęli broń z toreb na rakiety, szykując się do walki.

Oni mieli przynajmniej jakieś zadanie. Hechter mógł tylko obserwować na ekranie telewizora ziarniste obrazy przekazywane z apartamentu piętro wyżej. Wsłuchiwał się w ciszę, niepewny, jak Cutter rozegra tę partię.

Będzie próbował załagodzić czy pójdzie na konfrontację?

Postara się negocjować? „Nie załatwiam w ten sposób interesów”.

A może powie: „Spierdalaj, Rykow”.

Tak czy inaczej musi działać mądrze, inaczej ucierpi zbyt wiele osób.

Wreszcie Cutter się odezwał. Hechter przez chwilę nie wierzył własnym uszom. Kiedy w końcu ochłonał, zawołał:

- Ty skurwysynu, nie możesz tego zrobić. Ale Cutter nie słuchał.

- Co ty na to, kochanie? Zostaniesz tutaj z Władimirem? My tymczasem dobijemy targu. Zgoda, skarbie?

Głos Breslina brzmi przymilnie, jakby zwracał się do naburmuszonego dziecka. Nadal stoi przy barze, odwrócony plecami do kamery, nie widzimy jego twarzy, ale to nam nie przeszkadza. Chcielibyśmy zobaczyć twarz Flint. Teraz właśnie przydałoby się zbliżenie.

Flint siedzi nadal na kanapie, pochylona, jakby zapadła się w siebie. Jej twarz jest blada. Teraz już nikt nie powie, że to wina oświetlenia.

- Najdalej za dwie godziny będę z powrotem - mówi Breslin. -
Prawda, Rykow?

Rykov kiwa głową. Przygląda się Flint równie bacznie jak my, ale jest znacznie bliżej, widzi jej oczy.

Flint uśmiecha się do niego. Nie jest to fałszywy uśmiech przerażonej kobiety. W powiększeniu, na ekranie Devereaux, sprawia wrażenie szczerego, zaprawionego nawet lekkim rozbawieniem. Uroczy uśmiech, efekt wyteżonej pracy chirurgów.

Flint odwraca głowę w stronę Władimira, potem spogląda na Cuttera. Nadal się uśmiecha, kiedy mówi:

- W porządku, jedźcie chłopcy, my sobie tu zostaniemy z Władimirem. Poszłabym chętnie popływać.

- Nie wolno jej wychodzić z pokoju - oznajmia Rykow. Nadal nie zwraca się bezpośrednio do Flint.

- Nie martw się. - Flint dotyka kolana Rykova, po czym wstaje i przechodzi za kanapę. Chwilę walczy z opornym mechanizmem, po czym rozsuwa zasłony, za którymi ukazują się ogromne szklane drzwi prowadzące na taras z basenem.

- Opla!

Przybiera teatralną pozę i wyrzuca ręce w górę, jak iluzjonista, któremu udała się sztuczka.

Teraz Flint podchodzi do Cuttera - zbliża się jednocześnie do kamery - a my nie możemy wyjść z podziwu. W jej zachowaniu, w jej miękkich ruchach, w pięknej twarzy nie ma śladu lęku mimo perspektywy spędzenia następnych dwóch godzin z człowiekiem, który gotów ją zabić, jeśli coś pójdzie nie tak.

Grace Flint musi jednak wiedzieć, że Aleksiej Rykow nie wyjdzie z kawiarni prawie z trzema milionami dolarów podatków. Musi wiedzieć, że w jakimś momencie zostanie obezwładniony, będzie leżał na podłodze z pistoletem przystawionym do głowy, a Władimir nie doczeka się

wiadomości, że wszystko w porządku i że nie musi zabijać żony Tommy'ego Breslina. Co wtedy?

- Poradzimy sobie z Władimirem- mówi Flint i muska wargami usta Breslina. - Wracaj szybko, mamy jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Milczący partner Ricka, którego imienia nigdy nie poznamy, pakuje torbę, sam Rick nadal czuwa z dłonią na pistolecie. Slavić wzywa windę. Nie słyszymy tego, ale Hechter przez krótkofalówkę poleca czterem młodym ludziom natychmiast opuścić kabinę, zanim ta wjedzie do apartamentu. Chłopcy zjeżdżają na parter.

Kiedy winda wreszcie się pojawia, Rick wnosi do niej torbę. Wsiada tyłem, nie spuszczać wzroku ze Slavicia, gdy jego partner cały czas obserwuje Władimira. Slavić wydaje się wyraźnie rozbawiony tą przesadną ostrożnością. Wsiada do kabiny z wyciągniętym jak pistolet palcem i mówi:

- Bang, bang.

Rykov i Breslin wchodzi razem, ale przedtem Rykov podchodzi do Władimira i coś cicho do niego mówi z naciskiem.

Cutter nie słyszy, a nawet gdyby słyszał, nic by nie zrozumiał, bo Rykov mówi po rosyjsku. Mikrofony w pokoju na dole wychwyciły jednak słowa Rykova; jeden z obecnych tam agentów jest z pochodzenia Rosjaninem.

- Co powiedział Rykov? - pyta Hechter.

- Że nie wolno jej nigdzie dzwonić ani odbierać telefonów. Nie może wychodzić z apartamentu. Jeśli ktokolwiek będzie próbował tam wejść przed nadejściem wiadomości, Władimir ma ją zabić. Powiedział dokładnie „zamoczyć” - „zlikwidować”.

Władimir i Flint zostają sami w apartamencie. On nadal tkwi na swoim miejscu pod ścianą. Ona siedzi na kanapie odwrócona do niego plecami i robi manicure. Panuje cisza, słychać tylko oddech Flint, oddech, który trzyma ją przy życiu.

- Czy Cutter miał jakiś plan, czy po prostu grał na zwłokę i liczył na szczęście? - zainteresował się Devereaux, kiedy usiedli już przy stole w restauracji jego klubu przy Pall Mall.

Zrobili sobie przerwę na lunch, resztę taśmy zostawiając na popołudnie. Mogliby przewijać długie fragmenty, kiedy nic się nie działo, ale Devereaux nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Nic nie mówił na ten temat - odparł Cohen. - A pan, co by zrobił na jego miejscu?

Devereaux zmierzył Cohena tym swoim ironicznym spojrzeniem, które przyprawiało o ciarki jego podwładnych w Thames House.

- Nie wyobrażam sobie takiej sytuacji... Nie potrafię postawić się w położeniu Cuttera. Generał obserwuje bitwę ze wzgórza, nie idzie do walki z piechotą. Nie negocjuje z przestępcami w kawiarni Buccaneer Hotel. Tam chyba poszli, prawda?

- Tak - przytaknął Cohen. - Jeden drugiego nie chciał spuścić z oka, oczywiście ze względu na pieniądze.

- Kto dowodził kawalerią?

- Agent FBI, niejaki Taylor, ekspert od uwalniania zakładników.

Kiedy Hechter zobaczył, co się dzieje, wpadł w panikę. W ciągu czterdziestu minut na miejscu pojawił się Taylor ze swoją brygadą specjalną. Otoczyli hotel, rozmieścili snajperów. I czekali, czy Flint wydobędzie się z opresji.

- Nie za wiele sobie obiecywali? - mruknął Devereaux.
- O wiele za wiele.
- Dokąd?
- Idę do sypialni. Chcę się przebrać i popływać.
- Nie.

Władimir nie podnosi głosu. W jego tonie, postawie nie ma śladu groźby. Jedynie stanowczość. „Nie” i już. Flint nie pójdzie do sypialni. Nie może zniknąć mu z oczu.

Flint stoi w pobliżu kamery, przodem do obiektywu, ale głowę ma odwróconą w kierunku ukrytego w cieniu Władimira.

- Chcę popływać.
- To pływaj.

Teraz Flint odwraca się całym ciałem do Władimira, plecami do nas. Ręce założyła do tyłu. Władimir nie może tego widzieć, ale my widzimy, jak gorączkowo zaciska i prostuje palce. Zaciska i prostuje. Pokazuje do obiektywu osiem palców, potem siedem. Powtarza ten gest. Osiem, siedem. To kod używany przez agentów wydziałów specjalnych oznaczający wołanie o pomoc. *Nie panuję nad sytuacją.*

Flint patrzy na Władimira, czeka, że ten powie coś jeszcze, ale Władimir milczy. Flint odwraca się w końcu do niego plecami i zaczyna powoli rozpinąć letni kombinezon. W jej ruchach nie ma nic erotycznego. Po prostu rozbiera się. Kamera i Władimir nie istnieją.

Kombinezon opada na podłogę. Naga, tylko w białych figach Flint podchodzi do szklanych drzwi prowadzących na taras z basenem.

Nie panuję nad sytuacją.

A jednak Flint zachowuje się jak wytrawna aktorka, która gra rolę swojego życia. Gdybyśmy nie znali prawdy, dalibyśmy się zwieść tak jak Władimir.

W salonie apartamentu piętro niżej dwunastu mężczyzn wpatrywało się w ekran, na którym nic się nie działo. Martwy obraz, martwa cisza w głośnikach. I dojmująca, z każdą chwilą coraz bardziej irytująca świadomość całkowitej bezradności. Od czasu do czasu któryś rzucał coś nerwowo do słuchawki telefonu albo do walkie-talkie, ale to, co mówili, nie mogło pomóc Grace Flint.

Tylko Taylor nie poddawał się ogólnemu nastrojowi.

Niezaangażowany w operację Żniwo, nie miał, jak reszta, poczucia winy.

- Problemy z windą? - zdziwił się. - Nie rozumiem.

- Nie możemy użyć windy. Facet ją usłyszy - tłumaczył Hechter. - Żeby dostać się z holu na górę, trzeba jedenastu sekund. Jemu wystarczą trzy, żeby zareagować.

- A schody przeciwpożarowe?

- Wychodzi się na nie z sypialni. Próbowaliśmy, ale Władimir nie dał się nabrać.

- Spróbujemy tamtędy się dostać.

- Wspaniale. Zanim sforsujemy kłapę i dopadniemy drzwi salonu, mózg Flint rozbryźnie się na terakocie. Równie dobrze może pan do niego zadzwonić i poinformować, że zaraz przyjdziemy.

- Co on ma?

- Wygląda, że to MAC-10, ale dokładnie nie widać. Taylor podszedł do jednego z monitorów, żeby przyjrzeć się lepiej Władimirowi, który

siedział nieruchomo na krześle w pobliżu drzwi prowadzących na taras. Nie mógł zobaczyć broni, bo Władimir zwrócony był plecami do kamery.

- Mam pięciu ludzi na dachu - powiedział. - Niech strzelają.

- Problem w tym, że Władimir nie wytknie nosa z pokoju. Może granat z gazem obozwładniającym?

Taylor cały czas wpatrywał się w ekran.

- Nie dorzucaj. Już raczej poczekajmy, zobaczymy, co się będzie działo. Ile mamy jeszcze czasu?

- Wyjechali półtorej godziny temu. Myślę, że została nam najwyżej godzina. Jeśli Rykow się nie odezwie w ciągu godziny, Władimir zacznie coś podejrzewać.

Taylor odwrócił się wreszcie od monitora.

- Poczekajmy jeszcze pięćdziesiąt minut. Jak sobie radzi dziewczyna?

Hechter uśmiechnął się.

- Jest wspaniała. Zachowuje się, jak gdyby nic jej nie obchodziło. Opala się. - Nie wspomniał o jej milczących nawoływaniach o pomoc. Uznał, że nie ma potrzeby.

Flint leży na brzuchu na brzegu basenu, głowę oparła na splecionych ramionach, twarz zwróciła w stronę Władimira, przygląda mu się spod przymkniętych powiek. Broń, którą Władimir trzyma na kolanach, to MAC-10. Seria z takiego automatu przecięłaby ją na pół jak piłą.

Na dachu nad apartamentem są ludzie, to Flint wie na pewno. Chociaż starają się zachowywać bezszelestnie, słyszy ich, a może tylko wyczuwa ich obecność. Wie też, że lada chwila gotowi są z całą

bezwzględnością przystąpić do akcji i unieszkodliwić Władimira.
Rozluźnia mięśnie, nie chce, żeby Władimir domyślił się czegokolwiek.

Ruszajcie! Na co czekacie?

Wie dokładnie, jak powinna się zachować. Precyzyjnie wybrała miejsce, gdzie teraz leży. Jeden szybki obrót ciała i znajdzie się w basenie. Zniknie Władimirowi z oczu, zanim ten zdąży zareagować. Potem kilka mocnych uderzeń nogami i na dnie basenu kule Władimira nie będą w stanie jej dosięgnąć. Nie na głębokości dwóch i pół metra. Zresztą Władimir będzie miał już czym innym zajętą głowę, znajdzie się między życiem i śmiercią. Tym razem swoją, nie jej.

Ruszcie się! Teraz!

Powoli, z gracją, tak by nie zaalarmować Władimira, Flint przewraca się na plecy i raz jeszcze analizuje w myślach swój plan. Oparła łokieć na skraju basenu, dłoń zanurzyła w wodzie. Jeszcze jeden półobrót i znajdzie się pod powierzchnią, będzie bezpieczna.

Przysłania oczy prawą dłonią i patrzy w niebo. Stąd dach wygląda jak szczyt czarnej skały. Lada moment powinny pojawić się tam ludzkie sylwetki, również czarne, a jakże.

Zgina kolano pod kątem czterdziestu pięciu stopni, gotowa jednym gwałtownym wyrzutem ciała zanurkować w basenie.

Teraz!

- Chodź tu - mówi Władimir.

Odwraca głowę w jego stronę.

- Słucham?

Władimir nie powtarza polecenia. Siedzi nieruchomo na krześle i kieruje w jej stronę lufę automatu.

Wie doskonale, co powiedział, wie, co to oznacza. Wstaje bardzo powoli.

Musicie ruszyć się teraz. Jeśli wrócę do pokoju, będzie za późno. To wasza ostatnia szansa. Cholera, to moja ostatnia szansa. Musicie się ruszyć. JUŻ.

Cztery metry powyżej agenci specjalnie szkoleni do takich jak ta akcji na próżno czekają na rozkaz. Nylonowe linki zakończone samozwalniającymi karabińczykami mają pozwolić im bezpiecznie wylądować na tarasie. Uzbrojeni są w automatyczne glocki, pistolety niezawodne i celne. Są pewni, że nie chybią celu, muszą tylko otrzymać rozkaz ataku.

Tkwią jednak na dachu, ponieważ ludziom w salonie pod apartamentem Alhambra, w punkcie dowodzenia już spartaczoną operacji, nie przyjdzie do głowy, że Flint ma plan, że wie, jak uniknąć serii z automatu. Dla jej dobra, w trosce o jej bezpieczeństwo nie wydadzą rozkazu.

Władimir patrzy, jak Flint do niego podchodzi.

Jest osobnikiem w zasadzie pozbawionym ludzkich uczuć, ale w Grace Flint jest coś, co go porusza i podnieca. Może jej wyniosłość, obojętność na własną nagość i na to, czy wywiera ona jakiegokolwiek wrażenie na Władimirze.

Taką w każdym razie ukuł sobie teorię Harry Cohen. Bo jak inaczej wytłumaczyć chwilową nieuwagę Władimira?

Kiedy Flint przechodzi obok niego, Władimir przekłada automat do lewej ręki, prawą wsuwa między uda Flint.

Flint nie opiera się, szerzej rozstawia nogi, by ułatwić Władowi eksplorację. Rekinie usta zamykają się na sutku Flint, a ona kładzie mu dłonie na karku i przyciąga go bliżej.

Nieruchoma kamera chwytą tylko fragment rozgrywającej się sceny, ale Hechter dostrzega natychmiast to, co najważniejsze: MAC-10 w lewej ręce Władimira skierowany jest lufą do podłogi.

- On jest praworęczny - mówi Hechter, nagle zdając sobie sprawę z wagi sytuacji. - Ten głupi sukinsyn jest praworęczny.

Taylor naciska przycisk swojego walkie-talkie.

- Bravo Jeden, JAZDA!

Jeszcze długo potem, już niepotrzebnie, przez nikogo nie słuchany Taylor powtarza swój rozkaz:

- Jazda, jazda, jazda, jazda!

IV

Kawiarnia w Buccaneer Hotel - Le Cafe była równie pretensjonalna jak jej nazwa. Podawano tu częściej *kir royales* niż kawę, dania takie jak *agneau de pre sale* oraz „świeże” poziomki prosto z Francji, po dwadzieścia sześć dolarów za porcję. Z białą ścian kontrastowały ciemnozielone meble i różowe obrusy. Francuskie okna otwierały się na taras; z daleka i dość rzadko dochodziły tu odgłosy pospolitego świata zewnętrznego.

- Co to było? - zapytał Rykow.

- Brzmiało jak petardy - powiedział Cutter alias Tommy Breslin.

Inni goście też usłyszeli ostre odgłosy, na moment przerwali rozmowy, by szybko dojść do wniosku, że cokolwiek to było, ich nie dotyczy.

Rykov był jednak wyraźnie zaniepokojony. Przy całym jego zadufaniu czekanie wytrącało go z równowagi. Ułożył plan, który wydawał mu się doskonały; teraz pojawiły się pierwsze wątpliwości. Wypił jedną po drugiej kilka kaw, które tylko go rozstroiły. Czuł, że musi iść do toalety, ale nie mógł zostawić Breslina samego. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że i on jest zakładnikiem torby z dwoma milionami ośmiuset tysiącami dolarów, stojącej pod stołem, między nogami Breslina.

- Niech pan nie próbuje mnie wydymać, bo Władimir zrobi dokładnie to, co mu kazałem zrobić. Jeśli coś się stanie, nie będziesz miał żony, rozumiesz? Zostaniesz wdowcem. Będziesz musiał urządzać pogrzeb pani Breslin.

- Uspokój się, Rykov. - Breslin jakby ocknął się z drzemki. - Co z tobą? Odpreź się, człowieku. Nikt cię nie zamierza wydymać. Napij się jeszcze kawy.

- Dlaczego to tak długo trwa?

- Nie wiem. Może utknęli w korku. Może samochód im nawalił.

Może ten twój pieprzony Slavić pomylił drogę. Nie minęły jeszcze dwie godziny. Jak będziesz się tak denerwował, dostaniesz zawału.

Ale Rykov się denerwował. Zawołał kelnera i powtórzył mu po raz trzeci, że czekają na ważny telefon. Odpalał papierosa od papierosa. Wypił kolejną kawę, pęcherz dokuczał mu coraz bardziej. Nie mógł usiedzieć na miejscu.

- Muszę się odlać. Pójdiesz ze mną - odezwał się wreszcie.

- Chętnie, Rykov, ale przypominam ci, że czekamy na telefon. Idź sam. Ja swojego zawiążę na supeł.

- Nie - oświadczył Rykov, nie wiedząc, jak długo jeszcze wytrzyma.

Wybawił go telefon. Przy stoliku pojawił się kelner ze słuchawką aparatu bezprzewodowego.

- Ktoś do pana, panie Breslin.

- Widzisz, Rykow. Trzeba wierzyć w ludzi. - Breslin wziął słuchawkę. - Tak?

Agenci, którzy mogli widzieć twarz Cuttera, a było ich pięciu w promieniu kilku metrów od stolika, plus trzech przebranych za kelnerów, przyznali potem, że dał doskonałe przedstawienie. Słuchał głosu po drugiej stronie z lekkim, niemal niezauważalnym uśmiechem igrającym w kącikach ust i spoglądał nic nie mówiącym wzrokiem na wpatzonego w niego Rykowa. W końcu mrugnął i Rykow uśmiechnął się szerokim, najbardziej promiennym uśmiechem, na jaki było go stać.

- W porządku, Rick. Kończymy interes - i odłożył słuchawkę.

- I co? - zapytał Rykow.

- Chłopcy mówią, że wszystko jest jak należy.

- Wobec tego torba jest moja.

- Oczywiście - zgodził się Breslin i przesunął stopą torbę w stronę Rykowa. Z tego w jednej chwili opadło całe napięcie, zapomniał nawet o bólu w pęcherzu. Wyszczrzył zęby do uśmiechniętego Breslina, wyciągnął do niego rękę. Breslin uścisnął ją bez słowa, ciągle uśmiechnięty.

- Wyjdę teraz. - Rykow nachylił się do Breslina i powiedział szczerym, poufnym tonem: - Pan zostanie tu jeszcze dwadzieścia minut, dopóki Władimir nie wyjdzie z apartamentu.

- Dobrze - odparł Breslin.

Rykov wstał.

- Proszę przeprosić ode mnie żonę za... - tutaj zawahał się - pewne niewygodny.

Breslin wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to drobiazg, nie ma za co przeproszać, że wzięcie przez kogoś jego żony jako zakładniczki to czysta formalność, niezbędna w interesach, podobnie jak referencje. Breslin grał tak doskonale, był tak uprzejmy, tak układny, że Rykow musiał wyczuć coś podejrzanego.

Torba była znacznie cięższa, niż przypuszczał, nachylił się, żeby dźwignąć ją z podłogi, i nie zauważył zbliżającej się do stolika Grace Flint. Dopiero kiedy podeszła, usłyszał jej głos.

- Hej, kochanie - przywitała Cuttera, całując go w czoło. - Jak jedzenie? Umieram z głodu.

Rykov zapomniał o torbie. Patrzył z niedowierzaniem, jak Flint siada przy stole i zaczyna studiować menu. Miała na sobie o dwa czy trzy numery za dużą koszulę Hechtera ściśniętą w talii paskiem. Świeża, zaróżowiona, wyglądała, jakby przed chwilą wyszła spod prysznica. Bo też wyszła. Trzeba było dużo gorącej wody, żeby zmyć krew.

Spojrzała na Rykova z uśmiechem.

- Uważaj, Aleksiej, żebyś się nie podzwigał. Ta torba jest naprawdę ciężka.

- To samo mu mówię - przytaknął Cutter. - Powinien bardziej dbać o siebie.

- Może mu pomożemy - powiedziała Flint. - Siadaj, Aleksiej.

Oszołomiony, usłuchał polecenia bez protestu. Usiadł ostrożnie, jakby krzesło pod nim miało za chwilę eksplodować.

- Gdzie Władimir? - wykrztusił.

- Władimir nie zejdzie na dół - odpowiedziała Flint. - Jest niedysponowany. Ma w głowie dziurę wielkości grejpfruta. To się nazywa „rana wylotowa”, ale w przypadku Władimira to określenie brzmi zbyt eufemistycznie. Władimir nie żyje, Aleksiej.

Flint położyła torebkę na kolanach, wyjęła z niej pistolet, który dał jej Hechter, odbezpieczyła go i wycelowała go pod stołem w Rykowa, wpatrując się w niego jak w kochanka.

Cutter nachylił się do niego.

- Niespodzianka, Aleksiej - powiedział. - Jesteśmy agentami federalnymi, a ty, sukinsynu, jesteś aresztowany.

Rykwow wpatrywał się w ich twarze z taką miną, jakby wydawały mu się znajome i teraz usiłował sobie przypomnieć, skąd je zna.

- Możemy to zrobić na dwa sposoby - ciągnął Cutter. - Postawić cię pod ścianą, skuć ci ręce z tyłu i wyciągnąć stąd niby worek śmieci, którym w gruncie rzeczy jesteś, ale to byłoby niezbyt miłe dla gości, nie mówiąc już o kierownictwie hotelu. Proponuję zatem, żebyśmy wstali wszyscy troje od stolika, wyszli spokojnie z sali, przeszli przez hol i wsiedli do samochodu, który czeka przed hotelem.

Flint wolną dłonią sięgnęła po filiżankę Rykowa i upiła łyk zimnej kawy. Ręka jej ani drgnęła, nie spuściła ani na moment wzroku z twarzy Rykowa.

- Coś ci powiem, zanim wyjdziemy - kontynuował Cutter. - Masz swoje prawa. Nawet najgorszy śmieć ma swoje prawa. Masz prawo do adwokata i bardzo dobrze, bo będziesz go potrzebował. Jeśli cię nie będzie stać na jego opłacenie, dostaniesz jakiegoś z urzędu, ale szczerze mówiąc, nie jest to odpowiedni moment na oszczędności. Znajdź najlepszego, na

jakiego cię stać, Aleksiej. Nawet on niewiele zdołał, ale będziesz miał przynajmniej świadomość, że zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy. - Przerwał na moment.

- Masz prawo do milczenia. Skorzystaj z niego. Jeśli będziesz usiłował się wymądrzać, jeśli w ogóle będziesz usiłował gadać cokolwiek, pani Breslin rozwali ci jaja. Nie masz pojęcia, jak bardzo bym chciał, żeby to zrobiła. Nie masz zielonego pojęcia.

Ból stał się nie do wytrzymania. Aleksiej Rykow stracił kontrolę nad pęcherzem.

RS

ROZDZIAŁ 2

I

Plany operacji Hades były na ukończeniu i A. J. Devereaux chciał je koniecznie omówić z Harrym Cohenem w czasie sobotniego lunchu.

- Wybierzemy się gdzieś za miasto. Ja stawiam. Daimlerem Devereaux ruszyli przez posepne, zatłoczone przedmieścia południowego Londynu. Prawie nie rozmawiali; dopiero kiedy znaleźli się na Purley Way, Devereaux zagadnął:

- Kiedy prosiłem cię, żebyś odszukał Flint...

- Prosiłeś? - sarknął Cohen. Jego kontakty z Devereaux nigdy nie układały się najlepiej.

Ten spojrzał na Harry'ego z udanym zdziwieniem.

- Jak mam powiedzieć? Przekonywałem? Błagałem?

- „Zmanipulowałem” byłoby najbliższe prawdy. Urobiłeś mnie, jak chciałeś.

- Drogi chłopcze, o czym tym mówisz? - obruszył się Devereaux, jakby nie pamiętał tamtego dusznego wieczoru pod koniec lata, kiedy pojawił się nieoczekiwanie w biurze Cohena, nie pozwalając nawet, żeby sekretarka zaanonsowała jego wizytę.

- Cześć, Harry - zaczął, ściskając wylewnie dłoń zaskoczonego Cohena. - Zanim powiesz cokolwiek, chciałbym, żebyś to przeczytał - oznajmił, kładąc na biurku cienką niebieską teczkę.

- A gdybym cię wtedy wyrzucił? - zapytał Cohen, poprawiając się w fotelu pasażera.

- Ale nie wyrzuciłeś, prawda? - Devereaux uśmiechnął się na tamto wspomnienie. - Przejrzałeś teczkę naszej Grace.

Dane pedantycznie zebrane przez Scotland Yard specjalnie dla Cohena, a właściwie nie tyle dla Cohena, ile dla Devereaux, pod jego dyktando. Cohen przyrzekał sobie kiedyś, że nigdy już nie da się zrobić w intrygi tego lisa. I rzeczywiście, przez ostatnie dwa lata nie rozmawiali ze sobą.

Devereaux rozsiadł się wówczas wygodnie w fotelu niby gość podejmowany ze szczególnymi względami. Cohen nie miał siły protestować. Podeszedł do biurka, zrezygnowanym ruchem otworzył teczkę, spojrzął na pierwszą kartkę. Zawierała szczegółowy opis kariery zawodowej niejakiej Grace Elise Flint sporządzony w sztywnym urzędowym języku. Język językiem, ale fakty były na tyle intrygujące, że wbrew woli Cohena rozpały jego wyobraźnię. Najpierw oparł się o biurko, wreszcie opadł na fotel, zatopiony w lekturze, przerażony odwagą, ba, straceńczą brawurą Grace Flint. Miał wrażenie, że ta dziewczyna jest opętana przez jakieś demony.

Wjechali na dwupasmówkę i Devereaux dodał gazu. Daimler wyprysnął do przodu, wyprzedzając kolejne samochody.

- Ale się wloką - mruknął Devereaux, dumny z mocy maszyny. - Nie musiałem tobą manipulować. Przyznaj, historia Flint zrobiła na tobie takie wrażenie, że sam w to wszedłeś jak w masło.

Flint, konstabl Flint, świeżo po szkole, zatrudniona na okres próbny przekładała papierki w Yardzie. Ktoś ją stamtąd wyciągnął i skierował do pierwszej tajnej operacji. W aktach napisano, że została wybrana „z uwagi na swoją aparycję”. Cohen zaczął przerzucać dokumenty w poszukiwaniu

zdjęcia. Nie znalazł żadnego - bez wątpienia jeden z trików Devereaux - natrafił tylko na krótki rysopis: 176 cm wzrostu, 59 kilogramów wagi, czarne włosy, oczy w kolorze bursztynu, tyle się dowiedział.

A więc dość wysoka, szczupła, o oczach koloru bursztynu. Cohen niemal widział, jak idzie w długiej wąskiej spódnicy ulicą zalaną poświatą księżyca - przynęta na potwora.

Tak właśnie wyglądało pierwsze zadanie Flint. Polowanie na potężnego, zwalistego mężczyznę, który grasował na

Hampstead Heath, napadając bezbronne kobiety. Cztery z jego ofiar, zgwałcone i pobite, trafiły na oddział intensywnej opieki.

Tak więc Flint przemierza nocą Heath. Boi się, ale wierzy w zapewnienia ubezpieczających ją chłopców; obiecali być w pobliżu, w odległości kilkudziesięciu, kilkuset metrów. W kieszeni dzinsowej kurtki Flint ma policyjną krótkofalówkę. Jeśli dostrzeże jakiś podejrzany ruch w mroku, wezwie kolegów. Pierwszej nocy nic się nie zdarzyło. Podobnie przez kolejnych pięć nocy. Przemierzała Heath i nic. Cohen przypuszczał, że pierwszy lęk minął, a obstawa straciła czujność.

Siódmej nocy chłopcy z obstawy nie usłyszeli zdławionego okrzyku Flint, kiedy wreszcie facet wyłonił się z ciemności i zastąpił jej drogę. Stał tak blisko, że czuła jego zapach. Była przygotowana na to, że zobaczy mężczyznę w skórzanym, sięgającym do ramion czarnym kapturze z wąskimi otworami na oczy; opowiadały o nim wszystkie ofiary. Nie mogła przewidzieć, że udoskonalił swój kostium. Przez szerokość kaptura mosiężnymi ćwiekami wypisał swoją intencję: GWAŁT.

Musiała poczuć te ćwieki na twarzy, kiedy uderzył ją głową, przewracając na chodnik. Musiała czuć się bezradna, kiedy chwycił ją

wpół, uniósł i zaczął potrząsać tak gwałtownie, że nie mogła złapać tchu. Radio wypadło z kieszeni kurtki. Dopiero wtedy nadbiegli ci, którzy mieli ją ubezpieczać. Uchronili ją od gwałtu, ale wyszła z tej przygody posiniaczona, pogryziona, z otartymi udami.

Minęło sześć tygodni, zanim mogła wrócić do pracy. Wróciła i w tydzień później znowu ruszyła polować na kolejnego gwałciciela grasującego na ulicach Londynu. Cohen czytał i z niedowierzaniem kiwał głową.

Potem trzecia podobna akcja, czwarta, piąta, szósta. Cohen opuszczał szczegóły, coraz bardziej zirytowany i osłupiały.

- To jakieś szaleństwo - doszedł w końcu do wniosku. -Dlaczego ciągle wystawia się na niebezpieczeństwo? Dlaczego jej przełożeni na to pozwalają?

- Czytaj dalej - zachęcił go Devereaux. - Nie wiesz jeszcze nawet połowy.

Cohen odsunął teczkę niczym nie dokończone danie.

- Czego ode mnie chcesz, Alan? - zapytał. Nigdy nie zwracał się do Devereaux A. J., mimo że ten tak właśnie lubił być nazywany.

- Chcę, żebyś ją znalazł. Bardzo nas interesuje Grace Flint, ale jesteśmy gamonie, straciliśmy ją z oczu. Potrzebujemy jej.

- My?

- Kontrwywiad.

- Nie, Alan.

- Musisz, Harry.

- Muszę? - Cohen, nie wierząc własnym uszom, wstał zza biurka. - Zapomniałeś już, co się stało?

- *Au contraire* - powiedział Devereaux zmęczonym głosem. Miałeś absolutną rację, to ja się pomyliłem. Teraz potrzebuję twojej pomocy. Musisz oczyścić stajnie. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać. Nie rozumiesz?

Przez chwilę jechali w milczeniu. Cohen rozważał ostatnie pytanie Devereaux. Które z nich pchnęło go na niepewną ścieżkę - A. J. czy Flint?

- Jednak ty - rzekł w końcu. - Ty zarzuciłeś haczyk.

- Zgoda - zgodził się Devereaux ze śmiechem.

Dwa lata wcześniej, kiedy Harry Cohen z powodu postępującej choroby żony zdecydował się odejść z kontrwywiadu, czyli z MI5, swoją krótką rezygnację złożył właśnie na biurku Devereaux. Devereaux wysłuchał jego wyjaśnień, mruknął coś współczująco i zaproponował, by wyszli obydwaj z Thames House. Poszli wtedy do winiarni na Pimlico. W piwnicznym wnętrzu, gdzie nikt nie mógł podsłuchać ich rozmowy, pili chardonnay. Devereaux, udając głupka, usiłował na wszelkie sposoby dociec prawdziwych powodów odejścia Cohena.

- To, co mówisz o Annie, brzmi strasznie, naprawdę strasznie - oznajmił głęboko zatroskanym głosem. - Musisz oczywiście wziąć bezterminowy urlop bezpłatny. Zostań z nią tak długo, jak będzie trzeba. - Zamilkł na moment, po czym dodał: - Dopóki nie wyzdrowieje.

- Ona nie wyzdrowieje, Alan.

- Tak czy inaczej, bądź z nią, Harry. - Położył rękę na dłoni Harry'ego. - Jakoś sobie poradzimy bez ciebie. Jeśli moglibyśmy w czymś pomóc... - Nie dokończył zdania. - Myślę, że wszystko już sobie powiedzieliśmy.

- A ja myślę, że nie.

Podejrzenia Devereaux wreszcie znalazły oparcie. Cofnął dłoń i spojrzął na Cohena spod przymkniętych powiek.

- A więc tak naprawdę nie chodzi o Annie - rzucił wreszcie sucho.

- I tak, i nie.

- Bawisz się w zagadki, Harry?

- Tak, ponieważ Annie mnie potrzebuje, chociaż uważa, że poradzi sobie beze mnie. Nie, ponieważ prędzej czy później i tak złożyłbym rezygnację.

- Dlaczego?

- Dlatego że nie mogę wykonywać swojej pracy. Devereaux zaśmiał się głucho, jakby usłyszał marny dowcip.

- Nonsens. Jesteś naszym sumieniem, Harry. Naszym *consigliere*. „Przejrzyj to, Harry, sprawdź, czy wszystko jest zgodne z literą prawa” - to przecież mantra wydziału, doskonale o tym wiesz. Dbasz o naszą uczciwość. Nic się nie dzieje bez twojej zgody.

- Moja zgoda nie ma żadnego znaczenia - powiedział cicho Cohen.

Devereaux wodził palcem po brzegu swojej szklanki.

- Zostałem odsunięty na bok, Alan. Kiedy zawetowałem Lodową Pułapkę, zacząłem wam przeszkadzać.

- To ja zawetowałem operację Lodowa Pułapka, nie ty -Devereaux przybrał ton Bardzo Ważnego Faceta.

- Za moją radą.

- Właśnie. Zapytałem cię, czy plan jest legalny, ty powiedziałaś, że nie, i wycofaliśmy się. Kazałem zacząć wszystko od początku. Zabroniłem włamywać się na konto Abdula. „Chcecie wiedzieć, skąd płyną złote

denary, sprawdźcie to w inny sposób. I konsultujcie każdy krok z Harrym".

- Nie konsultowali.

- I co z tego? Abdul przestał nas interesować. To był fałszywy trop, jeśli dobrze pamiętam. Trzeba by zajrzeć do teczek.

- Zajrzałem.

- I?

- Nie ma teczek, Alan. W indeksie jest adnotacja „Sprawa zamknięta. Nie podjęto działań”, tecka powinna więc być w archiwum, ale jej tam nie ma.

- Jakiś patałach widać gdzieś ją przełożył - zniecierpliwił się Devereaux. Pewnie któryś z chłopców Shillinga albo któraś z panienek. Opieprzę ich.

- Nie tylko ta jedna tecka zniknęła.

- Naprawdę?

- W archiwum brakuje w sumie siedemnastu. O tylu wiem.

Wszystkie dotyczyły zakwestionowanych przeze mnie operacji i wszystkie opatrzone były tą samą adnotacją „Nie podjęto działań”. Z twoim podpisem albo Shillinga. Wszystkie zniknęły.

Devereaux wpatrywał się w Cohena wzrokiem, z którego nie sposób było cokolwiek wyczytać. To typowe dla niego, pomyślał Cohen. Najbardziej niebezpieczny jest wtedy, kiedy znajdzie się pod ostrzałem. Zdradził go dopiero tembr głosu.

- Rozumiem - powiedział lodowato. - Uważasz, że ci od Shillinga przeprowadzają po cichu wstrzymane operacje, ale nie uznałeś za stosowne mnie o tym poinformować.

- Powiedziałem szefowi.

- Ach tak. Można wiedzieć dlaczego, Harry? Przepraszam, może w swojej próżności czegoś nie rozumiem, ale zawsze wydawało mi się, że ja jestem twoim bezpośrednim przełożonym.

Cohen milczał.

Devereaux mówił dalej z sarkazmem w głosie:

- A więc nasz *consigliere* doszedł do wniosku, że w wydziale robi się lewe akcje, i nie powiedział o tym swojemu panu? Panu, który, muszę dodać, wprowadził Harry'ego Cohena do wydziału i strzegł przed wrogami. Jak długo cię chroniłem, Harry? Osiem lat? A teraz zwracasz się przeciwko mnie? Dlaczego? Myślisz, że i ja maczam palce w nielegalnych operacjach? Czy tak, niewdzięczniku?

- Tak - odpowiedział Cohen. Devereaux podniósł się zmęczonym ruchem.

- Musimy pogadać, Harry. Zadzwońię do sekretarki i powiem, że zrobiliśmy sobie wolne. Zamów coś mocniejszego. -

Odwracając się, mruknął jeszcze: - Coś, co splukałoby niesmak.

Nie wrócił już do stolika.

Harry wpatrywał się w butelkę stojącą w wiaderku z lodem.

Obserwował, jak szron na szkle powoli znika i spływa kropelkami, powoli docierała do niego prawda.

A. J. w taksówce pędzącej w stronę Thames House.

Poszedł do biura pieszo. Orientował się, co go czeka, nie widział potrzeby, żeby się spieszyć.

- Proszę wybaczyć, panie Cohen. - Strażnik o ponurej fizjonomii zagroził mu drogę. - Zechce pan poczekać tutaj, sir.

Harry usiadł w holu. Czekał na Payne'a z kadr.

- Przykro mi, Harry. - Payne z krzywym uśmiechem odebrał mu identyfikator. - Skończmy z tym od razu... W zaistniałej sytuacji tak będzie najlepiej.

Podał Harry'emu torbę, w której były prywatne drobiazgi: fajka, której nie palił, złote spinki do mankietów, które kupił u Aspreysa i które szybko uznał za wulgarne, zdjęcie Annie z czasów, kiedy była jeszcze w dobrej formie.

- Jeszcze tylko drobna formalność...

Harry złożył podpis pod dokumentem zobowiązującym go do absolutnego milczenia.

Ani słowa, nigdy, w żadnych okolicznościach, Harry.

Devereaux w swoim gabinecie na szóstym piętrze obserwował całą scenę na monitorze.

Nie zdradzisz ani słowem tajemnic, które wydaje ci się, że znasz.

Nie był już doradcą prawnym wydziału. Mógł wrócić do domu, do żony, która nie była już w dobrej formie. Kiedy wszedł do jej pokoju, przywitały go ciemne, pozbawione życia oczy w zapadniętej twarzy.

W studenckich czasach, które z perspektywy wieku dojrzałego wydawały mu się okresem niezmaconego szczęścia, Harry zaprzyjaźnił się z Quentinem Kleinem i przyjaźń ta miała okazać się trwalsza niż inne. W tym samym dniu zrobili dyplom, razem odbywali aplikanturę, równocześnie ją ukończyli. Klein nigdy nie przestał namawiać Harry'ego, żeby otworzył prywatną kancelarię i zaczął wieść wspaniałe życie wziętego adwokata.

- Daj sobie spokój z przygodami spod znaku płaszcza i szpady - zwykł mawiać, ilekroć widział przyjaciela zniechęconym. - Rzuć to i zacznij zarabiać porządne pieniądze.

I Harry zaczął zarabiać. Kiedy gwałtownie skończyła się jego kariera w wydziale, zaczął pracować w kancelarii Klein & Partners założonej jeszcze przez ojca Quentina. Urzędował w wygodnym biurze na Bloomsbury Square, prowadził sprawy, gdzie w grę wchodziły wielkie pieniądze, ale nigdy ludzkie życie, i był całkiem zadowolony. Do głowy mu nie przyszło, że kiedykolwiek jeszcze będzie miał do czynienia z kontrwywiadem.

Aż pewnego letniego wieczoru wdarł się do jego gabinetu Devereaux, niby włamywacz, który przyszedł skraść mu spokój.

Mamił, kusił, nęcił, wystawiał Flint na sprzedaż, przypochlebiał się, opowiadał, że tylko Cohen może ją uratować. Z włamywacza przeistoczył się w handlarza, co krąży ze swoim towarem po ulicach: „Jabłka, jaaabłka sprzedaję. Pięć za funta. Jaaabłka dla wielmożnego pana”.

Kiedy wyczerpał już zapas pochlebstw, wstał z fotela i zaczął chodzić po pokoju, zamieniając go w scenę. Brał się pod boki, ciskał straszliwymi spojrzeniami w Cohena, to znowu odwracał się do niego plecami, by po chwili wykonać kolejny piruet. Zmęczony tym przedstawieniem Cohen siedział pochylony za biurkiem i czekał na finał.

- Zdziwiasz mnie, Harry. Przyznaję, że jestem hipokrytą, ale daleko mi do ciebie. Przez lata zanudzałeś mnie na śmierć swoimi namaszczoneymi wykładami o „moralnych zobowiązaniach państwa”. Bóg wie, ile operacji zmarnowaliśmy przez twoją skrupulatność, przez twoje obiekcje, twoją prawniczą dokładność. Potem nagle mówisz mi o

„nielegalnych akcjach" i „agentach bandytach". Wyszedłeś tego dnia z Thames House jak pies z podkulonym ogonem, bo posunąłeś się za daleko. To właśnie powiedziałem szefowi. „Z Harrym jest niedobrze. Nawet we śnie widzi wszędzie spiski". A teraz przychodzę do ciebie i kajam się. „Cholera, Harry, mam dla ciebie prawdziwy spisek! Pal diabli kilka nie notowanych operacji, mamy całą równoległą organizację. Pal diabli kilka zaginionych teczek, co powiesz o teczkach, których nigdy nie było? O operacjach, których nigdy nie przeprowadzono, ale które zostały zrealizowane?". Mam dowody nie tylko przeciwko swojemu zastępcy, ale nawet przeciwko samemu szefowi. Przychodzę do ciebie i mówię, że jesteś mi potrzebny. Co na to Harry Cohen?

Cohen nie odpowiedział. Nie zamierzał grać roli w tym przedstawieniu.

- Idę do ministra spraw wewnętrznych, ostrzegam go, że barbarzyńcy stanęli u bram miasta. „Panie ministrze - mówię - są już w Thames House!". Mówię mu, że mam przekonujące dowody, ale brak mi detali. Mówię, że nie wiem, ilu ich jest, nie znam ich nazwisk, że nie potrafię już odróżnić wroga od przyjaciela, że potrzebuję pomocy, by ich wyłuskać. Kogoś z zewnątrz, mówię, spoza wydziału, ale doskonale zorientowanego w jego strukturze, kogoś, komu mogę zaufać. Mówię mu, że jest tylko jeden taki kandydat. To ty, Harry. Ty, ze swoim przenikliwym umysłem i niezłomnymi zasadami. „Niech go pan przekona - mówi minister. - Niech z panem współpracuje. Niech mu pan powie, że może liczyć na wszelką naszą pomoc i wsparcie rządu Jej Królewskiej Mości". Co na to Harry Cohen?

Znowu milczenie, które Devereaux musi wypełnić.

- Harry Cohen na to: „Zostaw mnie w spokoju”. Devereaux kiwa głową, jakby nie mógł uwierzyć w nieprzejednaną postawę Cohena.

- Pozostała mi ostatnia karta. Skoro nie mogę zaapelować do patriotyzmu Harry'ego Cohena, może uda mi się odwołać do jego rycerskości? Dama w niebezpieczeństwie! Oto, co powiem i Bóg świadkiem, że nie przesadzam. Powiem, że Grace Flint wdepnęła w gniazdo żmij. Opiszę, najlepiej jak potrafię, straszny los, który może stać się jej udziałem: Zaginiona w akcji. Może ją straciliśmy, może jeszcze jest nadzieja. Może ona jeszcze żyje! Poproszę Harry'ego Cohena, będę błagał Harry'ego Cohena, żeby przeczytał jej teczkę, żeby użył swojego instynktu teriera i poszedł tropem, który zostawiła nam Grace. Kieruj się węchem, Harry - to wszystko, o co proszę.

Devereaux podszedł do drzwi, gotując się do zejścia ze sceny.

- Ale Harry Cohen nie dba o los Grace Flint, tak jak nie dba o los swego kraju.

Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

- Dobranoc, Harry. I niech cię wszyscy diabli wezmą. Cohen pospieszył za nim. Za późno.

- Zapomniałeś zabrać teczkę - zawołał w mrok Bloomsbury Square. - Zapomniał, akurat - mruknął do siebie. Wrócił do biura, przysięgając sobie, że więcej do niej nie zajrzy, tak jak alkoholik przysięga sobie, że nie zajrzy więcej do butelki.

II

Kiedy zorientował się, dokąd jadą, było za późno na protesty. W pobliżu East Grinstead, niewielkiego miasteczka w Sussex, skręcili w boczną drogę prowadzącą do restauracji urządzonej w

osiemnastowiecznym dworze. Tutaj Cohen przed laty oświadczył się Annie. Tutaj świętowali cztery kolejne rocznice ślubu i tu przyjechał po śmierci żony. Lubił to miejsce, jego spokój i atmosferę trwania, park zaprojektowany przez Capability Brown, po którym krążył godzinami w poszukiwaniu wewnętrznej prawdy i ducha Annie.

Miał ochotę zapytać, skąd Devereaux wiedział, chciał powiedzieć coś w rodzaju „Wydział szpieguje własnych ludzi, tak?”, ale nie dał Alanowi tej satysfakcji.

- Spodoba ci się tutaj - rzucił Devereaux lekko.

- Zapewne - przytaknął Cohen, podejmując grę.

Usiedli w ogrodzie, zamówili lunch i przez chwilę obserwowali dziewczynę ujeżdżającą na padoku narowistego jednolatka. Radziła sobie bardzo dobrze, ale pomimo jej wysiłków koń za nic nie dał się poskromić. Cohen przyglądał się zmaganiom dziewczyny ze zwierzęciem i czekał, by Devereaux zaczął pierwszy. Bawiło go podobieństwo tego, co działo się na padoku, do jego własnego położenia.

- Jak było w Miami? Podejrzewam, że niezbyt ciekawie.

- Można dostać hatueya.

- Nie rozumiem, staruszk.

- Kubańskie piwo, jak w starej Hawanie. Teraz robią je na Florydzie, ale ciągle jest bardzo dobre.

Devereaux odchrząknął.

- Cutter ci pomagał?

- Jak tylko potrafił - powiedział Cohen.

- Ukrywa coś?

- Dlaczego miałby ukrywać? Tak samo jak nam zależy mu na odnalezieniu Flint. I zwaleniu winy na Hechtera, oczywiście.

- Domyślam się. Przekazał ci wszystko na temat Rykowa, tak? - Devereaux powtarzał to, co już wiedział. - Facet śpiewa niby przysłowiowy ptaszek. Najwyraźniej perspektywa dwudziestu lat w federalnym pierdłu otworzyła mu usta.

- Tu chodzi o życie.

- Czyje?

- Cutter postarał się, żeby Rykow został oskarżony o fałszerstwo, próbę zabójstwa i pobieranie haraczu. W sumie grozi mu czterdzieści lat bez szans na przedterminowe zwolnienie. Praktycznie dożywocie.

Devereaux uśmiechnął się.

- Śmierć.

- Więzienie to niebezpieczne miejsce dla kogoś, kto zdradził przyjaciół.

- W istocie. - Devereaux obracał w dłoni kieliszek z blanc de blancs.

- Nie będziemy chyba ronić łez nad losem towarzysza Rykowa? Ma to, na co zasłużył. Czego nie można powiedzieć o Cutterze.

Cohen uniósł brew, udając zdziwienie.

- Daj spokój, Harry! Cutter wystawił Flint na potworne niebezpieczeństwo. Zrobił to, choć wiedział, przez co przeszła. Postąpił, delikatnie mówiąc, lekkomyślnie. To, że wyszła z opresji cało, nie umniejsza w niczym faktu, że zlekceważył podstawowe zasady bezpieczeństwa. Coś pominąłem?

- Nie wiem - mruknął Cohen.

Koń zrzucił dziewczynę. Był teraz wolny, ale zamiast pobiec w swoją stronę, stał nad dziewczyną; cugle miała w zasięgu ręki, ale nie chwyciła ich, tylko podniosła się i zeszła z padoku. Zdziwiony jednolatek ruszył za nią.

- Och, Harry. Flint musiała zdawać sobie sprawę, że Cutter gotów był ją poświęcić, byle zakończyć z powodzeniem swoją operację. Tyle dla niego znaczyła co nic. I zobacz, co się dzieje, zamiast plunąć na niego, Flint od tamtej chwili zaczyna z nim współpracować. Stają się nierozłączni. Flint i Cutter, drużyna!

- Dodaj Hechtera.

- Hechter się nie liczy. To Cutter wciągnął Flint do akcji, to on zostawił ją pod czułą opieką Władimira. Skoro widział, do czego zmierza Rykow, powinien był przerwać operację. Wiem, konsekwencje mogły być niemiłe, ale przynajmniej ponieśliby je razem. Tymczasem on bierze tyłek w troki, zjeżdża do kawiarni i zostawia Flint. Niech sobie dziewczyna radzi.

- Nie wiem, czy miał jakiś wybór.

- Bzdura. Rzucił ją wilkom na pożarcie, Harry. Zależało mu tylko na tym, żeby przyskrzynić Rykova. I przy okazji nie stracić pieniędzy. Miała cholerne szczęście, że wyszła z tego żywa.

- Nie tylko szczęście, również refleks. Kopnęła Władimira w jaja.

- Niewiele to dało. Kiedy przyszła odsiecz, próbował użyć Flint jako tarczy. Masz to na kasecie. Mogła zginąć w czasie strzelaniny.

Cohen podniósł wzrok, spojrzał na zbliżającego się do ich stolika *maitre d'hotel*.

- Wszystkie tego rodzaju operacje niosą element ryzyka.

- O tym właśnie mówię - zniecierpliwiał się Devereaux. *Maitre d'hotel* odchrząknął dyskretnie, dając znać o swojej obecności.

- Lunch czeka, panowie. Devereaux odprawił go ruchem dłoni.

- Po tym, co zrobił Buller, Cutter nie powinien angażować Flint w swoją akcję. Wysłali ją do Miami jako pracownika łącznikowego, na litość boską. Do papierkowej roboty. Powinna trzymać się na milę od Rykowa i jego kompanów. Tymczasem po akcji nie powiedziała złego słowa na Cuttera. Kiedy dzielni chłopcy w Yardzie unoszą brwi i stroszą piórka, kiedy sugerują, że agent specjalny Cutter może ździebko przesadził, Flint odpowiada: „Nonsens, taki był plan”. Broni Cuttera. Wychwała! Wytłumacz mi to, jeśli możesz.

- Uważasz, że coś przed tobą ukrywam - raczej stwierdził, niż zapytał Cohen.

Devereaux uderzył dłonią w kolano.

- Zakochała się w nim, tak? Poszła z nim do łóżka. Nasza mała Grace i agent Cutter? O to chodzi? Mam rację?

Cohen wysączył do końca swoje wino i powoli odstawił kieliszek.

- W maju w zeszłym roku... Nie, w tym roku, sześć miesięcy po śmierci Annie... - zaczął i przerwał, jakby nagle zgubił wątek. - Mniej więcej rok temu byłem w Nowym Jorku. Poleciałem tam w interesach z prawniczką z naszej kancelarii. Dziewczyna jest mniej więcej w wieku Flint. Świetny fachowiec, doskonale zorientowana w sprawie, którą właśnie prowadziliśmy, ale zabrałem ją ze sobą niekoniecznie z tego powodu. Mówiąc wprost, miałem nadzieję, że uda mi się ją poderwać. Podczas któregoś weekendu zaproponowałem, żebyśmy wybrali się na

lunch do Connecticut. Liczyłem, że przy odrobinie szczęścia zostaniemy tam na noc. I pójdziemy do łóżka.

Devereaux słuchał, coraz mniej rozumiejąc.

- Po lunchu usiedliśmy w hotelowym ogrodzie, jak my teraz. Zaczęła opowiadać mi o swoim życiu. Ja nalewałem wino, ona wylewała przede mną swoje sekrety. Owszem, zostaliśmy na noc, ale tylko dlatego, że nie byłem w stanie usiąść za kierownicą. Wynajęliśmy dwa pokoje. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że jesteśmy z innych tysięcy. Myślę, że mnie polubiła. W każdym razie dobrze się jej ze mną rozmawiało, ale nawet nie przeszło jej przez myśl, że mogłaby się ze mną przespać.

- No i? - zapytał Devereaux.

- No i po naszym powrocie do Londynu wszyscy w firmie wiedzieli, że spędziliśmy razem noc w Connecticut. Myślę, że zorientowali się z rachunków. To, że spędziliśmy dziewięć nocy w tym samym hotelu w Nowym Jorku, nie miało znaczenia. W Nowym Jorku byliśmy służbowo, wyjazd do Connecticut to już zupełnie inna sprawa. Zostaliśmy potępieni, a właściwie ona została potępiona. Uznano, że jesteśmy kochankami. Kiedy zaproponowałem, żeby została współniczką w naszej firmie, na co zdecydowanie zasługiwała z racji swoich kompetencji, wszyscy pomyśleli, że próbuję popierać swoją flame. Nikt nie brał pod uwagę faktu, że jest znakomitym prawnikiem. Wspólnicy patrzyli na mnie jak na idiotę, a ja stchórzyłem, bałem się postawić sprawę jasno. Dziewczyna dostała znakomite referencje i musiała odejść.

- Mówisz zagadkami, Harry. Pytam cię o Cuttera i Flint, a ty mi opowiadasz o swoim niespełnionym romansie. Chcę wiedzieć, czy oni byli kochankami? Dlatego trzymali się razem?

- Nie mam pojęcia. Och, nie zabraknie takich, którzy będą cię zapewniać, że Cutter i Flint sypiali ze sobą, ale tak naprawdę nic nie wiadomo. Widzimy to, co chcemy zobaczyć.

- Oszczędź mi swoich homilii - powiedział Devereaux ponurym tonem. - Pytałeś Cuttera?

- Nie, i nie zapytam, dopóki ta wiadomość nie okaże się nam absolutnie niezbędna.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Dziewczyna ponownie dosiadła konia.

- Wejdziemy do środka? - zaproponował Cohen.

- Cutter oddał Grace Rykowa, tak? Miała *carte blanche*? - zaczął Devereaux, kiedy siedzieli już przy stole.

- Ona i Hechter.

- Wycisnęli z niego wszystko?

- Na to wygląda.

- Na to wygląda? Nie żartuj, Harry. Rykow powiedział jej, gdzie ma szukać, prawda? Powiedział o Robertstown i Maitlandzie? O New World Bank and Trust? Dał jej klucz do swojego królestwa?

- Owszem.

- Wydał Franka?

- Pośrednio tak.

Devereaux nałożył odrobinę *foie gras* na trójkącik gorącego tosta.

- Opowiedz mi o wszystkim, Harry. Opowiedz o schedzie Rykowa. -
Włożył grzankę do ust. - Powiedz, co odziedziczyła Grace.
- Być może wyrok śmierci.

55

Ze swojego punktu obserwacyjnego na tarasie herbaciarni „U Josephine” Grace Flint widziała dokładnie tabliczki banków. Tuż obok herbaciarni znajdowały się filie Citibank, Chemical, Barclays International i Royal Bank of Canada. Po drugiej stronie ulicy Nat West - Societe Generale i Banco de Bilbao. W pobliskiej Prince Albert Arcade ulokowało się kolejnych dziewiętnaście instytucji finansowych z siedmiu krajów.

Podawany „U Josephine” poncz o barwie cynobru i popołudniowy upał wywoływały miłą senność. Flint nic więcej nie trzeba było do szczęścia. Kevin Hechter miał rację. Tu, w Robertstown, niecałe dwie godziny lotu od Puerto Rico, na maleńkiej karaibskiej wysepce, było więcej banków na głowę mieszkańca i na jedną milę kwadratową niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie. Ale Flint interesował tylko jeden z nich.

The New World Bank & Trust Company mieścił się z dala od innych, w dawnej kaplicy baptystów na Independence Corner, gdzie kończył się asfalt Queen Victoria Street i zaczynała zrudziała gruntowa droga na Sidcup Hill z koleinami tak głębokimi, że ciężarówki omal nie gubiły tu przewożonego towaru. Kurz z drogi osiadający na ścianach dawnej kaplicy zmienił ich lśniąca biel na *blanc casse*. Dokładnie o piątej zamknęły się ciężkie drzwi. Flint obserwowała, jak Maitland przekręca klucz w zamku, potem jeszcze naciska kłamkę i sprawdza, czy na pewno wszystko w porządku.

„Ostre rysy, przylizane włosy, twarz jak pyszczek tchórza” -tak Hechter w kilku słowach opisał Maitlanda. Trzeba przyznać, że trafnie. Maitland przymocował teczkę do bagażnika rozklekotanego roweru, usadowił się na siodełku i ruszył, z trudem manewrując między koleinami, w stronę Sidcup Hill i portu na spotkanie pani Maitland.

Flint zdążyła się już dowiedzieć, że ma na imię Lisa. W swojej długiej płóciennej sukni zapiętej pod samą szyję wyglądała jak postać z innego świata. Zapewne siedziała teraz pod parasolem na przestronnym tarasie Royal Yacht Club i, podobnie jak żony innych bankierów, czekała na powrót męża. Wyniosła, zamknięta w sobie, trzymała się na uboczu, z nikim nie rozmawiała, nikt też nie próbował do niej zagadywać. Flint obserwowała ją od trzech dni i Lisa codziennie zachowywała się tak samo.

Flint pomachała na do widzenia Josephine, zbiegła z werandy herbaciarni i wskoczyła na rower. W odróżnieniu od gruchota Maitlanda, jej miał aluminiową ramę i przerzutkę z dziesięcioma biegami. Wypożyczyła go w Harvey's Bike Rental, płacąc dziesięć dolarów za dobę. Poczekwała, aż przejedzie jakaś ciężarówka, i powoli ruszyła śladem chudego bankiera.

Nie musiała się spieszyć. Hechter czekał na nią, zabawnie przycupnięty na leżaku w ogrodzie pensjonatu Harbor View. Zsuł buty, zdjął skarpetki, podwinął nogawki znoszonych spodni i rękawy koszuli. Tylko mocno zawiązany krawat tkwił na swoim miejscu. Ze swoim czujnym spojrzeniem wyglądał jak gliniarz na przymusowym urlopie, człowiek, który nie potrafi odpoczywać. Z miejsca, w którym się usadowił, miał idealny widok na taras jachtklubu, gdzie w cieniu parasola siedzieli Maitlandowie.

- Bum! - zawołała Flint, skradając się od tyłu. - Już nie żyjesz.

Hechter osłonił oczy dłonią, spod zmrużonych powiek spojrzął na Flint.

- Nie możesz mnie teraz zabić. Zdobyłem to.

- Udało ci się?

Bez słowa poklepał się po kieszeni na piersi.

- Pan Maitland? - Hechter stanął przed bankierem. - Andrew Peter Maitland?

Twarz Maitlanda znieruchomiała w odruchowym wyrazie wrogości, tylko małe oczka przeskakiwały z Hechtera na Flint i z powrotem.

- Agent specjalny Hechter z Departamentu Skarbu USA, a to inspektor Flint ze Scotland Yardu. Chcielibyśmy z panem porozmawiać.

- Witaj, Liso - powiedziała Flint, siadając obok pani Maitland, która patrzyła na męża z taką miną, jakby właśnie dowiedziała się o śmierci kogoś z rodziny.

- To zamknięty klub - wycedził Maitland. - Jesteście członkami?

Hechter usadowił się na krześle, po czym przysunął się do Maitlanda tak blisko, że dotykał kolanami jego kolan.

- Jeśli nie - mówił Maitland zadziornym tonem - będę musiał prosić, żebyście stąd wyszli.

- Proszę posłuchać - zaczął Hechter. - Dwa dni temu inspektor Flint została zaprzysiężona jako konstabl specjalny Lawrence Islands, co oznacza, że dysponuje pełnymi uprawnieniami przysługującymi tutejszej policji. Ja asystuję jej w dochodzeniu, które prowadzi. Dzisiaj rano złożyłem przed sędzią zażalenie na pana i pana zwierzchników. Po południu otrzymałem nakaz rewizji.

Hechter wyjął z kieszeni białą kopertę i położył ją na stole przed Maitlandem.

- Proszę przeczytać.

Maitland siedział bez ruchu i wpatrywał się w kopertę takim wzrokiem, jakby tkwiła w niej bomba.

- Powiem panu, co jest w nakazie. - Hechter otworzył kopertę. -

Uprawnia nas do przeszukania pana domu i biur New World Bank & Trust Company. Daje nam prawo wglądu we wszystkie dokumenty. Możemy zarekwirować te, które uznamy za stosowne zarekwirować. A że uznamy za stosowne, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości, Maitland.

Znalazł się pan w tak kłopotliwej sytuacji, że nie wiem, od czego zacząć.

- Chcę się porozumieć z moim adwokatem - oznajmił Maitland już bez tej pewności siebie, która brzmiała w jego głosie jeszcze przed chwilą.

Chciał podnieść się z krzesła, ale Hechter położył mu dłoń na ramieniu.

- Później. Powiem kiedy. Jeśli będzie pan grzeczny, zadzwoni pan z banku.

IV

Jedno trzeba przyznać, mówił Harry Cohen. Lawrence Islands to raj. Może się tu schronić każdy oszust, gangster, fałszerz czy despota z wielkimi pieniędzmi, jakikolwiek bank, jakakolwiek instytucja finansowa mogą wywiesić tu swój szyld; przy obowiązującej tu tajemnicy bankowej podobne prawa obowiązujące w Panamie, Liechtensteinie, na Bahamach czy w Szwajcarii nie wydają się jakimkolwiek zabezpieczeniem. Krótko mówiąc, przez Lawrence Islands przepływa tu więcej gorącego pieniądza,

niż liczydła zdolają zliczyć. Ale, ciągnął Cohen, wystarczy zapalić pod nimi ogień, żeby znaleźć to, czego się szuka.

- A jakiej podpałki użył Hechter? - zapytał Devereaux. - Zakładam, że o niego chodzi.

Cohen skinął głową i pociągnął łyk wina.

- Nafty.

Wysokooktanowej nafty. Moses Saunders, premier Lawrence Islands, „wyzwoliciel narodu" (takie powinien mieć epitafium), zatwierdził co prawda przepisy bankowe, które zapewniły Robertstown obecną prosperity, ale kiedy szło o jego własną prosperity, nie bardzo im ufał.

- Wiesz, że w kręgach finansowych nazywają go Pan Jeden Procent?

- zapytał Cohen, co Devereaux skwitował uśmiechem oznaczającym, że owszem, wie.

- Człowiek o niezwykłym tupecie.

- Sami jesteśmy temu winni - westchnął Devereaux. - Taka była swego czasu moda. Zachęcaliśmy naszych czarnych braci z kolonii, by kształcili się na prawników, wpajaliśmy im wiarę w nieomylność prawa, naszego prawa ma się rozumieć, po czym odsyłaliśmy ich z powrotem do domu, żeby pilnowali porządku wśród tubylców. Zupełnie mylna koncepcja, bo wracali do siebie i zaczęli rządzić przy poparciu motłochu. To był koniec brytyjskich Indii Zachodnich.

- No i mamy sir Mosesa Saundersa.

- Właśnie.

- Rycerza komandorii Wielkiego Orderu Imperium, członka Privy Council.

- Otóż to. - Devereaux zachmurzył się i odsunął talerz z niedokończonym jedzeniem. Stracił apetyt. Po chwili twarz mu się rozjaśniła. - Powiedz, Harry, co Hechter znalazł na niego?

- Trzy konta bankowe w Stanach. W sumie około osiemnastu milionów dolarów.

Devereaux gwizdnął cicho.

- Kiedy cały świat lokuje pieniądze w Robertstown, Saunders wysyła swoje za granicę, zresztą za pośrednictwem New World Bank. Biorąc pod uwagę, że jest synem robotnika z plantacji trzciny cukrowej, że nigdy nie prowadził praktyki prawniczej, że wreszcie jego roczna pensja wynosi trzydzieści tysięcy dolarów, pochodzenie tych osiemnastu milionów wydało się Hechterowi wysoce podejrzane. Postanowił położyć na nich łapę.

- Naprawdę? Mógł to zrobić?

Cohen wzruszył ramionami. Teraz i on odsunął talerz.

- Mógł. W świetle prawa Saunders ma obowiązek dowieść legalnego pochodzenia forsy. Ale nie o to szło.

- Oczywiście.

- Chodziło o to, by uświadomić Saundersowi, że służby specjalne co prawda nie mogą zagrozić New World Bank na Lawrence Islands, ale mogą za to zagrozić interesom pana premiera w USA.

- Szantaż, Harry? - Devereaux się rozpromienił.

- Hechter nazwał to przetargiem.

Kelner sprzątnął ze stolika talerze z niedojedzonymi daniami.

- Dostali zatem nakaz i zaciągnęli naszego Maitlanda do banku?

- Hechter go zaciągnął. Flint została z Lisą. Wyczuła, że przy całej swojej nieśmiałości to Lisa jest silniejszą osobowością. Liczyła, że kiedy zostaną sam na sam, uda się jej przemówić Lisie do rozumu i namówić do współpracy. Jest w tym dobra.

- W czarowaniu?

- Można to i tak nazwać.

Devereaux nagle zrobił się roztargniony. Zapatrzony w blat stołu zaczął nerwowo szukać na obrusie nieistniejących okruszków chleba. Wreszcie podniósł wzrok, spojrzał żałośnie na Cohena.

- Wszystkich nas zaczarowała, prawda, Harry?

61

- Ile masz lat, Liso? Dwadzieścia osiem?

Pani Maitland pokiwała głową, co miało oznaczać „tak”.

- A ile lat ma Andrew? A propos, jak się do niego zwracasz? Andy?

Znowu pokiwała głową. Przez ostatnie pół godziny nie odezwała się do Flint ani słowem.

- Więc ile lat ma Andy? Trzydzieści? Długie milczenie i wreszcie:

- Trzydzieści dwa. W zeszły wtorek miał urodziny.

- Kochasz go, Liso?

Pani Maitland zaczęła miąć w dłoniach chusteczkę, rozplakała się. Uciekając przed komarami, weszły do klubu, usiadły w kącie, gdzie nikt im nie przeszkadzał.

- Kochasz go, Liso? - Flint powtórzyła pytanie. Lisa nie była w stanie wykrztusić słowa.

- Możesz mu pomóc, Liso. Możesz sprawić, że koszmar zniknie. -
Flint zawiesiła na moment głos, dając Lisie czas do zastanowienia. -
Musisz tylko być silna.

Chociaż temperatura nie spadła poniżej dwudziestu pięciu stopni,
pani Maitland zaczęła drżeć.

- Nie chodzi mi o Andy'ego - ciągnęła Flint. - Popęłił sporo
głupstw, sporo błędów, ale może jeszcze wszystko naprawić, jeśli mu
pomogiesz. Tylko ty możesz mu pomóc. Wiesz o tym, Liso?

Lisa nie odpowiedziała.

Maitland i Hechter wyszli z klubu dwie godziny wcześniej. Flint
uprzedziła Lisę, że mogą zostać w banku do rana.

- Andy cię słucha, prawda? To ty podejmujesz decyzje? Teraz
musisz podjąć naprawdę ważną decyzję. Może najważniejszą w całym
swoim życiu. Nie zostawiaj teraz męża samego.

Lisa siedziała nieruchomo, blada, z kosmykami jasnych włosów
przyklepionymi do policzków.

- Czy słyszysz, co do ciebie mówię, Liso? Pani Maitland otarła oczy.

- Jesteś mężatką? - zapytała nieoczekiwanie. Zaskoczona Flint
milczała przez moment.

- Nie. Już nie.

- Umarł? Znowu milczenie.

- Nie. Jesteśmy w separacji.

- Tęsknisz za nim?

Gdybyś знаła prawdę, pomyślała Flint.

- Czasami.

- Nie potrafiłabym żyć bez Andy'ego - chlipnęła pani Maitland. -
Gdyby poszedł do więzienia albo... - Słowa uwięzły jej w gardle.

- Potrafiłabyś, Liso. Potrafiłabyś, gdybyś musiała. Ale nie musisz.
Andy nie musi iść do więzienia.

- Dlaczego się rozstaliście?

- Bo nie byłam w stanie dać mu tego, czego chciał - skłamała Flint. -
Byłam za słaba, żeby mu pomóc, dlatego go straciłam. Miałam mniej
szczęścia niż ty.

- Jak miał na imię?

- James, ale mówiłam do niego Jamie.

- Ciągle go kochasz?

- Nie wiem.

Lisa przestała płakać, nie drżała już. Wytarła nos w chusteczkę.

- Obiecujesz?

- Co mam obiecać?

- Że nie stracę Andy'ego.

- Pod warunkiem, że nam pomożesz. Musisz go przekonać, że
powinien powiedzieć nam prawdę. Zrobisz to, Liso? -Pani Maitland
skinęła głową. Już nie stała nad czarną przepaścią, pojawiła się nadzieja.

- Odprowadzę cię do domu - zaproponowała Flint. *Zostanę z tobą i
nie spuszczę cię ani na chwilę z oka*, ale tego już Flint nie powiedziała na
głos.

VI

- Flint nie pomyliła się co do Lisy.

- Ani trochę. Kiedy już zdecydowała się pójść na współpracę, Maitland nie miał najmniejszych szans. Hechter i Flint słyszeli, jak się kłóć w sypialni. Sądząc z notatek Flint, Lisa potrafi kłać jak przekupka.

Cohen rozparł się wygodnie na tylnym siedzeniu daimlera zaparkowanego przed jego domem w Holland Park. Devereaux siedzi z przodu, w fotelu pasażera, wkłada ostatnią kasetę do odtwarzacza umieszczonego w wyłożonej orzechowym drewnem desce rozdzielczej. Od dwóch godzin, od momentu kiedy wyjechali z Sussex, słucha zeznań Andrew Maitlanda, teraz chce się zapoznać z, jak to określa, aktem finałowym. Najpierw słyszymy cichy szum, potem ktoś lekko stuka w mikrofon, wreszcie Flint monotonnym głosem podaje datę, godzinę, miejsce nagrania i prosi Maitlanda, żeby podał swoje nazwisko „dla nagrania”. Maitland zdążył już przywyknąć do tej procedury, zaczęła mu się nawet podobać. Zdradza bez oporów tajemnice swoich zwierzchników, w jego głosie brzmi ton wyniosłości. Czasami tylko traci pewność, kiedy Flint swoimi pytaniami zmusza go do ujawnienia własnych win. Wtedy odzywa się zazwyczaj pani Maitland, która cały czas czuwa, by mąż zbyt nie się pograżał.

Flint kontynuuje przesłuchanie:

- Macie dyrektora nominalnego bez prawa podejmowania decyzji wykonawczych, tak, Andrew?

„Andrew”, nigdy „Andy”, jakby Flint wyznaczyła sobie linię, której nie przekracza.

- Tak.

- Możesz powiedzieć, kto to?
- Roberto Surez. - Maitland kładzie akcent na pierwszej sylabie, wymawia „Suars”.
- Jakiej jest narodowości?
- Wenezuelczyk.
- Zanim został dyrektorem nominalnym New World Bank & Trust Company, czym się zajmował?
- Był ambasadorem Wenezueli w Moskwie, jeszcze przed rozpadem ZSRR.
- Na czym polega jego praca w banku?
- Od czasu do czasu wprowadza nowych klientów, poza tym niewiele robi.
- Jak się to odbywa?
- Zwykle dostaję faks. Czasami Surez dzwoni do mnie, ale najczęściej faksuje: „W banku zjawi się pan taki a taki, proszę się nim zająć szczególnie troskliwie”. Tak to wygląda.
- Czy klienci, których ci przysyła, mają ze sobą coś wspólnego?
- Większość to Rosjanie.
- Z Moskwy?
- Nie. Z Nicei. Tam też mieszka Surez.
- Wiesz może, dlaczego akurat wybrali sobie Niceę?
- To ich baza. Jest ich tam mnóstwo. Surez opowiada, że wszędzie można ich spotkać, nawet karty dań w restauracjach są pisane po rosyjsku, cyrylicą.
- A więc pan Surez przysyła do Robertstown Rosjan z Nicei, a ty otwierasz im konta, tak?

- Ostatnio przysłał kilku Serbów z byłej Jugosławii. Tak, otwieram im konta.

- Na ich własne nazwiska?

Maitland parska śmiechem, jakby usłyszał dobry dowcip.

- Co cię tak rozśmieszyło, Andrew?

- Nie znam ich prawdziwych nazwisk. Surez w faksach używa tych najbardziej znanych: Jelcyn, Chruszczow. Miałem nawet Lenina i Trockiego. Nazwiska nie mają żadnego znaczenia. Surez po prostu zawiadamia mnie, że następny klient, który pojawi się w banku, przedstawi się jako Leonid Breżniew. Nazwiska wymieniane w faksach są koszerne.

- Co to znaczy?

Długie milczenie, potem ostry głos Lisy:

- Andy!

- To znaczy, że muszą być chronione przed prawem i przed fiskusem.

Hechter nie bierze udziału w przesłuchaniu, ale jest tam. Przeziębił się, męczy go kaszel, stąd wiemy o jego obecności.

- Próbujesz ustalać prawdziwą tożsamość klientów? Prosisz ich na przykład o pokazanie paszportu?

- Nie.

- Bank nie interesuje się, kim naprawdę są i skąd pochodzą wpłacane przez nich pieniądze?

- Nie.

- Czy to celowa polityka? Pomagacie swoim klientom ukrywać prawdziwą tożsamość?

- Tak.
- I źródła pochodzenia pieniędzy?

- Tak.
- Dlaczego?

Mija pięć sekund. Czujemy, że Lisa chce się wtrącić, ale Maitland odpowiada:

- Wie pani dlaczego.
- Nie mogę odpowiadać za ciebie, Andy - mówi Flint twardym

tonem.

- Bo większość tych ludzi to oszuści, gangsterzy, byli agenci KGB. Obracają lewymi pieniędzmi. Wystarczy na nich spojrzeć.

- Dobrze. Czy otwierasz konta na te same nazwiska, pod którymi Surez przedstawia ci klientów?

- Nie. Ustalamy nazwisko z szefową trustu i na nie otwieramy konto.

- Kto to?

- Panna Pringle.

- Kim jest panna Pringle?

- To kierowniczką sali, moja bezpośrednia podwładna. Nazwisko ustalam z nią albo z którąś z urzędniczek.

- Rozumiem. Teraz wyjaśnienie dla celów nagrania. Pokazuję ci księgę bankową, którą wczoraj znaleźliśmy w sejfie w twoim biurze.

Księga leży teraz na kolanach Devereaux otwarta na pierwszej stronie.

- Poznajesz ją?

- Tak.

- Posługujesz się nią na co dzień?

- Tak.

- To twój charakter pisma?

Maitland ziewa, po czym mówi:

- Tak. - W jego głosie słychać znudzenie, ale Flint naciska dalej.

- Na każdej stronie jest sześć kolumn, w każdej pojawia się podobny zapis, tak?

- Tak.

- W pierwszej kolumnie są daty. Czego dotyczą?

- Każda oznacza dzień założenia konta.

- W porządku. Przeczytam ci pierwszy wpis na pierwszej stronie: dwanaście, sześć, dziewięćdziesiąt dwa. To dwunasty czerwiec 1992 roku?

- Tak.

- W następnej kolumnie widnieje słowo „Tindale”? Co oznacza?

- To nazwa funduszu powierniczego, który założyłem dla jednego z klientów.

- W trzeciej kolumnie wpisałeś liczbę osiemset pięćdziesiąt tysięcy.

Co oznacza?

- To wysokość pierwszej wpłaty.

- W jakiej walucie?

- W dolarach amerykańskich. Wszystkie transakcje przeprowadzamy w dolarach.

- W jaki sposób przelewane są pieniądze? Czekiem? Telegraficznie?

Maitland prychnął.

- Skąd. Głównie wpłaty gotówkowe.

- Dobrze. Zatrzymajmy się na moment. Mówisz, że wszystkie transakcje przeprowadzane są gotówką?

- Wpłaty tak. Wypłat dokonujemy telegraficznie albo na podstawie wyciągu.

- Z konta w waszym banku?

- Nie. Przelewam pieniądze klienta do któregoś z większych banków w mieście i stamtąd otrzymuję wyciąg. Banków w Robertstown nie brakuje.

- Zauważyłam - mówi Flint. - Twierdzisz więc, że wszystkie wpłaty dokonywane są w gotówce?

- Tak.

- Którą klienci przywożą osobiście?

- Albo przysyłają gołębia. Posłańca z pieniędzmi. Zwykle tak postępują.

- Co to znaczy „zwykle”?

Chwila milczenia, po czym Maitland wyjaśnia:

- Czasami sam odbieram gotówkę, jeśli klient sobie tego życzy.

- Gdzie?

- W miejscu wyznaczonym przez wpłacającego: w Paryżu, czasami w Londynie, Zurychu, Amsterdamie, Hamburgu, na

Cyprze. - Znowu chwila milczenia. - W Nowym Jorku - Maitland mówi teraz ciszej. - W Miami, Los Angeles. Hechter kaszle głośno; Flint odbiera sygnał.

- Ile razy odbierałeś pieniądze w Stanach? W przybliżeniu.

- Nie potrafię powiedzieć.

- Dziesięć razy? Mniej? Więcej?

- Więcej.

- Dwadzieścia? Więcej?

- Nie jestem pewien.

- Na litość boską, Andy. - To Lisa, jest wyraźnie wściekła.

- Sześć, siedem razy w roku - mówi Maitland szybko. -Przez ostatnie sześć lat.

- A więc od 1993 roku przynajmniej trzydzieści sześć razy wywoziłeś pieniądze ze Stanów. Legalnie?

- Słucham?

- Nie baw się ze mną w ciuciubabkę, Andrew. Wiesz, że jeśli wywozisz z USA więcej niż dziesięć tysięcy dolarów, musisz je zgłosić. Czy wywoziłeś większe sumy?

- Czasami.

- Co to znaczy?

- Zazwyczaj.

- Zgłaszałeś to? Kręcisz głową. Czy to znaczy, że nie zgłaszałeś?

- To chyba nie należy do sprawy.

- Cwaniaczek - mówi Devereaux. Flint jest nieubłagana.

- Pytam raz jeszcze. Czy kiedykolwiek wypełniałeś deklarację wywozową?

- Nie.

- Dziękuję - w głosie Flint słychać sarkazm. - Wróćmy do twojej księgi bankowej.

- Wróćcie - dopowiada Devereaux. Odwraca się do Cohena. - Jesteśmy prawie w domu.

- Zbliżamy się.

- W czwartej kolumnie mamy siedmiocyfrowe liczby. Co oznaczają?

- To numer identyfikacyjny właściciela konta. Klient posługuje się nim przy przeprowadzaniu wszelkich transakcji, podobnie jak dzieje się to w bankach szwajcarskich. Jeśli klient chce podjąć pieniądze albo przelać je na inne konto, wysyła gołębia, który odbiera gotówkę po podaniu numeru identyfikacyjnego.

- A ta księga pozwala ci się zorientować, kto jest kim?

- Nie spamiętałbym przecież wszystkiego, prawda? Mam sporo klientów.

- Owszem - mówi Devereaux. Kiedy Cohen przekazał mu księgę bankową Maitlanda, policzył pozycje na pierwszej stronie i przemnożył je przez liczbę stron wypełnionych pismem Maitlanda, doliczył się około sześciuset pozycji.

- Poza numerem identyfikacyjnym nie masz żadnych danych klienta?

- Żadnych. Już mówiłem, że nie znam prawdziwych nazwisk.

- Teraz uważaj - mówi Cohen i Devereaux robi głośniejsze.

- Poza tym jednym - wyjaśnia Maitland.

Ton głosu Flint wskazuje, że nie spodziewała się podobnej deklaracji.

- Tindale? Wiesz, kim jest właściciel tego funduszu?

- Tak.

- Skąd?

- Był moim pierwszym klientem. Założenie New World Bank to jego pomysł, on ściągnął mnie do Robertstown. Prawdę mówiąc, jest kimś więcej niż tylko klientem. Można powiedzieć, że to mój wspólnik.

- Jak się nazywa?

- Używa kilku nazwisk, ale prawdziwe to Harling. Frank Harling.

Powinniśmy spodziewać się nagłej ciszy, ale słyszymy paroksyzm kaszlu trwający dobrą chwilę, do momentu kiedy kończy się taśma. To kaszle Flint, nie Hechter. Brzmi to tak, jakby się dławiła.

RS

ROZDZIAŁ 3

I

Andrew Maitland opowiadał:

- Był rok 1987, rok kryzysu. Pracowałem wtedy dla firmy maklerskiej, byłem wolnym strzelcem, musiałem dzielić się zyskiem. Ludzie tego nie rozumieją, ale czy kursy akcji rosną czy spadają, dealer zawsze zarabia. I ja zarabiałem. Pracowałem dzień i noc, miałem dwadzieścia jeden lat i mnóstwo pary. Robiłem „ciężką kasę”, jak wtedy mówiliśmy.

Uśmiechnął się na to wspomnienie i sięgnął po papierosa.

- Powinienem rzucić, ale w tej sytuacji... Pozwoli pani? Flint pokiwała głową. Dla niej mógłby palić nawet opium, pod warunkiem, że będzie mówił dalej.

- W pewnym momencie powiedziałem Lisie, byliśmy niedługo po ślubie: Zróbmy sobie wakacje. Na giełdzie panował zupełny zastój, interes przestał się kręcić. Poza tym, szczerze mówiąc, byłem już zmęczony. Uznałem, że czas spasować. Nie mieliśmy dzieci, nie mieliśmy kredytów do spłacania. Na przełomie '88 i '89 roku zaproponowałem Lisie, żebyśmy gdzieś wyjechali, odetchnęli. Tak zrobiliśmy.

- Dokąd pojechaliście?

- Najpierw do Australii, potem na Bali, do Malezji, Singapuru. Trochę czasu spędziliśmy w Tajlandii, w końcu wylądowaliśmy w Hongkongu. Obojgu nam bardzo się tam podobało, postanowiliśmy zatrzymać się dłużej. Dostałem pracę w banku i tak poznałem Franka.

Mimo że magnetofon był włączony, Flint cały czas robiła notatki. Pomagało jej to skupić się na relacji Maitlanda i powstrzymać się od zadawania pytań, które same cisnęły się na usta.

- Powoli - przestrzegał ją Cutter w czasie rozmowy telefonicznej. - Nie popędzaj go, pozwól mu mówić.

Kiedy nie odpowiedziała, dodał:

- Wiem, jak bardzo ci zależy na tym, żeby dopaść Harlinga, ale Maitland nie musi o tym wiedzieć. Zacznesz go naciskać, zorientuje się, jak cenny jest dla ciebie Harling. Będzie się targować, a ja nie chcę, żebyśmy targowali się z tym dupkiem. Niech powie wszystko, co wie, do końca, ale powtarzam, bez naciskania. Tutaj chodzi nie tylko o Harlinga i twój rewanz.

- To nie ma nic wspólnego z rewanzem.

- Akurat! Masz obsesję na punkcie Harlinga, i wcale się nie dziwię, ale teraz musimy złowić inną rybkę. Rozumiesz? Albo będziesz postępowała według moich wskazówek, albo oddasz Maitlanda Hechterowi.

Flint nie wytrzymała.

- Zapomina pan o czymś, panie Cutter. To nie pańska jurysdykcja i nie Hechtera. Maitland jest mój.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Flint - odezwał się wreszcie Cutter.

- Tak?

- Chcesz, żebym zadzwonił do Londynu do komandora Glenninga i powiedział mu, że nie nadajesz się do tego zadania? Że zaczynasz

świrować na punkcie Harlinga i tracisz zdrowy rozsądek? Że możesz spieprzyć jedną z naszych najważniejszych operacji? Mam to zrobić?

- Nie.

- Jestem gotów to zrobić, Flint, wierz mi. Albo mi przyrzekniesz, że będziesz się zachowywała jak profesjonalistka, albo wykopię cię z tej zapomnianej przez Boga wysepki z takim impetem, że nie zdążysz wskoczyć do samolotu. Zrozumiano?

- Przepraszam.

- Mam w nosie twoje przeprosiny, Flint. Pytam, czy zrozumiałaś, co do ciebie mówię? Prowadzisz sprawę zgodnie z moimi instrukcjami, a jak nie - to do widzenia.

- Rozumiem.

- Możesz rozmawiać z Maitlandem tylko w obecności Hechtera.

- Tak jest, sir.

- Przyrzekasz?

- Tak, sir.

- No to do roboty.

- Potrafisz powiedzieć, kiedy to było? - zapytała Flint Maitlanda.

- Kiedy poznałem Franka? W końcu marca, na początku kwietnia 1992 roku. Powinienem to mieć zapisane w swoim dzienniku.

Hechter poruszył się niespokojnie w fotelu. Rozmowa toczyła się na werandzie domu Maitlandów.

- W dzienniku? - W głosie Flint dało się słyszeć udaną obojętność.

- Od dawna prowadzę dziennik. Zapisuję, z kim, kiedy i gdzie się spotkałem, numery telefonów, i tak dalej.

W sporządzonym przez Hechter wyczerpującym spisie dokumentów znalezionych w banku nie było ani słowa o żadnym dzienniku.

- Prowadziłem dziennik- poprawił się Maitland, jakby czytał w myślach Flint. - Kiedy tu przyjechaliśmy, przestałem pisać. Rozumie pani chyba dlaczego. - Zerknął na Lisę, która siedziała na huśtawce ogrodowej i plotła bransoletkę z mimozy.

- Gdzie są teraz twoje stare dzienniki?

Maitland w milczeniu przyglądał się smużce dymu ulatującej z jego papierosa.

- Andrew.

- Właśnie zamierzałem o tym powiedzieć.

Lisa wstała, położyła ostrożnie bransoletkę na huśtawce. Kiedy wchodziła na werandę, w jej ruchach czuło się napięcie.

- Przyniosę je - powiedziała do męża i pchnęła siatkowe drzwi prowadzące do domu. Hechter podniósł się z fotela, ale zamiast pójść za Lisą, stanął przy otwartym oknie, założył ręce na piersi i oparł się plecami o framugę. Ze swojego miejsca mógł słyszeć kroki w salonie, skrzypnięcie otwieranej szuflady, szuflady sekretery, którą, jeśli się nie mylił, wcześniej przeszukał.

- Widzieliście tylko część dokumentacji - oznajmił nagle Maitland. Flint i Hechter jakby go nie słyszeli.

- Jest więcej. Znacznie więcej.

Na werandę wróciła Lisa. W zaciśniętej prawej dłoni coś ukrywała, nie wiadomo co. Czekala, aż mąż skończy mówić.

- Jest magazyn... właściwie spora szopa. Nie, nie w Roberts-town, w Ellis, po drugiej stronie wyspy. Kupiliśmy tam starą plantację trzciny

cukrowej, Frank chciał urządzić sobie na niej dom. Wie pani, miejsce, gdzie mógłby się ukryć na jakiś czas, gdyby zaczęło robić się gorąco. I zaczęło robić się gorąco, musiał wyjechać z Anglii, ale skorzystał z innej kryjówki. Okazała się bezpieczna, wtedy zrezygnował z Ellis. Wolał Włochy.

Nie naciskaj, Grace. Pozwól mu mówić, co i kiedy będzie chciał.

Flint wolała się nie odzywać. Nie ufała sobie.

- Tymczasem zdążyłem wyremontować szopę. Położyłem nowy dach, nowe podłogi itd. Pomyślałem, że mógłbym z niej korzystać. Umieściłem tam archiwum, dzienniki też. Trochę rzeczy należących do Franka.

- Ty dupku - rzucił Hechter.

Lisa posłała mu wściekłe spojrzenie.

- Mógł pan to sobie darować - obruszył się Maitland. Hechter miał ochotę mu przyłożyć.

- Dlaczego nie powiedziałaś nam o Ellis dwa dni temu? Dlaczego kręcisz?

- To nie *fair* - krzyknęła Lisa i rzuciła w Hechter przedmiotem, który dotąd trzymała w zaciśniętej dłoni. Coś uderzyło Hechter w pierś i na podłogę werandy wprost pod jego stopy upadły z głośnym brzękiem klucze.

- Chryste, Liso! - W głosie Maitlanda zabrzmiał ostry ton, ale Hechter nie wydawał się przejęty. Schylił się, podniósł klucze, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego nie zauważył ich podczas przeszukania. Na doczepionej do kluczy karteczce widniał napis „mieszkanie w Londynie”.

Teraz sobie przypomniał: widział je, ale uznał, że nie mają żadnego znaczenia dla sprawy.

- Kręcisz bardziej, niż przypuszczałem - powiedział. Lisa zbiegła do ogrodu, usiadła ciężko na huśtawce, ciągle wściekła, dostała wypieków na twarzy. Flint miała wrażenie, że tamta za chwilę się rozplacze. Tego już by nie zniosła. Nagłe poczuła pragnienie, żeby skończyć przesłuchanie, uciec z tego domu, zostawić Maitland samym sobie. Była zmęczona ich dąsami, napadami złości, drobnymi krętactwami. I było jej w tej chwili wszystko jedno, co sobie pomyśli albo co zrobi Cutter.

- Andrew - podjęła na nowo. - Powiedziałeś, że w Anglii wokół Franka „zrobiło się gorąco”. Wiesz, o co chodziło?

- Niezbyt dokładnie. Zginął jakiś policjant. Nie z winy Franka, ale w jego obecności. Wpadli w jakąś zasadzkę. Klient Franka wyciągnął spłuwę, zaczął strzelać. Zrobiło się zamieszanie. Frank nie miał pojęcia, że ten idiota jest uzbrojony. Gdyby wiedział, nie spotkałby się z nim. Strzały były podobno niezamierzone, ale Frankowi grunt się zaczął palić pod stopami.

Niezamierzone!

Flint widziała, że Hechter przygląda się jej uważnie, czeka na jej reakcję. Starła się nic po sobie nie okazać.

- Ten wypadek - zaczęła obojętnym tonem. - Słyszałeś o nim wcześniej? Czytałeś może w gazetach?

- Nie. Kiedy się to stało, od pięciu czy sześciu lat nie mieszkałem już w kraju. Nie czytam gazet.

- Co stało się potem? Kiedy zginął ten policjant?

- Mówiłem już. Frank musiał natychmiast zniknąć. Rzecz zdarzyła się gdzieś w pobliżu Dworca Wictorii. Frank pobiegł na stację i wskoczył do pierwszego pociągu.

- Dokąd pojechał?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że wysiadł na najbliższej stacji, znalazł automat telefoniczny i zadzwonił do jakichś ludzi, żeby przysłali po niego samochód. - Maitland wstał nagle. - Napijcie się czegoś? Może kawy?

- Do jakich ludzi?

- Do przyjaciół. Przepraszam, muszę iść do toalety.

- Kim byli ci przyjaciele, Andrew?

- Nie wiem

- Owszem, wiesz.

Maitland cofał się ku drzwiom, Flint zastąpiła mu drogę.

- Nie chcę wiedzieć.

Odwrócił się plecami do Flint i stanął twarzą w twarz z Hechterem.

Wzięty w dwa ognie przez chwilę stał spięty, gotowy do walki, ale odwaga szybko go opuściła, zwiesił ramiona, zgarbił się.

- Proszę - powiedział.

- Dajcie mu spokój! Zostawcie go, do cholery! - Lisa zerwała się z huśtawki, rzuciła się w kierunku werandy, zaplątała się w suknię i jak długa upadła na trawnik.

- Boję się - wykrztusił Maitland.

II

Przedświt nad Biscayne Bay, żółtawe światło barwi widnokrąg.

Piętnaście mil morskich na południe od Miami jacht motorowy „Invincible” tnie szare fale na zawietrznej Elliot Key. Na mostku odzywa się cichy brzęczyk alarmu. Jack Kurlack zdejmuje okulary noktowizyjne i podnosi się sztywno ze stołka sternika. Postrzał w prawe kolano, który strzaskał rzepekę, przyprawia go o nieznośny ból. Oszczędzając nogę i przerzucając w miarę możliwości cały ciężar ciała na ręce, schodzi powoli na pokład.

W kabinie nawigacyjnej na rufie nachyla się nad ekranem radaru; w promieniu ośmiu kilometrów od jachtu nie ma żadnej jednostki. Z twarzą oświetloną zielonym światłem oscyloskopu wsłuchuje się w trzaski dochodzące z radia. Nikt nie woła „Invincible”. Jack jest zadowolony, że może być sam, poza zasięgiem mikrofonów parabolicznych.

Zerka na zegar nad stołem z mapami. Jeszcze dwie minuty.

W kabinie rozbrzmiewają dźwięki „Błękitnej rapsodii” w wykonaniu Alicii Zizzo. Pianistka przywróciła tu cztery minuty kadencji pomijanych w innych nagraniach. Kurlack nie toleruje skrótów dokonywanych na oryginalnej partyturze Gershwina, określa je pogardliwym mianem „Reader's Digest”. Pomijane kadencje są pewnie zbyt trudne dla większości pianistów, ale Kurlack opanował je w sposób doskonały. Czeka na rozmowę, odtwarza je w myślach.

Zegar mówi mu, że Taggart się spóźnia. Dzwonek odzywa się dwadzieścia dwie sekundy po wyznaczonym czasie. Do telefonu satelitarnego podłączony jest STEALTH, urządzenie kodujące rozmowy i uniemożliwiające podsłuch.

Jack słyszy krótki, ostry pisk, to STEALTH komunikuje się z bliźniaczym koderem po drugiej stronie Atlantyku i zaraz cichnie.

- Możemy rozmawiać bezpiecznie?

W głośnikach dolby rozbrzmiewa pytanie zadane w twardej angielszczyźnie.

Kurlack milczy, dopóki czerwone światelko diody nie zmieni się na zielone.

- Mów.

- Mamy problem. Nasz młody przyjaciel na wyspie zniknął.

- Kiedy?

- Dwa dni temu. Zamknął interes.

- Psy?

- Tak przypuszczamy. Ciągłe usiłujemy się czegoś dowiedzieć, ale wygląda, że to ich robota.

- Moje czy twoje?

- Po jednym z każdej strony. Nie zdziwiłbym się, gdyby to była ta sama dwójka. Jutro, pojutrze będziemy mieli potwierdzenie.

- Może być za późno.

- Właśnie.

Kurlack rozciera zdrewniałe kolano, rozważa problem. Jeszcze jako wicedyrektor Agencji Wywiadu Obronnego był znany ze swego zdecydowania.

- Zajmę się tym.

- Jak uważasz. Mogę wysłać kogoś stąd, jeśli chcesz.

- Wolę sam. Tak będzie szybciej. Moi ludzie mogą być tam w ciągu kilku godzin.

- Ufam ci.
- Jeszcze jedno, trzeba ostrzec Orła.
- Oczywiście. Zawiadomię go.
- Dam ci znać, kiedy zadzwonię.
- Przez Rogera.

Kurlack się rozłącza. W mrocznym świecie, w którym obydwaj się obracają, nikt nie oczekuje kurtuazji. Wraca na mostek, zapuszcza silnik. Szary świt zapowiada ponury dzień, ciężkie chmury przesłaniają wschodzące słońce. Morze jest też szare, coraz bardziej wzburzone. Kurlack otwiera szeroko dławik i obiera kurs na Fisher Island. „Invincible” powinien dopłynąć tam w ciągu godziny.

Zawiadomię go. W Villa Donati na wzgórzach nad Lukką zadzwonił telefon zabezpieczony przez STEALTH. Bezosobowy głos kazał Orłu odlecieć.

Nieoczekiwana informacja nie była specjalnym zaskoczeniem. Frank Harling od początku zakładał, że jego pobyt we Włoszech wkrótce się skończy. Trwał wystarczająco długo, okazał się przyjemny, ale stanowił tylko interwał, chwilową przerwę w wiecznym locie.

Orzeł musi odlecieć, ale nie w popłochu. Panika to zły towarzysz podróży, Harling dobrze o tym wiedział.

Podczas zmudnego odnawiania Villa Donati Harling upierał się przy najlepszych materiałach. Chciał mieć naturalne pigmenty do farb, drewno, terakotę, kamień w najlepszym gatunku. Kiedy zakończono prace, urządził wnętrza - i tu nie szczędził pieniędzy. Przeszedł do kuchni, otworzył lodówkę Whirpoola, sprowadzoną ze Stanów za astronomiczną kwotę. Z

zamrażarki wyjął futerał, z niego niewielki, łatwy do ukrycia pistolet automatyczny Ruger P97.

Po chwili wydobył jeszcze torbę ze skrawkami mięsa i kośćmi, jedzenie dla psów. Pistolet i kości; przemknęło mu przez myśl, czy nie powinien zastrzelić psów. A może lepiej zostawić pieniądze i list do gospodyni w nadziei, że zaopiekuje się zwierzętami? Wstrzymując się z decyzją, wyszedł na taras, żeby nakarmić zwierzęta.

W łagodnym świetle zachodzącego słońca patrzył na długi podjazd, który wkrótce miał zapelnąć się niebieskimi fiatami karabinierów. Nie próbował nawet zgadywać, dlaczego musi uciekać. Zbyt wiele nasuwało się możliwości, a jego sytuacja od dawna była niepewna. Rzucił niedopałek papierosa na żwir. Na jedną krótką chwilę ogarnął go żal nad samym sobą. „Tak wygląda twoje życie, Harling, niedogaszony pet”. Otrząsnął się. Czas przygotować się do drogi.

W okresie włoskim (jak na własny użytek określał ten czas) nauczył się gotować; nic wymyślnego, pożywna, treściwa wiejska kuchnia, potrawki z gołębia albo z dzika, wieprzowina peklowana w winie z grzybami, które sam zbierał w okolicznych lasach. Wrócił do kuchni i postawił na ogniu garnek z ribolitą, otworzył butelkę *Vino Nobile di Montepulciano*. Odstawił wino, żeby oddychało, wyjął z szuflady dęto, pobijak i zaczął kruszyć zaprawę wokół jednego z kafli, którymi wyłożona była podłoga. Pod spodem leżał skórzany woreczek zawierający wszystko, co potrzebne do ucieczki: paszport i prawo jazdy na fałszywe nazwisko, gruby plik franków szwajcarskich o wysokich nominałach.

Orzeł poleci pierwszą klasą, pomyślał i rozpogodził się nieco na tę myśl.

Kiedy zjadł już kolację, rozebrał rugera na pięć części i zabrał się do czyszczenia. Konstrukcja z pleksi i żywicy polimerowej dawała pewność, że przeniesie broń bezpieczne przez bramki na lotnisku.

III

Freedom Field z trudnością można było nazwać lotniskiem. Pojedynczy pas bez świateł, brak udogodnień nawigacyjnych, kontenerowy pawilon służący jako terminal dla pasażerów i miejsce odprawy granicznej - tak Robertstown witało gości. Harvey Nichols czasami pojawiał się tutaj, żeby sprawdzić paszporty przylatujących, ale kiedy w No Name Bar panował duży ruch, wysyłał na lotnisko żonę. Bywało, że nie chciała pójść, wtedy kontrola paszportowa po prostu się nie odbywała.

Tak było, gdy wylądował samolot z Puerto Rico z dziewiętnastoma pasażerami na pokładzie. Peggy Pringle czekała na parkingu przy swoim samochodzie. Czowała ulgę, nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Goście, których oczekiwała, musieli być w pełni godni zaufania, skoro należeli do znajomych pana Maitlanda. Na pewno przeszliby przez kontrolę paszportową, gdyby któreś z Nicholsów pofatygowało się na lotnisko. Pomimo to od chwili, gdy zadzwoniła pod numer telefonu, który zostawił jej Maitland na wypadek jakiejś nieprzewidzianej sytuacji, była tak zdenerwowana, że z trudem mogła zasnąć w nocy.

Zobaczyła ich na stopniach samolotu, tak się jej przynajmniej wydawało. Trzech mężczyzn wyróżniających się wśród reszty pasażerów jasną skórą i eleganckimi garniturami. Kiedy ruszyli w stronę terminalu, poprawiła swój najlepszy, niedzielny kapelusz i niepewnie uniosła rękę. Najwyższy z mężczyzn dał znać swoim towarzyszom, żeby zaczekali, i

ruszył w jej stronę sprężystym krokiem. Pomyślała, że ma za długie włosy i że sportowe buty nie pasują do garnituru.

Kiedy stanął przed nią, z trudem przełknęła ślinę i zebrała się na odwagę.

- Sójka - przedstawiła się kryptonimem, którego polecił jej użyć Maitland.

- Słonka. Śmieszne, same ptaki. - Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, prezentując garnitur olśniewająco białych zębów, po czym cmoknął ją w policzek jak syn, który wita się z matką. - Ty jesteś Peggy, a ja Brad. Miło cię poznać. - Oddech Brada pachniał miętową gumą do żucia. Dba o siebie, pomyślała Peggy.

Usadowili się w samochodzie: Brad z przodu koło Peggy, jego milczący towarzysz z tyłu. Podjeżdżając na Sidcup Hill, Peggy wrzuciła dwójkę, wóz zaczął rzeźić.

- Dobrze zrobiłam, że zadzwoniłam? - zapytała, nie odrywając wzroku od drogi.

- Bardzo dobrze - zapewnił Brad i dotknął lekko jej ramienia. - Lepiej nie mogłaś.

Na werandzie herbaciarni „U Josephine”, w pobliżu Independence Corner i New World Bank, Peggy Pringle opowiadała swoją historię. Z początku szło jej opornie, ale ośmielona uśmiechami Brada, przepełniona słusznym oburzeniem, mówiła z coraz większą swadą.

Nie do wyobrażenia, zżymała się. Szarogęsiła się, jakby była u siebie w domu! *Pani Maitland nie przyjmuje nikogo. Bezcelność!*

Brad poprosił, żeby zaczęła od początku, niczego nie pomijając. Powoli, Peggy. Po kolei.

Dobrze, zgodziła się Peggy, miłe polechtana uwagą słuchaczy.

Więc w czwartek rano zjawia się za pięć ósma przed bankiem, żeby jak zwykle otworzyć. „Dzień dobry, panno Pringle”, pozdrawiają ją czekające już dziewczęta. Wiedzą, że Peggy ceni sobie w równej mierze uprzejmość jak punktualność. Potem Peggy wyjęła klucz z torebki, włożyła go do zamka, próbowała otworzyć, ale klucz nie chciał się obrócić. Spróbowała jeszcze raz. Bez rezultatu. Co za historia, stać tak na oczach wszystkich i mocować się z zamkiem. W dodatku urzędniczki zaczęły chichotać. Ale Peggy nie jest głupia. Zaraz się zorientowała, że ktoś musiał zmienić zamek. Dlaczego pan Maitland to zrobił? W nocy musiało się coś wydarzyć. Może ktoś próbował się włamać i uruchomił alarmy. Ale wtedy pan Maitland natychmiast by do niej zadzwonił. W końcu jest jego najbardziej zaufanym pracownikiem, jego zastępcą, nie tylko z nazwy.

Tak, jesteś jego prawą ręką, przytakuje Brad. Zawsze o tym wiedzieliśmy.

Odesłała dziewczęta do domu, dała im wolne przedpołudnie. Nie było sensu ich zatrzymywać, słuchać ich paplaniny. Co więcej, nie było sensu wywoływać sensacji, przyciągać uwagi ludzi.

Słusznie, przytakuje Brad. Co działo się potem?

Potem Peggy pojechała na Cornhill Rise, do domu Maitlanda. Ostatni po prawej, na rogu. Nic wielkiego, zważywszy na pozycję pana Maitlanda. Nieduży, ale jest ich tylko dwoje, niestety. A pani Maitland tak bardzo chciałyby mieć dziecko. Wielka szkoda.

Co dalej?

No więc zaparkowała na podjeździe i zaczęła trąbić, nie uprzedziła ich przecież o swojej wizycie. I wtedy pojawiła się ta kobieta, Panna Ważniaczka. Wyszła z domu i kazała Peggy opowiedzieć się, czego szuka.

Powoli, poprosił Brad. Nie możemy pominąć żadnego szczegółu.

Przedstawiła się, Peggy?

A skądże!

Powiedziała, kim jest? Ma się rozumieć, że nie!

Jak wyglądała? Wysoka? Niska? Szczupła? Tęga? Peggy przewróciła oczami, jakby chciała powiedzieć: „A kto by się przyglądał? Kogo to obchodzi?”.

Miała na sobie szorty, oznajmiła w przekonaniu, że ta informacja powinna wszystko wyjaśnić.

Brad był uparty. No więc dość wysoka, ponad metr siedemdziesiąt, około sześćdziesięciu kilogramów? Zgrabne nogi, ciemne, krótko obcięte włosy ciągle opadające na czoło? Trzydzieści kilka lat, ale twarz nic nie mówiąca o wieku? Czy zwróciłaś uwagę na jej oczy? Jak u łani, wielkie, smutne, raczej żółte niż brązowe?

Peggy Pringle patrzyła na niego w zdumieniu.

Z kieszonki na piersi Brad wyjął zdjęcie, zbliżenie kobiecej twarzy zrobione teleobiektywem.

Czy to ona?

Peggy Pringle skinęła głową.

IV

W linii prostej Robertstown od Ellis dzieli tylko jednaście mil, ale krętą gruntową drogą, która ciągle gdzieś zbacza, jest znacznie dalej.

Otwarty jeep, wypożyczony w pośpiechu przez Hechtera, okazał się gruchotem; nic tu właściwie nie działało, ale wóz toczył się jakoś, a przecież o to chodziło, myślała Flint.

Na niebie zbierały się cumulonimbusy, piętrzyły nad głowami niby potężne katedry.

- Zbiera się na burzę - zauważył wesoło Andy Maitland. Czasami deszcz podmywa drogę.

ZAMKNIJ SIĘ, DO JASNEJ CHOLERY!

Miała dość Maitlanda. Napawał ją coraz większym obrzydzeniem czy to z racji płacznego głosu, czy słabości odbijającej się w jego twarzy, czy też związków z Harlingiem.

Źle, Flint. Głupio się zachowujesz.

Wyobraziła sobie, jak Cutter opieprza ją za brak profesjonalizmu.

Nie możesz nienawidzić informatorów, Flint. Informator to jest nikt, zero, środek służący do osiągnięcia celu. Nie czujesz wobec niego nic. Nie może cię dotknąć.

Ze szczytu Sawyer's Mount patrzyła na drogę opadającą ku Ellis i morzu. Kręta jak wąż, rdzawa; zginą tutaj, zabiją się.

Zamknęła oczy, usiłując myśleć o czymkolwiek innym, tylko nie o zjeździe w dół.

Dawno opuszczony dom o zabitych deskami oknach i zapadających się gankach, zachwaszczone pola, gdzie kiedyś rosła trzcina cukrowa, zardzewiała ciężarówka bez drzwi, kół, maski, bez silnika. I wreszcie nie pasująca do tej scenerii szopa wielkości podwójnego garażu: nowy dach, świeżo pomalowane ściany, nowe drzwi z dwoma potężnymi zamkami.

- Najnowszy typ, potrójny mechanizm - oznajmił Maitland z dumą.

Hechter wepchnął go z powrotem do samochodu, gdzie siedziała skwaszona pani Maitland.

W szopie oświetlonej światłem jarzeniówek pod ścianami stały metalowe regały wypełnione od sufitu do podłogi pudłami z dokumentami bankowymi. Każde pudło opatrzone było naklejką z nazwą konta i datami „od” „do”. Każde oklejone taśmą z podpisem Maitlanda. Na pierwszym pudle, na którym Flint przecięła taśmę i które różniło się od innych, widniały tylko inicjały „F. H. ”.

Potem Flint sfotografowała Hechtera, jak zdejmuje wieko. Chciała mieć zdjęcie wnętrza pudła, zanim zaczną przetrząsać jego zawartość. Poprosiła, żeby Hechter zaczekał, aż znajdzie odpowiedni kąt. Na kolejnym zdjęciu widać dłón Hechtera; trzyma w palcach dużą szarą kopertę z napisem „Otworzyć tylko w razie mojej śmierci”.

Przykro mi, Frank, nic z tego. Co powiedziałbyś na inny tekst: „W razie gdy ten fiut Maitland okaże się twoim Judaszem?”.

Aparat Flint wiernie zarejestrował otwieranie koperty, wyjmowanie jej zawartości, grubego dokumentu związanego czerwoną tasiemką. Potem Hechter pokazuje do obiektywu pierwszą stronę, Flint zmienia ogniskową, tak żeby litery były czytelne.

JA, FRANK ARTHUR HARLING zamieszkały w Villa Donati, Vorno, Włochy STWIERDZAM POD PRZYSIĘGĄ, co następuje:

1. Jestem głównym właścicielem New World Bank & Trust Company mieszczącego się i zarejestrowanego w Robertstown, stolicy Lawrence Islands. Bank udostępnia konta klientom, którzy z różnych powodów wolą zachować w tajemnicy swoją tożsamość. Wśród klientów znajdują się agencje wywiadowcze, które na konto New World Bank

przelewają fundusze potrzebne do prowadzenia tajnych operacji. Wiem, że mogą to być nielegalne operacje, i ta wiedza stanowi zagrożenie dla mojego bezpieczeństwa. Traktuję to oświadczenie jako formę zabezpieczenia, a gdyby przytrafiło mi się coś złego, niech posłuży ono jako źródło informacji. Wszystkie podane tu fakty, jeśli nie są opatrzone odpowiednim komentarzem, są mi znane bezpośrednio.

Cholera jasna!

Hechter podał Flint oświadczenie.

- Sprawdzę, co oni tam robią - powiedział.

Flint przysiadła na podłodze, odłożyła aparat. Słyszała, jak Hechter odgania Maitlandów od drzwi, ale słowa do niej nie docierały. Przerzucała kartki oświadczenia Franka Harlinga, usiłując pojąć jego złowrogie znaczenie.

V

Było już dobrze po północy. Przyciemnione światło w gabinecie Harry'ego Cohena dobrze oddawało jego nastrój. Miał za sobą ciągnący się bez końca dzień spędzony w towarzystwie A.J.

Leżąc na kanapie, obserwował teraz spod przymkniętych powiek, jak Devereaux bez pośpiechu ogląda zdjęcia przypięte do białej tablicy zajmującej jedną ścianę gabinetu. Było ich około setki, podzielonych na kilka grup.

Wśród nich znajdowały się fotografie ze schodów na Belgravii: ciało mężczyzny w czekoladowej kałuży krwi, przerażające obrazy zmasakrowanej twarzy Flint.

Inne zostały zrobione w mieszkaniu Flint. Cohen dostał się tam, ponieważ pragnął dowiedzieć się czegoś więcej o dziewczynie. Czuł się

jak złodziej, kiedy szperał w jej rzeczach. Fotografował wiszące w szafie ubrania, bieliznę ułożoną porządnie w szufladzie, kosmetyki w wyłożonej białymi kafelkami łazience, leżące na nocnej szafce listy od kochającego ojca, który nazywał córkę „niezwykłą Grace” i podpisywał się „John”, schowane w szufladzie zdjęcie uśmiechniętego mężczyzny, który ożenił się z Grace Flint, ale nie dość ją kochał.

Cohen przejrzał jedną po drugiej wszystkie książki Flint: lubiła powieści Elmore'a Leonarda i Lorrie Moore. Potem zainteresował się kolekcją kompaktów. Kiedy znalazł Pachelbela, włączył odtwarzacz. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Flint zbiera płyty analogowe, skoro w mieszkaniu nie znalazł adaptera. W koszulkach albumów znalazł notatki sporządzone ręką Flint: w każdej koszulce jedna kartka. Jeszcze nie powiedział Devereaux o ich istnieniu.

Trzecia grupa zdjęć na ścianie gabinetu Cohena pochodziła z Villa Donati. Karabinierzy pojawili się tam zbyt późno, żeby ująć Franka Harlinga, mimo że ponaglał ich Scotland Yard. Przyjechali, jak to często policja ma w zwyczaju, wczesnym świtem, kiedy Harling był już daleko.

Czwartą grupę zdjęć, przed którymi stał teraz Devereux, stanowiła dokumentacja z Ellis; był tu opuszczony dom, zachwaszczone pole, zardzewiała ciężarówka, przede wszystkim jednak wnętrze szopy. Każde zdjęcie opatrzone zostało dokładnym opisem. Flint zużyła sporo filmu, fotografując fragmenty oświadczenia Harlinga.

2. Mniej więcej w trzecim tygodniu sierpnia 1994 roku zostałem zatrzymany przez detektywów z Serious Fraud Office (SFO). Byłem przesłuchiwany w związku z transferem 7, 5 miliona dolarów przelanych na polecenie jednego z naszych klientów z New World Bank & Trust

Company do National Westminster Bank w Londynie. Działając dalej w imieniu klienta, miałem podjąć te pieniądze z National Westminster. W przekonaniu SFO pochodziły one z nielegalnego źródła. Poinformowano mnie, że zostanę oskarżony o obracanie kradzionymi funduszami. To, że nie zostałem oskarżony, zawdzięczam interwencji pewnego „pana Browna”, który jest wysokim urzędnikiem wywiadu brytyjskiego. Postaram się opisać tamte wypadki po kolei.

Devereaux mógł przeczytać całe oświadczenie; oryginał leżał na biurku Cohena, wolał jednak zapoznać się z fragmentami, które zdaniem Flint były ważne. Znacznie ciekawsze jest takie czytanie oczami Flint, ale i oczami Cohena, bo trzy zdjęcia kazał powiększyć, a najistotniejsze w jego mniemaniu fragmenty zaznaczył żółtym markerem. Devereaux poprawił okulary, zbliżył twarz do tablicy.

42. Po raz kolejny spotkałem się z „panem Brownem” na początku maja, w pobliżu bramy Kensington Palace. Poszliśmy do Royal Garden Hotel, usiedliśmy w holu. Po krótkiej, nieobowiązującej pogawędce powiedział mi, że wie o moich kontaktach z Claytonem Bullerem, adwokatem z Los Angeles i klientem mojego banku mniej więcej od dwóch lat. Pan Buller od czasu do czasu przywoził do Londynu spore sumy pieniędzy należące do jego klientów, które wpłacałem na jego konto w New World Bank. Od „pana Browna” dowiedziałem się, że pieniądze wręczane mi przez Bullera pochodzą z handlu narkotykami. Informacja ta bardzo mnie zaniepokoiła. Oznajmiłem, że natychmiast zerwę kontakty z panem Bullerem, ale „pan Brown” nalegał, bym tego nie czynił. Chciał, żebym nadal przyjmował rzeczony pieniądze od pana Bullera, wszakże pod warunkiem...

Devereaux przerwał czytanie, odwrócił się do Cohena.

- „Rzeczony pieniądze”, „wszakże pod warunkiem”? Jak ten człowiek pisze? To sztywny język prawnika, a nie spowiedź oszusta.

- Bardzo drogiego prawnika. Oświadczenie Harlinga sporządziła jedna z najlepszych kancelarii w mieście.

- Tak? Wysłuchali wszystkiego, spisali i nie kiwnęli palcem? Nikogo nie poinformowali?

- Chronili interesy klienta. Obowiązuje ich tajemnica zawodowa. Poufność.

- Bzdura - prychnął Devereaux. - Kancelaria adwokacka to nie konfesjonał. Od kiedy to „poufność” pozwala na ukrywanie zdrady?

Cohen machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, że jest zbyt zmęczony, by wdawać się w sprzeczki.

- Przeczytaj do końca.

... wszakże pod warunkiem, że „pan Brown” i związane z nim osoby będą pobierać „podatek” w wysokości piętnastu procent. Inaczej mówiąc, miałem od każdej wpłacanej przez pana Bullera sumy odprowadzać piętnaście procent i przelewać je na konto „pana Browna” w moim banku. Miałem też poinformować pana Bullera, że winien wpłacić *ex gratia* milion dolarów na konto „pana Browna” jako pokrycie przeszłych transakcji. W zamian „pan Brown” zobowiązywał się do „opieki” nad panem Bullerem, co oznaczało, że pan Buller zostanie ostrzeżony, gdyby groziło mu aresztowanie. Miałem powiedzieć panu Bullerowi, że jest to jego „polisa ubezpieczeniowa”. Po spotkaniu zadzwoniłem do Los Angeles i przekazałem wszystkie informacje panu Bullerowi.

43. Pan Buller był bardzo zaniepokojony. Zgodził się płacić „podatek” i polecił mi przelać milion dolarów na konto „pana Browna”. W obawie, że każdy jego krok będzie śledzony przez władze, uznał, że dalszych transakcji nie powinien przeprowadzać osobiście. W kolejnej rozmowie telefonicznej następnego dnia oznajmił mi, że ma zamiar znaleźć „kanał”, którym będzie przekazywał pieniądze na konto w moim banku.

44. Mniej więcej sześć tygodni później otrzymałem wiadomość od pana Bullera: prosił o spotkanie w National Car Park koło Dworca Wictorii. Powiedział, że przyprowadzi ze sobą panią bankier z Zurychu, która omówi ze mną szczegóły techniczne transferów. Domyśliłem się, że chodzi o wspomniany wcześniej przez pana Bullera „kanał”.

Następne trzy fragmenty w całości były zakreślone na żółto, gdzieś tam marginesy upstrzone były przez Cohena czerwonymi gniewnymi wykrzyknikami.

45. W dniu spotkania „pan Brown” zadzwonił na mój telefon komórkowy. Zdawał się bardzo poruszony. Polecił mi zadzwonić do siebie z automatu na specjalny numer, który wcześniej mi podał. (Jeśli dobrze pamiętam, zaczynał się on od cyfr 071304. Pozostałych czterech cyfr nie pamiętam, wiem tylko, że zawierały 4 i 0). Zrobiłem, jak mi kazał, zadzwoniłem z automatu na Dworcu Wictorii. „Pan Brown” powiedział, że wpadłem w pułapkę i że kobieta, która miała być bankierem, jest w rzeczywistości policjantką i nazywa się Grace Flint. Polecił mi udać się na spotkanie, poinformować pana Bullera o faktycznej sytuacji i pomóc mu w ucieczce.

46. Oczywiście sprzeciwiłem się, tłumacząc, że pani Flint z całą pewnością nie będzie sama. Przyznał, że może mieć „wsparcie”, ale zapewnił, że nikt niepożądany nie będzie mógł dostać się na klatkę schodową, gdzie miałem spotkać się z panem Bullerem. Nie wyjaśnił, jak tego dokonał, powiedział tylko, że „zadbano o to”.

47. Następnie zapytałem „pana Browna”, jak mam się zachować, gdyby pani Flint chciała nas aresztować. Bardzo dobrze pamiętam odpowiedź „pana Browna”. Powiedział: „Proszę postępować, jak uzna pan za konieczne, byle wydostać Bullera z zasadzki”. „Pan Brown” zwrócił mi uwagę, że w razie aresztowania pan Buller zapewne powie policji o „polisie ubezpieczeniowej”. Powiedział: „Wskaże na ciebie, Frank, a to bardzo by nas zdenerwowało. Nie możemy dopuścić, żebyś składał zeznania”. Odebrałem to jako pogroźkę. Ponieważ bałem się „pana Browna”, zgodziłem się działać zgodnie z jego instrukcjami. Jeszcze raz powtórzył, że mam robić, co uznaję za konieczne, byle tylko wydostać się z zasadzki.

Wokół dwóch ostatnich słów Cohen zakreślił czerwone kółko ze strzałką wskazującą na powiększenie krótkiego fragmentu z raportu dotyczącego śmierci detektywa inspektora Pete'a Pendle'a, w którym przytoczone zostały słowa Franka Harlinga posłusznego poleceniom swojego mocodawcy.

Kończ, Buller. Skończ z nią, do jasnej cholery.

Devereaux zdjął okulary, zaczął pocierać nasadę nosa.

- Musimy ją znaleźć, Harry. Musimy ją uratować, sprowadzić do domu. Jesteśmy jej to winni, prawda?

Cohen pomyślał o kasecie wideo z nagraniem wiadomości telewizyjnych, którą znalazł w mieszkaniu Flint: przenikliwe, ostre dźwięki, kalejdoskop koszmarnych obrazów, błękitne, migotliwe światła, wycie syren, byle jak, byle gdzie zaparkowane wozy policyjne, żółta taśma odgradzająca miejsce zdarzenia, kamienne twarze uzbrojonych policjantów w żółtych kamizelkach, ciało Pete'a Pendle'a na noszach, przykryte prześcieradłem, ambulans odjeżdżający z zupełnie zbędnym pośpiechem, Flint na noszach, osłaniana przez jakiegoś mężczyznę, który nie chce, żeby kamera zobaczyła jej twarz, zbliżenie twarzy poszukiwanego przez policję, niebezpiecznego, uzbrojonego Franka Harlinga.

- Zastanawiam się, co myślała, czytając to - powiedział wreszcie.

- Posłuchaj tego, Kevin. Uśmiejesz się.

Flint siedziała na podłodze w rogu salonu Maitlandów. Plecami oparła się o ścianę, podwinęła nogi, na kolanach położyła oświadczenie Franka Harlinga. Była nienaturalnie spokojna, oczy jej błyszczały, mówiła zbyt wysokim głosem jak na ucho Hechtera.

- Frank jest Orłem! Myślałam, że sęp byłby mu bliższy, ale nie, Frank okazuje się szybującym w przestworzach Orłem. To jego kryptonim! Tak go nazywają! Mają całą woliere: Szpak, Drozd, Słonka...

- Nie rób tego, Grace.

- Czego mam nie robić?

- Przestań znęcać się nad sobą.

- Och, nie martw się. To ci się spodoba.

- Grace!

- Ukrywali go, czekali, aż zamieszanie się uspokoi, sprowadzili charakteryzatorkę, która miała zmienić jego wygląd. Nazywali ją Trush.

Frank mówił, że była wściekła, bo ją poganiali, nie dali jej czasu, żeby porządnie wykonała swoją robotę. Miała rację. Zrobienie dobrej maski trochę trwa.

- Znajdziemy go, Grace. To kwestia godzin. Będziemy mieli wszystkich tych drani.

- Nie licz na to, Kevin. Nie zdziwiłabym się, gdyby Frank siedział teraz w samolocie, z nową twarzą, pod przybranym nazwiskiem i...

Gwałtownym ruchem zdjęła oświadczenie Franka z kolan i wstała.

Podeszła do stolika, na którym leżały porządnie ułożone torebki z dowodami rzeczowymi, i zaczęła czegoś szukać.

- Na pewno tak zrobili - powiedziała.

Znalazła to, czego szukała: przedmioty dostarczone Frankowi przez „pana Browna”. Frank miał je zniszczyć po zmianie tożsamości, ale nie zniszczył. Znalezione w jego pudle stanowiły teraz dowody obciążające „pana Browna”.

- Dowód A. - Flint podała Hechterowi pierwszą torebkę. -Prawo jazy wystawione na nazwisko Petera Micheala Kordasa. Dowód B - ciągnęła. - Karta kredytowa Visa z Barclays Bank, też na nazwisko P. M. Kordasa. Dowód C, karta kredytowa American Express na nazwisko pana Kordasa. Dowód D, wyjątkowo subtelne pociągnięcie, skórzany portfel z inicjałami PMK.

- Wiem, Grace, wiem.

Ale Grace mówiła dalej, coraz szybciej, bez tchu wyliczając kolejne przedmioty:

- Wizytówki, z których wynika, że Peter Kordas jest regionalnym przedstawicielem firmy Midas Computing. Kalendarz z odnotowanymi

terminami spotkań i wykazem wydatków. Chronologicznie posegregowane faktury. I coś, co naprawdę mi się podoba. Zdjęcie jakiejś kobiety z dwójką dzieci. Nie tylko zadbali o nową tożsamość i nowe zajęcie dla Franka; pomyśleli nawet o tym, że powinien mieć rodzinę.

Została jeszcze jedna torebka zawierająca doskonale podrobiony brytyjski paszport Petera Kordasa. Flint wyjęła go i otworzyła na ostatniej stronie, żeby pokazać Hechterowi zdjęcie przedstawiające Franka Harlinga: okulary o grubych oprawkach i oliwkowa cera, zasługa Trush, mająca wskazywać na śródziemnomorskie pochodzenie właściciela.

- Uśmiecha się, widzisz, Kevin? Trudno mu się dziwić. Wzięła potężny zamach i paszport wylądował w drugim końcu pokoju.

Flint zaczęła się trząść, zgięła się w pół, jakby ktoś nagle przetrącił jej kręgosłup. Hechter podszedł do niej, chwycił za ramiona, przytulił, zaczął głaskać po głowie. Czuł na szyi jej przyspieszony oddech i ciepłe łzy.

Zdradziwszy sekrety Ellis, Maitlandowie po powrocie do domu natychmiast poszli spać. Usnęli „snem niewiniątek”, jak określiła to Flint z sarkazmem charakterystycznym dla gliniarzy. Ona też zasnęła na ratanowej kanapie w salonie Maitlandów. Tylko Hechter jeszcze czuwał.

Zmrok zapadł nagle, jak zwykle w tropikach. Hechter zapalił lampę, poprawił abażur tak, by światło nie padało na twarz Flint. Nie docierało też do okna, przy którym Hechter zatrzymywał się od czasu do czasu, by popatrzeć na drogę; czekał na coś. Nikt im co prawda nie groził, ale Cornhill Rise było ślepą uliczką, która łatwo mogła zamienić się w pułapkę. Chciał wydostać się stąd, kiedy tylko Cutter podejmie decyzję. Krążąc po pokoju między oknem i kanapą, czekał niecierpliwie na telefon od niego.

- Wracacie - oznajmił Cutter, gdy wreszcie zadzwonił. Hechter poprosił, żeby poczekał, i wyszedł na taras.

- Flint zasnęła - wyjaśnił.

- Jak ona się czuje?

- Dobrze. Początkowo była wstrząśnięta.

- Nie dziwię się.

- Teraz jest już lepiej. - Na torturach nikt nie wyciągnąłby od Hechtera prawdy o załamaniu się Flint.

- Jak się obudzi, powiedz jej, że wracacie. Zarezerwowałem już bilety.

- Nie ucieszy jej ta wiadomość.

- Nie obchodzi mnie to. Glenning chce ją widzieć w Londynie. Jest mu potrzebna. Natychmiast. Jeśli będzie marudziła, każ jej zadzwonić do mnie. Przyślę na miejsce Hala Greene'a. Powinien tam być za kilka godzin.

- To nie jest rozwiązanie, sir. Papiery Maitlanda muszą... -Przerwał i ukrył się w cieniu. - Proszę zaczekać - powiedział, osłaniając mikrofon dłonią.

Na rogu Cornhill Rise rozbłysły światła zbliżającego się samochodu.

- Zdaje się, że mamy gości.

- Nie rozłączaj się - polecił Cutter. - Chcę wiedzieć, co się dzieje.

Hechter schował telefon do kieszeni, nachylił się i wyjął mały pistolet z kabury umocowanej na łydce. Agentom obcych służb nie wolno wwozić na Lawrence Islands broni. Cutter pozwolił Hechterowi zabrać tylko ten mały pistolet.

Hechter zdjął buty i schylony przebiegł szybko przez trawnik w stronę żywopłotu. Ukryty w zaroślach obserwował zbliżający się powoli samochód.

- Jeden wóz. Zgasili światła - powiedział do kieszeni, mając nadzieję, że Cutter go słyszy. - Wygląda na to, że poza kierowcą w środku nie ma nikogo, ale jest ciemno i nie widzę zbyt wyraźnie.

- Starsza kobieta - szepnęła Flint Hechterowi do ucha.

- Chryste, ale mnie wystraszyłaś. Mogłem dostać zawału.

- Albo kulkę w plecy. Starzejesz się, Kev. Zaczynasz mówić do siebie.

Hechter zrobił taki ruch, jakby chciał dać Flint w zęby.

- Była tu wcześniej, pytała o Maitlanda - ciągnęła. - Pracuje w banku i robi wrażenie bardzo upartej osoby. Z trudem ją spławiłam.

- Niezbyt skutecznie.

Mały ford Peggy Pringle zatrzymał się przed domem, o kilka metrów od miejsca, gdzie ukryli się Flint i Hechter.

- Może powinnam jej zafundować atak serca. Do kogo ona mówi, Kevi?

- Co?

- Spójrz na jej usta. Albo mówi do siebie, albo do kogoś, kto ukrył się z tyłu. Myślisz, że powinniśmy się nimi zająć?

Zanim Hechter zdążył odpowiedzieć, samochód wykonał zwrot i ruszył z powrotem. Tuż przed zakretem Peggy Pringle włączyła światła.

Hechter wyprostował się, wyjął telefon z kieszeni.

- Ej, wy tam, bawicie się w chowanego? - zapytał Cutter.

Hechter miał rację. Decyzja Cuttera wcale nie ucieszyła Flint.

Klęła słowami, których Hechter nie słyszał od chwili, gdy skończył służbę w marines. Usiłował ją uspokoić, przemówić jej do rozsądku, ale nic nie skutkowało. W końcu miał tego dość.

- Zadzwoń do Cuttera - powiedział, i Flint zadzwoniła.

- Od początku wiedziałem, że będą z tobą same kłopoty, Grace. Nie będę powtarzał dwa razy. Wysyłam po was C-130, zabierze archiwum Maitlanda, o szóstej rano wylecicie z Greene' em do San Juan. Stamtąd w południe masz połączenie do Nowego Jorku. Z Nowego Jorku nocnym samolotem British Airways polecisz do Londynu. Na Heathrow będzie czekał na ciebie samochód Scotland Yardu. Zrozumiałaś?

Flint skapitulowała, wiedziała, że nie wygra z Cutterem. Odwożąc ją nad ranem na lotnisko, Hechter powiedział:

- Powiedz sobie, że szef ma zawsze rację. Dlatego jest szefem.

- Sam nie wierzysz w to, co mówisz - burknęła Flint.

- Czasami wierzę.

- Chryste, Kevin, miałam kiedyś szczeniaka, który nazywał się Hector. Prawie tak jak ty. Widzę pewne podobieństwo między wami.

Później dałaby wszystko, żeby cofnąć te słowa.

VI

We śnie wiedźmowate rysy Lisy Maitland łagodniały. Potrafiła tak dać się we znaki Flint i Hechterowi, że w rozmowach z Cutterem nazywali ją „aniołkiem”. Teraz, kiedy opierała głowę na kolanach męża, rzeczywiście przypominała aniołka.

Samolot nachylił się o dziesięć stopni, po chwili wyrównał lot.

Hal Greene żył dla latania i wszyscy przepowiadali, że kiedyś umrze w swojej maszynie. Pracował w DEA, agencji do walki z narkotykami.

Latał w tajnych misjach do Kolumbii i Boliwii. Mimo że ostrzeliwany był częściej niż piloci bojowi, nic nie stracił ze swojego entuzjazmu. Dbał o swoje samoloty lepiej niż o własne małżeństwo, bo też spędzał w nich więcej czasu niż w domu.

Obok Greene'a usadowił się Hechter. Cichym głosem wypytywał Greene'a o wskaźniki i instrumenty pokładowe. Flint twierdziła, że zaczął zadawać pytania zaraz po urodzeniu i nie przestanie ich zadawać, dopóki nie zamkną wieka jego trumny. „Samouk”, tak skromnie nazywał sam siebie. Teraz usiłował osiąść umiejętność latania w jedyny znany sobie sposób, czyli przez osmozę.

- Chcesz przejąć stery? Muszę się odlać.

- Pewnie - zgodził się Hechter skwapliwie. - Nie ma problemu. Jeśli masz ochotę zginać...

- Żartuję. Włączyłem autopilota.

Uśmiechnął się szeroko i zgarbiony zaczął się w niskiej i ciasnej kabynie przeciskać na tył samolotu. Hechter nachylił się, żeby dokładniej przyrzeć się wskaźnikom. Dzięki temu uniknął najgorszych skutków eksplozji. Czarnoszary pył oślepił go na moment, miał wrażenie, że głowę ściska mu imadło. W kadłubie z tyłu, tuż obok toalety, tam gdzie siedzieli Maitlandowie, wybuch wyrwał dużą dziurę. Hechter ledwo co widział, kabinę spowijał biały dym. Silnik zaczął się dławić, samolot gwałtownie wytracił szybkość, jakby uderzył w niewidzialną ścianę. Hechter poleciał do tyłu, uderzył głową o zapiecek fotela.

- Hal! Gdzie jesteś do cholery? - zaczął krzyczeć. Usiłował manewrować sterami, napiął mięśnie z całych sił, ale samolot nieubłaganie pikował w dół.

Dekompresja na wysokości 10000 metrów wywołuje taki skutek jak wybuch niewielkiej bomby. A jeśli do tego rzeczywiście eksploduje bomba, w tym wypadku kilka uncji semtexu z podłączonym mechanizmem zegarowym, skutki okazują się tragiczne. Człowiek zaczyna się dusić. Na wysokości 10 000 metrów powietrze jest zbyt rozrzedzone, by można było oddychać.

Hechter wybełkotał „tlenu”, sięgnął po maskę i przytknął ją do twarzy, ale nawet to nic nie pomogło.

Miał wrażenie, że jego ciało stało się lżejsze, czuł pierwsze skutki niedotlenienia. Wszystko działo się w zwolnionym tempie, a on obserwował wypadki z dziwną obojętnością, jakby jego nie dotyczyły.

Jakiś szósty zmysł podpowiedział mu, że powinien otworzyć zawór łączący maskę z butlą, i poczuł na twarzy orzeźwiający chłód. Oszołomiony, odrętwiały jeszcze przez chwilę, miał zamknięte usta, wreszcie płuca nie wytrzymały i wziął pierwszy, głęboki oddech.

Zaczął mówić do siebie, jakby artykułowanie na głos chaotycznych myśli pozwalało mu lepiej zrozumieć ich tok.

- Dysze nie działają, dlatego silniki tracą ciąg. Powiniennem otworzyć dławiki, ale jak bardzo? Jezu, spadamy coraz szybciej. Muszę wyrównać lot i zejść na wysokość, na której moglibyśmy swobodnie oddychać. Skup się, durniu! Hechter, skup się do cholery! Przypomnij sobie, co ci mówił Hal. Przypomnij sobie podstawowe prawa aerodynamiki.

Rozważania Hechtera okazały się czysto akademickie. Kiedy lear przekracza szybkość 445 węzłów, uderzeniowe fale po-naddźwiękowe powodują, że samolot traci sterowność. Są sposoby ratowania się w takiej sytuacji, ale Hechter nie mógł ich znać.

Samolot przekreślił się do góry brzuchem i pikował w ciemne morze.

Devereaux stał przy piątej grupie zdjęć przypiętych do tablicy w gabinecie Cohena; oglądał przyprawiające o ciarki unoszące się na falach szczątki leara. Samolot runął do morza niecałą milę od portorykańskiego portu Mayaguez, omal nie rozbijając przy okazji małej flotyli łodzi rybackich. Ekipa ratunkowa, która natychmiast udała się na miejsce katastrofy, nie miała nic do roboty.

- Kto wiedział? - zapytał Devereaux.

- O czym?

- O Ellis. O tym, co znaleźli. O planie ewakuacyjnym? Cohen ziewnął szeroko.

- Ty.

- To oczywiste, ale kto jeszcze? Zastanówmy się nad kolejnością zdarzeń.

- Skoro musimy.

Devereaux puścił mimo uszu przytyk, przysiadł na skraju biurka Cohena.

- O ile dobrze pamiętam, Flint i Hechter pojechali do Ellis zaraz po tym, jak Maitland puścił farbę.

- Tak, w ciągu godziny, kiedy tylko Hechterowi udało się wynająć samochód.

- Maitlandów zabrali ze sobą, prawda? Nikomu z miejscowych nic nie mówili? Ani sędziemu, ani prokuratorowi?

- Nic nikomu.

- Po powrocie z Ellis, jeśli dzwoniли, to wyłącznie z telefonów komórkowych, cyfrowych nie analogowych, tak że raczej nikt ich nie mógł podsłuchać?

- Zgadza się.

Devereaux wziął do ręki oświadczenie Harlinga.

- Do kogo zadzwonili w pierwszej kolejności?

- Do Cuttera.

- Dzwoniła Flint czy Hechter?

- Obydwoje. Flint zadzwoniła, żeby mu powiedzieć, co znaleźli, potem Hechter prosił go o zorganizowanie transportu. Chciał możliwie najszybciej wywieźć archiwum z wyspy, zabrać ze sobą Maitlandów, liczył na pomoc Cuttera.

- I Cutter wysłał samolot.

- Niestety - powiedział Cohen i Devereaux skinął głową.

- Cutter mówił komuś o swoich planach?

- Nikomu, w każdym razie tak twierdzi.

- Wierzysz mi, Harry? Nasz Cutter domaga się od Sił Powietrznych USA samolotu i nie próbuje wyjaśnić, dlaczego tak pilnie jest mu potrzebny? Kupujesz to? Nie uważasz, że trochę nieprawdopodobne?

- To bardzo podobne do Cuttera. Ten facet potrafi zdobywać to, na czym mu zależy. Znany jest też z tego, że nie zdradza swoich sekretów.

Devereaux odchrząknął najwyraźniej nie przekonany. Zwinął oświadczenie w rulon i zaczął uderzać nim w brodę.

- Glennig - mruknął po chwili. - Cutter zadzwonił do Glenninga. Z kim ten rozmawiał?

- Z tobą.

- Nie. Najpierw zadzwonił do Home Office, rozmawiał z sekretarzem ministra spraw wewnętrznych. Jak myślisz, Harry, dlaczego? Dlaczego nie zawiadomił najpierw swoich przełożonych?

- Szefa komisji rządowej nie było akurat w Londynie.

- Nie żartuj, Harry. A jego zastępcę, asystent, zastępcę asystenta? Ich też wymiotło?

- Glenning im nie ufa.

- Na Boga! Powiedział ci coś takiego? - Devereaux nie posiadał się ze zdumienia.

- Raczej sugerował.

- Proszę, proszę. - Devereaux kiwał powoli głową. - Nie tylko Cutter lubi zachowywać swoje sekrety dla siebie.

- Muszę napić się kawy. - Cohen podniósł się ociężale z kanapy. A potem, wybaczone, chciałbym położyć się spać.

Na dębowym stole, który Annie kupiła wkrótce po ślubie -lubiła takie nieprzewidziane, spontaniczne zakupy - stał lśniący chromem ekspres ciśnieniowy, podarunek od Annie na czterdzieste urodziny Cohena. Patrzyła, z jaką radością Harry rozpakowuje podarunek. Powiedziała wtedy, że mąż jest jedyną znaną jej osobą, na którą kawa działa usypiająco. Sześć tygodni później dowiedziała się, że niewiele jej życia zostało.

- Ja dziękuję - mruknął Devereaux. - Nie zmrużyłbym oka przez resztę nocy. - Wyjął z kieszeni zegarek i spojrzał na niego z udanym zdziwieniem. - Wielkie nieba, ale późno. Skończmy i będę się zbierał.

Cohen zabrał się do przyrządzania kawy, Devereaux zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, podejmując monolog:

- Glenning dzwoni do sekretarza ministra spraw wewnętrznych, rozmawia z samym ministrem, który o niczym nie chce wiedzieć. Następnie sekretarz ministra dzwoni do mnie, nie informuje nikogo poza tym, dzięki Bogu. Mówi mi, żebym zajął się sprawą. Ja dzwonię do Glenninga i umawiam się z nim w jakiejś obskurnej winiarni na Victoria Street, jeśli dobrze pamiętam. I to wszystko. Bardzo mały krąg ludzi. „Nikt nie może o niczym wiedzieć, aż zapoznamy się z dokumentacją Maitlanda”, tak postanowiliśmy, Harry. „Dopóki

Flint nie wróci do domu, nikomu ani słowa”. I nikomu nie powiedzieliśmy ani słowa, tego jestem pewien.

- Nic nie mówiłeś swojej sekretarce? Nie zostawiłeś jakiejś notatki?

- Wtedy nie. Później owszem, ale dopiero po powrocie Flint.

- Glenning mówi to samo.

- Klub czterech. Nikt poza nami nie miał o niczym pojęcia, nawet dyrektor generalny, który nigdy mi tego nie wybaczy.

Cohen skończył przygotowania i obserwował, jak ciemny płyn ciurcze do filiżanki.

- Ktoś wiedział - rzekł wreszcie.

- W tym sęk, Harry. Wracamy znowu do Cuttera. To on musi być słabym ogniwiem. Albo nie był tak dyskretny, jak sądzisz, albo...

Devereaux zatrzymał się koło Cohena. Włożył płaszcz, nagle zaczęło mu się spieszyć.

- Albo?

- Albo należy do spisku. Devereaux uśmiechnął się smutno.

- Pomyśl o tym, Harry, proszę.

Ruszył szybko na górę, przeskakując po dwa stopnie.

- Do zobaczenia w poniedziałek! - zawołał jeszcze z holu i Cohen usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi. W trudnych dla siebie momentach Annie trzaskała tak samo.

RS

ROZDZIAŁ 4

I

Flint, przemagając zmęczenie, wystukała numer telefonu swojego męża. Przed oczami miała jego dom: strome schody, lśniące drewniane podłogi, obszerną kuchnię w przyziemiu. I okno na pierwszym piętrze. Któregoś wieczoru przejeżdżała tamtędy i zobaczyła Jamiego trzymającego w ramionach swojego nieślubnego syna.

- Słucham - w słuchawce rozległ się energiczny, ostry głos Caroline. W tle słyhać było gwar głosów, śmiechy. -Słucham?

- Mogę prosić Jamiego?

- Kto mówi?

- Jego żona.

Była to prawda, bo do tej pory się nie rozwiedli, ale dlaczego tak się przedstawiła? Prawdopodobnie chciała dokuczyć Caroline, sprawić, by tamta poczuła się niepewnie. Przyrzekała sobie, że nigdy tego nie zrobi, ale słowa padły i nie można było ich cofnąć.

Wyobrażała sobie, jak Caroline przysłania mikrofon słuchawki dłonią i szepcze poirytowanym tonem:

- To ona! Twoja żona.

Zdumienie malujące się na twarzy Jamiego, jego próby uspokojenia Caroline.

- Grace?

- Dzwonię nie w porę?

- Rzeczywiście. Właśnie siadamy do kolacji. O co chodzi?

- Muszę się z tobą zobaczyć.

Zawahał się przez moment.

- Rozmawiam z telefonu bezprzewodowego. Słabo cię słyszę, przejdę gdzie indziej.

Nie chciał, żeby Caroline słyszała rozmowę, to jasne. Wyszedł do ogrodu, przepaszając na migi swoich gości.

- Grace - podjął cicho - obiecałaś.

- Co obiecałam?

- Że nie będziesz dzwoniła do mnie do domu. Wiesz, jak ją to irytuje.

- Muszę się z tobą zobaczyć - powtórzyła.

- Świetnie. Kiedy? Jutro? Mam przyjechać do ciebie?

Nie. Tylko nie to. Nie tym razem. Wymieniła nazwę restauracji w Covent Garden, którą obydwójce dobrze znali, umówiła się na pierwszą i odłożyła słuchawkę.

Wyobrażała sobie, jak Jamie podchodzi do Caroline, opowiada jej jakieś naprędce wymyślane kłamstwo, i próbowała, nie po raz pierwszy, odpowiedzieć sobie na dręczące ją od dawna pytanie: jeśli własny mąż oszukuje matkę swojego nieślubnego dziecka, jeśli wymyka się do ciebie na potajemny lunch, a potem, kiedy potrzeba okazuje się silniejsza od bólu, idziecie do łóżka, czy to jest romans?

W Orso, jak zwykle w porze lunchu, panował tłok, ale Jamiemu udało się zdobyć stolik pod ścianą, gdzie można było w miarę spokojnie rozmawiać. Podniósł się na widok Flint i uśmiechnął szeroko, widząc, że włożyła jego ulubioną suknię w stylu lat trzydziestych. Na szczęście w ostatniej chwili zrezygnowała z surowego kostiumu, w którym zamierzała iść na spotkanie. On sam był w garniturze i krawacie, ale tego mogła się

spodziewać. Gdyby włożył rzeczy, które lubiła, jak wytłumaczyłby to Caroline?

Ujął jej dłonie i pocałował w policzek.

- Fantastycznie wyglądasz - powiedział.

- Nie czuję tego.

Uniósł lekko brodę Flint, spojrział jej w oczy.

- Zamówię twoje ulubione dania, napoję cię winem i będę rozśmieszał, dopóki ponury nastrój nie minie. Zgoda?

Flint cofnęła dłonie, usiadła, poprosiła, żeby nalał jej wody.

- Nie spotkałam się dzisiaj z tobą, żebyś mnie uwodził.

- Co w takim razie mogę dla ciebie zrobić?

Zacząła opowiadać. Widziała, jak z twarzy Jamiego opada maska pozornego zainteresowania i pojawiają się na niej uczucia, najpierw zakłopotanie, potem, kiedy usłyszał czego od niego oczekuje, przerażenie.

- Na litość boską, Grace, nie mogę tego zrobić! - wybuchnął.

- Dlaczego?

- Ponieważ prosisz mnie o ściśle tajne informacje. Nie mogę ich zdobyć dla ciebie. To wykluczone.

- Daj mi skończyć. Jamie.

- Nie. Wybacz, Grace, nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Wiesz, jak nie znoszę tych twoich policyjnych afer.

- Jamie...

- Nie.

Przywołał skinieniem ręki kelnera i zgłębił się w karcie dań.

- Poszukajmy czegoś, co wprawi cię w lepszy nastrój. Zgodziła się, żeby wybrał jedzenie i wino, a potem, w czasie posiłku, słuchała cierpliwie

jego opowieści o życiu w City, o potentatach i operacjach rynkowych, o których nie przeczyta się raczej w „Financial Times”. Jamie miał talent naśladowczy; opowiadając kolejne anegdoty, znakomicie parodiował akcent, drobne gesty, sposób bycia różnych osób. Wystarczyło zamknąć oczy, a człowiek mógł uwierzyć, że słucha niedyskrecji ministra skarbu albo gniewnych uwag Ruperta Murdocha. Jamie się nie chełpił, w przytaczanych historiach własną osobę lokował w tle; skromny obserwator wydarzeń na Threadneedle Street, gdzie działo się tyle interesujących rzeczy.

Flint uśmiechała się we właściwych momentach, a Jamie promieniał, czarował, robił wszystko, by zauroczyć swoją naiwną żonę i spędzić z nią popołudnie. Słuchając go, zastanawiała się, jaki instynkt przestrzegł ją przed przyjęciem nazwiska Jamiego. Co się zmieniło? Dlaczego teraz była całkowicie odporna na jego zabiegi?

Kiedy już zjedli i zapłacili, Jamie zapytał:

- Masz wolne popołudnie? Ja odwołałem wszystkie spotkania.

Moglibyśmy wybrać się do kina, na spacer albo... -zawiesił głos.

W obawie, że gotów za chwilę wstać i wyjść, wzięła go za rękę.

Opacznie zrozumiawszy jej gest, Jamie zaczął głaskać jej dłoń.

- Posłuchaj, Jamie. Pięć dni temu został zamordowany mój serdeczny przyjaciel. Zginęły jeszcze trzy osoby, ale ja musiałam zidentyfikować jego ciało - a raczej to, co z niego zostało. W samolocie, którym leciał, ktoś podłożył bombę. Maszyna runęła do morza i rozbiła się na tysiąc kawałków. Pokazali mi jego rękę. To wszystko, co z niego zostało. Ręka. Jakby ktoś odciął ją tasakiem. Poznałam obrączkę na palcu.

Jamie zbladł, słuchał bez słowa.

- Muszę dostać ludzi, którzy to zrobili, a ty masz w swoim banku informacje, które mogą mnie do nich doprowadzić. Nie obchodzi mnie, że są poufne. Mam gdzieś, że złamiesz przepisy. Wydostań te informacje, nawet gdyby mieli cię wylać z pracy. Zdobądź je dla mnie, proszę.

Jamie cofnął rękę, przewracając przy okazji butelkę z wodą. Drżał z wściekłości.

- Grozisz mi?

- Tylko cię proszę.

- A jeśli nie spełnię twojej prośby, co wtedy zrobisz, Grace? -

Wymówił jej imię takim tonem, jakby to było jakieś obsceniczne słowo.

Flint westchnęła ciężko.

- No powiedz, co zrobisz?

- Porozmawiam z Caroline. Powiem jej coś, czego z pewnością nie chciałyby usłyszeć. Powiem, że sypiasz ze mną przy każdej nadarzającej się okazji. Powiem, jak błagałeś, żebyśmy znowu byli razem, ale ja się nie zgodziłam, bo za dobrze cię znam.

W oczach Jamiego błysnęła nienawiść.

- Ty suko! - wycedził ochryplym szeptem.

Flint była nieporuszona.

- Słyszałam to już od gorszego drania niż ty, Jamie. Zmasakrował mi twarz. Ty depczesz tylko uczucia innych ludzi.

Jamie wstał gwałtownie, rzucił serwetkę na stół i ruszył do wyjścia, przepychając się między stolikami.

- Załatw to jeszcze dzisiaj. Czekam do piątej! - zawołała za nim.

Dotrzymał terminu. Robiła właśnie herbatę, kiedy usłyszała stuknięcie klapy na listy. Wyjrzała przez okno i zobaczyła go

wychodzącego z ogrodu na ulicę. Trzasnęła furtka, płosząc szpaki, odezwał się silnik BMW, zgrzyt wrzucanego biegu.

Na podłodze pod drzwiami leżała brązowa koperta. Flint zważyła ją w dłoni; wewnątrz mogło być pięć, sześć kartek, sądząc po ciężarze. Przeszła do salonu i położyła kopertę na gzymsie kominka. Przez otwarte okno słyszała podniesione głosy bawiących się w pobliżu dzieci. Zastanawiała się przez moment, czy syn Jamiego kiedykolwiek posmakuje podobnej swobody. Znając lękliwość Caroline, bardzo w to wątpiła.

Zaniosła herbatę do sypialni i wyciągnęła się na łóżku. Czuła cudowny spokój: dziwna reakcja w tych okolicznościach. Śmierć Hechtera wstrząsnęła nią o wiele bardziej niż inne katastrofy, których ostatnio nie brakowało w jej życiu. Znacznie bardziej niż śmierć Pete'a Pendle'a, a przecież zginął na jej oczach, czy napaść Bullera albo mactwa Jamiego. Hechter był jedynym człowiekiem, któremu całkowicie ufała. Kiedy wszystko wokół zaczynało się walić, kiedy poznała mroczne tajemnice Franka Harlinga, stał się dla niej jedyną ostoją.

I odszedł. Po powrocie z San Juan, gdzie pokazali jej rękę Hechtera, żyła jak we mgle, działała jak automat. Niezdolna do myślenia, oteęła, spełniała tylko polecenia innych, jakby uszła z niej cała chęć życia.

Wreszcie się ocknęła.

Kiedy złożyła mu raport, Glenning powiedział:

- Chcę żebyś wzięła urlop, Flint. Kilka tygodni, więcej, jeśli będzie trzeba. Boję się o ciebie. Zbyt wiele ostatnio przeszłaś. Odpocznij, a my skończymy sprawę.

Cutter, dzwoniąc z Miami, mówił mniej więcej to samo:

- Dostaniemy ich, Grace. Możesz mi wierzyć. Przystopuj, dziewczyno, słyszysz?

Przekonani, że się skończyła, pewni swego, chcieli się jej pozbyć.

Powoli zapadała w sen, myśląc o kopercie, do której jeszcze nie zajrzała.

Obudziła ją melodyjka furgonetki lodziarza. Wstała, zrzuciła ubranie, wzięła prysznic, włożyła szorty i przewiewną bluzkę bez rękawów. Z lodówki wyjęła zupę z rukwi i napoczętą butelkę białego wina. Spośród kompaktów wybrała płytę Annie Lennox, włączyła odtwarzacz. Wyjęła z szuflady sekretarzyka notatnik i dwa flamastry. W kolekcji albumów analogowych odnalazła album Jimiego Hendrixa, wydobyła z koszulki notatki spisane z oświadczenia Franka Harlinga.

Skończywszy przygotowania, usiadła przy sosnowym stole pod oknem w bawialni i wreszcie otworzyła szarą kopertę.

W sumie siedem kartek, jeśli liczyć mały, pożegnalny *post-it* od Jamiego: „Jeśli coś jeszcze do mnie czujesz, zniszcz te papiery. Nie chcę więcej cię widzieć”.

- I nie zobaczysz. Możesz mi wierzyć - mruknęła, naśladowując akcent Cuttera.

Upiła trochę zupy i zaczęła czytać pisane skrótami notatki z oświadczenia Harlinga. „3 tyd. sierpnia. \$ 7, 5 miliona, New World do NatWest. Oskarżenie o oszustwa fin. FH areszt. 1 raz «pan Brown»”. I pod spodem znacznie większymi literami: „Kim jest klient???” , bo o tym Harling w swoim oświadczeniu nie wspomniał ani słowem.

W poszukiwaniu odpowiedzi odkleiła kartkę Jamiego i zobaczyła nagłówek listu przesłanego przez prawników National Westminster do Bank of England:

ŚCIŚLE POUFNE *Dotyczy: MARIO ANTONIO SILVY*

Sącząc wino, czytała o działalności Silvy. Z tekstu wynikało, że był maklerem giełdowym w jednej ze znanych firm w *Cu ty*. Obracał pieniędzmi klientów bez ich wiedzy i zgody. Grał ostro na giełdzie, zyski chował do kieszeni, a jeśli tracił pieniądze, usiłował to ukryć, fałszując zapisy bankowe. National Westminster został wplątany w malwersacje Silvy, kiedy ten próbował dokonać przelewu ze swojego konta na Lawrence Islands do jednego z londyńskich oddziałów Westminster. Policja trafiła w końcu na ślad Silvy. Aresztowano go razem z podejrzanym o współudział niejakim Frankiem Arthurem Harlingiem. Dowody były aż nazbyt oczywiste; 7, 5 miliona dolarów Westminster zdeponował w Bank of England, oczekując postanowienia sądu.

Na następnej kartce były fotokopie przelewu, kliringu bankowego i pokwitowania, które Frank podpisał na moment przed zatrzymaniem.

Na kolejnej kartce Flint znalazła kserokopie notatek prasowych informujących o aresztowaniu Silvy i szoku, w jaki ta wiadomość wprawiła jego podwładnych. „Financial Times” wspominał, że Silva mieszkał na Montague Square. Flint zapisała to w swoim notesie. Już widziała, jak chodzi od domu do domu, czytając nazwiska przy dzwonek. Może trafi na ślad tego człowieka, odnajdzie jego żonę? Przypomniała sobie, jak zaczynając pracę w policji, usiłowała bezskutecznie wytropić jakiegoś drobnego przestępcę, aż poirytowany jej nieudolnością sierżant warknął: „Może byś tak zajrzała do spisu

abonentów?". Zajrzała i znalazła delikwenta. Uśmiechając się na to wspomnienie, sięgnęła po książkę telefoniczną: cała kolumna nazwiska Silva, kilku Mario, ale przy żadnym adresu na Montague Square.

Wróciła do notek prasowych. Silva stanął przed sądem w Old Bailey, przyznał się do winy i dostał dwa lata. Flint nie wierzyła własnym oczom: w sumie zdefraudował około 30 milionów funtów i poszedł do więzienia tylko na dwa lata!

Pomyślała, że to błąd drukarski, jedno z tych typowych dla „Guardiana” potknięć sprawiających, że fakty zmieniają się w absurd. Dwanaście lat? Nie. Przeczytała uważnie notatkę. Nie ma mowy o pomyłce.

Wydając orzeczenie, sędzia Barth powiedział: „Nieuczciwe operacje na taką skalę, na jaką działał oskarżony, zasługują na surową karę. Biorąc pod uwagę, że oskarżony przyznał się do winy i że większość skradzionych pieniędzy wróciła do kraju, a także uwzględniając inne okoliczności, sąd postanowił złagodzić wyrok. Pan Silva może się uważać za szczęśliwego człowieka”.

W notatce zabrakło wyjaśnienia, jakie „inne okoliczności” sąd wziął pod uwagę.

Zadzwoił telefon. Flint nie podniosła słuchawki, czekała, aż odezwie się sekretarka. „Nie mogę odebrać, zostaw wiadomość po sygnale”, usłyszała własny opryskliwy głos. Nagrała kiedyś to powitanie w przyпыłwie złego humoru i jakoś nigdy nie pomyślała, żeby je zmienić.

- Gracie, kochanie, tu John - odezwał się ojciec. - Chciałem wiedzieć, czy już wróciłaś i jak się czujesz. Zadzwoń. Całuję cię mocno.

Widziała go oczami wyobraźni: siedzi przy kuchennym stole, który służył mu również za biurko, przytrzymuje słuchawkę ramieniem, odsunął talerz z niedokończoną kolacją i z roztargnieniem przerzuca pocztę. Na kredensie leżą zapewne czekające na korektę szczotki jego najnowszej powieści. Od kiedy sięgała pamięcią, spisywał przygody małomiasteczkowego koronera, którego pasja do farmakologii pozwalała mu rozwiązywać najbardziej skomplikowane zagadki kryminalne. Jako dziecko zasypiała, wsłuchując się w stukot ojcowskiej maszyny do pisania. Czuła się wtedy bezpiecznie.

Powinna oddzwonić, powiedzieć, że u niej wszystko w porządku, ale wiedziała, że ojciec zapyta o Karaiby. Nie potrafiła go okłamywać, a prawda nie przeszłaby jej przez gardło. Nie oddzwoniła.

Ostatnie trzy kartki to było wewnętrzne memorandum sporządzone w Bank of England i opisujące szczegółowo, jak poradzono sobie z finansowymi reperkusjami „sprawy Silvy”.

Nie odwołano się już do sądu. Problem rozwiązano na drodze układów, kompromisów, dwustronnych porozumień, korzystając z rad dobrze opłaconych prawników. Kiedy czytała zakończenie memorandum, przeszedł ją zimny dreszcz.

KONSEKWENCJE WYROKU W SPRAWIE SILVY

Pan Silva, skazany na dwa lata więzienia, został zwolniony przedterminowo po ośmiu miesiącach. Z poufnych informacji wiadomo nam, że sędzia Barth przed rozpoczęciem procesu odbył rozmowę z wysokim urzędnikiem służb specjalnych, który zapewnił go, że pan Silva, acz formalnie nie związany ze służbami specjalnymi, wielokrotnie działał

„w interesie kraju" i że były to działania, co wielokrotnie podkreślano, „ogromnej wagi państwowej".

Po części wyjaśnia to, dlaczego zapadł tak łagodny wyrok.

Po wyjściu z więzienia pan Silva opuścił Wielką Brytanię, obecnie mieszka w Paryżu i zajmuje się handlem dziełami sztuki.

Flint skończyła czytać i wrzuciła fotokopie dokumentów do kominka. Spalone kartki roztarła na proch, popiół zgarnęła na zmiotkę, wsypała do zlewozmywaka i splukała wodą, aż zniknęła ostatnia drobina.

II

Letnia burza, która nadciągnęła od Atlantyku, zaskoczyła londyńczyków. Cohen skrył się przed zacinającym deszczem w niszy apteki na Marylebone Street. Już się spóźnił na spotkanie, ale na próżno usiłował zatrzymać którąś z przejeżdżających taksówek. Chciał zrezygnować i wrócić do biura, kiedy usłyszał, że ktoś go woła.

- Harry! Cohen!

Z okna jaskrawoczerwonego mercedesa SLK uśmiechała się do niego promiennie Sara Spenny, niepomna na to, że tamuje ruch na jezdni. W odruchu niechęci Harry przypomniał sobie powiedzenie Devereaux, że Sara łyka mężczyzn na śniadanie. „Jak czarna wdowa, stary, pożera swoich partnerów".

- Wskakuj - zawołała. - Podrzucę cię.

Zniecierpliwieni kierowcy zaczęli trąbić na mercedesa, skracając wahania Harry'ego. Szybko przebiegł na drugą stronę ulicy i po chwili siedział już w samochodzie.

- Dlaczego mnie unikasz? - zapytała Sara, naciskając pedał gazu.

- Tak uważasz?

Na pytanie Cohena odrzuciła głowę do tyłu, wybuchnęła śmiechem i z wizgiem opon skręciła w Wigmore Street.

- Dzwoniłam do ciebie' w tym miesiącu trzy razy.

- Wiem. Przepraszam cię. Chciałem oddzwonić, ale jakoś nie wyszło.

- Cohen zeszywniał, widząc, jak Sara o włos mija jakiegoś rowerzystę. - Jestem ostatnio trochę zajęty.

- I w związku z tym przestałeś jeść?

- Owszem, bywa i tak.

Sara w milczeniu pojechała na skróty boczną uliczką, cudem tylko unikając zderzenia z ciężarówką. Samochód zatańczył na śliskim bruku, ale nie zwolniła. Cohen wstrzymał oddech.

Devereaux przestrzegął go:

„Zapamiętaj moje słowa. Ta kobieta postanowiła cię mieć”. -Cohen fuknął coś wtedy, ale poczuł się jak wydany na pastwę. Kiedy skręcili w Orchard Street, powiedziała:

- Nie możesz tak stronić od ludzi.

- Wcale nie stronie - zaprotestował bez przekonania.

- Annie by tego nie pochwałała.

- Wiem.

- Więc kiedy?

- Co kiedy?

- Kiedy przyjdiesz do mnie na kolację?

Przejechała skrzyżowanie na żółtym świetle, skręciła w prawo pomimo zakazu i tym sposobem znaleźli się na Oxford Street. Cohen zamknął oczy, piesi gwałtownie odskakiwali na chodnik.

- Niebawem - szepnął słabo.

- W piątek.
- W ten piątek? Nie wiem, czy będę w Londynie.
- Nie kręć.

Koło Marble Arch, gdzie wszyscy zmieniają pasy, jak się komu podoba, Sara jeszcze dodała gazu i śmigając między samochodami, pognęła w dół Park Lane.

- Dokąd my właściwie jedziemy, Saro?

- Nie wiem. - Uśmiechnęła się szeroko. - Nie powiedziałeś mi.

- Jezu! - jęknął, kiedy wzięła zakręt przy Hyde Park Corner z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę. - Wsiądę na Pall Mall, na St. James, gdzieś tutaj, wszystko jedno.

- Trzymaj się! - Tyłem mercedesem niebezpiecznie zarzuciło. - Nie wygłupiaj się, przemokniesz do suchej nitki. Gdzie się umówiłeś na lunch?

Cohen chwycił się deski rozdzielczej. Sarah wjechała na Constitution Hill, wyprowadziła wóz z poślizgu.

- W Reform.

- Ha! - zawołała z satysfakcją. - Więc jednak czasami jadasz. Ale żeby w Reform? Nic nie mów. Umówiłeś się z tym starym lisem Devereaux.

Spojrzała na niego, oczekując odpowiedzi. Gorliwie pokiwał głową, prosząc Boga w duchu, żeby patrzyła raczej na drogę.

- Możesz go ucałować ode mnie.
- Nie omieszkam.
- Rozmyślałam się. Bez ucałowań. On też mnie unika.
- Wydaje ci się, Saro.

Sara znowu parsknęła głośnym śmiechem i przemknęła koło Buckingham Palace.

- Czy ty się mnie boisz, Harry?

W każdej chwili oczekując karambolu, Cohen wybrał półprawdę:

- Tylko wtedy, kiedy prowadzisz.

Sara zatrzymała się przed klubem, podstawiła Cohenowi policzek do pocałowania, oznajmiła, że ma być u niej w piątek wieczorem punkt ósma, po czym w labiryncie uliczek w pobliżu St. James zaparkowała na chodniku, przy pierwszym napotkanym automacie telefonicznym.

Wystukała numer, który znała na pamięć. Po pierwszym sygnale w słuchawce odezwał się głos.

- Szpak.

- Drozd. Jest w Reform Club na Pall Mall. Ma spotkanie z Devereaux.

- Widział cię?

- Jasne. Zawiozłam go tam osobiście.

Rozmówca Sary rozłączył się.

Portier poprowadził Cohena przez wielki hol i restaurację klubową do drzwi z napisem „Wyjście ewakuacyjne”, za którymi jakoby miał czekać Devereaux, co nie do końca było zgodne z prawdą. Cohen znalazł się na podeście schodów, naprzeciwko następnych drzwi, tym razem pozbawionych klamki. Zapukał i zaczął nasłuchiwać. Miał niemiłe wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Zapukał ponownie, drzwi się uchyliły, w szczelinie pojawiła się głowa kobiety o mysich włosach i wodnistych niebieskich oczach. Kobieta

patrzyła na Cohena pozbawionym wyrazu wzrokiem, gdy z wnętrza rozległ się donośny głos.

- Wpuść tego biedaka, Alice, zanim zapaści korzenie. Otworzyła z ociąganiem, na tyle, że Cohen z trudem przecisnął się do środka, i natychmiast zatrzasnęła drzwi.

- Musisz wybaczyć Alice - powitał gościa Devereaux. - Pilnuje swojego królestwa. Nie każdemu dane jest przekroczyć ten święty próg, prawda, Alice? - Alice posłała Cohenowi podejrzliwe spojrzenie i zniknęła w niewielkiej kuchence. Na chudych nóżkach, ubrana w czerń, wyglądała jak żałobnica spiesząca pożegnać zmarłego.

- Alice ma jeszcze jedną zaletę - dodał Devereaux. - Jest niemal zupełnie głucha. - Uśmiechnął się szeroko, wyraźnie zadowolony z siebie. - Jak się masz, Cohen? Już myśleliśmy, że umarłeś.

Cohen zaczął mamrotać coś o kłopotach ze znalezieniem taksówki, ale Devereaux nie interesowały jego wyjaśnienia.

- Znasz chyba wszystkich. Tom Glenning, Peter Nicolson i, oczywiście, nasz nowy, prześwietny szef.

Siedzący przy długim stole mężczyźni skinęli na powitanie głowami: szpakowaty, piegowaty komandor Glenning w niebieskim swetrze zamiast w mundurze, Peter Nicolson z Home Office, wysoki, kościsty, z przylizanymi włosami, w eleganckim garniturze i wreszcie dziobata pani dyrektor wydziału, wyraźnie niezadowolona, że Devereaux nazwał ją „prześwietnym szefem”.

- Nie mam nic przeciwko temu, że dyrektorem będzie kobieta - mówił Devereaux, kiedy zadzwonił do Cohena z informacją o mianowaniu na stanowisko Barbary Dixon. - Nie przeszkadza mi też, że nie ma pojęcia

o pracy służb specjalnych i że zamierza zrobić z wydziału kopię FBI. Co mnie odrzuca, to jej skłonność do bratania się ze wszystkimi dookoła. Kazała mi zwracać się do siebie po imieniu! Niedługo zażąda, żeby nazywać ją Babs!

- Przestań z tym dyrektorem i prześwietnym szefem, A.J.. - powiedziała sucho. - Witaj, Harry. Nalej sobie kawy i zaczynamy.

Alice podsunęła Cohenowi filiżankę, wskazała na termos i na powrót zniknęła w małej kuchence.

Dixon odchrząknęła.

- W jakim miejscu jesteśmy? Ilu mamy podejrzanych?

- Jak dotąd dziewięciu - odpowiedział Devereaux. - Sześciu od nas, jednego z policji, dwóch z MI5.

- Z MI5? - zareagował Nicolson ostro. - Myślałem, że Harling wskazywał przede wszystkim na waszych ludzi.

- Nie tylko - powiedział Cohen, siadając przy stole obok Barbary. - Harling mówił o „służbach specjalnych”, „wywiadzie brytyjskim”, ale nigdy nie sprecyzował dokładnie, którą agendę ma na myśli. Albo nie widzi różnicy między służbami bezpieczeństwa i służbami wywiadowczymi, albo jego pełnomocnicy nigdy do końca nie ujawnili, kim są. Według nas byli tam ludzie i z bezpieczeństwa, i z wywiadu. Tak przynajmniej uważa Flint.

Nicolson zwiesił bezradnie ramiona.

- Wspaniale! Prawdziwa epidemia. Ministra szlag trafi.

- Mówimy na razie o przypuszczeniach, Peter. Jakoś nikogo nie uspokoiły słowa Devereaux.

Dixon wyjęła chusteczkę i zaczęła wycierać szkła w ciężkich szylkretowych oprawkach; wielkie okulary upodobały ją do ciekawie przyglądającej się światu sowy.

- Harry, może teraz ty zreferujesz, co wiesz. Nic nie notujemy, panowie.

Na podstawie zapisków Flint, sporządzonego przez nią indeksu i chronologicznej rekonstrukcji wydarzeń, Cohen zestawiał trzy wykazy: osób, dat i przelewów dokonywanych przy udziale Harlinga. Kiedy były już gotowe, skasował pliki w komputerze, pozostawiając po jednym wydruku każdej listy.

Podsunał je teraz Barbarze Dixon i zaczął mówić:

- Na pierwszej kartce w pierwszej kolumnie mamy nazwiska osób, których interesy Harling prowadził, oraz krótkie rysopisy zaczerpnięte z jego oświadczenia. W sumie jedenaście nazwisk, w tym cztery z policji.

- Nie rozumiem - wtrącił Nicolson. - Przed chwilą była mowa, że jest tylko jeden podejrzany pracownik policji.

- Jeden, co do którego mamy potwierdzenie - podkreślił Devereaux.

- Podczas zatrzymania Harlinga obecnych było trzech policjantów i Scaby, prawnik policyjny. Przesłuchanie trwało kilka godzin. Harling utrzymywał, że poszedł do banku zrealizować zlecenie jednego ze swoich klientów, niejakiego Mario Silvy, o którym ponoć nic nie wiedział. W końcu zostawiono go samego w pokoju przesłuchań, po czym wieczorem jeden z policjantów, inspektor...

Cohen zajrzał do notatek, szukając nazwiska.

- McNally - przyszedł mu z pomocą Glenning. - To jeden z moich ludzi.

- Zgadza się, McNally. Inspektor McNally powiedział, że zabiera Harlinga na posterunek na Holborn pod zarzutem obrotu kradzionymi pieniędzmi, gdzie spędzi noc w areszcie, by następnego dnia stanąć przed sądem rejonowym na Bow Street. McNally nie zawiózł jednak Harlinga na Holborn. Odjechali samochodem, który czekał przed Elm House, i po Franku Arthurze Harlingu wszelki ślad zginął.

- Z oświadczenia Harlinga wynika, że w samochodzie siedział mężczyzna, który przedstawił się jako „Brown z wywiadu”. - Cohen przerwał, dając do zrozumienia, że zbliżają się do sedna sprawy. - Zamiast w celi Harling spędził noc w hotelu w pobliżu Heathrow, najprawdopodobniej na koszt podatników. Następnego dnia rano „pan Brown” wyjaśnił, jak Harling, „służąc krajowi”, może wywikłać się z kłopotów.

- Dajmy sobie spokój z „panem Brownem”. W tym gronie możemy chyba nazywać go prawdziwym nazwiskiem - powiedziała Barbara Dixon.

- „Pan Brown” to Patrick Shilling - odezwał się Devereaux. - Mój zastępca, niech go piekło pochłonie.

- Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, Harry?

- Najmniejszych.

- Mam nadzieję, że nie jest już twoim zastępcą - rzucił Nicolson. Devereaux rąbnął pięścią w stół.

- A właśnie, że jest!

- Nie odsunięto go?

- Nie!

- Dlaczego, na litość boską?

- Peter, naprawdę nie rozumiesz, że nie wolno płoszyć koni?

W pokoju zapadła cisza, tylko z kuchni dochodziły odgłosy krzątania Alice przygotowującej herbatę.

Atmosferę rozładowała dopiero Dixon swoim trzeźwym pytaniem:

- Cofnijmy się na chwilę. Tom, widziałeś raport dotyczący zatrzymania Harlinga? Co tam jest? Masz chyba dostęp do raportów wydziału przestępstw finansowych?

Glennig skończył nabijać fajkę i zapalił ją.

- Pewnie, że mam. Trzydziestu moich chłopców pracuje w Elm House. - Wypuścił obłoczek pachnącego wiśniami dymu. - Nie ma raportu o zatrzymaniu Harlinga. Nigdzie go nie ma. Z akt policyjnych mogłoby wynikać, że Harling do dnia spotkania z Flint i Pendle'em był czysty jak łąza.

Nicolson spojrział na zegarek. Za trzy godziny miał spotkać się z ministrem, zreferować mu zasięg afery. Coraz mniej mu się to uśmiechało.

- Powinny być jakieś notatki, nagrania, cokolwiek - powiedział.
- Kasety i notatki - przytaknął Glennig.
- Musiały zostać zachowane - naciskał Nicolson.
- W rzeczy samej. Chociażby w aktach Silvy.
- Nawet jeśli Harling nie został postawiony w stan oskarżenia, ludzie z wywiadu kryminalnego powinni mieć go w swoich rejestrach.
- To prawda.
- W komputerowej bazie danych.
- Właśnie.
- Nie wprowadzono jego nazwiska?
- Albo nie wprowadzono, albo je usunięto.

- I zrobił to ktoś z wywiadu kryminalnego? - W głosie Nicolsona narastało niedowierzenie.

- Albo ktoś, kto miał dostęp do baz danych.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś nieuprawniony może usunąć zapis raz na zawsze, nie pozostawiając śladu?

- Najwyraźniej - przytaknął Glenning ponuro. Nicolson zwrócił się do Devereaux:

- Czy wasz wydział ma dostęp do baz?

- Nie bezpośrednio. Nieformalnie, mamy. Jeśli ładnie poprosimy.

Znowu do Glenninga:

- A służby bezpieczeństwa? Mają?

- Jeśli bardzo ładnie poproszą.

- I mogą usunąć dane z bazy?

- Tylko przy pomocy kogoś z wywiadu kryminalnego. Nicolson zwrócił się teraz do Cohena:

- Co ty na to?

- Mogę powiedzieć ci to samo co Glenning.

- Dobry Boże, jaki zasięg ma ta afera?

Harry Cohen przeprosił, musiał iść do toalety. Reszta skorzystała z przerwy, żeby rozprostować nogi. Nicolson chciał rozsunąć zasłony i otworzyć okno. Już wyciągnął rękę, kiedy Devereaux go powstrzymał.

- Nie.

- Słucham?

- Podśluch. Zasłony zabezpieczają nas przed podśluchem - tłumaczył Devereaux. - Chyba nie chcesz, żeby ktoś nagrał naszą rozmowę?

Nicolson patrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

- Wyobraź sobie, że w furgonetce na dole siedzą technicy Shillinga ze słuchawkami na uszach i nagrywają każde nasze słowo.

- Myślałem, że umówiliśmy się tutaj, żeby zmylić trop. Że jesteśmy bezpieczni.

- Owszem - przytaknął Devereaux. - Ale ktoś z nas mógł być śledzony. Tom, przyszedłeś z obstawą, prawda?

- Strzeżonego Pan Bóg strzeże - odparł Glenning poufnym tonem.

- Śledzili cię, Peter?

Nicolson, zdezorientowany, ciągle stał przy oknie.

- Skąd mogę wiedzieć?

- Otóż właśnie - powiedział Devereaux. - Moi ludzie mogliby chodzić za tobą nawet przez rok i nic byś nie wiedział. To żaden zarzut. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi też nie miałyby o niczym pojęcia. Na to liczymy.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście.

Nicolson powoli wrócił do stołu.

- Chciałem cię o coś zapytać. Chodzi o Cohena. Wiem, że go cenisz, ale czy rzeczywiście powinien prowadzić dochodzenie?

- To jedyny człowiek, któremu możemy całkowicie zaufać. Nicolson nie odezwał się ani słowem, zmuszając Devereaux, by mówił dalej.

- Nie wiemy, kto jest w zмовie z Shillingiem, ale możemy mieć pewność, że na pewno nie Harry Cohen. To on pierwszy, dwa lata temu, powiedział ówczesnemu dyrektorowi wydziału, że Shilling prowadzi nielegalne operacje. Szef zignorował wtedy jego ostrzeżenia. Mówimy o

twoim poprzedniku, Barbaro. - Dotknął ramienia Dixon, jakby chciał ją rozgrzeszyć.

- Harry jest poza wszelkim podejrzeniem - ciągnął. - Jest absolutnie czysty. Poza tym pracował u nas, doskonale zna sytuację, jest zorientowany w układach. - Devereaux uśmiechnął się. - Można powiedzieć, że zna wszystkie nasze Sposoby.

- Ale czy ma wystarczające doświadczenie, żeby się ustrzec przed nimi... - Nie kończąc zdania, Nicolson wskazał w stronę okna, za którym mieli kryć się domniemani szpiedzy.

- Staram się czuwać nad Harrym - wtrącił Glenning, ale Nicolson zignorował jego słowa.

- Czy uważasz, że Cohen się nadaje? - powtórzył swoje pytanie.

- Nie mamy nikogo innego, Peter.

Dwie godziny później Nicolson miał umówione spotkanie z ministrem. Chciał jak najszybciej wyjść z narady w Reform.

Ciążyły mu usłyszane tu rewelacje. Mógł powiedzieć ministrowi, zamierzał mu powiedzieć, że Cohen prowadzi dochodzenie niezwykle skrupulatnie, ale nie stanowiło to wielkiej pociechy. Luki w jego wiedzy były tak ogromne, że cała sprawa mogła doprowadzić do dymisji rządu.

- Podsumujmy, co wiemy, a czego nie wiemy - zaproponował.

Cohen uśmiechnął się przepaszająco.

- Ta druga kategoria jest znacznie obszerniejsza.

- No, to już coś - rzucił Nicolson. - Wiemy, że ludzie z policji i ze służb specjalnych umożliwili Harlingowi ucieczkę. Wiemy, że został zwerbowany przez służby specjalne, by świadczyć bliżej nie określone

usługi. Wiemy też, że nie przydzielono mu żadnych zadań. Ile czasu minęło od jego zatrzymania, dziewięć miesięcy?

- Mniej więcej - przytaknął Cohen.

- Czy to nie dziwne?

- Na tym polega SPO, Peter. Standardowe procedury operacyjne. - Deveaux położył palec na ustach, jakby zdradzał wielką tajemnicę. - Z usług zwerbowanych ludzi korzystamy w szczególnych sytuacjach.

Nicolson zmarszczył czoło.

- Brown - czyli Shilling - spotykał się z nim, ucinali sobie pogawędki. Nie prosił go o nic aż do czasu historii z Bullerem. Mam rację?

- Nie były to spotkania wyłącznie towarzyskie - powiedział Cohen. - Shilling wyciągał z Harlinga informacje na temat jego klientów.

- Chodziło o ludzi, którymi interesował się wydział?

- Albo o tych z nimi związanych - wyjaśnił Cohen.

- Uważasz, że Shilling docierał do tych ludzi, zmuszając ich do zdradzenia poufnych informacji?

- Bardzo możliwe. Wiemy, że Shilling wymieniał nazwiska, które miał w swoich bazach. Jeśli Harling przyznawał, że wymieniony jest klientem New World Bank, Shilling zaczynał agresywne działanie, ale robił to na własną rękę, wiedząc, że nie uzyska mojej zgody. Zamykał sprawę, dając adnotację „postępowanie zamknięte”.

- Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego? Devereaux westchnął teatralnie.

- Sprawa przestawała istnieć, Peter. Po prostu. Koniec kropka. Wszyscy zapominali.

- Próbowałem się sprzeciwić - powiedział Cohen. - Nie umieszczając Harlinga na liście informatorów, co powinien był uczynić, Shilling nie pozwolił nam dociec, dla jakich celów posługuje się Harlingiem. Wykiwał mnie w bardzo sprytny sposób.

- Skąd mogłeś wiedzieć, co knuje? - obruszył się Devereaux. - W końcu ty pierwszy, Harry, zorientowałeś się, co jest grane. Przejrzałeś archiwa, stwierdziłeś, że niektóre akta zostały usunięte.

I musiałem odejść, Alan.

- Idźmy dalej - odezwała się Dixon.

- Co do Bullera możemy mieć absolutną pewność - powiedział Cohen. - Był pierwszym, o którym wiemy, że płacił Shillingowi za ochronę. Milion dolarów. I dostał to, za co zapłacił.

- Flint może to potwierdzić. Jeśli ją znajdziecie - zauważył Nicolson.

- Otóż to.

- Możesz mi wyjaśnić, skąd Shilling wiedział o operacjach dokonywanych przez Bullera?

- Od McNally'ego? - podsunął Cohen i Glenning skinął głową potakująco.

- Sprawą Bullera zajmował się wydział przestępstw finansowych. Włączyliśmy się tylko dlatego, że była to tajna akcja. Mieliśmy Flint. Mniej więcej przez rok działała jako bankier z Zurychu. Kiedy Buller zaczął szukać kanału i zwęszyliśmy, co się święci, Flint okazała się najlepsza. McNally'emu bardzo zależało na jej udziale w akcji.

McNALLY! Jego nazwisko pierwsze figurowało na liście Flint znalezionej przez Cohena w jej mieszkaniu. Umieściła na niej ludzi, którzy ją zdradzili. Na tej długiej liście znalazł się także Glenning.

- Wiemy - mówił Nicolson - że po Bullerze Shilling polecił Harlingowi ściągać pieniądze od wszystkich pozostałych klientów New World. Miała to być forma „ochrony” przed aresztowaniem.

- W sumie chodziło o jedenaście osób.

- Wszyscy zgodzili się płacić?

- Wszyscy. W sumie na konto Shillinga wpłynęło około czterdziestu siedmiu milionów dolarów.

- Po czym wszystko się skończyło.

- Tak.

- Tyle wiemy?

- Niezupełnie - wtrącił Devereaux. - Wiemy albo możemy się domyślić, że dziewięć ofiar, jeśli można tak określić tych ludzi, to obywatele USA, którymi interesowało się FBI lub

DEA albo jedni i drudzy. Żaden amerykański klient Harlinga nie miał nic wspólnego z wywiadem czy służbami bezpieczeństwa.

- Ale nadal nie wiecie, kim oni byli - rzekł Nicolson, dopełniając listę porażek Cohena. - Nie wiadomo, kto płacił, nie wiadomo dlaczego i co Shilling i jego wspólnicy robili ze zdobytymi pieniędzmi.

- Flint wie - powiedział Glenning.

- Czyżby? Skąd ta pewność?

- Bo kiedy poleciała do Francji, próbowała sprawdzić tropy. Była tam pod fałszywym nazwiskiem. Po powrocie na pewno zniszczyła paszport. Znam tę dziewczynę lepiej niż własną córkę. Wiem, że nie wybrałaby się do Francji, gdyby nie miała mocnych podstaw. Skoro zniknęła, oznacza, że wiedziała, czego szuka.

- Dlaczego nie próbowała nawiązać z wami kontaktu?

- Z kim miała nawiązać kontakt? Zastanów się, Peter. Komu mogłaby ufać?

Nicolson wstał, zaczął zapinać marynarkę.

- Dziękuję wam za spotkanie i za... jak to ująć... waszą szczerą. - Nachylił się i uściśnął przez stół rękę Cohena. - Powiem ministrowi, że odnajdziesz Flint. Zapewnię go o tym, Harry.

- Możesz mu powiedzieć, że zrobię co w mojej mocy.

- Trzymam cię za słowo.

Pospiesznie pożegnał się z pozostałymi i ruszył ku drzwiom.

- Jeszcze jedno. - Zatrzymał się w progu - Jeśli Flint podróżowała pod przybranym nazwiskiem, skąd wiecie, że pojechała do Paryża?

- Widziano ją na Heathrow.

Idąc przez park na spotkanie z ministrem, Nicolson myślał z otuchą, że ktoś jednak działa.

III

Na Heathrow ogłoszono alarm. Nic poważnego, sądząc z braku oddziałów antyterrorystycznych, ale i tak na M4 powstał korek. Uwięziona w taksówce Flint niecierpliwiła się coraz bardziej. Spaliny i warkot rozklekotanego silnika przyprawiły ją o ból głowy, jakby nie dość miała własnych zmartwień. Od sześciu dni usiłowała dodzwonić się do Jamiego, powiedzieć mu, że jest czysty, że nikt w żaden sposób nie trafi na ślad zrobionych przez niego fotokopii. Bez względu na to, o której dzwoniła, nikt nie podnosił słuchawki.

Taksówka zrównała się z zaparkowanym na wysepce wozem policyjnym. Siedzący w środku gliniarze omietli Flint obojętnym wzrokiem; najwyraźniej szukali kogoś innego.

Licznik cicho stuknął. Rachunek wynosił już 42 funty. Flint szybko przeliczyła, że jeśli nadal będą posuwać się w tym tempie, w sumie przyjdzie jej zapłacić za jazdę ze śródmieścia około 50 funtów. Bilet na samolot kosztował ją 160 funtów, kolejne 30 wyda w sklepie wolnoćowym, jakieś 250 franków za taksówkę w Paryżu, do tego koszt kolacji z Dominique i Gilles'em. Oczywiście Gilles będzie protestował, ale to w końcu ona zapłaci rachunek. Będzie musiała wynająć samochód. Przynajmniej trzy dni spędzi w Paryżu, następne 1500 franków. Do tego rachunki w kawiarniach, napiwki, metro, inne nieprzewidziane wydatki, powiedzmy około 250 franków dziennie. W sumie jakieś 2000 franków, jeśli będzie musiała zatrzymać się w stolicy Francji tydzień zamiast trzech dni. 1000 funtów, jedna dziesiąta jej oszczędności. Podjęła połowę sumy złożonej na koncie. Plik banknotów schowała do kieszeni żakietu i teraz zastanawiała się, czy powinna gromadzić rachunki i czy Glenning zwróci jej za wydatki.

Przynajmniej nie będzie musiała wydać grosza na hotel. Dominique nie chciała nawet o tym słyszeć.

- Moja najlepsza przyjaciółka po latach przyjeżdża wreszcie do Paryża i miałyby zatrzymać się w hotelu? - mówiła z udanym oburzeniem przez telefon, zwracając się do Flint w trzeciej osobie. - Chyba oszalała.

- Nie po latach. Poza tym to nie w porządku wobec dzieci. Flint wyobrażała już sobie, jak Dominique każe na tych kilka dni przenieść się chłopcom do pokoju siostry, nie zważając na jej protesty.

- Jeśli zatrzymasz się w hotelu, to jak Gilles będzie miał ci pomóc? - przekonywała.

Nie było w tym cienia logiki, ale nie było też sensu kontynuować sprzeczki. Flint w końcu skapitulowała z jednym wszak zastrzeżeniem.

- Dobrze, ale będę spała na kanapie.

- Na jakiej kanapie?

- Na tej dużej, w salonie.

- Nie mamy kanapy, tylko fotele. Nie będziesz przecież spała na fotelu.

- Który terminal, skarbie? - zapytał taksówkarz, kiedy wyjechali z tunelu.

- Drugi. Air France.

Policjanci uzbrojeni w glocki, z przewieszonymi przez pierś MP5 patrolowali terminal. Dwóch stało przy wejściu, przed którym zatrzymała się taksówka. Flint знаła ten typ: pewni siebie, ważni, bo uzbrojeni, z góry uprzedzeni do czarnych i Arabów, tacy, co nie przepuszczą okazji, żeby zaczepić każdą w miarę ładną dziewczynę.

- Przepraszam, dokąd pani odlatuje?

Krótko ostrzyżony, z kilkudniowym zarostem, piegowaty prostak, bardziej chłopiec niż mężczyzna. Flint wyobrażała sobie, jak staje naprzeciwko niego na macie w Hendon.

- Do Paryża - powiedziała.

- Nie zajmujemy pani wiele czasu. - Zmierzył ją od stóp do głów nachalnym spojrzeniem. - Chciałbym zobaczyć pani paszport i bilet. Ładna bluzka.

Powiedział to tonem, który miał oznaczać „ładne cycuszki”, i chciał, żeby Flint tak właśnie zrozumiała jego słowa.

- Bilet muszę odebrać przy stanowisku Air France - wyjaśniła.

Bilet wystawiony nie na moje nazwisko, ale nie będę wprowadzała cię w szczegóły, chłopcze.

- W takim razie poproszę paszport.

Zawahała się, który pokazać: prawdziwy, który włożyła do kieszeni kurtki, czy fałszywy schowany w torebce. Instynkt kazał jej sięgnąć do kieszeni.

- Po co to wybieramy się do Paryża? W interesach, turystycznie, a może do narzeczonego?

- Dlaczego?

- Co, dlaczego?

- Dlaczego pan pyta?

- Dlatego.

- Nie pański interes. Zesztywniał, wypiął pierś do przodu.

- Proszę odejść na bok - polecił, stając tak blisko Flint, że musiała cofnąć się pod ścianę. - Pytam raz jeszcze, po co leci pani do Paryża?

Wyjęła z kieszeni legitymację i podsunęła mu pod nos tak, żeby mógł zobaczyć zdjęcie i przeczytać jej stopień. Cofnął się.

- Przepraszam, inspektorze. Mamy stan pogotowia.

- Kogo szukacie?

- Dwóch Algierczyków.

- Mężczyzn? Skinął głową.

- Nie białej kobiety w średnim wieku?

Uśmiechnął się szeroko, niczym smarkacz, który wyciął głupi kawał.

- Więc niech ich pan szuka i zejdzie mi z drogi. Odsunął się, wzruszając ramionami. Czowała jeszcze przez chwilę na plecach jego wzrok, wzrok, który rozbierał.

ROZDZIAŁ 5

I

Kiedy przychodził ten najgorszy z koszmarów, Flint budziła się zlaną potem.

Ojciec stoi przed ich domem w Mid Compton i rozmawia z miejscowym listonoszem, Tomem Price'em. „Chyba jakaś zła wiadomość”, mówi Tom i wręcza ojcu kopertę z adresem zwrotnym wziętego londyńskiego okulisty z Harley Street.

Doktor John Flint, weterynarz, uśmiecha się. Kątem oka widzi córkę pędzącą ku niemu od strony domu po stoku wzgórza.

- Co to za list, Tom?

Chwyta córkę w ramiona. Czteroletnia Grace piszczy z radości.

- Z Londynu. Stamtąd nie można oczekiwać nic dobrego, niech mi pan wierzy - mówi Price. - Jak się ma nasza mała Grace?

- Lunch - oznajmia Grace z powagą, a ojciec podaje jej kopertę.

- Mam problemy z Bess - mówi Price.

- O co chodzi?

- Starzeje się, jak ja. Boję się, że zaczyna głuchnąć. Nie przychodzi, kiedy ją wołam. Wcześniej tak nie bywało.

John Flint, który zna doskonale wszystkich swoich pacjentów, mówi:

- Ma jedenaście lat. To sporo na labradora. Przyrowadź ją.

- Można dzisiaj wieczorem?

- Oczywiście.

- Około siódmej?

- Niech będzie o siódmej. Do zobaczenia, Tom.

- Do zobaczenia wieczorem, doktorze. Trzymaj się, Grace. Price wsiada do swojego vana, zakręca na podjeździe, macha na pożegnanie ręką i wyjeżdża na Allen's Lane.

- Lunch - powtarza Grace, zbliżając buzię do twarzy ojca, żeby lepiej go widzieć przez grube szkła korekcyjne. - Mama mówi, żebyśmy zaraz przyszli.

- No to idziemy, szkrabie.

- Na barana.

- Dobrze, wskakuj.

Ojciec bierze Grace na plecy, biegnie pod górę, potyka się, dostaje zadyszki.

Dom się oddala, teraz widać jego ciemną sylwetkę w zapadającym zmierzchu. Jest październik, szybko robi się ciemno. Grace idzie szybko Allen's Lane, towarzyszy jej młody labrador. Znacznie młodszy niż Bess, biegnie wesoło przodem. Grace mija zakręt i z mroku wyłania się Tom Price. Wymachuje rękami, krzyczy coś, czego Grace nie rozumie. Tom bierze ją na barana, - biegnie, a ona trzyma go z całej siły za szyję, żeby nie spaść, uderza pupą o jego kościste plecy.

Są na podjeździe, koło stodoły. Mijają samochód Toma zaparkowany byle jak, z zapalonymi reflektorami. Wchodzą do stodoły. Wewnątrz panuje mrok, tylko w głębi nad stołem operacyjnym, przy którym stoi ojciec, pali się światło. Grace woła go, ale ojciec nie słyszy. Zbliżają się z Tomem do stołu i wtedy Grace widzi rubinowoczerwono plamy na białym fartuchu ojca. John trzyma coś w ręku.

Cofa się w cień, Grace już go nie widzi. „Wišta wio”, popędza Toma. Tom wykonuje zbyt gwałtowny ruch i Grace przelatuje mu nad głową.

Pochwycona w pól, wisi w powietrzu nad stołem, widzi wszystko do góry nogami. Na stole leży jej matka. Martwa, obnaża zęby i ma w czaszce dziury od młotka.

Leży na boku, nogi ma podkurczone, spod zadartej sukni widać rozerwane od pasa do krocza majtki, zakrwawione uda. Zalana krwią twarz, zakrzepła krew we włosach i strużka spływająca z rany w głowie do małżowiny ucha.

Obraz odciska się na zawsze w pamięci, ale koszmar jest tak przeraźliwy głównie przez ciągłe echo upiornego wycia ojca, przenikające na wskroś ciało.

140

Stojąc na mokrych jeszcze od deszczu stopniach Reform Club, Devereaux wciągnął głęboko świeże wieczorne powietrze.

- Co ty na to, Harry, spróbujemy wziąć chłopców Shillinga do galopu? Przekonamy się, czy łażą za nami.

- Ja będę ubezpieczał ciebie, a ty mnie?

- Coś w tym rodzaju.

- Towarzystwo Petera działa na mnie tak przygnębiająco, że chętnie bym się teraz czegoś napił. Co ty na to?

- Doskonały pomysł. Zapraszam do siebie. Będziesz miał okazję zamienić kilka słów z Belindą.

Z lady Belindą, jeśli chodzi o ścisłość, ale ten, kto ją tak nazywał, narażał się na niebezpieczeństwo. Dziedziczka pokaźnej fortuny, właścicielka dużej polaci gruntów w Londynie, spokrewniona z królową, Bel odznaczała się buntowniczym duchem. Pełna zastrzeżeń wobec własnej klasy, prowadziła najrozmaitsze kampanie w słusznych sprawach:

przeciwko polowaniu na lisy, przeciwko selektywnej polityce oświatowej, za prawami dla gejów i rozwiązaniem Izby Lordów. Wysoka, szczupła, z jasnymi włosami niedbale założonymi za uszy wyróżniała się w tłumie. Kiedy sfotografowano ją kiedyś w czasie demonstracji, jakiś roztropny służbista z Thames House -najwidoczniej nieświadomy, że jest kochanką Devereaux-zaproponował, by umieścić ją na liście potencjalnych wywrotowców. Cohen wniosek odrzucił, argumentując, że jej zdjęcia, ubranej w elegancki płaszcz, pokazują się częściej w „Country Life” niż w dokumentacji z ulicznych zamieszek. Nie wspomniał, oczywiście, że pieniądze, które otrzymuje za pozowanie, Bel przekazuje co do grosza Amnesty International.

Cohen ją uwielbiał. Mieszkała z Devereaux na Eaton Square, gdzie zajmowali dwupoziomowe mieszkanie. Po odejściu z wydziału najbardziej żałował improwizowanych kolacji u Belindy i żywych konwersacji, które z nią prowadził. Po śmierci Annie list kondolencyjny od Bel był jedynym wolnym od ckliwości i fałszywego współczucia. „Jestem taka wściekła! Pieprzyć to, Harry!”.

Przywitała go promiennym uśmiechem, serdecznie wyściskała, nie próbując nawet udawać, że jego wizyta na Eaton Square po tak długiej przerwie wynika ze spontanicznego odruchu.

- Alkohol macie na górze w gabinecie. Pogadajcie, załatwcie swoje sprawy, a potem na resztę wieczoru jesteś mój, Harry Cohenie.

Devereaux nalał dwie solidne porcje szkockiej destylowanej w gorzelnii należącej do rodziny Bel.

- Ściągnąłem cię tutaj, bo chciałem porozmawiać z tobą sam na sam, zastanowić się, co dalej. Nie masz mi tego za złe?

- Nie - odparł Cohen. - Boję się tylko, że nie mam żadnego pomysłu, co dalej.

- Znajdź Flint.

- Owszem, tylko jak? Zupełnie nie mam pojęcia, gdzie jej szukać.

Devereaux pokiwał głową, jakby Cohen powiedział coś niezwykle mądrego.

- Trzeba zacząć od Paryża, ale ani w oświadczeniu Harlinga, ani w notatkach Flint nie ma żadnych wskazówek, po co tam pojechała. Gdyby wybrała się do Nicei, moglibyśmy zakładać, że tropi klientów Maitlanda, ale dlaczego Paryż? Intuicja mi mówi, że w ostatnich dniach, po jej powrocie z Karaibów, coś musiało się wydarzyć. Musiała natrafić na jakieś informacje, stąd ta podróż.

- Sprawdziłeś, z kim w tym czasie się widziała? Dzwoniła do kogoś?

- Do swojego męża, z którym żyje w separacji, i do restauracji, żeby zarezerwować stolik. Nic ważnego. Facet mówi, że nadal się przyjaźnią i spotykają się od czasu do czasu. Poszli razem na lunch, to wszystko. Nie mówiła o swojej pracy, nigdy mu się nie zwierza. Nie wspominała o wyjeździe do Paryża.

- Próbowalesz odnaleźć jej przyjaciół?

- Nie dotarłem do nikogo. Nic dziwnego, zważywszy na charakter jej pracy. Wyobraź sobie, że spotyka kogoś ze znajomych, kiedy akurat podaje się za panią bankier ze Szwajcarii.

- Prawda - mruknął Cohen. - „Grace, kopę lat, co za spotkanie”.

- Otóż właśnie.

- „Grace? - ciągnął Cohen, udając rosyjski akcent - Myślałem, że masz na imię Hildegarda”.

Devereaux parsknął śmiechem.

- I cała akcja na nic. A rodzina?

- Nie ma rodzeństwa. Matka nie żyje. Ojciec niedawno do niej dzwonił. Zostawił wiadomość na sekretarce, chciał wiedzieć, czy wróciła już z Karaibów. Z billingu wynika, że nie oddzwoniła do niego, ale spróbuję się z nim skontaktować.

- Pojedziesz do niego?

- Zamierzam.

- Świetnie. Kiedy ktoś znika, poszukiwania najlepiej zaczynać u źródeł.

Z dołu doszedł głośny, żywiołowy śmiech Bel.

- Co nakręca naszą Gracie, Harry? Co ją gna przed siebie?

- Złość. Wściekłość - powiedział Cohen cicho.

III

Cohen jechał do Mid Compton bez pośpiechu, nie forsując zbytnio swojej sędziwej alfy romeo. Chciał mieć czas na przemyślenie sprawy. I odwlec moment, kiedy będzie musiał powrócić do tego, co znalazł w sosnowej skrzyni w sypialni Flint.

Czytając jej dzienniki sprzed lat, natrafił na fragmenty, które pomogły mu lepiej zrozumieć psychikę dziewczyny, ale i wprawiły w przerażenie.

Omijając autostrady, kierował się na zachód, wzdłuż Tamizy, do Swinford, gdzie skręcił na północ. Nie podał doktorowi Flintowi dokładnej pory przyjazdu, nie zdradził też celu swojej wizyty. Powiedział tylko, że „pracuje dla Home Office” i „chciałby porozmawiać o jego córce”. Doktor nie wypytywał, zaproponował tylko, że jeśli Cohen dotrze do Mid

Compton w porze lunchu, mogą się spotkać w „Horse and Hound”. To zwykły pub, ale zjedzą tam smaczniej niż u doktora w domu.

Na zdjęciu z gazety, które Flint wkleiła do swojego dziennika, ojciec wyglądał jak uśmiechnięty lord Byron. Dość niestosowna zbitka, zważywszy na treść nagłówka umieszczonego poniżej notatki:

„Weterynarz niepokoi się o swoją żonę”. John Flint na zdjęciu z całą pewnością nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego. Raczej przypominał Cohenowi byronowskiego, beztroskiego Don Juana.

Po dwudziestu ośmiu latach od chwili, kiedy zrobiono tamto zdjęcie, Cohen zobaczył samotnego, zniszczonego człowieka siedzącego w zupełnie pustej, zacisznej gospodzie „Horse and Hound”; wystrzępiony kołnierzyk koszuli, marynarka z oderwanym guzikiem, niestarannie ogolony zarost. John nie miał jeszcze sześćdziesięciu lat, ale wyglądał na człowieka zrezygnowanego i przegranego. Mocno uścisnął dłoń Cohena.

- Grace żyje - oznajmił stanowczo, kiedy wymienili pierwsze uprzejmości. - Gdyby coś się jej stało, wiedziałbym o tym. Zawsze czułem, kiedy miała kłopoty. To coś w rodzaju bólu fizycznego. Rozumie pan?

- Nie mam powodów przypuszczać, że Grace nie żyje -zapewnił Cohen.

- Dzięki Bogu! - Twarz Flinta rozpromieniła się, ożyła w uśmiechu. - Wszystko będzie w porządku. Czego się pan napije?

Nie chciał nawet słyszeć o tym, że Cohen zaprasza. Wszedł za bar, jakby był gospodarzem gospody, nalał drinki, przyniósł skromne menu.

- Sam nie gotuję, więc stołuję się tutaj - wyjaśnił. Cohen sączył lemoniadę, zastanawiając się, jak zacząć rozmowę.

- Nigdy nie myślał pan, żeby ożenić się po raz drugi? -zagadnął i przestraszył się, czy pytanie nie było zbyt bezpośrednie.

Flint pokręcił głową.

- Domyślam się, że chciałby pan usłyszeć coś więcej o tamtej historii. O matce Grace. - Uśmiechnął się ponownie, ale tym razem w jego uśmiechu nie było wcześniejszego ożywienia. - Matka Grace - powtórzył. - Minęło tyle czasu, a ja nadal z trudem wymawiam jej imię. Dziwne, prawda?

Marie-Madeleine Flint, z domu Gilbert. Mąż i przyjaciele nazywali ją Mad. Urodzona w Ameryce z pochodzenia Francuzka, nie była kobietą, która mogłaby zostać żoną wiejskiego weterynarza. John uważał, że zetknięło ich ze sobą zrządzenie losu. Kończyła właśnie studia w Barnard College, kiedy volvo Gilbertów w drodze z Bethseda do Nowego Jorku, gdzie rodzina miała świętować urodziny młodszego brata Mad, uderzyło dziewięć mil od Newark w cysternę z benzyną na autostradzie 95. Cała trójka spłonęła.

- Zginęli wszyscy, matka, ojciec, brat - mówił Flint. - *Perished* *, tak myślałem po angielsku. *Perris* w starofrancuskim. Francuski był pasją Mad. W Barnard studiowała romanistykę. Jej prapradziadek pochodził z La Rochelle. Skończyła studia, nie poddała się. Ale taka właśnie była, nigdy się nie poddawała.

* *Ang. zginąć, stracić życie, przepaść.*

Dopiero po obronie dyplomu zajęła się sobą, próbowała pogodzić się z tragedią, która ją spotkała. Dzięki polisie i okazałemu spadkowi mogła robić, co chciała. Wyjechała do Francji i przez pół roku podróżowała po kraju swoich przodków, trochę bez celu i planu, dokąd ją zwiódł kaprys.

Sierpień w Prowansji okazał się dla niej zbyt upalny i Mad postanowiła wrócić do Paryża wcześniej, niż zamierzała. W wagonie restauracyjnym ekspresu poznała Johna. Przegadali trzy godziny, a kiedy pociąg skończył bieg na Gare de Lyon, Flint uparł się zaprosić ją na lunch do Train Bleu, mimo że dla studenta Royal Veterinary College był to poważny wydatek. Ekstrawagancja, na którą z trudem mógł sobie pozwolić. Lunch przeciągnął się do późnego popołudnia. Kiedy się żegnali, John był już pewien, że spotkał kobietę swojego życia. Mad miała jeszcze wątpliwości, patrzyła na niego jak na szaleńca, przerażało ją tempo narzucone przez Johna. Poza tym, oznajmiła, jest dla niej za wysoki.

Jak mógł zachować powściągliwość wobec najpiękniejszej dziewczyny na świecie? Jak mógł nie zachowywać się jak szaleniec, skoro tak cudowna istota jest zupełnie pozbawiona serca? A że jest za wysoki? To nic, dla niej może obciąć sobie nogi.

Został w Paryżu, zalecał się, czarował i wreszcie pod koniec tamtego cudownego sierpnia w małym hotelu na Avenue Mozart zostali kochankami.

Kiedy z początkiem roku akademickiego musiał wracać do Londynu, Mad przyjechała z nim. Nigdy już nie wróciła do Marylandu, gdzie nie miała nikogo i gdzie nikt na nią nie czekał.

- Pobraliśmy się w tydzień po mojej obronie - ciągnął Flint monotonnym głosem. Zapomniał zamówić jedzenie. Stał za barem, oparty o kontuar, zapatrzony niewidzącym wzrokiem w przestrzeń.

Nigdy nie żałował swojej decyzji. Mad, zawsze pełna optymizmu i energii, każdą przeszkodę traktowała jako nowe wyzwanie. To za jej sprawą John uwierzył, że on, nieopierzony weterynarz świeżo po studiach,

jest w stanie założyć prywatną praktykę. Za pieniądze Mad kupili starą farmę na Allen's Lane i przerobili stodołę w znakomicie wyposażoną przychodnię z gabinetem i salą operacyjną. Interes rozkręcał się powoli, w okresach zastoju John pisał powieść kryminalną, kolejne fragmenty czytał żonie. I to znowu za sprawą Mad uwierzył, że nadają się do publikacji. Wkrótce, ku ogromnej radości obojga, Mad zaszła w ciążę. Wieczorami, kiedy zwierzęta w szpitaliku były już opatrzone, John siadał nad swoim maszynopisem, Mad kładła się na starej skórzanej kanapie i wymyślała najbardziej nieprawdopodobne imiona dla książkowych bohaterów. Książkę kupił pierwszy wydawca, do którego Flint się zwrócił, za astronomiczną na tamte czasy sumę 500 funtów. Trzy dni później urodziła się Grace i John po raz drugi w życiu doświadczył, czym jest bezwarunkowa miłość.

- Brzmi to pewnie jak sentymentalne bzdury - powiedział w pewnym momencie, budząc się ze wspomnień.

- Nie dla mnie - zapewnił Cohen.

- Nie? Jest pan żonaty? Ma pan dzieci?

- Chcieliśmy mieć, ale... - Poczul ucisk w gardle. - Moja żona też nie żyje.

- Przykro mi. Co się stało, jeśli mogę zapytać?

- Rak. Za późno rozpoznany. Błąd w diagnozie. Przyszły przerzuty, nowotwór zaatakował węzły chłonne, piersi, płuca. Miała trzydzieści cztery lata, kiedy umarła.

Flint drgnął.

- Chryste! Współczuję. Czasami zapominam, że nie jestem jedynym facetem na świecie, który stracił żonę.

- Trudno powiedzieć, co gorsze - mruknął Cohen. - Patrzeć, jak ukochana osoba umiera czy nigdy się nie dowiedzieć, jak i dlaczego odeszła.

Twarz Flinta poszarzała. Mówił powoli, przerywając po każdym zdaniu, jakby z trudem przypominał sobie tamte wydarzenia. Cohen stracił poczucie czasu, słuchał w milczeniu, bo też niewiele mógł powiedzieć.

- Była sobota... październik... Jechałem do pacjentów, zabrałem ze sobą Gracie. Wróciliśmy około piątej. Jej matka nie wyszła nam na powitanie, nie wybiegł pies. Pomyślałem, że poszli na spacer, chociaż wydawało mi się to dość dziwne...

Flint zamilkł, przez chwilę zmagał się z sobą.

- Mad... Zawsze czekała na Gracie, bo mała po powrocie do domu domagała się herbaty. Posadziłem Gracie przed telewizorem i poszedłem szukać żony. Trwało to ponad godzinę, nigdzie nie mogłem znaleźć ani jej, ani psa. Zacząłem martwić się, że zostawiłem Gracie samą w domu. Potem pomyślałem, że jej matka już wróciła i teraz denerwuje się, gdzie ja przepadłem. Byłem już w pobliżu domu, kiedy zobaczyłem na Midford Gap van Toma Price'a... Był naszym listonoszem. Zatrzymałem go, powiedziałem mu o Mad. Obiecał objechać okolicę, rozejrzeć się... Wróciłem do domu i razem z Gracie poszliśmy ścieżką między polami. Mała szybko się zmęczyła, wziąłem ją na barana... Nagle ogarnęło mnie złe przeczucie... zacząłem biec... Nie wiedziałem dokąd... I wtedy zobaczyłem vana Price'a. Stał zaparkowany byle jak, z niezgaszonymi światłami, drzwiczki były otwarte... Tom dostrzegł coś w rowie. Okazało się, że był to Hektor, nasz pies... pies Gracie... Młody labrador... Leżał na boku, z pyska płynęła mu krew... Nie pozwolił Tomowi zbliżyć się do

siebie, obnażył kły... Tom dostrzegł nas... podbiegł... chciał mnie ostrzec. Nie słuchałem. Nie słyszałem słowa z tego, co mówił... Podbiegłem do rowu. Gracie przeleciała mi nad głową, chwyciłem ją w pół... i tak zawisała... do góry nogami... o kilka stóp od swojego psa. A ja myślałem tylko o jej matce. Wiedziałem, że musiało zdarzyć się coś strasznego... Nie byłem w stanie się ruszyć. Stałem tam jak sparaliżowany. Trzymałem Gracie i wyłem jak potępieniec.

Uniósł głowę i cichym głosem spróbował naśladować tamten dźwięk.

- W końcu jakoś się pozbierałem... Powiedziałem Tomowi, żeby zabrał Gracie do domu, zawiadomił policję, a ja zacząłem szukać... żony. Robiło się ciemno, nie miałem latarki... Nic nie wiedziałem. Pomyślałem, że wrócę do Hektora, spróbuję go uspokoić. Pies był w szoku, potrzebował pomocy. Pobiegnę do stodoły po swoją torbę lekarską... Kiedy wchodziłem na podwórze, pojawił się Frank Dawson, nasz miejscowy policjant... Teraz we wsi nie ma już posterunku... Jeśli coś się stanie, trzeba wzywać policję z Banbury. Zanim przyjadą... Zresztą Frank też okazał się bezradny... W tej sytuacji... Flint pokręcił głową.

- Dałem Hektorowi zastrzyk usypiający. Biedak bronił się, chciał mnie ugryźć, ale nie mógł, miał złamaną szczękę... Dałem mu pentobarbital, załadowaliśmy go do samochodu Franka i przywieźliśmy do stodoły. Zbadałem go. Poza złamaniem szczęki nie znalazłem innych złamań. Ktoś musiał go tylko strasznie zbić, bałem się, że ma obrażenia wewnętrzne... Dziwne... Tam gdzieś moja żona umierała albo leżała martwa, a ja zajmowałem się psem... Nie myśli pan, że to nienormalne?

- Nic więcej nie mógł pan zrobić - powiedział Cohen. -Było ciemno.

- Pomimo wszystko...

- A Dawson?

- Och, zadzwonił z domu do Banbury. Powiedzieli, że przyślą kilku ludzi i że mamy czekać. Nie szukać na własną rękę... Nie wiem, dlaczego tak powiedzieli.

- Rutynowe postępowanie - domyślił się Cohen. - Nie chcieli, żebyście zatarli ewentualne ślady. Dobrze pan zrobił, że zajął się psem. Musiał pan też zająć się Grace.

- Prawdę mówiąc, nie. Próbowwała wejść do stodoły, wpadła w histerię... Nie chciałem, żeby znowu musiała oglądać Hektora, nie w takim stanie. Wszędzie było pełno krwi. Poprosiłem Toma, żeby zaprowadził ją do domu. Zadzwonił po swoją żonę, ona zajęła się Grace.

- Co było potem?

- Przyjechali policjanci z Banbury, pięciu czy sześciu ludzi... nie pamiętam. Miałem wrażenie, że minęły wieki, zanim się zjawili, ale pewnie tak mi się tylko wydawało. Jeden został ze mną, reszta poszła z Frankiem. Chcieli zobaczyć, gdzie znalazłem Hektora. Kiedy wrócili, zaczęli sprawdzać wejścia do domu, szukali śladów włamania... Powiedziałem im, że nigdy nie zamykaliśmy drzwi na klucz. Pytali, czy zniknęły jakieś rzeczy żony: torba podróżna, ubrania, kosmetyki... Pomyślałem, że zachowują się jak skończeni idioci. Znaleźliśmy ledwie żywego psa, a oni pytają, czy żona przypadkiem nie uciekła z domu. Może się pokłóciliśmy? Może cierpiała na depresję? Może miała kochankę? Może pojechała do kogoś z wizytą? Pies? Mógł za nią pobiec i potrafił go samochód. Wyobraża pan sobie? Wyjaśniłem im, że Hektora nie potrafił

żaden samochód: został ciężko pobity żelaznym prętem. Nie panowałem nad sobą, zupełnie wyprowadzili mnie z równowagi.

- Nie szukali żony tamtej nocy?

- Nie. Tak w każdym razie twierdził Frank Było wyjątkowo ciemno. Księżyc schował się za chmurami, zaczęło padać... Paskudna pogoda. Zabezpieczyli brezentem miejsce, gdzie znaleźliśmy Hektora. Zostawili dwóch policjantów w wozie patrolowym i obiecali wrócić o świcie... Myślę, że nic więcej nie mogli zrobić.

- Rano zaczęli poszukiwania?

- Tak. Szukali do zmierzchu w niedzielę, w poniedziałek ściągnęli posiłki z całego hrabstwa. W pewnym momencie w akcję zaangażowanych było chyba dwustu ludzi... Psy, helikoptery... Nawet wojsko. Nie mogę mieć do nich pretensji. Robili, co w ich mocy. Chodzili od domu do domu, wypytywali, ustawili posterunki na drogach, rozwiesili w całej okolicy komunikaty ze zdjęciem.

Ze zdjęciem kobiety może nie pięknej, ale ujmującej. Cohen widział je, znalazł policyjne ogłoszenie w koszulce jednego z albumów Grace; zbyt pełne usta, krzywy nos, być może złamany w dzieciństwie w czasie jakiejś zabawy.

- I nic nie znaleźli? Zupełnie nic? - zapytał, chociaż znał odpowiedź.

- Nic. Jakby nigdy nie istniała. Przepadła jak córka, pomyślał Cohen.

Flint z trudem usadowił się w alfa romeo, podciągnąwszy kolana pod brodę, zaczął mówić Cohenowi, jak ten ma jechać. Do Glebe Farm dotarli od zachodu, omijając miejsce, gdzie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, została porwana Mad Flint.

- To głupie - usprawiedliwiał się Flint. - Przecież widzę Glebe Farm z okien swojego domu.

Glebe Farm dawno już przestała zasługiwać na swoją nazwę. Ziemię rozprzedano, z dawnych włości pozostało zaledwie pół akra ogrodu przy drodze. Cohen zaparkował alfę obok zabłoconego landrowera Flinta, pod ścianą stodoły zaadaptowanej na wiejską klinikę weterynaryjną. Powyżej, na szczycie wzgórza, stał dom z czerwonej cegły, dawno nie remontowany, zaniedbany tak samo jak jego właściciel.

Flint szedł przodem. Otworzył drzwi, przemierzył pusty korytarz długimi krokami, Cohen, usiłując nadążyć za nim, rozglądał się po wnętrzu: wytarty chodnik na podłodze, nagie białe ściany. Po obu stronach po dwoje zamkniętych drzwi prowadzących do rzadko zapewne używanych pokoi. Szerokie schody z niknącym w ciemnościach podestem piętra. I otwarte drzwi na końcu korytarza, w których zniknął właśnie Flint. Dom mężczyzny, pomyślał Cohen. Dom pozbawiony kobiet.

Chciał, żebym zniknęła z jego życia!!! Tak napisała piętnastoletnia Grace Flint w swoim pamiętniku. *Dlaczego???* Jaskrawozielony atrament, którego używała, miał kolor paranoi.

- Z czasem było coraz gorzej - tłumaczył Flint Cohenowi, chcąc mieć tę część opowieści jak najszybciej za sobą. - Przez pierwsze tygodnie żyliśmy w napięciu, czekaliśmy, aż policja znajdzie ciało. W każdym razie ja czekałem. Nie wiem, co czuła Gracie. Zamknęła się w sobie, stała się milcząca, nie mogłem nawiązać z nią kontaktu. Mijały miesiące, lata, myślałem, że ból minie. Nie mijał, nie było mi ani trochę lżej. Nie dawałem sobie rady. Owszem, funkcjonowałem jakoś, najałem gospodynię, która troszczyła się o dom. Obserwowałem Gracie i widziałem, że nie może

pogodzić się ze stratą matki. Jej ból był nie do zniesienia. Nie pamiętam, żeby przez te wszystkie lata chociaż raz się zaśmiała. Wracła ze szkoły i zamykała się w swoim pokoju. Schodziła dopiero na kolację. Jadła w milczeniu, odzywała się tylko wtedy, kiedy zadawałem jej pytanie. Plotłem coś cały czas, opowiadałem, jak minął mi dzień, mówiłem o swoich pacjentach, o tym, jak moglibyśmy spędzić weekend, a ona siedziała i wpatrywała się we mnie bez słowa. Z nikim się nie przyjaźniła, nigdy się nie bawiła. Mała dziewczynka zachowywała się jak stara kobieta. Stara, chora kobieta.

Po kolacji natychmiast wracała do swojego pokoju i kładła się do łóżka, a kiedy zaglądałem do niej, żeby powiedzieć dobranoc, udawała, że śpi. Może zresztą nie udawała, może uciekała w sen. Próbowałem znaleźć kogoś, kto by jej pomógł, ale w tamtych czasach trudno było znaleźć psychoterapeutę. Lekarze, do których się zwracałem, pocieszali mnie: „Wyrośnie z tego”.

- Tymczasem sprawa nie została rozwiązana? - wtrącił Cohen.

- Okropne określenie, ale ma pan rację, sprawa nie została rozwiązana.

- Byli jacyś podejrzani?

- Nie. Przesłuchano wszystkich w okolicy, w promieniu wielu mil.

Bez rezultatu.

- Nikogo nie aresztowano?

- W końcu mnie - odparł Flint bez wahania.

- Policja uznała, że zabił pan żonę?

- Gracie tak myślała.

Cohen był przygotowany na tę odpowiedź.

TO ON ZABIŁ MAMĘ!!! Pełne gniewu zdanie napisane zielonym atramentem, dużymi literami, dziecięcym charakterem pisma.

Cohen obserwował, jak Flint krząta się po kuchni, przygotowując herbatę. Dwie torebki earl greya, dwa kubki wody zagrzanej w mikrofalówce.

- Przez cały ten czas nie wiedział pan, co myśli Grace?

- Nie miałem pojęcia. Z mlekiem?

Cohen skinął głową. Wolałby plasterek cytryny, ale nie chciał rozpraszać Flinta.

- Obudziłem się pewnego ranka... około szóstej rano... Musiał być początek sierpnia osiemdziesiątego drugiego roku, jeśli dobrze pamiętam... Od zniknięcia żony minęło jedenaście lat... Usłyszałem warkot... wyjrzałem przez okno. Zobaczyłem na podjeździe trzy czy cztery wozy policyjne. Kilku szło w stronę domu. Rozpoznałem wśród nich Franka Dawsona. Kiedy otworzyłem drzwi, nie spojrzał mi w oczy. Wiedziałem już, że coś jest nie tak.

Flint usiadł na powrót przy stole. Jeden kubek postawił przed Cohenem, drugi przysunął do siebie.

- W pierwszej chwili pomyślałem, że coś złego przydarzyło się Gracie. Od czterech lat była wtedy w Tudor Hall, nauczyciele mieli z nią ciągle problemy, dyrektorka kilka razy groziła, że wyrzuci ją ze szkoły. Palila papierosy, wagarowała, miała kumpli w pobliskiej szkole dla chłopców. Pomyślałem... Rozumie pan, co mogłem pomyśleć... Po tym, co stało się z jej matką... *Jak mogłeś wysłać ją do szkoły z internatem? Stracić ją z oczu?*

- Miała w Tudor Hall koleżankę. Olivię. Były nierozłączne, jeśli broiły, to zawsze razem. Nie przejmowałem się tym, przeciwnie, cieszyłem się, że wreszcie znalazła przyjaciółkę. Nie miałem nawet żalu, że wakacje zamiast w domu wolą spędzać u rodziców Olivii. Mieszkali pod Londynem. Dla nastolatki Londyn musiał być znacznie atrakcyjniejszy niż lato w Mid Compton... Tu było poza tym zbyt wiele wspomnień... Rozumiałem, wydawało mi się, że rozumiem, dlaczego Gracie nie chce tu przyjeżdżać.

- Nigdy pana nie odwiedzała?

- Rzadko. Tudor Hall jest godzinę jazdy stąd. Wpadała do domu na dzień, dwa, spędzała ze mną czasami weekend. Szczerze mówiąc, byłem wykończony, wołałem taki stan rzeczy. Nie wiedziałem, co robić, jak się zachowywać, jak pomóc córce. Myślałem, że potrzebuje przestrzeni, trochę oddechu. Niczego nie rozumiałem.

- Aż pojawiła się policja.

- Tak. Osłupiałem. Inspektor z Banbury, nazywał się Shawcross, powiedział: „Doktorze Flint, mamy powody sądzić, że jest pan odpowiedzialny za zniknięcie pańskiej żony”. Nie wierzyłem własnym uszom. Zapytałem głupio: „Dlaczego?”. Próbowałem zachować godność. To wszystko było takie absurdalne. „Pańska córka uważa, że zgwałcił pan i zabił swoją żonę” - usłyszałem w odpowiedzi. Wyobraża pan sobie. Ja miałbym zgwałcić Mad!?

Flint wstał, rozprostował plecy.

- Muszę zajrzeć do swoich pacjentów. Przejdzie się pan ze mną?

- Oczywiście - powiedział Cohen.

- Błąd, koszmarny błąd - ciągnął Flint, kiedy szli przez podwórze.

- Tak - przytaknął Cohen, nie mając pojęcia, co doktor ma na myśli.

- Powinienem był zatrzymać ją w domu. Albo, jeszcze lepiej,

powinniśmy obydwójce przeprowadzić się gdzie indziej. Zamieszkać w mieście. Mieliśmy pieniądze, więcej, niż potrzebowaliśmy.

Odziedziczyłem cały majątek Mad.

- Mogliście zamieszkać w Londynie - podsunął Cohen.

- Wyjechać za granicę. Myślałem o tym. Zastanawiałem się nad wyjazdem do Afryki. Dla Grace byłaby to przygoda. Mógłbym pracować w Serengeti, opiekować się lwami. Zacząłem nawet rozpytywać, jak tam jest. Dowiedziałem się, że w pobliżu parku znajduje się międzynarodowa szkoła, do której Grace mogłaby chodzić.

- A jednak nie zdecydował się pan na wyjazd.

- Nie.

- Nie mógł pan zostawić przeszłości za sobą.

- Otóż to.

- Ciągle mieszkam w tym samym domu. Nadal sypiam w naszym łóżku.

- Rozumiem.

- Moi przyjaciele nie mogą zrozumieć.

Cohen zamilkł. Po chwili, nieoczekiwanie, jakby pytanie dopiero teraz przyszło mu do głowy, zagadnął:

- Co się stało z Hektorem?

- Uśpiłem go. Nie wtedy, nie od razu. Pięć czy sześć lat po zniknięciu Mad. Nigdy już nie doszedł do siebie po tamtym pobiciu, przynajmniej tak uważałem. Szczeka się zrosła, ale z trudem chodził,

zaczął chorować na artretyzm. Leczyłem go, robiłem, co mogłem, ale żadne leki nie pomagały. W końcu postanowiłem skrócić jego cierpienia.

- Grace nigdy panu tego nie wybaczyła?

- Nie.

- Tak jak tego, że wysłał ją pan do szkoły z internatem.

- To było później. Miała wtedy dwanaście lat.

- Niewiele. Była za mała, żeby zamieszkać poza domem.

- Wtedy wydawało mi się, że to najlepsze rozwiązanie. -Flint przeczesał palcami przedwcześnie posiwiące, dawno nie strzyżone włosy, po czym wskazał dłonią w stronę doliny.

- Widzi pan to miejsce, gdzie droga skręca w prawo? Widzi pan to drzewo?

Koło żywopłotu rósł samotny jesion, znacząc miejsce, gdzie coś straszego spotkało Mad Flint.

- Grace je zasadziła - mówił Flint. - Dałem jej młodniak na dziesiąte urodziny, prosiła o niego. Wiedziałem, co chce z nim zrobić, myślałem, że jej to pomoże, ale kiedy je zasadziła, nigdy już tam nie poszła. Mniej więcej rok później wczesnym rankiem zastałem ją na tarasie. Siedziała nieruchomo, wpatrzona w swoje drzewo. Zapytałem, co robi. Powiedziała: „Chciałabym, żeby ono umarło”.

Cohen odkaszlnął.

- Wyjaśniła dlaczego?

- Nie. Powiedziała tylko: „Wszystko umiera”. Miała wtedy jedenaście lat.

- Uznał pan, że najlepiej będzie... - zaczął Cohen.

- Żeby stąd wyjechała. Tudor Hall miało opinię szkoły, która potrafi radzić sobie z trudnymi dziećmi. Pojechałem do dyrektorki, opowiedziałem jej wszystko. Okazała wiele zrozumienia. Potem zawiozłem tam Gracie, chciałem, żeby poznała dyrektorkę, nauczycieli, zobaczyła szkołę i... - Flintowi zabrakło słów.

- Jak zareagowała?

- W ogóle nie zareagowała. Przez całą drogę nie odezwała się ani słowem, tam też nie, po powrocie do domu nadal milczała. Próbowałem z nią rozmawiać, dowiedzieć się, jaką podjęła decyzję. Nic. Ciągle milczała i patrzyła na mnie tymi swoimi smutnymi oczami... przerwał, nagle zmienił temat. -Pan nigdy nie spotkał Grace, prawda?

- Nie.

- Ale widział pan jej zdjęcia?

- O tak.

- Wie pan, co mam na myśli, mówiąc o jej oczach? Cohen wahał się przez chwilę, nie wiedząc, czy skłamać, czy uciec się do półprawdy.

- Nie wydały mi się smutne - odparł w końcu oględnie.

- Nie? - Flint spojrzał na niego z zainteresowaniem. - A jak by je pan opisał?

- Niewątpliwie są piękne.

Flint wpatrywał się w niego nadal, nieusatysfakcjonowany lakoniczną odpowiedzią.

- Pewien amerykański policjant powiedział, że nigdy nie widział równie pięknych oczu. Z jednej strony niewinne, z drugiej... - Cohen czuł narastające zażenowanie.

- Seksy - dokończył Flint. - „Moje oczy mówią «pierdol mnie»”, tak to określa Grace. Kiedy pomyśleć, co stało się z jej matką i o co Grace mnie oskarżała, czy to nie najsmutniejsze słowa, jakie można usłyszeć? Powiem panu, co przypominały mi oczy Grace, kiedy wróciliśmy z pierwszej wizyty w Tudor Hall. Leczyłem kiedyś źrebaka, którego nie mogłem uratować, choć bardzo się starałem. Pewnego wieczoru poszedłem do stodoły. Musiałem go uspić, nie było ratunku. Patrzył, jak wchodzę do jego boksu. Leżał na boku, nie był w stanie się podnieść. Wiedział, co zamierzam zrobić, i patrzył na mnie, czekał, aż zbiorę się na odwagę. Pomyślałem o Coeleridge'u. Zna pan ten jego wiersz? „Biedne źrebię z umęczonej rasy! Kocham twoje oczy cierpliwe”. Jakoś tak to szło. I takie są oczy Grace, panie Cohen. Nie ma w nich seksu. Tylko rezygnacja.

IV

W przeciwieństwie do domu stodoła lśniła czystością: pachnące karbolem wnętrze, starannie utrzymana podłoga z desek, ściany wyłożone miodowożółtymi kaflami.

- Zerwali całą podłogę, deska po desce - powiedział Flint, biorąc na rękę kilkudniowego, ślepego jeszcze kociaka. - Rozbili cementową wylewkę, a ziemię pod spodem przekopali na półtora metra.

Musieli mieć powody do podejrzeń, skoro zadali sobie tyle trudu, pomyślał Cohen. Stodoła, którą podzielono na gabinet, poczekalnię i salę operacyjną, mogła mieć około dwudziestu pięciu metrów długości. Przekopywanie gruntu w poszukiwaniu szczątków Mad Flint musiało trwać przynajmniej dwa tygodnie.

- Była tak przekonująca - mówił Flint. - Tak pewna, że widziała...

- Jak zakopywał pan ciało?

- Jak stoję nad ciałem w zakrwawionym fartuchu, z młotkiem w ręku, a potem kopię dół i grzebię ciało.

Flint zaczął karmić kociaka pipetką.

- Przez lata usiłowała wyprzeć ten obraz z pamięci, tak w każdym razie uważała policja. Potem zaczęły się koszmarne sny. W tych snach to nie ja, tylko Tom Price niósł ją na barana. Wszystko działo się tutaj, nie na drodze. I nie Hektora widziała, tylko matkę.

Włożył kociaka z powrotem do wysłanej sianem klatki i wyjął kolejnego. W sumie w klatce znajdowało się czworo maluchów czekających na nakarmienie.

- Nic o tym nie wiedziałem. Któregoś dnia zadzwoniła do mnie dyrektorka szkoły z informacją, że z Gracie dzieje się coś złego: koszmarne sny, bóle głowy. Szkolny lekarz nie doszukał się żadnych przyczyn fizycznych, zlecił leczenie psychiatryczne. Pojechałem natychmiast do Tudor Hall. Kiedy dotarłem na miejsce, była w katatonii. Tego samego popołudnia trafiła do kliniki psychiatrycznej w Oksfordzie.

Cohen znał tę historię.

- Jak długo tam przebywała?

- Dwa miesiące? Może trochę krócej.

- Nie pozwalali panu jej odwiedzać?

- Powiedzieli, że lepiej, żebym nie przyjeżdżał. Że córka mnie nienawidzi.

- Jakie metody stosowali? Hipnozę? Terapię regresywną?

- Próbowali wszystkiego, także lekarstw.

- Amytalu sodowego?

- Tak. Miała szesnaście lat!

- Chryste!

Stali przez chwilę w milczeniu poruszeni wydarzeniami sprzed lat.

Flint przysiadł na stole operacyjnym, na którym miał kiedyś dokonać domniemanej zbrodni.

- Była wykończona. Ci szarlatani wmówili jej, że w koszmarach sennych powracają „wyparte wspomnienia” tkwiące w podświadomości i że powinna zgłosić się na policję. Kiedy policja nic nie znalazła...

Wyobraża pan sobie, jak Grace musiała się czuć.

Cohen opadł ciężko na krzesło. Annie pod koniec choroby też zaczęła go nienawidzić, przekonana, że to przez niego umiera na raka.

- Nie potrafiła spojrzeć mi w twarz, nie chciała wrócić do szkoły, nie spotykała się z nikim... nie mogła znieść samej siebie.

- Jak z tego wyszła?

Twarz Flinta rozpromieniła się po raz drugi tego popołudnia.

- Dzięki najwspanialszemu człowiekowi na świecie... Uratował ją doktor Rishard Holt. - Flint zamilkł na chwilę, jakby oczekiwał, że Cohen domyśli się dalszego ciągu. - O dziwo psychiatra.

Zauważył przelotny grymas niechęci na twarzy Cohena.

- Wiem, w pierwszej chwili zareagowałem tak samo. Nie wierzyłem im ani trochę, wymordowałbym wszystkich. Kiedy trochę ochłonałem po dochodzeniu, które zafundowała mi policja, pojechałem do Londynu do szefa Royal College of Psychiatrist i powiedziałem mu, nie owijając w bawełnę, co myślę o jego kolegach. Trzeba oddać mu sprawiedliwość: wysłuchał mnie spokojnie. Przyznał, że terapia zastosowana w Oksfordzie wołała o pomstę do nieba. W końcu mnie przekonał, że jedynym

lekarstwem na złą terapię jest mądra terapia. Nie przyszło mu to łatwo, rozmawiał ze mną całe popołudnie, do późnego wieczora. Poszliśmy razem na kolację, potem wróciliśmy do niego do domu, gdzie wypilem znacznie więcej whisky, niż powinienem... A właśnie, może ma pan ochotę na drinka?

Cohen spojrział na zegarek.

- Muszę wracać do Londynu - powiedział, myśląc z niechęcią o długiej drodze powrotnej.

- Niech pan zostanie na noc. Znajdzie się coś do jedzenia. Może pan spać w pokoju Grace. Ta rozmowa była dla mnie ciężka, nie chciałbym teraz zostać sam.

- Zgoda.

- Pocziwy z pana człowiek. O czym to ja mówiłem? A, już wiem. Skończę ten fragment historii i wracajmy do domu... Nie wdając się w szczegóły, ten człowiek w końcu przekonał mnie, że Grace powinna poddać się kolejnej terapii, ale zupełnie inaczej prowadzonej. Polecił mi doktora Holta. Początkowo odnosiłem się nieufnie do tego pomysłu. Spotkałem się z Holtem i przez kilka godzin zamęczałem biedaka pytaniami...

Flint uśmiechnął się; najtrudniejszą część opowieści miał już za sobą.

- Nie spotkałem nigdy kogoś takiego. Powiedzenie, że to najwrażliwszy człowiek na świecie, pełen zrozumienia i współczucia, nawet częściowo nie oddaje jego charakteru. Wiedziałem, że z całym spokojem mogę powierzyć mu Grace. Ostrzegł mnie, że terapia będzie długa i może nie przynieść oczekiwanych rezultatów i że nie powinienem

kontaktować się z córką, dopóki nie będzie gotowa. Ja jednak ufałem, że wszystko skończy się dobrze. Potem...

Flint zeskoczył ze stołu, stał teraz tyłem do Cohena.

- Piętnaście miesięcy później, akurat w osiemnaste urodziny Grace, byłem tutaj, kończyłem operację. - Wykonał kilka gestów naśladujących zszywanie rany. - Usłyszałem jakiś odgłos za plecami... - Odwrócił się twarzą do Cohena. - Zobaczyłem swoją córkę. Uśmiechała się. Wie pan, co zrobiła? Rzuciła mi się na szyję i uścisnęła mnie długo, serdecznie.

Flint kołysał się na piętach, po policzkach spływały mu łzy.

- Panie Cohen, gdzie ona jest, na Boga?

Usiedli przy blacie kuchennym przy butelce whisky. Zdążyli już opróżnić jedną trzecią jej zawartości, obydwaj zażenowani nagłym załamaniem Flinta.

Cohen zastanawiał się, o co jeszcze powinien zapytać. W aktach Flinta nie było wzmianki o tym, że była leczona psychiatrycznie.

- Ten psychiatra? - zaczął z wahaniem. - Nazywał się Richard Holt?

- Rishard - poprawił go Flint. - Francuz. Cohenowi szybciej zabiło serce.

- Francuz? Ale mieszka w Anglii?

- Nie, nie. W Paryżu. Przynajmniej wtedy mieszkał. Między innymi dlatego mi go polecono. Grace mogła zmienić otoczenie. Jej matka była z pochodzenia Francuzką. W każdym razie Grace przez cały okres terapii przebywała w Paryżu.

Cohen słyszał poszczególne słowa, ale czy sprawiło to zmęczenie, czy wypity alkohol, ich znaczenie nie docierało do niego. Wpatrywał się w Flinta jak w wariata.

- O co chodzi?
- Grace przez piętnaście miesięcy mieszkała w Paryżu?
- Tak jak powiedziałem.
- Czy jeździła tam później? Utrzymywała kontakt z doktorem

Holtem?

- Tak, ale raczej z jego córką, Dominique. To najbliższa przyjaciółka Grace. Dlaczego pan pyta?

- A więc za każdym pobycem w Paryżu spotykała się ze swoją przyjaciółką?

- Zawsze.

- Dlaczego wcześniej mi pan o tym nie powiedział?

- O czym pan mówi?

- O Paryżu!

- Co miałem powiedzieć o Paryżu?

- Tam przecież zniknęła, na litość boską.

- Gracie zniknęła w Paryżu?

Zerwali się obydwaj z krzeseł, stali teraz naprzeciwko siebie - dwóch poirytowanych, krzyczących mężczyzn.

- Nic panu nie powiedzieli? - W głosie Cohena brzmiało niedowierzanie. Przypomniawszy sobie zakończenie raportu dotyczącego zniknięcia Grace Flint: „Doktor Flint nie potrafi powiedzieć, gdzie przebywa jego córka”.

- Kto?

- Policja!

- Ani słowa. Pytali, kiedy ostatnio się ze mną kontaktowała, więc im powiedziałem, że dzwoniła z Miami przed wyjazdem na Karaiby.

- Czyli myślał pan...

- Że zniknęła na Karaibach.

- W Paryżu. Wiemy, że poleciała tam z Londynu i... Cohen przerwał, widząc, że Flint go nie słucha. Odwrócił się gwałtownie, wyszedł na taras i ruszył do stodoły, gdzie w biurku w gabinecie trzymał swój notes z numerami telefonów.

V

Flint przyszła dwie godziny przed czasem, w La Palette nie było jeszcze nikogo. Usiadła przy stoliku stojącym na trotuarze, pod markizą, wyjęła książkę i u znudzonego kelnera zamówiła *citron presse*, przygotowując się na długie oczekiwanie.

W odległości kilkunastu metrów, dokładnie po drugiej stronie ulicy, lipcowe słońce odbijało się w grubych, pancernych szybach Galerie Pytheas. Na wystawie, na czerwonym atlasowym tle wyeksponowano dużą srebrną, zdobioną techniką niello paterę z łacińskimi inskrypcjami. Mała plakietka pod spodem informowała: „Cesarstwo Rzymskie, IV wiek n. e. ”. Drzwi galerii były zamknięte od wewnątrz, a niewielki napis informował, by potencjalni klienci używali dzwonka, jeśli chcą zajrzeć do środka.

Jak dotąd nikt nie skorzystał z zaproszenia. Pozornie zatopiona w *W poszukiwaniu straconego czasu*, Flint spod oka obserwowała wejście do galerii, powoli sącząc napój. Udawała, że na kogoś czeka, i regularnie zerknęła na zegarek. Na szczęście Gilles przyszedł piętnaście minut przed czasem. Zobaczyła go z daleka, jak szybkim krokiem zbliżał się w jej stronę: uśmiechnięty, w rozpiętej pod szyją koszuli, z potarganymi włosami, o szczupłej chłopięcej sylwetce, z marynarką przerzuconą przez ramię.

Uściskał ją i ucałował w obydwie policzki.

- Masz długie nogi, daleko zajdziesz - oznajmił z powagą. Zawsze się przekomarzali.

- Masz wielkie oczy - odpowiedziała, usiłując zachować kamienną twarz. - Dużo widzisz.

Raz jeszcze ją uściskał i cofnął się o krok, szukając śladów zmęczenia na jej twarzy.

- Zważywszy na okoliczności, całkiem dobrze wyglądasz.

- Dobrze się czuję.

- Na Dominique zrobiłaś wrażenie wyczerpanej.

- Uważa też pewnie, że jestem za chuda?

- O wiele za chuda - przytaknął i oboje się uśmiechnęli. - Widziałaś go?

- Jeszcze nie.

- Pozwól, że zamówię sobie piwo, a potem opowiem ci, co wiem.

Nie było tego wiele. Mario Antonia Silva, właściciel Galerii Pytheas miał czterdzieści lat i zajmował się handlem. Urodzony w Lizbonie, przez pewien czas mieszkał w Londynie przy

Montague Square, potem przeniósł się do Paryża. Rozwiedziony, bezdzietny. Przestrzeń galeryjną wydzierżawił na pięć lat. Wynajmował mieszkanie przy rue Jacob 30. Nie miał samochodu, przynajmniej zarejestrowanego na swoje nazwisko. Nie notowany, nie karany, nie zamieszany w żadne podejrzane interesy: czysta kartoteka. Flint uniosła brwi.

- Tak jest - potwierdził inspektor Bourdonnec z Brigade Criminelle. - Kiedy wystąpił o przyznanie *carte de sejour*, zapomniał wspomnieć o drobnych kłopotach, które miał w Londynie.

- Mogło mu to przeszkodzić w uzyskaniu prawa stałego pobytu?

Gilles wzruszył ramionami.

- Raczej nie. Jako obywatel Unii ma prawo mieszkać we Francji, nikt nie bawi się w dokładne sprawdzanie akt, ale gdybym miał zainteresować się pochodzeniem tej patery na witrynie galerii, na pewno zainteresowałbym się też jego oszustwami finansowymi.

- Jak myślisz, ile może być warta?

- Sześć milionów franków, w każdym razie na tyle ją wycenił. -

Gilles wyjął z kieszeni ulotkę wydrukowaną na drogim, eleganckim papierze, z której wynikało, że patere znalazł jakiś libański wieśniak, kiedy orał pole. Czytając dalszy komentarz, Flint parsknęła śmiechem: „To wspaniałe dzieło sztuki ma certyfikat wystawiony przez posiadającego niezbędne uprawnienia eksperta w Bejrucie i potwierdzony przez ambasadę libańską w Paryżu”.

- Co mają oznaczać „niezbędne uprawnienia”?

- Łapówkę.

Silva postępował lekkomyślnie. Świetnie. Flint oparła swoją strategię na założeniu, że musi mieć słabe punkty. Był jedynym człowiekiem, który mógł ją doprowadzić do Harlinga i jego anonimowych opiekunów odpowiedzialnych, o czym była przekonana, za śmierć Hechtera i Maitlandów. Silva musiał ich znać. Prędzej czy później powie, kim są.

Dokładnie o siódmej atlasowa zasłona uchyliła się i na wystawie pojawiło się dwóch mężczyzn: szczupły chłopak z włosami opadającymi

na czoło i starszy, którego wygląd zgadzał się z opisem podanym Flint przez Gilles'a: „metr siedemdziesiąt wzrostu, ciemna cera, mocno zbudowany, czarne włosy gładko zaczesane do tyłu”. Silva przytrzymał patere, chłopak odwiązywał nylonowe żyłki, na których była zawieszona. Po chwili obydwaj zniknęli.

- Na tyłach galerii jest sejf z zamkiem zegarowym, zabezpieczony jakimś wymyślnym alarmem - powiedział Gilles.

- Domyślam się. Gdybym miała w sklepie rzecz wartą kilka milionów, nie wychodziłabym stamtąd.

- Patrz uważnie.

Nie musieli długo czekać. Kilka minut później przed galerią zaparkował niebieski peugeot combi. Dwóch identycznie ubranych mężczyzn w ciemnych koszulach i takich samych, wpuszczonych w wysokie buty spodniach wysiadło niespiesznie, nie zwracając uwagi na pomstowania kierowców, którym ich samochód blokował przejazd.

- Gliny? - spytała Flint.

- Opryszki z brygad specjalnych. CRS.

Wyjęli pały z bagażnika, po czym jeden z nich zatrzasnął klapy niedbałym ruchem ręki.

- To legalne?

- Nie, pracują na lewo. Prywatna ochrona.

Stali chwilę na jezdni z beczelnymi minami, zdającymi się mówić: „możecie nam naskoczyć”. Kiedy Silva otworzył drzwi galerii, natychmiast zniknęli we wnętrzu.

- Zostaną tam przez całą noc?

- Do północy. Potem pojawi się następna zmiana. Będą siedzieli do rana, kiedy przyjdzie Silva. Tak w każdym razie było przez ostatni tydzień.

- Musi go to drogo kosztować.

- Ma w galerii sporo cennych rzeczy. Ubezpieczonych w sumie na dwadzieścia dwa miliony. Część wziął w komis, podobno od jakiegoś prywatnego kolekcjonera z Zurychu. Wiem od celników, że w przyszłym tygodniu spodziewa się nowego transportu. To już czternasta dostawa w tym roku.

Flint poruszyła się niespokojnie.

- Zawsze z Zurychu?

- Czasami z Genewy, niekiedy z Bazylei, ale zawsze ze Szwajcarii.

- Płaci cło?

- Nigdy przy wwozie. Dopiero w momencie sprzedaży; jeśli jednak kupujący wywozi dzieło poza obszar Unii, zwolniony jest od cła, a tak właśnie na ogół się dzieje. Wiesz dlaczego?

- Pralnia - odpowiedziała Flint natychmiast.

- Właśnie.

- Silva bierze dzieła w komis - ciągnęła Flint. Większość to falsyfikaty, co nie ma większego znaczenia, bo kupcy też są podstawieni. Nasz antykwariusz trzyma eksponat kilka tygodni w witrynie, potem go „sprzedaje” - uniosła po dwa palce każdej dłoni dla zaznaczenia cudzysłowu - jakiemuś „zagranicznemu kolekcjonerowi”, który przekazuje pieniądze na konto Silvy tu, w Paryżu. Mam rację?

- Mów dalej.

- Silva odlicza swoją marżę, resztę przelewa na nazwisko „właściciela” dzieła w Szwajcarii, ale tego oczywiście nie robi: wpłaca całą sumę do, powiedzmy, New World Bank. W ten sposób co kilka tygodni pierze ładnych kilka milionów, a w księgach wszystko się zgadza. Trzeba tylko opłacić „kolekcjonerów”, wynajem galerii, fracht, ubezpieczenie i kilku ochroniarzy. Coś pominęłam?

- Prawie nic. - Gilles się roześmiał. - Zawsze uważałem, że szybko myślisz.

- Wiem więcej niż ty - powiedziała Flint, wstając. Poczowała znajomy dreszcz podniecenia, kiedy zobaczyła, jak Silva wychodzi z galerii i rozgląda się przezornie na boki. - To nie jest jednoosobowy biznes. Założę się z tobą o cenę tej patery, że wiem, kto jeszcze macza w tym palce.

Mario Silva idzie powoli rue de Seine. Zapomniał już o przezorności: beztroski, zadowolony z siebie uśmiecha się do mijanych dziewcząt. Na rue Jacob robi zakupy na niewielkim bazarku, podobno najlepszym w całym Paryżu. Kupuje warzywa, sery, pieczywo. Grace Flint nie spuszcza go z oka.

170

Ładna kobieta w szykownej sukni siedzi w skórzanym klubowym fotelu i sący szampana. Zza okularów obserwuje wpatrującego się w nią Silwę. Mario nie stara się ukryć zainteresowania kobietą. Mierzy ją wzrokiem znawcy, obmyśla strategię.

Dzieli go od kobiety odległość dwóch metrów, oparł się o ozdobny drewniany gzyms kominka, na którym stoi popiersie Napoleona. W przyćmionym, dyskretnym świetle nie może odczytać, co mówią oczy kobiety, nie wie, czy wyrażają zachętę i przyzwolenie.

Zbliża się do niego jedna z dziewcząt i napełnia kieliszek. Silva nie pamięta jej imienia, ale to nie ma znaczenia. Wszystkie zachowują się podobnie, są równie chętne. Dziewczyna staje bliżej niż to konieczne, ociera się piersiami o jego ramię, jakby chciała mu przypomnieć o wcześniejszych spotkaniach.

Nie ma na nią ochoty. Nie dziś wieczorem.

Patrzy na kobietę, ma wrażenie, że na jej twarzy maluje się całkowita obojętność. Postanawia spróbować szczęścia i podnosi swój kieliszek w niemym toaście.

Klub Elegance zajmuje dwie kondygnacje w osiemnastowiecznym pałacyku w pobliżu L'Abbe de l'Epee na południe od Ogrodów Luksemburskich. Dyskretna tabliczka przy wejściu informuje, że wstęp mają tylko członkowie, ale to nieprawda. Każdy może tu wejść, jeśli przejdzie pomyślnie test obserwującego monitor portiera. Inspektor Gilles Bourdonnec zapłacił dwa tysiące franków za trzy miesiące członkostwa i jeszcze dodatkowo pięćset za „kartę gościa” dla Flint. Recepcjonistka powiedziała mu, że może wpisać dowolne nazwiska do księgi klubowej.

- Poszedł do burdelu - zawołał Gilles, pukając do drzwi pokoju syna i usiłując zbudzić Flint. Wyraził się mniej dosadnie, użył eufemizmu *une maison de tolerance*. Flint z trudem otworzyła oczy, spojrzała nieprzytomnie na wojskowy helikopter zawieszony pod sufitem i dopiero sobie przypomniała: jest w Paryżu, w mieszkaniu Dominique, w pokoju Gasparda. Wskoczyła z łóżka, włożyła bawełnianą koszulę i otworzyła drzwi.

Gilles krzątał się po kuchni, nalewał kawę do kubków.

- Która to godzina? - zapytała.

- Po północy. Dzwonili właśnie moi chłopcy. Już zamierzali zrezygnować. Cały wieczór przesiedział w domu. Kiedy zgasił światło, pomyśleli, że poszedł spać. W tej samej chwili podjechała taksówka i pojawił się Mario. Wystrojony jak Don Juan ruszył w miasto. Ubieraj się.

- Chcesz mnie zabrać do burdelu?

- To właściwie coś w rodzaju klubu, ale dziewczyny też są, gdyby Mario szukał akurat jakiejś na noc. Jedźmy, rozejrzyjmy się, ale musimy się pospieszyć. Moi chłopcy godzinę temu powinni byli skończyć służbę, chcieliby już iść do domu.

- Dobra - mruknęła Flint i ruszyła do swojego pokoju. Po sekundzie wróciła. - Jak mam się ubrać?

- Elegancko, jak kobieta, która idzie w noc szukać przygody. Załóż coś seksownego, ale nie wyzywającego.

- Dzięki za radę. Nie mam nic takiego w swojej garderobie.

Dominique już śpi?

- Nie śpi. Wścieka się. Chciała jechać z nami, ale powiedziałem, że nic z tego.

Dominique leżała w łóżku i oglądała jakiś stary film w telewizji. Próbowwała udawać naburmuszoną, ale wyciągając kolejne suknie z szafy, coraz bardziej zapalała się do tego, żeby odpowiednio ubrać przyjaciółkę.

Ostatecznie zdecydowały się na małą czarną z ciężkiego jedwabiu, na wąskich ramiączkach. Toaletę dopełniła srebrna obroża na szyję, kolczyki z brylantami i delikatna jak pajęczyna srebrna bransoletka. Pomimo protestów Flint Dominique uparła się, żeby przyjaciółka włożyła jej najcenniejszy skarb, prezent od ojca, srebrnego patka.

- Nie mogę go wziąć!

- Musisz! Będzie doskonale pasował.

- Jeśli tak się pokażesz, będziesz tyle warta, że Silva mógłby umieścić cię w witrynie swojej galerii - skomentował Gilles, zaglądając do pokoju.

Cała trójka wybuchnęła śmiechem, ale Grace czuła się podle. Siedziała przed lustrem, kiedy Dominique układała jej włosy, patrzyła na swoją piękną twarz i nie mogła nie myśleć, czemu zawdzięcza obecną urodę. Zawsze przed akcją czuła upajający dreszcz podniecenia, niczym spadochroniarz przed skokiem.

Tyle że jej spadochron, jeśli trzymać się metafory, już dwa razy się nie otworzył.

Mówiła sobie, że to irracjonalne odczucia i że nic złego nie może się zdarzyć. Idzie tylko przyjrzeć się z bliska Silvie. Gilles będzie w pobliżu. A jednak dręczyły ją koszmarne wspomnienia: ciepła krew Pete'a Pendle'a, but Bullera miażdżący jej twarz, palec Władimira w pochwie.

Wstała, dygnęła, dziękując Dominique i Gilles'owi za brawa, ruszyła ku drzwiom, nie słuchając wewnętrznego głosu.

NIE RÓB TEGO! GRACE!

* * *

Na parterze Elegance znajdowało się pięć obiegających hol salonów połączonych przejściami w jeden ciąg wewnątrz. Wystrój przypominał Flint edwardiańskie kluby w Londynie. Może nie tyle przypominał, bo nigdy w żadnym nie była, ile raczej odpowiadał jej wyobrażeniom o tych bastionach patriarchalnej tradycji. Głębokie skórzane fotele, stoły z mahoni, nad kominkiem ogromne lustro w złożonej ramie, lampki z ciemnoczerwonymi abażurami, grube ciemnoczerwone chodniki, ciężkie

czerwone zasłony. Tylko dwie rzeczy odróżniały wnętrze Elegance, kłócąc się z resztą: bukiety świeżych kwiatów na każdym stoliku i dziewczyna, która mignęła w sąsiedniej sali, w wysokich szpilkach, obnażona do pasa, nierealna niczym manekin albo hologram.

Kiedy Gilles pociągnął Flint w stronę baru, dziewczyna podniosła się z kanapy i podeszła do nich z uśmiechem na ustach.

- Dobry wieczór - powiedziała. - Znajdziecie tu wszystko, czego szukacie.

Gilles zupełnie zbaraniał, a Flint z trudem powstrzymała się, by nie parsknąć śmiechem. Napięcie prysło, poczuła ulgę. Wszystko będzie dobrze. Nie może przydarzyć się jej nic złego.

- Zaczniemy od drinka - rzuciła Flint, biorąc Gilles'a pod ramię.

Usiedli na wysokich, obitych czerwoną skórą stołkach, zamówili szampana i dyskretnie rozglądali się wokół. W sali mogło być około trzydziestu osób, nie licząc ich samych, barmana i półnagich hostess, bo tak chyba, jak domyślała się Flint, tutaj je nazywano. Surrealistyczna atmosfera, surrealistyczna zbieranina ludzi. Ośmiu mężczyzn wyglądających na Japończyków prowadziło ożywioną rozmowę, nie zwracając uwagi na dziewczęta, dla których zapewne przyszli do klubu. Jakichś czterech Amerykanów, sądząc po akcencie, kłóciło się o mecz baseballowy. Przy trzech stolikach wesoło bawiło się mieszane towarzystwo, kilka par, jak w każdej normalnej restauracji. Ani śladu Silvy.

- Jeśli tak ma wyglądać seks, to dziękuję - mruknęła Flint. -Gdzie się podział Mario?

- Może jest na górze w jakiejś sypialni. - Gilles wskazał głową w stronę schodów w głębi sali, przegrodzonych czerwonym sznurem.

Flint miała już powiedzieć, że wyglądają jak przejście służbowe, kiedy w tamtą stronę ruszyły trzy pary. Jedna z hostess natychmiast zdjęła sznur, przepuszczając gości.

- Rozejrzę się trochę, może gdzieś go zobaczę - rzuciła Flint.

- Uważaj - ostrzegł Gilles.

- Zamienię z nim kilka słów, jeśli nadarzy się okazja.

- Będę cię ubezpieczał.

Skinęła głową, zsunęła się ze stołka i z kieliszkiem w ręku przeszła do sąsiedniej sali, ignorując Amerykanina, który próbował ją zaczepić, kiedy go mijała.

Dopiero w czwartej sali wypatrzyła Silve, a raczej to on ją wypatrzył. W pierwszej chwili pomyślała, że jest w pokoju sama. Usiadła w fotelu, przymknęła oczy. Kiedy je otworzyła, stał kilka kroków od niej i nie spuszczał z niej wzroku.

Tu cię mam, pomyślała, wciągając głęboko powietrze i starając się nie ulec panice.

Nad kominkiem wisi ogromne lustro sięgające niemal sufitu, nachylone pod takim kątem, że Flint widzi, jak dziewczyna napełniająca kieliszek Silvy ociera się o niego pierśmi. Flint nie jest uszczęśliwiona z powodu konkurencji. Dziewczyna jest młoda, atrakcyjna; nie zdziwiłaby się wcale, gdyby Silva zniknął zaraz z tamtą w jednym z pokoi na pierwszym piętrze. Nie może go zatrzymać, ale wpatruje się w niego z zainteresowaniem, licząc, że Mario nie ulegnie pierwotnemu instynktowi. Biorąc pod uwagę miejsce, gdzie się znajdują, nie bardzo w to wierzy.

I nagle - niespodzianka. Silva unosi kieliszek w toaście, spogląda na Flint. Nauczona, że to obiekt ma zawsze wykonać pierwszy krok, odpowiada tym samym gestem. Dyskretnie, bez pośpiechu. Chwilę zwleka, po czym odrobinę unosi swój kieliszek.

To wystarczy. Dziewczyna odchodzi, a Mario Silva zbliża się do Flint. Staje obok niej i mówi:

- Dobry wieczór. Można się przysiąc?

Kątem oka widzi, że do pokoju wchodzi powoli Gilles w towarzystwie długonogiej hostessy.

- Mam na imię Mario. Chyba nie widziałem cię tu nigdy wcześniej? Stoi, czeka, aż Flint pozwoli mu usiąść.

- Nie - odpowiada Flint krótko.

- Na pewno bym cię zapamiętał. - Uśmiecha się, patrzy pytająco na pusty fotel. Flint wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć: „To wolny kraj”.

Silva siada i pyta:

- Jesteś tu sama?

- Nie. - Flint dłonią z kieliszkiem wskazuje opartego o ścianę Gilles'a.

Na twarzy Silvy pojawia się zakłopotanie, traci pewność siebie.

- To tylko znajomy. Pierwszy raz nie chciałam pojawiać się tu sama.

Silva kiwa głową ze zrozumieniem.

- Mogę spytać, jak masz na imię?

Po francusku mówi poprawnie, znacznie lepiej niż ona, ale z dziwnym akcentem, jak człowiek władający wieloma językami.

- Katia - odpowiada Flint, uciekając się do niewinnego kłamstwa i posługując imieniem, na które Gilles wyrobił jej kartę gościa.

- Nie jesteś Francuzką?

- Niezupełnie.

Silva kwituje ten unik uśmiechem i sam nie pozostaje dłużny.

- Ja nie należę do żadnego kraju. Jestem obywatelem świata.

Flint milczy.

- Urodziłem się w Portugalii - zwierza się Silva i za swoją szczerość zostaje nagrodzony półuśmiechem.

- Wolno wiedzieć, czym się zajmujesz? Wreszcie, myśli Flint i zarzuca przynętę.

- Finanse międzynarodowe.

- Naprawdę? To przykrywka dla wielu grzechów. Nie odpowiada, więc Silva próbuje z innej strony.

- Twój znajomy dobrze się bawi.

Amazonka, bo tak Flint ją nazwała na własny użytek, stoi z Gilles'em pod ścianą, dłonie zaplotła mu na szyi, przytula się do niego nagim torsem.

- Po to tutaj przyszedł - odpowiada Flint.

- A ciebie co sprowadza?

- Ciekawość.

- Co cię tak interesuje?

- Ludzie. Byłam ciekawa, kogo spotkam, co się wydarzy.

- I spotkałaś mnie.

- Tak.

- Jak myślisz, co się wydarzy?

- Nie wiem.

Patrzy mu w twarz i widzi na niej wyraźnie wszystkie odczucia. Wie, że za chwilę Silva się przysunie, będzie chciał jej dotknąć. On też stara się czytać w jej twarzy, ale widzi tylko maskę.

Nachyla się ku Flint, kładzie jej dłoń na kolanach.

- Byłaś już na piętrze?

- Nie.

- Są tam sypialnie.

Teraz ona się nachyla. Silva mylnie odczytuje jej gest, zaciska dłoń na kolanie. Za chwilę czeka go rozczarowanie.

- Nie jestem dziwką. Nie sypiam z facetami w burdelach. -Flint mówi spokojnie, ale z taką pogardą w głosie, że Silva cofa dłoń jak oparzony.

- Nie zamierzałem...

- A co zamierzałeś?

- Ja tylko...

Jest zupełnie zbity z tropu, Flint musi mu pomóc.

- Mieszkasz sam?

- Tak, zupełnie sam.

- Gdzie?

- Niedaleko stąd. Na rue Jacob, blisko St Germain-des-Pres. Może znasz tę okolicę? - W jego głosie brzmi nadzieja, ale i zmieszanie. Silva przestaje cokolwiek rozumieć; tak właśnie nakazują podręczniki przygotowujące tajnych agentów do akcji.

- Może zaprosisz mnie do siebie.

- Oczywiście. Kiedy?

Flint zastanawia się, oblicza, ile czasu będzie potrzebował Gilles, żeby zainstalować sprzęt: kamery, mikrofony, a przede wszystkim rozlokować w sąsiedztwie mieszkania grupę osłaniającą. Patrzy na niego pytająco, jakby liczyła, że przekaże jej odpowiedź drogą osmozy, ale on tak jest pochłonięty Amazonką, że nie zwraca uwagi na Flint.

- We wtorek - mówi Flint na chybił trafił. Silva ma zawiedzioną minę.

- Rano lecę do Zurychu. Nie będzie mnie przez kilka dni. Flint kłębią się w głowie sprzeczne myśli, ale przeważa obawa, że zdobycz może się jej wymknąć. Złapała go na przynętę, połknął haczyk, ale żyłka się splątała.

Wewnętrzny głos krzyczy, ostrzega, Flint go nie słucha. Otwiera usta i sama nie wierzy w to, co mówi:

- Idziemy?

ROZDZIAŁ 6

I

- Staje się upierdliwy - powiedział sir Adrian Taggart, wychodząc na otoczony rosarium taras Compton Garden. Patrick Shilling skrzywił się lekceważąco.

- Cohen? Kręci się w miejscu.
- Devereaux jest innego zdania.
- Devereaux to głupiec. Sir Adrian uniósł brew.
- Nie powiedziałbym.

W głębi ogrodu, poza zasięgiem słuchu piękna żona sir Adriana przycinała krzew róży. W słońcu połyskiwała gładka jak szkło Solent.

- Nasz przyjaciel z Florydy zaczyna się niepokoić.
- Dlaczego?

Dlatego że Cohen zgodnie pracuje z Cutterem, przekazuje mu wszystko, co wie. A Cutter na pewno nie jest idiotą.

- Może zatem nasz przyjaciel powinien się nim zająć.
- On uważa, że to byłoby... nierozsądne.

Żona sir Adriana cofnęła się o krok, podziwiając swoją pracę.

- Nie byłoby rozsądnie, gdyby coś miało się przydarzyć Cutterowi - ciągnął jej mąż.

- A gdyby przydarzyło się Cohenowi?
- Jeśli uznamy za stosowne. - Sir Adrian obracał w dłoni kieliszek z białym portem. - Na przykład w Paryżu.
- W Paryżu?

Sir Adrian skinął głową.

- Cohen wie o Silvie?

- Najwyraźniej.

Zadowolona ze swoich ogrodniczych zdolności, żona sir Adriana zebrała ścięte gałązki w mały stos.

- Jesteś pewien?

- Devereaux nie powiedział tego wyraźnie, ale lepiej założyć, że Cohen niedługo wybierze się do Paryża na spotkanie z Mariem. - Sir Adrian uśmiechnął się na widok idącej w stronę tarasu żony, pełen podziwu dla gracji jej ruchów.

- Porozmawiam z...

- Bez nazwisk... - przerwał sir Adrian.

- Zajmę się tą sprawą.

- Oczywiście, dlaczego nie? Jeśli uznasz to za stosowne.

- Jeśli skończyliście już plotkować o interesach, może zjedlibyśmy lunch? - zapytała pani Taggart, podchodząc bliżej.

II

Żeby urozmaicić sobie podróż, Cohen pojechał do Paryża pociągiem. Z Waterloo wyruszył o dziesiątej rano, w porze lunchu był już na Gare du Nord. Przeprowa tunelem pod kanałem La Manche trochę go rozczarowała; przedsięwzięcie ogromne, a podróż taka monotonna.

Dysponował nieograniczonym funduszem, Barbara Dixon pokrywała wszystkie wydatki, nie musiał więc liczyć się z pieniędzmi, ale nie posłuchał rady Devereaux i zamiast zatrzymać się w Crillon, wynajął pokój w Relais Christine, starym klasztorze w Dzielnicy Łacińskiej zaadaptowanym na pensjonat, który nadal tchnął atmosferą odosobnienia,

co bardzo Cohenowi odpowiadało. Od śmierci Annie żył jak odludek, bez wiary, że w jego życiu ktokolwiek jeszcze się pojawi.

Jego „duplex”, jak go tu określano, składał się z sypialni na mezaninie i saloniku poniżej, gdzie teraz siedział, spoglądając przez okno na renesansowy wirydarz.

„Skontaktuję się z panem. Proszę czekać na telefon”, oznajmił suchym, niechętnym tonem Bourdonnec, kiedy Cohen do niego zadzwonił. Gdyby Devereaux nie użył swoich znajomości i nie uruchomił odpowiednich kanałów biurokratycznych, inspektor odprawiłby prawdopodobnie Cohena z kwitkiem. W końcu Anglik był kimś zupełnie obcym, nie związanym z policją, nie wiadomo, czego chciał.

Telefon odezwał się dopiero wieczorem. Obudzony z drzemki Cohen chwycił gwałtownie słuchawkę, jakby bał się, że Bourdonnec rozłączy się po pierwszym sygnale.

- Słucham?

- Mówi Bourdonnec. O co panu chodzi?

- Chcę się z panem spotkać, inspektorze.

- Po co?

- Muszę coś panu powiedzieć, ale to nie jest rozmowa na telefon.

Po drugiej stronie zapadło na moment milczenie.

- Nie mogę panu pomóc.

- Inspektorze, tylko pan może mi pomóc. Mnie i Grace.

- Kim pan jest?

- Niech się pan zgodzi na spotkanie, proszę.

Znowu milczenie wskazujące, że Bourdonnec zaczyna się łamać.

- Inspektorze, Gilles, jeśli mogę się tak do pana zwracać. Wiem, że ty i Dominique jesteście bliskimi przyjaciółmi Grace, wiem, ile ona dla was znaczy. Rozmawiałem z jej ojcem. Wierz mi, Grace rozpaczliwie potrzebuje twojej pomocy. Musimy się spotkać. Powiem ci, co wiem, i sam zdecydujesz, czy chcesz pomóc. Tylko ty możesz ją uratować.

- Proszę poczekać.

- *Comment?*

- *Ne quittez pas* *.

* *Słucham? Proszę się nie rozłączać*

Bourdonnec nie odłożył słuchawki, Cohen słyszał jego oddech i czekał, co weźmie górę: ostrożność gliniarza czy ciekawość i lojalność wobec Flint. Gilles podjął wreszcie decyzję.

- Masz pod ręką pióro?

- Tak.

- Zapisz. Na prawym brzegu, koło Pont Sait-Michel, jest stacja metra Chatelet.

- Tak.

- Od Chatelet pójdziesz rue des Halles, miniesz Les Halles i koło kościoła Sainte-Eustache skręcisz w prawo, w rue Montorgueil, potem prosto do skrzyżowania z rue Tiquetonne. Pod trzydziestym ósmym jest brama, *une porte cochere*. O tej porze już zamknięta, będziesz musiał użyć kodu. A2C4. Wejdiesz do sieni prowadzącej na podwórze. Na końcu sieni znajdziesz przeszklone drzwi po prawej stronie, z ośmioma dzwonkami. Na jednym z nich będzie moje nazwisko. Zrozumiałeś?

- Tak. Kiedy mam przyjść?

- *Maintenant*. Zaraz.

Wyglądał inaczej, niż go sobie Cohen wyobrażał. Był znacznie młodszy i znacznie mniej sztywny, niż wskazywał jego głos przez telefon. Wspinając się po stu trzydziestu siedmiu stopniach (policzył je dokładnie) do małego mieszkania Dominique i Gilles'a, Cohen spodziewał się, że drzwi otworzy mu nadęty francuski funkcjonariusz, tymczasem zobaczył mężczyznę o rozbijającej chłopięcej twarzy, z potarganymi włosami, w dżinsach i bawełnianej koszulce. Oparty o kuchenny zlewozmywak, który służył mu za popielniczkę, Boudonnec odpalał jednego papierosa od drugiego i słuchał opowieści Cohena. Był dobrym słuchaczem. Nie przerywał Cohenowi, czasami tylko rzucał przekleństwo zaskoczony kolejną rewelacją. Cohen nie powiedział mu całej prawdy, ale i tak było to znacznie więcej, niż początkowo zamierzał przekazać.

- *Bordel de merde!* - podsumował, kiedy Cohen skończył. - Nie miałem pojęcia!

- Grace nic ci nie powiedziała?

- O MI5 i waszym panu Brownie? Ani słowa. Wiedziałem o Harlingu, to tak. Ma obsesję na jego punkcie. Wiedziałem też o bombie i katastrofie samolotu. Powiedziała mi, co się stało, kiedy zadzwoniła z Londynu, prosząc, żebym jej pomógł.

Cohen słuchał na pozór obojętnie.

- Ale reszta... - Podniósł ręce w geście wyrażającym bezradność. - Gdybym wiedział, nie zgodziłbym się.

- Na co byś się nie zgodził, Gilles? O co Grace cię prosiła? Przez twarz Bourdonneca przemknął cień wahania, ale zaraz zniknął.

- Chciała, żebym znalazł wspólnika Harlinga. Tu, w Paryżu. To nie było trudne.

- Jak się ten człowiek nazywa?

- Jak się nazywa? - Gilles uśmiechnął się, odkręcił kran i splukał popiół strumieniem wody. - Teraz moja kolej? Wiesz co, przejdźmy się, odetchnijmy. Po drodze opowiem ci o kolejnej obsesji Grace, o niejakim Mario Silvie, antykwariuszu.

* * *

Nocnymi ulicami, minawszy Luwr, przez Pont des Arts dotarli na rue de Seine i zatrzymali się naprzeciwko galerii Silvy. Bourdonnec relacjonował wydarzenia z pedantyczną dokładnością, wystawiając na ciężką próbę cierpliwość Cohena. Ruszyli powoli w kierunku Palais du Luxembourg i przez Ogrody Luksemburskie dotarli w pobliże Abbe de l'Epee, skąd mogli wygodnie obserwować wejście do klubu Elegance. Inspektor dokładnie wyliczył czas; właśnie opowiadał, jak Grace zwierzyła mu się na ucho, że zamierza spędzić noc z Silvą.

- Powiedziałem jej, żeby wybiła to sobie z głowy i że pod żadnym pozorem nie wolno jej iść do mieszkania Silvy. Swoich chłopców wysłałem już do domu, nie mogłem zapewnić jej ochrony. Nie mieliśmy sprzętu: nadajnika, kamery, ani żadnego planu działania. „Nie pozwolę ci iść do tego bydlaka”. Byłem wściekły, ale...

- Grace jest uparta.

- Uparta? Jest nieznośna! *Entete!* Prawdziwy osioł! Powiedziała mi, że spotkała już wielu i potrafi wyczuć bydlaka na odległość. Cmoknęła mnie w policzek i wyszła z tym gnojkiem, jakby była jego kochanką. Trzeba ci było widzieć jego minę.

- Nie mogłeś jej jakoś powstrzymać?

- Mogłem facetowi przetrącić nogi... - Bourdonnec wzruszył ramionami, świadomy, że zawałił sprawę. - Poszedłem za nimi aż pod sam dom Silvy... wyciągnąłem swoich chłopców z łóżek. Myślałem, że wdrzemy się tam siłą... W końcu postanowiłem zaufać instynktowi Grace. Zdążyłem jeszcze powiedzieć: „Jeśli poczujesz, że coś jest źle, krzycz ile sił w płucach. Wyrzuć coś przez okno. *Merde*, wyrzuć jego przez okno". Uwierzyłem, że da sobie radę.

-I?

Drzwi klubu otworzyły się, wyszła jakaś para.

- Wiem tylko, że zdobyła to, czego chciała. Nie wiem tylko, co dała w zamian.

Drzwi się zamknęły. Uszu Gilles'a i Harry'ego doszedł stukot obcasów na chodniku i śmiech kobiety.

III

Grace Flint leży na łóżku Silvy, nasłuchuje jego zbliżających się kroków. Rozebrał ją, żeby suknia się nie pomięła, i nakrył wykrochmalonym prześcieradłem, które łaskocze skórę. Czuje teraz, jak Silva siada obok niej na skraju łóżka, kładzie dłoń na jej czole, po „złej stronie”, jak ją nazywa. Dotknięcie jest lekkie, ale przyprawia Grace o nieznośny ból. Silva szepcze „*desole?*” i zaczyna głaskać jej nagie ramię.

- Może coś mogłoby ci pomóc? - szepcze cicho.

Flint rozważa jego propozycję, pojmuje zawartą w niej aluzję.

Owszem, jest coś, co mogłoby jej ulżyć. Chciałaby pobiec do łazienki, wyrzygać się, zwymiotować, zwrócić, nie czuć już ucisku metalowej obręczy miażdżącej czaszkę, tylko cudowną euforię. Istnieje

wszak jeden mały problem: czy Mario, gdyby podniósł ją z podłogi, gdzie leżałaby w wymiocinach, miałby jeszcze ochotę ją przelecieć?

Może.

On nie jest bydlakiem, Gilles. Rozpoznaję takich na kilometr. Dodaje sobie odwagi, jednocześnie czuje, jak palce Maria pod prześcieradłem dotykają jej piersi.

- Kawy - rzuca. - Kofeiny.

Palce Maria nieruchomieją, po czym przesuwiają się ku ramieniu.

- Niedobrze mi - mówi. - Muszę do łazienki. Kawa czasami pomaga.

Mocna. Bardzo mocna.

Słyszy, że zaczyna bełkotać, jakby była pijana. Silva się nie rusza.

- Nie udaję, serio.

Silva nie rozumie, o czym ona mówi.

- Nie chciałam tego bólu głowy. Straszny. Za chwilę rozsądzi mi czaszkę. Masz lód? Możesz zawinąć kilka kostek w ręcznik? Boże, jak tu duszno! Otwórz okno, proszę, ale nie zapalaj światła. Nie zniósłabym.

Mówiła coraz szybciej, bezładnie.

- Jakby ktoś borował mi dziurę w skroni, do samego mózgu. O Boże, Mario! Masz może tylenol, aspirynę, cokolwiek? Błagam, zrób coś.

Przesadza trochę, ale nie za bardzo. Ból po lewej stronie czaszki jest tak silny, że chyba wolałaby z dwojga złego poddać się lobotomii. Ma ochotę krzyczeć, ale boi się, że usłyszy ją Gilles, wedrze się do mieszkania i wszystko zepsuje. Pomimo bólu stać ją jeszcze na dystans i chłodną ocenę sytuacji.

A jednak mówi do Silvy:

- Zaraz zacznę krzyczeć.

Silva reaguje natychmiast, wstaje z łóżka, po omacku idzie do drzwi, przyrzeka wrócić za chwilę z środkami przeciwbólowymi i lodem.

Flint leży na łóżku, usiłuje skoncentrować się, jakby wierzyła, że samą siłą woli potrafi zablokować ból.

Czyżby?

Silva wraca z lodem owiniętym w sztywno nakrochmaloną serwetkę, praną najpewniej w tej samej pralni co prześcieradło, którym okryta jest Flint. Przykłada lód do skroni. Ból zewnętrzny ustępuje, w jego miejsce przychodzi odrętwienie, ale nadal przenika mózg, tam znieczulające zimno już nie dociera.

Po chwili Silva przynosi z łazienki buteleczkę z sedaspirem. Flint jest zaskoczona. Niewiele wie o środkach przeciwbólowych, ale wie, że sedaspir to jeden z najsilniejszych, robiony na bazie morfiny. Znała kiedyś pilota Air France, który podkręcał się sedaspirem, dopóki linie lotnicze nie zaczęły przeprowadzać wyrywkowych testów. Flint zastanawia się, na co może cierpieć Mario, skoro używa tak silnego lekarstwa.

Najdelikatniej jak może, unosi jej głowę, podaje szklankę wody i pyta:

- Jedną czy dwie?

- Daj mi całe opakowanie - odpowiada Flint, ale łyka dwie tabletki.

Nie przyniosą ulgi, chociaż Mario o tym nie wie. Siada w fotelu przy oknie i czeka, aż lek zacznie działać.

Musiała się zdrzemnąć, bo w pokoju nastąpiła jakaś zmiana. Ma teraz tak wyostrzone zmysły, że mogłaby usłyszeć westchnienie motyla. Ból przycichł, przyczaił się w tyle czaszki, skulił, Flint wie jednak, że lada

chwila znowu może się odezwać z całą siłą. Leży na łóżku, w ciszy, niby w samym oku cyklonu i próbuje ocenić sytuację.

Maria nie ma w pokoju, tego jest pewna. W obecnym stanie wyczułaby jego obecność, nawet gdyby umarł i nie oddychał.

Ostrożnie unosi prawą powiekę, tę po „dobrej stronie”, czeka, aż źrenica się przystosuje. Widzi szary obrys światła brzasku wokół zasłon. Od chwili kiedy zażyła sedaspir, musiało minąć około trzech godzin. Co w tym czasie robił Mario? Czy zapalił światło i przyglądał się jej? Odkrył prześcieradło? Dotykał jej?

Jednym okiem widzi tylko część pokoju. Powoli, z lękiem unosi drugą powiekę, gotowa zamknąć ją natychmiast przy pierwszych oznakach bólu. Teraz jest już pewna, że Silvy nie ma w pokoju, chyba że ukrył się poniżej linii jej wzroku.

Dalej, zrób to! Musisz się upewnić!

Boi się, ale musi wiedzieć, czy jej plan zadziałał.

Przyszła do mieszkania Silvy bez żadnego planu, nie mając pojęcia, co uda się jej zdobyć ani jak ostudzi jego zapały. Grając na zwłokę, przyjęła drinka, uśmiechała się, słuchała jego kłamstw, zrewanżowała się kilkoma własnymi. Zaczynało brakować jej pomysłów, co dalej; kiedy przed oczami pojawiły się mroczki, wszystko zaczęło się zamazywać, poczuła nagłe mrowienie w całym ciele. Ogarnięta paniką zachwiała się, szklanka wypadła jej z dłoni. Usłyszała, jak Silva pyta zaniepokojonym głosem, co się dzieje, poczuła jego rękę na ramieniu. Walcząc z nagłym atakiem bólu, wymyśliła wtedy plan. Jeśli Mario chce rano lecieć, jak zamierzał, do Zurychu, będzie musiał zostawić ją w swoim mieszkaniu.

Flint ostrożnie unosi głowę z poduszki, opiera się na łokciu, widzi teraz podłogę. Nigdzie śladu Maria. Nie czuje też bólu, tylko niemiłe ciśnienie w tyle czaszki.

Drzwi prowadzące do salonu i do kuchni są otwarte, wszędzie panuje mrok. Flint nie czuje obecności Silvy. Musiał wyjść, jest tego pewna. Być może zostawił jej kartkę: „Wyjdź i zatrzaśnij drzwi, kiedy poczujesz się lepiej”, coś w tym rodzaju. Ewentualnie lekki wyrzut: „Przykro mi, że tak się skończyło nasze spotkanie”. Miał prawo czuć się rozczarowany.

Napawa się swoim sukcesem, kiedy następują jedna po drugiej dwie rzeczy. Odzywa się dzwonek. Dzwoni tak donośnie, jakby rozbrzmiewał w jej głowie; głośny dźwięk wstrząsa całym ciałem, jakby Flint poraził prąd. W tej samej chwili otwierają się drzwi łazienki i na progu we smudze ostrego porażającego oczy światła staje Mario w rozpiętych spodniach. Cały plan Flint na nic. Otwiera usta, chce krzyknąć, ale z gardła nie wydobywa się żaden dźwięk.

Mario podnosi słuchawkę aparatu stojącego na szafce nocnej, słucha przez chwilę i mówi: *Merci*.

- Budzenie. Zupełnie zapomniałem odwołać - tłumaczy się przed Flint.

Zakłopotany odwraca się plecami, zapina spodnie, po czym pyta łodowato uprzejmym tonem:

- Wezwać ci taksówkę?

- Słucham?

- Za pół godziny muszę jechać na lotnisko. Lecę do Zurychu.

Pamiętasz?

- Oczywiście.

- Zostawiam cię samą. Ubierz się.

Flint patrzy, jak Silva podchodzi do szafy, wyjmując starannie odwieszoną suknię. Teraz przypomina sobie, jak starannie ją wybierała, i czuje gorzki smak porażki. Jest zrezygnowana, ale gdzieś w głębi duszy, gdzie nie sięga ból, nie poddaje się.

On ci się zaraz wymknie! Zrób coś!

Co?

Cokolwiek!

Opada powoli na poduszki i pyta:

- Kiedy moglibyśmy się znowu spotkać, Mario?

Silva podchodzi do łóżka z suknią przewieszoną przez ramię, uśmiecha się, ale jego uśmiech pełen jest ironii.

- Chcesz się ze mną spotkać?

- Tak, chcę się z tobą spotkać.

- Dlaczego?

W jego oczach pojawia się błysk. Niedobrze. Jest zawiedziony, rozczarowany, bliski wściekłości. Flint nie może pozwolić, żeby był górą, musi sama wykrzesać w sobie odrobinę urazy.

- Do cholery, wydaje ci się, że przyszłam tutaj, żeby rozbolała mnie głowa? Uważasz, że udawałam?

Gwałtowność, z jaką rzuca te słowa, zaskakuje nawet ją samą.

- A po co przyszłaś? - pyta Silva już polubownie.

- Z nudów. Pomyślałam, że znajdę faceta, dam mu się zaprosić, a potem pozwolę sobie na mały atak migreny, żeby zrobić z niego wała. To mój ulubiony sposób spędzania czasu.

Siada na łóżku, opuszcza nogi, czuje lekki zawrót głowy, ale nie zwraca na to uwagi i kontynuuje małe przedstawienie.

- Jesteś wściekły, że nie mogłeś mnie przelecieć. Tylko na tym ci zależało.

- To nieprawda.

- Czyżby? To czemu masz minę małego chłopca, który właśnie przegrał w cymbergaja? Daj mi tę suknię.

Mario nie wykonuje żadnego ruchu. Stoi, przygląda się nagiej Flint, wyraźnie zbity z tropu, niepewny swego. Tak powinno być, tego uczą podręczniki.

- Posłuchaj, Mario, nie przyszłam tutaj, żeby się z tobą przespać.

Flint nie musi odwoływać się do podręczników, by wiedzieć, że półprawda jest bardziej skuteczna od kłamstwa.

- Przyszłam, bo chciałam cię lepiej poznać. Byłeś jedyną osobą w klubie, która przyciągnęła moją uwagę. Chciałam spędzić z tobą trochę czasu. Chciałam zobaczyć, jak mieszkasz, dowiedzieć się, co lubisz, co myślisz, z kim się przyjaźnisz. Nie jestem laską na jedną noc. Muszę faceta polubić, zanim pójdę z nim do łóżka. Nie wiedziałam, czy zostanę tutaj, czy wyjdę. Rozumiesz coś z tego?

- Tak.

- No więc załapała mnie migrena. Przykro mi, że tak się stało. Czasami tak bywa, ataki przychodzą nagle, bez ostrzeżenia. W klubie trochę kręciło mi się w głowie, ale myślałam, że to z powodu szampana. Nie przewidziałam, co się zdarzy. Nie chciałam tego. Chciałam lepiej cię poznać i nadal chcę. Chcę wiedzieć o tobie wszystko. Jeśli jednak masz

zamiar traktować mnie jak kawał mięsa, jak pierwszą lepszą dupę, to pieprz się.

Flint przerywa, nie dla efektu, tylko dlatego, że nagle robi się jej niedobrze. Mówi:

- Szybko.

Mario nie rozumie, o co jej chodzi i wyciąga rękę, w której trzyma suknię.

- Muszę iść do łazienki.

Silva pomaga się jej podnieść, bez jego pomocy nie ustałaby na nogach. Razem idą do łazienki, gdzie Flint osuwa się na kolana przy sedesie. Chce, żeby wyszedł, ale zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, zaczyna wymiotować. Mario jest świadkiem gwałtownych torsji wstrząsających jej ciałem.

Flint traci poczucie czasu: nie ma pojęcia, jak długo klęczy na chłodnej, wykładanej kaflami podłodze. Nie wie, czy Mario odwrócił twarz ze wstrętem, czy nadal jest w łazience. Kiedy wreszcie torsje ustają, czuje, że zwija się jak embrion, a potem unosi w powietrzu, zarzuciwszy Silvie ręce na szyję, lekka jak piórko, wycieńczona, ale żywa, szczęśliwa, że najgorsze minęło.

Silva kładzie ją ostrożnie na łóżku, przykrywa kołdrą, przynosi z łazienki wilgotny ręcznik i przemywa jej twarz.

- Już mi lepiej - mówi Flint. - Pozwól mi poleżeć kilka minut.

Mario wyciera resztki wymiocin z kącików jej ust, prosi, żeby nic nie mówiła.

IV

Na chłopięcej twarzy inspektora Bourdonneca widać zmęczenie. Siedzą z Cohenem w całonocnym barze w pobliżu bulwaru Saint-Germaine, dwie przecznice od mieszkania Silvy.

- Na czym stanąłem? - pyta, odkasłując.
- Mówiłeś o taksówce - przypomina mu Cohen.
- Prawda. Jeden z moich chłopców zagadnął kierowcę.

Dowiedział się, że taksówka została zamówiona poprzedniego dnia na szóstą trzydzieści, na nazwisko Silva. Kurs na lotnisko Roissy.

Cohen zdążył już obejrzeć rue Jacob. Wiedział, że ulica jest wąska i trudno tam parkować.

- Jeden z naszych wozów odjechał, żeby zrobić miejsce dla taksówki. Kazałem chłopcom zrobić oznaczone datą i godziną zdjęcia Silvy wychodzącego z domu i wsiadającego do taryfy. Na wypadek, gdyby zdążył przygotować zasadzkę.

- Zasadzkę?
- Mógł coś zrobić Flint. Cohen skinął głową.
- Nie bałeś się, że taksówkarz wygada się Silvie?

- Nie. Powiedzieliśmy mu, że podejrzewamy faceta o kontakty z grupą arabskich terrorystów, którą usiłujemy rozpracować. - Bourdonnec posłał mu zmęczony uśmiech. - Mieliśmy zbyt wiele zamachów bombowych. Powiedz komukolwiek w Paryżu, że chodzi o terrorystów, a ludzie zrobią dla ciebie wszystko.

Cohen zaczął kręcić się niespokojnie na krześle. Bourdonnec wziął go za nadgarstek.

- *Doucement*. Uważaj. Ktoś przygląda ci się w lustrze. Znasz go?

- Nie.

- Może widziałeś go już wcześniej?

- Raz, może dwa razy. Wczoraj na Gare du Nord stał za mną w kolejce do taksówek. Wyglądał inaczej niż teraz, ale to na pewno on. Potem wieczorem, kiedy szedłem do ciebie, miałem wrażenie, że dojrzałem znajomą skądś twarz. Wtedy nie skojarzyłem go sobie, ale teraz jestem pewien, że to ten sam.

Bourdonnec zaśmiał się głośno, jakby usłyszał właśnie dowcip, i zrzucił niezgrabnym gestem filiżankę na podłogę, rozbijając ją na kawałki. Poderwał się z krzesła z krzykiem.

- *Merde!*

Goście spojrzeli w jego stronę. *Patron*, który wycierał kieliszki za barem, z niesmakiem odrzucił ścierkę. Tylko barczysty mężczyzna przy barze nadal spokojnie sączył wino. Cohen pochwycił jego spojrzenie w lustrze i nieznajomy szybko odwrócił wzrok.

Przy stoliku pojawił się *patron*, mruczając coś gniewnie. Bourdonnec, niby to strząsając ze spodni wymaginowane krople kawy, zagadnął go cicho:

- Jean-Paul, ten facet przy barze, widziałeś go już kiedyś tutaj?

- Nigdy, inspektorze, ale nie musi mi pan tłuc filiżanek. Wystarczyło zapytać.

- Kiedy przyszedł?

- W chwilę po panu.

- Zapłacę ci za filiżankę.

- To co innego.

Bourdonnec usiadł na powrót przy stoliku z chytrym uśmieszkiem, jak ktoś, kto się cieszy z udanej psoty. Zmęczenie w jednej chwili zniknęło z jego twarzy.

- Opowiedz mi o wczorajszym dniu - poprosił Cohena.

- Niewiele jest do opowiadania. Na dworcu była długa kolejka do taksówek, stał za mną, oddzielały nas dwie, trzy osoby, w pewnej chwili, kiedy kolejka zakręciła, znalazł się obok mnie, powiedziałem coś banalnego, że tyle musimy czekać, przytaknął i na tym rozmowa się skończyła. Zwróciłem na niego uwagę, bo miał teczkę podobną do mojej.

- Teraz wygląda jak luzak, a ty nadal jak prawnik. Cohen uśmiechnął się nieznacznie.

- A drugim razem?

- Ubrany był podobnie jak teraz, w dżinsy, tylko zrobił coś z włosami, musiał je ostrzyc.

- Mistrz charakteryzacji - ocenił Bourdonnec. - Ale kształt nosa, brody, rozstawienie oczu te same?

- Te same.

- Zdumiewasz mnie. Co za zmysł obserwacji. Zrobimy jeszcze z ciebie detektywa.

- Oby nie.

Bourdonnec nachylił się.

- Muszę zadzwonić. Zajmij jakoś naszego przyjaciela, nie chciałbym, żeby zwracał na mnie uwagę. Idź, zapłać rachunek, pokłódź się z Jean-Paulem o cenę filiżanki, zrób aferę, Jean-Paul podchwyci ton. Potrzebuję kilku minut. Spotkamy się na ulicy.

- Dobrze - zgodził się chętnie Cohen.

Szli przez Paryż, zatopieni w rozmowie, nie oglądając się za siebie, jakby nic się nie stało.

- Silva wyszedł z domu o szóstej trzydzieści, powiedział coś do taksówkarza i wrócił na górę. W kilka minut później światła w mieszkaniu zgasły i pojawił się ponownie na ulicy, z torbą na ubrania i niewielką teczką. Bez Flint. W pierwszej chwili chciałem go zatrzymać, ale pomyślałem sobie: po co? Jedzie przecież na lotnisko. Dwa nasze wozy miały go pilnować. Zanim dotrze do Roissy, będziemy wiedzieć, co się stało.

- Bałeś się najgorszego?

- Niekoniecznie. Znam Grace od dawna, równie długo jak swoją żonę. Kiedy poznałem Dominique, były nierozłączne jak siostry. Nie odwracaj się.

- Dobrze.

- Idzie za nami. Ten niebieski van, który nas minął, to moi chłopcy. Widzisz, skręcają w lewo. Dają nam sygnał.

- Co teraz?

- Też skręcimy w lewo. Naszego przyjaciela czeka niespodzianka. Mnie też, pomyślał Cohen i nagle zdjął go niewytłumaczalny strach.

- Od kiedy Grace została gliną, ciągle nadstawia karku, szuka guza. Nie opowiada mi swoich *histoires*, ale zwierza się Dominique, co na jedno wychodzi. Wiem, że się śmiertelnie boi, ale zawsze jakoś wychodzi z opresji. Nie, nie oczekiwałem najgorszego. Była tylko jedna możliwość. *A gauche*, skręcamy.

Skręcili w wąską uliczkę, pustą i ciemną. Latarnie nie paliły się i Cohenowi przemknęło przez myśl, że ktoś je wyłączył na polecenie

Bourdonneca. Nigdzie śladu vana, co zdziwiło Cohena, bo uliczka nie wyglądała na ślepa. Wreszcie dojrzał słabe odbicie światła w szybie i domyślił się, że zaułek musi zakręcać na końcu ostro w prawo.

Bourdonnec zatrzymał się, żeby zapalić papierosa - może był to sygnał? - Cohen zeszywniał, czekając, co się za chwilę wydarzy.

- Zacząłem się martwić, kiedy nie odbierała telefonu. Wydzwaniałem do Silvy co chwila ze swojej komórki. Bez rezultatu. Odpręż się, bo zepsujesz niespodziankę.

- Przepraszam.

- Nie mogliśmy dostać się do budynku, bo nie znaleźliśmy kodu wejściowego. Próbowałem dzwonić domofonem do mieszkania Silvy. Naciskałem przycisk chyba z pół minuty. Nic. Dopiero wtedy zacząłem obawiać się najgorszego. *A droite.*

Skręcili w prawo i teraz Cohen wyraźnie widział już światła i kilku ludzi. Nic nie rozumiał. Tak ma wyglądać zasadzka?

- Zacząłem dzwonić po kolei do wszystkich mieszkań, wreszcie ktoś nas wpuścił. Narobiliśmy niezłego zamieszania. Ruszyliśmy pędem na górę, na klatce schodowej pojawili się zaspani sąsiedzi w koszulach nocnych i piżamach. Wykrzykiwali:

„Co się dzieje?”. A my krzyczeliśmy:

„Policja, policja! Z drogi! Nie blokować schodów!”. Niezła scena.

Dopadłem drzwi Silvy i zacząłem walić w nie pięściami, nawoływałem Grace. Nic, brak odpowiedzi. Pójdziemy dalej prosto. Wiesz, gdzie jesteśmy?

- Nie - powiedział Cohen, trochę zdezorientowany neonami i sztyldami zapraszającymi, do wyboru, na „peep show”, „live sex”, „hard porno video show”. - Myślałem, że przygotowujesz zasadzkę.

- On też tak myślał - przytaknął Bourdonnec. - Teraz jest przekonany, że szukamy dziewcząt. I ma rację.

Szli rue Saint-Denis niby dwóch poszukiwaczy nocnych atrakcji, niezdecydowanych jeszcze, który z przybytków wybrać, którą z dziewczyn zaczepić.

- Co zrobiliście, kiedy nie otwierała drzwi?

- Wyważyliśmy je.

V

Ostatni dzień letniego semestru. Lipiec jeszcze się nie skończył, cały sierpień przed nią - miesiąc błogostanu na wyludnionej, słonecznej wysepce, owiewanej bryzą o zapachu cytryn i tymianku. Przekracza bramę Tudor Hall, otoczona przyjaciółkami, którym ciężko się z nią rozstać nawet na tych parę tygodni. Jej rodzice czekają w kabriolecie, wyrozumiale obserwują długie pożegnania, uśmiechają się.

Są na wyspie, idą kamienistą ścieżką. Zapada zmierzch, gdzieś w oddali słychać dzwony. Mad i John trzymają się za ręce, roześmiana Grace biegnie przodem. Matka woła: „Uważaj, kochanie”. Ścieżka jest stroma, prowadzi tuż nad urwiskiem, ale Grace się spieszy, dzwony ją ponaglają, zdają się wydzwaniać jej imię: „Gracie! Gracie! Gracie!”. Obok biegnie labrador, jemu też spieszno.

Grace odwraca się do matki, ale matki już nie ma. Ojciec stoi nad urwiskiem, patrzy w dół, na morze. Ma na sobie zielony szpitalny kitel poplamiony sokiem z wiśni. W dłoni trzyma młotek.

Grace woła: „Tato”. Chce mu powiedzieć, że pamięta o bólu, który zniknął, jak zniknęło wspomnienie kochanka wraz z jego imieniem; już go nie pamięta. Mężczyzna - ojciec? kochanek? - nie słyszy jej pośród łoskotu.

Grace! Grace! Grace!

Odgłos eksplozji, w której ginie matka.

W nogach łóżka stoi Gilles, jest blady, drży z wściekłości.

* * *

- Co ty, na litość boską, wyprawiasz?

Grace usiłuje sobie przypomnieć, gdzie jest.

- Odpowiadaj!

Nigdy go nie widziała w takim stanie, boi się go.

- Co się stało, Gilles? - pyta niepewnie.

- Co się stało? Leżysz naga w jego łóżku i pytasz mnie, co się stało?

Teraz dopiero sobie przypomina. Kuli się u wezgowia łóżka, żeby być jak najdalej od Gilles'a, podciąga kołdrę pod brodę.

- To nie tak, jak myślisz.

- Przeleciałaś tego gnojka.

- Nie!

- Pozwoliłaś, żeby cię pieprzył.

- Nie!

- Rany boskie, Grace, jak mogłaś?

- Do niczego nie doszło.

- Nie wierzę.

- Do niczego nie doszło!

Krzyczy równie głośno jak Gilles. Wrzaski sprawiają, że jakiś mężczyzna zagląda do sypialni: zapewne jeden z ludzi Gilles'a.

- Wszystko w porządku, szefie?

- Nie. Wynoś się.

Gilles zatrzaskuje drzwi, wraca do łóżka i ściąga z Grace kołdrę; nie jest zupełnie naga, ma na sobie majteczki, zasłania piersi rękoma.

- Gdzie twoje ubranie?

- Nie wiem, gdzie je odłożył.

- Chryste!

- Posłuchaj, Gilles, źle się poczułam. Miałam atak migreny. Padałam z nóg. Facet mnie rozebrał i położył do łóżka, rozumiesz? Potem zrobiło mi się niedobrze, zaprowadził mnie do łazienki. I to wszystko. Nic poza tym się nie wydarzyło.

Gilles idzie do łazienki, zapala światło, jakby szukał dowodów, po chwili wraca do Grace.

- Wydobyłaś coś z niego? Wiesz coś o Harlingu?

- Nic.

- Zupełnie nic? Nie padło nawet jego nazwisko?

Gilles kręci głową, jakby współczuł Grace.

- I warto było spędzić noc z Mariem?

- Daj spokój, proszę.

- Ubieraj się.

Wychodzi z sypialni z miną księdza, który natknął się na zbłąkaną duszyczkę. Grace jest skruszona, ale jednocześnie się buntuje. *Co ci do tego, z kim śpię, stary? Co ci do tego?* - jakiś wewnętrzny głos domaga się odpowiedzi.

Nie może znaleźć stanika, nie pamięta nawet, czy go miała. Na pewno przyszła w rajstopach, ale ich też nigdzie nie widzi. Suknia wisi w szafie, Grace jej nie wkłada. Słyszy głosy, orientuje się, że w mieszkaniu jest kilku mężczyzn, nie chce, żeby zobaczyli ją w tej właśnie sukni, snuli domysły na temat nocy, którą spędziła z Mariem.

W komodzie znajduje biały komplet, sweter i szorty, taki, jakie noszą tenisiści. Spodnie są znacznie za szerokie w pasie, przewiązuje je krawatem Maria, zakłada obszerny sweter i przegląda się w lustrze w łazience. Wygląda idiotycznie, jak dziecko, które nałożyło ubranie ojca. Po raz pierwszy od długiego czasu wybucha śmiechem.

Trójka mężczyzn czekających w kuchni wita ją pełnymi zaciekawienia spojrzeniami. Kłaniają się, kiwają głowami, ale nie odzywają ani słowem. Gilles nie zwraca na nią uwagi: ogląda uważnie drzwi wejściowe i rzuca polecenie, nie kierując go do nikogo w szczególności:

- Trzeba wezwać stolarza. Zamek jest w porządku, ale futrynę trzeba wymienić.

Grace powoli przechodzi do salonu. Staje w miejscu, gdzie upuściła szklankę z drinkiem, ale na dywanie nie ma śladu po rozlanym alkoholu. Usiłuje sobie przypomnieć, co działo się potem. Czy Mario rozebrał ją tutaj, czy dopiero w sypialni? Podnosi po kolei poduszki z kanapy, szuka rajstop.

Siada w fotelu, zamyka oczy. Pod powiekami pojawia się obraz pokoju, jaki zapamiętała z poprzedniego wieczoru: dyskretne światła bocznych lamp, ciche dźwięki muzyki. Śpiewa Sinatra, a ona i Mario wymieniają kłamstwa, jeszcze się nie zdecydowali na pierwsze pieszczoty.

Ciekawe, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby nie atak migreny, myśli Grace. Czy poszłaby z Mariem do łóżka, byłaby w stanie się z nim przespać?

Nigdy.

Nawet za cenę głowy Harlinga. Nigdy, przenigdy! Naprawdę?

Odsuwa od siebie dręczące myśli, otwiera oczy. Jej wzrok pada na kopertę na stoliku, zaadresowaną do „Katii”. Dopiero po chwili uświadamia sobie, że chodzi o nią. Katia, imię, które wymyślił na poczekaniu Gilles i którym przedstawiła się Silvie. Otwiera kopertę i czyta krótki list - mimowolne, jak się okazuje - wyznanie.

Ma chere Katia,

Przepraszam, że musiałem wyjść, kiedy spałaś, ale wołałem Cię nie budzić, żeby się pożegnać. Wybacz po stokroć, jeśli swoim zachowaniem sprawiłem, iż pomyślałaś, że chodzi mi tylko o twoje ciało. Miałaś rację: jeśli mamy zostać kochankami, powinniśmy lepiej się poznać. Bez względu na okoliczności chciałbym cię znowu zobaczyć. Czuj się w moim domu jak u siebie, zostań jak długo będziesz chciała. Na lodówce zostawiłem klucze dla ciebie.

Jeśli zastanę cię po powrocie, będę najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Gdybyś zdecydowała inaczej, zostaw swój numer telefonu albo zadzwoń... Myśl o mnie, ja też będę myślał o tobie. *Bien a toi.*

Mario.

Grace idzie z listem do kuchni, gdzie Gilles siedzi na blacie i rozmawia przez telefon komórkowy. Przeciska się koło jego podwładnych, „przepraszam, amigos”, i kładzie przed nim list. Gilles, nie przerywając rozmowy z Dominique, jak Grace się domyśla, czyta słowa Maria.

Mówi bezgłośnie do Flint: „Wybacz”, a do słuchawki: „Wszystko w porządku. Odwaliła wspaniałą robotę”. Uśmiecha się przeproszająco, a jej ciągle dźwięczy w głowie powracające pytanie: *Co ci do tego?*

* * *

Policja dokonuje rutynowego, pobieżnego przeszukania mieszkania Maria. Nie wiedzą, czego szukać, Flint też nie wie, może tylko zgadywać, domyślać się.

- Korespondencja, notatki, dziennik, adresowniki. Gdzieś może natrafimy na nazwisko Harlinga.

Szukają w najbardziej oczywistych miejscach: w biurku, w komodzie, sprawdzają numery wpisane do pamięci telefonu, opukują ściany w poszukiwaniu skrytki lub zamaskowanego sejfu. Zaglądają pod obrazy i pod łóżko, do spłuczki sedesu, do przewodu kominowego kominka, do zamrażalnika w lodówce. Zwijają dywany, licząc, że natrafią na obluzowane klepki parkietu, pod którymi może się coś kryć. Kartkują po kolei wszystkie książki na regałach.

Przerywają rewizję, gdy pojawia się stolarz, który ma naprawić framugę, ale i wcześniej przeszukanie posuwa się niemrawo, ciągle hamowane obiekcjami Gilles'a; nie mają przecież nakazu, to, co robią, jest nielegalne. Gilles waha się, czy mają zainscenizować włamanie i spóźnioną interwencję policji, wreszcie decyduje, że powinni zostawić mieszkanie w idealnym porządku, tak jak je zastali.

- Nie przyszło ci do głowy, że to, czego szukamy, Silva może mieć przy sobie? - pyta już poirytowany.

- Owszem, ale nie wierzę, żeby tak było. Mario to pedant, prowadzi staranną dokumentację. Nie będzie ryzykował, że ktoś skradnie mu teczkę albo celnicy zainteresują się jej zawartością.

- Może trzyma dokumenty w galerii?

- Myślałam o tym. Masz jakiś pomysł?

- Zapomnij o tym.

- Nie wygłupiaj się, Gilles. Skoro wprowadziłam was tutaj, dlaczego nie mielibyśmy dostać się do galerii.

- Zapomnij o tym!

Flint wybuchła śmiechem. Przebrała się. Teraz, kiedy nie traktują jej już jak dziwki Maria, pożyczyła sobie jego szorty i bawełnianą koszulkę. I te rzeczy są za duże, ale czuje się w nich lepiej niż w śmiesznym stroju tenisisty.

- Idź do domu, Gilles. Puść chłopców, niech wracają do swoich żon. Chcę być sama.

- Nie możesz tu zostać.

- Owszem, mogę. Czytałeś przecież list: „Czuj się w moim domu jak u siebie, zostań, jak długo będziesz chciała”. Pozwolił mi. Zostawił klucze.

Wyciąga dłoń i pokazuje je Gilles'owi.

- Tu coś musi być. Czuję to. Chcę się rozejrzeć. Gilles waha się, wreszcie mówi do swoich ludzi:

- Zwijamy się i wynosimy stąd. Flint całuje go lekko w policzek.

VI

Dotarli do tej części rue Saint-Denis, gdzie seksbiznes ustępuje miejsca pokątnemu stręczycielstwu. W bramie zapaćkanej pozbawionym

sensu graffiti stała dziewczyna o ciemno-miedzianej skórze. Na widok potencjalnych klientów wydeła usta, przechyliła zalotnie głowę.

- Pójdziecie ze mną, chłopcy? - zagadnęła głosem, który martwego podniósłby z grobu.

- Obydwaj od razu? Dasz sobie radę? - zainteresował się Bourdonnec. - Mój przyjaciel jest trochę nieśmiały.

Zmierzyła Cohena leniwym spojrzeniem, zrobiła krok w jego stronę i przesunęła palcami po jego piersi, niczym pianistka próbująca instrumentu.

- Nie wiecie, co potrafię. - Miała duże, białe zęby.

- Masz pokój? - zapytał Bourdonnec.

- Jasne. - Wskazała głową w stronę sieni i wzięła Cohena pod ramię.

- Choć, skarbie. To będzie najwspanialsza noc w twoim życiu.

Cohen czuł się trochę jak ryba chwycona w sieć. Z ociąganiem dał się prowadzić dziewczynie. W każdej chwili oczekiwał ataku. Dziewczyna musiała wyczuć jego napięcie, bo lekko drżała. Bourdonnec ruszył przodem i zniknął w mroku. Kiedy znaleźli się na ciemnym podwórzu, dziewczyna puściła ramię Cohena i zaczęła szukać kluczy. W kącie podwórza stał van wezwany przez Bourdonneca albo bardzo podobny do niego wóz. W środku chyba nikt nie siedział.

Dziewczyna upuściła torebkę, zaklęła. Przyklękła i zaczęła zbierać rozrzucone przedmioty, Cohen próbował jej pomagać, po omacku przesuwając dłońmi po bruku. W upiornej ciszy nagle rozległ się tupot stóp, łomot, jęknięcie, stłumiony krzyk.

Cohen dojrzał kilka postaci zmierzających w jego stronę. Wiedział, że powinien wykonać jakiś ruch, ale sparaliżowany mózg nie przyjmował

żadnych poleceń. Harry wyprostował się zbyt późno, poczuł uderzenie w bok głowy i osunął się na ziemię, przewracając przy upadku dziewczynę.

Usłyszał odgłosy gwałtownej szamotaniny. Kątem oka dojrzał, jak trzech mężczyzn obezwładnia nieznajomego z baru (bo chyba był to on), jak wali jego głową o maskę vana, a potem rzuca go na bruk podwórza niczym szmacianą kukłę.

- Skujcie go i zapakujcie do wozu - usłyszał głos Bourdonneca.

Dziewczyna z jękiem usiłowała uwolnić się od ciężaru przygniatającego ją Cohena.

- Nic ci się nie stało? Masz przeciętą skórę na głowie.

Cohen siedział w małym pokoju dziewczyny, na skotłowanym łóżku wypełniającym niemal całe wnętrze. Z łazienki, w której zniknęła gospodyni, dochodziły odgłosy wymiotowania.

- Masz na nią ochotę? - zapytał Bourdonnec oparty o ścianę, z rękami w kieszeniach marynarki.

- Nie.

- Jest już opłacona.

Cohen wyjął chusteczkę, dotknął rozciętej skroni, skrzywił się z bólu.

- Nie chcę jej - powiedział już mniej gwałtownie. - Ale dzięki za propozycję.

- Tak czy inaczej musisz z nią zostać jakiś czas. Pogadajcie, zaproś ją na drinka. Zajmij ją czymkolwiek. Nie chcę, żeby rozpowiadała teraz o swojej przygodzie. Zrobisz to dla mnie?

Cohen spojrział na chusteczkę; ledwie kilka kropli krwi, niegroźne skaleczenie.

- Skoro nalegasz - odparł sztywno. Bourdonnecowi nie spodobał się ton jego głosu.

- O co chodzi? Uważasz, że przesadziliśmy? Powinniśmy pozwolić, żeby ci dołożył?

- Nie wiedzieliście, co zamierza.

- Właśnie. - Inspektor wyjął coś z kieszeni i rzucił Cohenowi. - Łap. Cohen chwycił w locie mały płaski sześciobok wykładany kością słoniową. Zaczął obracać go niepewnie w dłoniach.

- Ostrożnie - przestrzegł go Bourdonnec. - Spróbuj nacisnąć.

W metalowym okuciu, pod kciukiem Cohen wyczuł przycisk. Nacisnął, rozległ się cichy szcęk i z sześcianu wsunął się cienki stalowy szpic przypominający ostrze sztyletu.

- Miał to w ręku, kiedy rzucił się na ciebie. Jak sądzisz, po co?

Cohen poczuł zimne ciarki na plecach. Wyobraził sobie, jak ostrze zagłębia się w jego piersi, sięga serca.

- Przepraszam, ja nie... - Dopiero teraz zobaczył, że ręce mu drżą. - Uważasz, że chciał mnie zabić?

- Na to wygląda - powiedział Bourdonnec i schylił się po broń. - A do czego innego służą sztylety? - Wzruszył ramionami. - To jedno z wielu pytań, które chciałbym mu zadać. Kiedy już rozstaniesz się z dziewczyną, wracaj do swojego hotelu i czekaj na wiadomość. Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę coś wiedział.

- Ciągle nie wiem, co się stało z Flint.

- Dojdziemy do tego. - Bourdonnec nacisnął przycisk i ostrze natychmiast się schowało. - Teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Z łazienki dochodziły odgłosy mycia. Kiedy dziewczyna wreszcie pojawiła się w pokoju, wyglądała jak swoja młodsza siostra: bez makijażu, blada, drobna, niska. Tania różowa sukienka była rozpięta na plecach, poplamiona wodą. Zaczerwienienie na lewym policzku zapowiadało siniak: efekt upadku na podwórzu.

Bourdonnec położył jej dłonie na ramionach.

- Dobrze się dzisiaj spisałaś - powiedział. - Wiesz dlaczego?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Od dzisiaj masz we mnie przyjaciela. Jeśli ktoś będzie cię nachodził, wypytywał o dzisiejszą noc, daj mi znać, a ja już zajmę się resztą. Nic nie widziałaś, nic nie wiesz, rozumiesz?

Skinęła głową, ale spojrzała na Bourdonneca dopiero wówczas, gdy wyjął z kieszeni jej *carte d'identite*.

- Mam wszystkie twoje dane, Eloise. W razie czego będę wiedział, gdzie cię szukać. A to moja wizytówka. I pamiętaj, o niczym nie wiesz.

Załatwiwszy sprawy z dziewczyną, zwrócił się do Cohena:

- *Bon!* Muszę już iść. Bądź dla niej hojny, staruszk. Kiedy Bourdonnec zniknął, Cohen uśmiechnął się do dziewczyny.

- Wszystko będzie dobrze. Możesz mu ufać. Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem i podeszła do łóżka, zrzucając po drodze suknię.

- Nie - powiedział Cohen, ale mu nie uwierzyła.

Stała przed nim naga, przytuliła jego twarz do łona.

Jeszcze czuł jej zapach, kiedy nerwowo chodząc po swoim pokoju w Relais Christine, czekał na telefon. Usiłował uporządkować poznane fakty,

zrozumieć coś z tego, czego dowiedział się o Flint. Zapomnieć o dziewczynie i o małym sztylcie w oprawie z kości słoniowej.

Trudno powiedzieć, żeby mu się udało.

Miał to w ręku, kiedy się na ciebie rzucił. Trzynastocentymetrowe, cienkie jak igła ostrze.

Wejść we mnie, daj mi to, szepcze dziewczyna.

Ostry rozkazujący głos inspektora Bourdonneca w słuchawce:

- Mamy problem. Ten facet to wynajęta gnida, ale ci, co go przysłali, wiedzą, gdzie jesteś. Znajdą cię. Zamknij się w pokoju, zabarykaduj drzwi. Nie podchodź do okna. Wysyłam już do ciebie moich ludzi.

Cohen słyszy w oddali przenikliwy odgłos syren policyjnych, stukot jej obcasów, jej krzyk. Chciałby, żeby wołała go naprawdę.

Zabarykadowawszy drzwi biurkiem, wspiał się skulony na mezzanino. Położył się na podłodze koło łóżka, myśli o Flint przeszukującej mieszkanie Maria Silvy.

Czego Flint szukała? Co znalazła?

Słyszy jej krzyk, woła go. Chciałby, żeby wołała go naprawdę.

VII

Flint siedzi po turecku na podłodze w salonie Silvy. Jest sama, zdjęła T-shirt i włożyła koszulę od Hermesa, czuje na skórze miły chłód jedwabiu. Francuskie okna są szeroko otwarte, pokój oświetlają promienie popołudniowego słońca, dochodzą leniwe odgłosy ulicy. Flint jest napięta jak struna. Każdy detektyw zna ten niezwykły moment, kiedy zbliża się do długo poszukiwanej prawdy. Kiedy znajduje kawałek naskórka na spuście pistoletu, włos w umywalce albo kiedy przesłuchiwany załamuje się i zaczyna mówić, pomagając swoimi zeznaniami rozwikłać zagadkę.

Wstaje powoli i idzie do kuchni, żeby wziąć sobie coś do picia. Ma z czego wybierać: opróżniła wszystkie szafki, spiżarnię, lodówkę, zawartość ustawiła na blatach i stole.

Podobnie wygląda łazienka, sypialnia i salon, bo Flint przeszukała każdą szufladę, obejrzała kosmetyki, ręczniki, pościel, majtki, krawaty, koszule, miała w ręku wszystkie płyty kompaktowe, listy i czasopisma. Obejrzała taśmy wideo, przesłuchała kasety magnetofonowe. W całym mieszkaniu nie ma chyba jednej rzeczy, najmniejszego drobiazgu, którego by nie ruszyła.

Rozgląda się po kuchni i decyduje otworzyć karton soku pomarańczowego Tropicana: przypomina jej Florydę i tamten moment przyprawiającej o zawrót głowy satysfakcji. *Władimir niestety nie zejdzie, Aleksiej. Jest niedysponowany. Ma w głowie dziurę wielkości grejpfruta... Nie żyje.*

Wie, co zrobił. Czerpie tę wiedzę z własnego doświadczenia, z doświadczenia osoby, która ukrywa swoje sekrety w koszulkach nie nadających się do odtwarzania albumów płytowych.

Zdradził go camcorder Sony. Leżał na najwyższej półce w szafie, obok czegoś na kształt małego stołu montażowego. A więc Mario nagrywa amatorskie kasety, domowe porno z udziałem kobiet, które sprowadza z Elegance. Była przygotowana na to, że na którejś z kaset zobaczy siebie uśpioną dwoma tabletkami sedaspiru, ale ku jej zdumieniu w mieszkaniu nie ma ani jednej kasety poza kilkunastoma firmowymi z filmami amerykańskimi.

Natchniona nową myślą wraca do salonu, gdzie na podłodze koło magnetowidu leżą równo ułożone kasety, w tym samym porządku, w

jakim zdjęła je z półki. Zaczyna odtwarzać je po kolei, a żeby było szybciej, uruchamia przewijanie na podglądzie.

Dopiero „Frantic” Polańskiego ogląda przy normalnej szybkości. Ten film ma dla niej wiele znaczeń: rozgrywa się w Paryżu, wiele scen dzieje się w okolicy, gdzie kiedyś mieszkała, w pobliżu mieszkania Silvy. Opowiada o nagłym zniknięciu kobiety, która przepada, jak kiedyś przepadła w niewytłumaczalny sposób jej matka. Mąż szuka jej gorączkowo, tak jak John Flint gorączkowo poszukiwał Mad.

Flint siedzi na podłodze, sączy tropicane, patrzy, jak Harrison Ford bierze prysznic, gdy jego żona odbiera telefon.

Ujęcie godne Hitchcocka. Kamera umieszczona w kabinie prysznicowej ukazuje ponad ramieniem aktora kawałek sypialni widoczny przez otwarte drzwi. Ford śpiewa „I love Paris in the Springtime”, nie słyszy dzwonka telefonu, ale my go słyszemy, widzimy, jak żona bohatera podnosi słuchawkę, jak jest coraz bardziej poruszona słowami nieznajomego rozmówcy. Woła męża, on odpowiada: „Nie słyszę cię, kochanie”. Próbuje raz jeszcze, wreszcie zrezygnowana podnosi leżącą na podłodze suknię. Po raz ostatni widzimy ją, jak dźwiga walizkę i znika z kadru.

Cięcie, zbliżenie twarzy golącego się Harrisona Forda w lustrze. Flint zna ten film niemal na pamięć i razem z aktorem wypowiada następne słowa: „Co tak zamilkłaś, kochanie? - Dalej z akcentem Cuttera: - Nie golę się bez powodu”.

Rozlega się dzwonek. Dzwoni i dzwoni, Ford powinien teraz powiedzieć: „Otworzysz, kochanie?”, ale nie wypowiada już swojej kwestii. Film się urywa, jakby w tym miejscu taśma była uszkodzona. Ale

Flint wie, że nie jest uszkodzona, siedzi spokojnie i czeka. Na ekranie pojawia się Silva. Patrzy prosto w obiektyw kamery, po chwili zaczyna mówić z tym swoim dziwnym akcentem człowieka, który zna zbyt wiele języków:

- Nazywam się Mario Silva. Chcę opowiedzieć o pewnych wydarzeniach i działaniach, które są mi znane. Dokonuję tego nagrania ze względu na własne bezpieczeństwo, chcę mieć pewność, że jeśli coś mi stanie, odpowiedzialni za to nie ujdą bezkarnie. Kopia tego nagrania będzie u mojego adwokata, który w razie mojej nagłej, budzącej jakiegokolwiek podejrzenia śmierci przekaze ją władzom.

Kolejna pauza, Flint wstrzymuje oddech, jakby się bała, że przeszkodzi Silvie.

Mario chwilę milczy, drażni się z Flint, wreszcie znowu zaczyna mówić:

Zamierzam opowiedzieć całą prawdę o Franku Arthurze Harlingu i przedsięwzięciu zwanym Enterprise...

VIII

Spodziewał się wielkiej akcji, ale ostatecznie ewakuacja odbyła się wyjątkowo spokojnie.

Bourdonnec zadzwonił z recepcji i kazał mu się spakować. Cohena eskortowało trzech ludzi inspektora. Wyprowadzili go z pokoju i zczekali na dole, aż zapłaci rachunek. Przed hotelem stały dwa wozy policyjne i nieoznakowany peugeot, który ruszył natychmiast, ledwie Cohen wsiadł. Jechali bez syren i migających błękitnym światłem kogutów.

- Napędziłeś mi niezłego stracha - mruknął do inspektora. Czuł ulgę, ale i zmęczenie, teraz kiedy napięcie minęło. Na kolanach Bourdonneca zobaczył automat; paskudny widok.

- Na razie czysto - odezwał się głos w radiu. - Jesteśmy pięćset metrów za wami.

Bourdonnec sięgnął po mikrofon.

- A ty, Rene?

- Czekam na rogu St. Andre i Seguiet. Widzę was w lusterku.

- Jedź za nami. - Uśmiechnął się do Cohena. - Jak to się mówi?

Siedzieć komuś na ogonie?

Cohenowi kłębiły się w głowie dziesiątki pytań, ale miał dość rozsądku, żeby milczeć.

- Są - powiedział kierowca, barczysty mężczyzna, który wyglądał, jakby nie miał szyi.

Cohen zobaczył z przodu samochód ruszający wolno od krawężnika. Odczekał, aż peugeot go minie, i „usiadł im na ogonie”, zgodnie z określeniem inspektora.

- Skrećmy w Saint-Germaine, potem przez most. Tylko spokojnie, Rene - rzucił Bourdonnec do mikrofonu. Co u ciebie, Thierry?

- Nadal czysto.

Tworzące niewielki konwój trzy wozy z piskiem opon wjechały na bulwar, włączając się ostro do ruchu. Cohen nie nazwałby tego spokojną jazdą.

- Kto wiedział o twoim wyjeździe do Paryża?

Cohen spodziewał się tego pytania, miał na nie gotową odpowiedź.

- Devereaux i Glenning.

- Nikt poza tym?

- Być może Devereaux powiedział Barbarze Dixon, dyrektorowi wydziału. Mógł też wspomnieć coś Nicolsonowi z Home Office, jeśli chciał się pochwalić, że robimy postępy. Wątpię, by Glenning mówił komuś o moim wyjeździe.

Bourdonnec odchrząknął.

- *Salaud*, którego złapaliśmy dzisiaj w nocy, miał dokładne informacje, znał datę i godzinę przyjazdu twojego pociągu.

- Na pewno nie od Glenninga. Kiedy rozmawiałem z nim ostatnio, mówiłem, że przylecę samolotem.

- Od kogo zatem? Od Devereaux?

- Nie wiem. - Cohen usiłował przypomnieć sobie szczegóły pożegnalnej rozmowy z Alanem.

„Powodzenia, staruszk. Będziemy w kontakcie. Dzwon do mnie”.
„Naturalnie”.

„Na twoim miejscu zatrzymałbym się w Crillon”. „Kto wie, może właśnie tak zrobię”. Banalna wymiana zdań. „Podrzucić cię na lotnisko?”.
„Nie, dzięki. Dam sobie radę”.

- Jestem pewien, że nie wspomniałem mu o podróży pociągiem - powiedział Cohen i sam się zdziwił, że był taki skryty, jeśli chodzi o swoje plany.

Bourdonnec cały czas obserwował ulicę. Dojeżdżali do końca bulwaru, kiedy zapaliło się czerwone światło. Klepnął kierowcę w ramię i rzucił do mikrofonu:

- Nie zwalnijaj, Rene.

Odezwała się syrena, rozbrzmiał kogut na dachu peugeot, podobnie w dwóch pozostałych wozach. W witrynach mijanych sklepów odbijały się błękitne refleksy niby małe wyładowania elektryczne. Wpadli na skrzyżowanie, wymuszając pierwszeństwo przy akompaniamencie pisku hamulców i wściekłych klaksonów. Kiedy byli na Pont de Sully, wyłączyli syreny, zgasły koguty. Cisza zapadła równie nagle, jak została przerwana.

- Kto rezerwował ci bilet? - podjął Bourdonnec, jakby nic się nie stało.

- Sam to zrobiłem.

- Telefonicznie?

- Tak? - Dopiero teraz do Cohena dotarło, gdzie popełnił błąd.

- Szefie, mamy towarzystwo. - Zaniepokojony głos Thierry'ego. -

Jakiś idiota przeleciał za nami na czerwonym świetle. Może tylko skorzystał z okazji?

- A może nie - powiedział Bourdonnec, oglądając się do tyłu. - Rene, jedziemy Quai Henri.

- Chce pan, żebym zajął się facetem? - zapytał Thierry.

- Poczekaj. Zobaczymy, co zrobi.

Konwój dojechał do końca mostu i skręcił w prawo w trasę szybkiego ruchu wzdłuż prawego brzegu Sekwany, prowadzącą do Disneylandu. Wpadli z samobójczą prędkością do tunelu, o włos mijając jakiegoś motocyklistę. Cohen zamknął oczy i pomyślał o czarnym mercedesie, który rozbił się na trzynastym filarze identycznego jak ten podziemnego pasażu przy Alma. Usiłował skupić się na fakcie, że jego telefon jest na podsłuchu.

Otworzył oczy dopiero wtedy, gdy wyjechali z tunelu. Bourdonnec siedział bokiem w fotelu, oparty o drzwiczki. W jednej ręce trzymał broń z lufą skierowaną w górę, w drugiej mikrofon.

- Gdzie ten facet, Thierry?

- Jakies dwieście metrów za mną. Cały czas się nas trzyma.

- Dobra. Zwolnij trochę, zobacz, jak zareaguje.

- Mam go puścić przodem?

- Jeśli będzie chciał cię wyprzedzić. - Zwrócił się do Cohena: - Ten gnojek, *un petit voyou*, nic nie wie. Jakiś gość w barze dał mu pięć tysięcy franków, kazał cię śledzić, napaść i zabić. Musimy się dowiedzieć, kto wynajął tę gniędę.

- Miał mnie zabić za pięć tysięcy franków? Bourdonnec się uśmiechnął.

- Powinieneś czuć się pochlebiony. W tym mieście znalazłbym ci takich, którzy zabijają za pięćset franków.

- Wyprzedza mnie, inspektorze. Czarny opel, paryskie tablice rejestracyjne, trzech ludzi w środku, dwóch z przodu, jeden z tyłu, jeśli dobrze widzę.

- Puście go. Słyszałeś, Rene?

- Słyszałem.

Opel zbliżał się, wewnątrz peugeota oświetlały już jego reflektory.

- Jacques, wiesz, co masz robić - powiedział Bourdonnec. Kierowca skinął głową, mocniej zacisnął dłonie na kierownicy, jednym okiem zerkając w lusterko wsteczne.

- Chce pana staranować, szefie.

- Takiego wała! - Bourdonnec rzucił do Jacquesa i do radia: - Uwaga, chłopcy! - a do Cohena: - Trzymaj się!

Zanim Cohen zdążył zareagować, zapaliły się światła hamulcowe pierwszego wozu. Peugeot odskoczył gwałtownie w prawo. Cohena rzuciło na bok, usłyszał ryk klaksonu i zobaczył zaskoczone twarze mężczyzn w przemykającym obok opla. Peugeot wrócił błyskawicznie na lewy pas i teraz to on siadł na ogonie ścigającym, gdy dwa pozostałe wozy wzięły we flanki jadącego środkowym pasem opla, który pędził wprost na wlokącą się przed nim ciężarówkę, bez szansy wykonania żadnego manewru.

Kierowca widać uznał, że wyjdzie z opresji. Na podjęcie decyzji miał dwie, trzy sekundy i podjął złą. Gdyby zaczął hamować, być może udałoby mu się zostać w tyle za peugeotem. Tymczasem nacisnął na gaz, szukając przestrzeni dla siebie; liczył, że przemknie, chociaż nie miał najmniejszych szans. Opel odbił w lewo, zahaczył o tył ciężarówki, potem na ułamek sekundy wyrównał, wpadł w poślizg, odbił się od bandy i z gracją toboganu poleciał prosto na ciężarówkę, która zmiotła go ze swojej drogi niczym śmieć.

Cohen widział jeszcze, jak opel obraca się powietrzu i przelatuje nad dachem peugeota. Jacques jeszcze hamował, kiedy Cohen usłyszał głuchy łoskot i zaraz potem huk eksplozji.

Oszołomiony spojrzął na Bourdonneca; odwrócony do tyłu wpatrywał się we wrak. Jego oświetlona płomieniami, nieruchoma twarz nie miała w tej chwili w sobie nic chłopięcego.

Wpół leżąc na tylnym siedzeniu, poobijany, jeszcze zszokowany słuchał relacji Bourdonneca, jakby ten nadawał korespondencję z wojny

dziejącej się w jakimś zapomnianym przez Boga zakątku świata. Śmierć tamtych trzech z opla nic dla niego nie znaczyła.

Spalili się, powiedział, a Cohen pomyślał: Doprawdy okropne.

Samochód był skradziony. *Tak?*

We wraku znaleziono dwa automaty. *Interesujące.*

Zmęczony doniesieniami przełączył kanał w mózgu.

Biało-czerwone słupki ogradzające miejsce wypadku sprawiły, że trasa szybkiego ruchu zmieniła się w jednopasmową jezdnię, na której natychmiast powstał korek, jak okiem sięgnąć. Ruchem kierowało kilku żandarmów, przynaglali gapiów zwalnających koło wraku. Na miejsce dotarli już strażacy, którzy zabrali się do usuwania tego, co pozostało z opla. W powietrzu unosił się swąd zwęglonej gumy i przypalonego kurczaka, gryzący i słodki zarazem.

- Trochę potrwa, zanim dojdziemy, co to za jedni.

Nie moja sprawa, pomyślał Cohen, ale doskonale wiedział, że owszem, to jego sprawa.

- Nie odzywała się do mnie przez cały dzień. Wreszcie wieczorem zadzwoniłem do mieszkania Silvy, żeby zapytać, co się dzieje.

Powiedziała, że „wszystko w porządku” i że będzie tam prawdopodobnie nocowała, co wcale mi się nie podobało. Moje obawy skwitowała krótkim „spoko” wypowiedzianym z tym irytującym amerykańskim akcentem, którego czasami używa. Nie próbowałem z nią dyskutować. Szczerze mówiąc, miałem już dość całej tej historii... Jeszcze kawy?

- Nie, nie. Dziękuję - powiedział Cohen. Miał wrażenie, że długo nie weźmie do ust neski.

- Około jedenastej, może trochę wcześniej... W każdym razie dzieci już spały, Dominique też się położyła, a ja zabrałem się do zmywania naczyń po kolacji. Nie słyszałem, kiedy weszła. Miała oczywiście klucze od naszego mieszkania. Stała tam, gdzie ty teraz. Ten jej wyraz twarzy. Była szczęśliwa. Nie, to coś więcej. Nie wiem, jak to powiedzieć.

Radieuse?

- Rozpromieniona.

- Była rozpromieniona. Nawet kiedy się uśmiecha, jej oczy są smutne. Ale nie tamtego wieczoru. Tamtego wieczoru były pełne życia, iskrzyły się, błyszczały. Wiesz, jak wyglądała? Jak ktoś zakochany.

- *Papa?* - W drzwiach kuchni pojawiła się główka małego chłopca, spojrzał ciekawie na Cohena zza okularów w jaskrawoczerwonych oprawkach.

- *Oui, cheri?*

- *Qu'est ce que tu fait?*

- *On pane.* Wejdz i przywitaj się z bardzo ważnym gościem z Anglii.

To Gaspard, a to monsieur Cohen.

- *Enchente.*

- Mów po angielsku.

Mały wyciągnął rączkę i powiedział z powagą:

- *How do you do. It's pleasure to meet you.* - Cohen z uśmiechem odwzajemnił uścisk dłoni, Gaspard cmoknął go w policzek.

- *Tu paries du auoil* - zapytał ojca.

- Rozmawiamy o Grace. - Gilles podniósł synka tą samą ręką, w której jeszcze wczoraj trzymał automat. - Jesteś jej ulubieńcem, prawda, cheri?

- *Elle arrive?*

- Już niedługo powinna się pojawić, tak, monsieur Cohen?

- *Je vais, dire a Maman.*

- Oczywiście, dlaczego nie. - Postawił małego na podłodze i chłopiec wybiegł z kuchni.

- Kiedy Gaspard miał trzy lata, żona ciężko zachorowała: wirusowe zapalenie płuc, którego nie sposób było wyleczyć. Brała kortyzen, antybiotyki, lekarze próbowali wszystkiego, nic nie skutkowało. W końcu posłaliśmy ją do Brest, licząc, że morskie powietrze pomoże. Dwa miesiące mieszkałem w Paryżu. Był to trudny czas: praca, opieka nad dziećmi. Dwójka starszych jakoś sobie radziła, ale Gaspard był bardzo... *neces-siteux?*

Absorbujący?

- Właśnie, absorbujący. Wtedy przyjechała Grace, zajęła się Gaspardem. Wzięła urlop bezpłatny, siedziała u nas miesiąc, może dłużej. Nigdy nie wyobrażałem jej sobie w roli matki, ale trzeba było ci ją wtedy widzieć. *Incroyable!* To jej uwielbienie dla małego, miłość, cierpliwość. Była taka... *sensible*. Po jej wyjeździe powiedziałem Dominique, że nie minie rok, a Grace będzie miała własne dziecko. Dominique wyśmiała mnie. „*Jamais!* Grace nigdy nie zdecyduje się na dziecko”. Uważałem, że nie ma racji. „Grace się zmieniła - argumentowałem. - Będzie chciała mieć dziecko, zapomni o pistolecie”. Na co Dominique powiedziała, że jest wiele Grace, o wiele więcej, niż sobie wyobrażam. „Ona się nie zmieniła - mówiła Dominique. - Widziałeś tylko jedno z jej wcieleń. To wszystko”. Miała rację.

- Którą Grace widziałeś tego wieczoru, kiedy przyszła do was od Silvy? - zapytał Cohen.

- Dawną Grace. To, co zobaczyłem wtedy w jej oczach, nie miało nic wspólnego z *l'amour*. Była podniecona, rozradowana. Zachowywała się, jakby złapała trop. Nazwałbym to upojeniem.

- Złapała trop Harlinga?

- Tak. „Wiem, gdzie go szukać” - tak powiedziała.

- I nic więcej? Bourdonnec pokręcił głową.

- Nic więcej. Pytałem ją, gdzie facet jest, ale usłyszałem tylko: „Zgadnij”. Skąd mogłem wiedzieć, na co natrafiła? Mówiła zagadkami. „Kamera nigdy nie kłamie, chociaż film może wprowadzić w błąd”. - Bourdonnec wzruszył ramionami na znak bezradności. - Zirytowała mnie. Powiedziałem, że gość wcale nie musi być tam, gdzie Grace spodziewa się go znaleźć. A ona na to: „Jest tam na pewno. Mam go, Gilles. Tkwi w pułapce”. „W pułapce? - zapytałem. - Niby gdzie? W Europie? W Afryce?”. „Bliżej”. Próbowałem wyciągnąć z niej, czy siedzi w więzieniu i dlatego nie może uciec, na co usłyszałem, że „prawie w więzieniu”. Dałem spokój, miałem dość, nie próbowałem już jej wypytywać. Powiedziałem, że idę spać i że porozmawiamy rano. Nie porozmawialiśmy, rano już jej nie było.

- Nie pożegnała się?

- Nie. Zostawiła kartkę tutaj na stole. *Mille mercis et mille bisous*. Potem już się nie odezwała. Nie wiedzieliśmy, co się z nią dzieje. W pewnym momencie zadzwonił jej ojciec...

Cohen nie wiedział, jak zostanie przyjęte jego pytanie.

- Kiedy Grace zniknęła i policja ustaliła, że poleciała do Paryża, Scotland Yard wydał komunikat, który poszedł do Interpolu...

- A ty chciałbyś wiedzieć, jak to się stało, że go nie czytałem?

- Owszem. Wydawało mi się...

- Mój drogi, to, co robiłem dla Grace, robiłem nieoficjalnie. W moich kartotekach nie znajdziesz jej nazwiska, podobnie jak nie znajdziesz nazwiska Silvy. Nikt o niczym nie wiedział, poza moimi ludźmi.

- Rozumiem.

- Czyżby? Naprawdę rozumiesz? Wątpię. *Allez!* - Gilles wylał resztki kawy do zlewu. - Trzeba się kłaść. Czeka nas robota. Możesz się przespać w pokoju chłopców.

- Mogę przecież iść do hotelu...

- Daj spokój z hotelem, Harry. Dopóki sprawa się nie wyjaśni, chcę cię mieć na oku. Gdyby cię zabili, fatalnie by to wpłynęło na moją reputację. - Bourdonnec uśmiechnął się szeroko. - Poza tym polubiłem cię. - Wziął Cohena pod ramię i poprowadził w stronę sypialni. - Polubię cię pewnie jeszcze bardziej, jak wyjedziesz z Paryża i ktoś inny będzie się musiał martwić o twoje życie.

Cohen nawet się nie rozebrał. Położył się do łóżka, w którym kilkanaście dni wcześniej spała Flint, i natychmiast usnął.

Bourdonnec i Cohen siedzieli w ogródku kawiarni La Palette i obserwowali codzienny rytuał zamykania galerii Pytheas. Dochodziła siódma, pora, kiedy powinni pojawić się ochroniarze pracujący dla Silvy. Gdyby wszystko biegło zwykłym trybem, Mario poszedłby teraz na targ, ale dzisiaj na rogu rue Jacob czekało na niego trzech ludzi Bourdonneca; inna grupa gotowała się wejść do galerii.

- To chłopcy z brygad specjalnych CRS - powiedział Bourdonnec. -
Fachowcy.

- Wiem - przytaknął Cohen. - Miałem już z nimi do czynienia.

- Tak?

- W 1972 roku. Miałem wtedy piętnaście lat, byłem w liceum, przyjechałem do Paryża w ramach międzynarodowej wymiany uczniów. Zakochałem się po uszy w pewnej dziewczynie, Catherinie. Szczenięca miłość. Panna była ode mnie dużo starsza, miała siedemnaście lat, w tym okresie to ogromna różnica. Paliła papierosy, na śniadanie piła pernod. Nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo takiego. Poszedłbym za nią na koniec świata. No i poszedłem: na demonstrację studencką, którą rozgonili chłopcy z CRS. Próbowałem uciec, ale mnie spałowali.

- Co się stało z twoją dziewczyną?

- Niestety, nie była moją dziewczyną. Pamiętam, że skrwawiony leżę na ulicy, a ona nachyla się nade mną i krzyczy: „Zabić te świnię!”. Nigdy już się nie spotkaliśmy.

- Byłeś rewolucjonistą, Harry.

- E tam.

- Zagadkowy z ciebie człowiek.

W oknie galerii Pytheas pojawiło się dwóch ludzi, jeden młody, z frymuśną fryzurą, drugi odpowiadający rysopisowi Silvy.

- Już czas. Siedź tutaj i obserwuj - powiedział Bourdonnec.

- A potem?

- Potem pójdziemy z Silvą do jego mieszkania. Dołączysz do nas. *A tout a l'heure.*

Bourdonnec wstał od stolika i ruszył w stronę galerii. Stał plecami do witryny, obojętnie spoglądając na niebieskiego vana, który zaparkował tuż obok. Na Cohena sprawiał wrażenie najniewinniejszego w świecie chłopaka, który czeka na swoją dziewczynę.

Szyba w oknie galerii zamieniła się w białą pajęczynę, nie słychać było nawet, jak pęka. Cohen nie mógł oderwać od niej oczu: zhipnotyzowany wpatrywał się, jak biała mgła spękań nabiera cytrynowej, potem pomarańczowej barwy.



ROZDZIAŁ 7

I

Flint opuściła Francję pierwszym pociągiem, jechała drugą klasą, by nie nadwerężyć zbytnio swoich zasobów finansowych. Za bilet zapłaciła gotówką, zachowując dzięki temu anonimowość, a że podróżowała po obszarze Unii, nie musiała na granicy pokazywać paszportu. Na tyle starannie zatarła wszystkie ślady, że gdyby ktoś chciał ją znaleźć, miałby kłopoty. Po tym, czego się dowiedziała z nagrania znalezionej w mieszkaniu Maria, była to ze wszech miar wskazana ostrożność.

Oczywiście nie stała się niewidzialna. Zapamiętał ją kasjer na Gare du Nord, dziewczyna z kiosku, w którym kupowała mapę i czasopisma, współpasażerowie z ekspresu TGV jadącego do Amsterdamu, barman w wagonie restauracyjnym, gdzie jadła śniadanie, młody chłopak, który siedzi naprzeciwko i nachalnie wpatruje się w nią cały czas.

Przezornie starała się przed wyjazdem odmienić swój wygląd: postarzający makijaż, siwe pasemka we włosach, podkrążone oczy, wszystko to miało uczynić ją brzydką, niepozorną kobietą wyglądającą na czterdzieści kilka lat.

Podróż do Amsterdamu trwa cztery godziny i Flint zdążyła już przeczytać kupione na dworcu gazety. Podnosi się, chce zdjąć torbę z półki i chwytając się oparcia swojego fotela, kiedy pociąg akurat bierze zakręt. Chłopak, z wyglądu amerykański student, natychmiast wykorzystuje okazję: zrywa się, gotów pomóc nieznajomej. Jest wyższy od niej o jakieś piętnaście centymetrów i bez trudu zdejmuje torbę.

- *Merci* - mówi Flint sucho.

- Bardzo proszę. - Zdrowe zęby i wodniste oczy przypominają jej Jamiego, ale to w końcu nie wina chłopca, że jest podobny do jej męża. - Mam na imię Jack. Jedzie pani do Amsterdamu?

A gdzie, na Boga, miałyby jechać pociągiem, który nie zatrzymuje się nigdzie po drodze?

- *Et ou, veux-tu que j'aïlle?* - pyta krótko. Chłopiec kręci głową.

- Przepraszam, nie znam francuskiego.

W takim razie odczep się z łaski swojej, młody człowieku.

- *Fous-moi la paix?* - mówi Flint z lekkim uśmiechem, jakby współczuła Amerykaninowi z powodu braków w wykształceniu. Chłopak bezradnie podnosi ręce i wraca na miejsce.

Flint już nie niepokoiona wyjmuje z torby notes z zapiskami dotyczącymi oświadczenia (czy też oskarżenia) nagranych przez Maria Silvę. Jest tego bitych dwadzieścia siedem stron, tekst w wielu miejscach został podkreślony i opatrzony uwagami. Na stronie trzeciej Flint podkreśliła każde słowo, tak ważny wydaje jej się ten fragment, chociaż praktycznie zna go na pamięć.

Do momentu kiedy Hading pojawił się w Paryżu, nie wiedziałem, co dzieje się z Maitlandem. Zaskoczył mnie przyjazd Harlinga, nie uprzedził mnie o swojej wizycie. Po prostu któregoś dnia zapukał do moich drzwi... Usiedliśmy w tym pokoju. Tu Mario odrywa wzrok od obiektywu kamery, omiata wzrokiem salon w swoim mieszkaniu, jakby chciał wskazać miejsce, gdzie usiedli. Kamera stoi na statywie, obraz jest statyczny, ale nagranie ożywiają gesty Silvy, pauzy, ton głosu.

... Usiedliśmy więc w tym pokoju. Harling powiedział mi, że poprzedniego popołudnia otrzymał telefon od naszego przyjaciela, pana

Browna, czyli w rzeczywistości Patricka Shillinga, jednego z wyższych urzędników brytyjskiego kontrwywiadu MI5. Informacje, które przekazał mi Harling, pochodziły zatem z najpewniejszego źródła.

Mario nieznacznie uśmiecha się w tym miejscu. *Co miał do powiedzenia pan Shilling? Otóż ostrzegł on Harlinga, że Maitland został aresztowany i że Harling powinien zniknąć, tak*

się dokładnie wyraził: „Zniknąć i przeczekać, aż niebezpieczeństwo zostanie wyeliminowane”.

Mario nachyla się ku kamerze.

„Wyeliminowane”. Co to miało oznaczać?

- Bombę w samolocie, ni mniej, ni więcej - mówi Flint na głos, jakby Mario mógł ją słyszeć.

Nie wiedzieliśmy tego aż do chwili, kiedy Shilling ponownie skontaktował się z Harlingiem i oznajmił mu, że Enterprise pozbyło się Maitlanda, jego żony oraz amerykańskiego agenta, niejakiego Hechtera. Tak się właśnie wyraził Shilling, użył określenia: Enterprise „pozbyło się” wymienionych osób. Niestety, nie udało się zlikwidować, ubolewał Shilling, brytyjskiej agentki, Grace Flint, ale to tylko kwestia czasu, zapewnił Harlinga.

Flint siedzi w pociągu mknącym z szybkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę przez równiny północnej Francji, ale myślami jest cały czas w mieszkaniu Silvy.

Harling zna pannę Flint. Ta osoba bardzo może nam zaszkodzić. Od lat ściga Harlinga. Ma na jego punkcie obsesję, której nie potrafię zrozumieć.

- Chcesz, żebym ci wyjaśniła? Ktoś masakrował ci kiedyś twarz kopniakami? Słyszałeś, jak ktoś mówi, żeby cię zabić?

Może jest w nim zakochana? - mówi Mario z uśmiechem.

- Urocze - prycha Flint. Mario znowu jest poważny.

Ani ja, ani Frank Harling nie lubimy stosować przemocy, jesteśmy biznesmenami, którzy nieco naginają przepisy. Nie mamy nic wspólnego z zamordowaniem państwa Maitlandów i agenta Hechtera. Nie polujemy na pannę Flint. Jeśli coś się jej stanie, nie będziemy ponosić najmniejszej odpowiedzialności. To wy jesteście odpowiedzialni za wszystko, panowie, ponieważ pozwoliliście umocnić się i działać Enterprise.

Mario, pozbywszy się wreszcie ciężaru, sięga po szklanę, upija łyk, jak się wydaje wody.

To wy, członkowie Enterprise, ponosicie winę za taki, a nie inny rozwój wypadków. - Mario wyciąga oskarżycielsko palec w stronę kamery.
- Nie wiem, jak daleko sięgają wasze macki. Może zaufałem niewłaściwym ludziom? Być może zastanawiacie się właśnie nad tym, czy zniszczyć kasetę z moim oświadczeniem.

Mario powoli kręci głową jak ojciec, który musi rozczarować dziecko.

Nie, przyjaciele, nie uda się wam uciszyć Maria Silvy. Jeśli w ciągu miesiąca Enterprise nie zaprzestanie swojej działalności, senatorowie amerykańscy, deputowani Assemble Nationale, członkowie obu izb Parlamentu brytyjskiego, posłowie Bundestagu, Senato di Rome i Senado de Madrid, przedstawiciele Eerste Kamer i Folketingu oraz Assembleia da Republica, wszyscy oni dostaną kopie tego nagrania. Dostaną je również dziennikarze „New York Timesa”, londyńskiego „Timesa”, „Liberation”,

„Die Zeit”, „La Stampy”, „El Pais”, „Han-delsblatt”, „Aftenposten”, „Expresso”. Nagranie trafi również do CNN, BBC, TF1. Teraz już wiecie, panowie, czego możecie się spodziewać.

Kolejna pauza i Mario podejmuje swoją relację.

A teraz pozwolicie, że opowiem wam, co mi wiadomo o Franku Harlingu i Enterprise. Silva podchodzi do kamery, zmienia ogniskową, na ekranie widać ustawioną na gzymsie kominka białą tablicę, w kadrze ponownie pojawia się Mario z flamastrem w dłoni.

„THE ENTERPRISE”, pisze dużymi literami na samej górze. Nieco poniżej po lewej „USA”, po prawej „UK”. W trzecim wierszu pisze „General”, obok w nawiasie (Jackson/Departament Spraw Wewnętrznych), w kolumnie „brytyjskiej” pojawia się „Admirał” i znowu w nawiasie (NATO).

Tak najogólniej wygląda struktura Enterprise, wierzchołek piramidy, ludzie, którzy zarządzają stworzoną przez siebie firmą.

Mario odwraca się do kamery, spogląda przez ramię w kierunku obiektywu.

W Stanach na czele Enterprise stoi General, przypuszczam, że pod tym pseudonimem kryje się Jackson, wysoki urzędnik Departamentu Spraw Wewnętrznych, były albo obecny.

Flint wstrzymuje oddech.

W Wielkiej Brytanii - Mario wskazuje prawą kolumnę -mamy Admirała. Nie znamy jego nazwiska, ale mamy prawo przypuszczać, że sprawuje bądź sprawował wysoką funkcję w dowództwie NATO.

- Niech to jasna cholera - szepcze Flint.

Mario stoi teraz twarzą do kamery niczym nauczyciel prowadzący lekcję w klasie.

Teraz pora opowiedzieć o celach, jakie stawia sobie Enterprise. Otóż ciągnie wielomilionowe zyski, wymuszając pieniądze od ludzi takich jak ja, którzy obchodzą przepisy finansowe i obracają nielegalnymi funduszami. Jak tego dokonuje General i jego przyjaciele? Zapewniając nam „opiekę” przed służbami specjalnymi, które interesują się naszą działalnością. Na czym polega opieka? Na dostarczaniu nam dokładnych, precyzyjnych informacji zdobywanych od przekupionych agentów, którzy powinni nas ścigać.

Mario zaczął wypisywać na tablicy nazwy różnych służb specjalnych, licytując na głos ich listę.

DIA, Defence Intelligence Agency; CIA, Central Intelligence Agency; DEA, Drug Enforcement Agency; FBI, Federal Bureau of Investigation; EPIC, El Paso Intelligence Center; FINCEN, Financial Crimes Enforcement Network. W Wielkiej Brytanii będą to ludzie z MI5 czyli Security Service oraz z MI6 inaczej nazywanego Secret Intelligence Service, GCHQ i SFO.

- Wybaczam ci, Mario - mówi Flint.

Siedzi przy stoliku w wagonie restauracyjnym, pije gorącą czekoladę i je powoli kanapkę z szynką. Szynka w ogóle nie ma smaku, ale Flint jakoś przetyka kolejne kęsy. Nie jadła od trzydziestu sześciu godzin: efekty głodówki nie każą na siebie długo czekać. Zegarek już obraca się luźno na przegubie.

W torebce ma notes, którego strzeże jak źrenicy oka. Notatki stanowią jedyny dowód, jakim dysponuje, i fakt ten trochę ją niepokoi.

Powinna była zrobić kopię kasety, przynajmniej pomyśleć o nagraniu audio. Mogła zadzwonić do Gillesa, pożyczyć od niego magnetofon. Nie zrobiła tego, bo porażona rewelacjami Maria doszła do wniosku, że nie może nikomu ufać, nawet Gilles'owi. Smutne to i wcale jej nie cieszy własna obsesyjna podejrzliwość.

Z drugiej strony...

Otwiera notes, odwraca się plecami od ludzkich spojrzeń i czyta kolejny fragment.

Z czasem stało się dla nas jasne, że Enterprise ma źródła informacji w wielu krajach, głównie w Europie: w Niemczech, Włoszech, Holandii, przede wszystkim we Francji. Na przykład w sierpniu 1995 roku Shilling przekazał Harlingowi pełne dane dochodzenia prowadzonego w Paryżu przeciwko jednemu z jego klientów przez Brigade

Criminelle. Harling na czas uprzedził klienta i policyjną operację diabli wzięli.

Znowu pauza i kolejny retoryczny popis Maria.

Jak widzicie, panowie, macki Enterprise sięgają wszędzie.

Nawet do Brigade Criminelle, której Gilles Bourdonnec jest inspektorem. Flint usiłuje uwolnić się od niegodziwych myśli, ale dręczą ją podejrzenia. Dopóki nie przyszpili Franka Harlinga, dopóki nie przyciśnie go do muru, nikomu nie może ufać.

Dociera do ostatniej zapisanej strony, gdzie znajduje się finałowa koda, ostatni prezent Maria dla Flint. *Girne.*

To tam zaszył się Frank, w cichej, bezpiecznej przystani.

Kiedy wraca do swojego wagonu, młody Amerykanin śpi. Flint wyjmując torbę spod siedzenia i pakując do niej notes. Do Amsterdamu jeszcze dwie godziny drogi; postanawia spędzić ten czas, przygotowując plan działania.

Jedzie na północ, choć Frank przyczaił się na południu. Logika podpowiadałaby, żeby kierować się na południe, do Włoch albo do Grecji, ale jest teraz myśliwym i ściganym w jednej osobie, musi wystrzegać się wszelkich przewidywalnych ruchów, unikać miejsc, gdzie Enterprise, szukając Harlinga, natrafi również na nią.

Ma jeszcze trochę pieniędzy. W Paryżu wydała znacznie mniej, niż przypuszczała. Zostało jej tysiąc sześćset dolarów w portfelu i kolejne pięć tysięcy dolarów ukryte w torbie podróżnej. Ma wystarczający zapas garderoby i dwa paszporty, ale tu właśnie tkwi niebezpieczeństwo.

Jeśli Enterprise jest choćby w połowie tak efektywne, jak twierdzi Mario, wkrótce ludzie firmy będą wiedzieli, że pojechała do Paryża jako Suzanne Williams.

Gdyby posłużyła się swoim prawdziwym paszportem, informacja o jej wyprawie do Francji dotarłaby do komandora Glenmnga. I co tego? - myśli teraz. Co by jej zrobił? Zbeształ, nakrzyczał? Na pewno. Zawiesiłby ją w czynnościach? Niewykluczone. Zabiłby ją? Mało prawdopodobne.

Ale jest jeszcze Enterprise. *Szukają Grace Flint*. Dziękuję ci, Mario.

Jej likwidacja to zdaniem Shillinga wyłącznie kwestia czasu.

Nie może użyć żadnego ze swoich paszportów; na fałszywym wyjechała z Londynu i to wystarczyło, spaliła nazwisko. Panuje żelazna zasada, że żaden agent nie może użyć dwa razy tego samego dokumentu.

Dlatego zamiast na południe kieruje się na północ. Zna w Amsterdamie niejakiego Klause, który za tysiąc dolarów zaopatrzy ją w kanadyjski paszport na dowolne nazwisko.

Nie ma ochoty zadawać się z Klausem, w pojęciu Flint to taki sam łajdak jak jego klienci, czuje, jakby zawierała pakt z diabłem, ale nie widzi innego wyjścia.

Zasili kieszeń Klause, bo musi. Chcąc uspokoić sumienie gliny, powiada sobie, że pewnego dnia Klaus zapłaci za swoje grzeszki, ale na razie przysłuży się, może raz w życiu, słusznej sprawie.

Flint wraca do swojego planu. Zatrzyma się w jednym z tanich, prowadzonych przez gejów pensjonatów, gdzie nikt nikogo o nic nie pyta. Klause powinna znaleźć w otwartym całą noc barze na Herengracht. Przy odrobinie szczęścia złapie go jeszcze dzisiejszego wieczoru. Dwa, trzy dni będzie musiała czekać na paszport. W tym czasie pochodzi po biurach podróży, poszuka najtańszego sposobu dotarcia do Turcji, stamtąd promem popłynie do Girne.

Dziwna nazwa, myśli. Na mapie Cypru, którą kupiła na Gare du Nord, niewielki, pełen uroku port nazywa się jeszcze Kyrenia, była tam z Jamiem w podróży poślubnej, teraz jego oficjalna nazwa brzmi Girne - jeszcze jedna wymuszona zmiana, która zamieniła północną część wyspy w państwo-pariasa. To już nawet nie Cypr, tylko Republika Turecka Cypru Północnego. I linia podziału zmilitaryzowana prawie w takim samym stopniu jak granica dzieląca Koreę.

Zupełnie jak w Korei Północnej, tylko zarcie lepsze. Znalazła kartkę takiej treści w pudełku „Frantica”: żart Franka.

Na pocztówce widać port. Flint zastanawia się, czy nadal istnieje Hotel Dome, z narożnym pokojem na samej górze, który rzadko opuszczali przed zmierzchem. Kiedy już wyszli z hotelu, szli do którejś z portowych restauracji, siadali w ogródku, zamawiali meze i cankayę, Jamie otwierał przewodnik, proponował plan na następny dzień, ale oczywiście zwiedzanie nie było im w głowie.

- Jutro to już na pewno gdzieś się wybierzemy - oznajmiał stanowczym tonem. - Obejrzymy jakiś zamek albo klasztor.

- Koniecznie - przytakiwała Flint.

Spotka Franka w którejś z tych nabrzeżnych knajp. „Cześć. Przypominasz mnie sobie?” - Jakoś tak to będzie wyglądało.

Co *-potem?*- pyta cierpki głos wewnętrzny, ale Flint na razie nie potrafi odpowiedzieć.

Jamie nadal śpi, tyle że to oczywiście nie Jamie, tylko chłopiec, który przypomina Jamiego z czasów, kiedy w słowniku Flint istniało jeszcze słowo zaufanie i obce jej były gorzkie doświadczenia.

Pociąg stoi na Amsterdam Central. W pierwszym odruchu Flint chce wyjść z wagonu, zostawiając chłopca. Coś jednak ją zatrzymuje, dotyka policzka śpiącego, Amerykanin otwiera oczy, patrzy na Flint niezbyt przytomnym wzrokiem.

- Jeśli nie chcesz wracać do Paryża, wstawaj - mówi Flint. Idąc do wyjścia, słyszy głos chłopaka:

- Dzięki. Wielkie dzięki! - woła Amerykanin.

De nada. Kiedyś już zakochała się w chłopaku z pociągu. Kiedy obce jej jeszcze były gorzkie doświadczenia.

Flint wchodzi z peronu na dworzec, miesza się z tłumem i kieruje się w stronę damskiej toalety. Płaci dwa dolary za kabinę prysznicową, wyposażoną także w bidet i dwa czyste ręczniki. Zdejmuje z siebie deformujące sylwetkę ciuchy, zwija je w węzełek, wyrzuci do najbliższego kosza.

Stając pod prysznicem zmywa makijaż, szary talk z włosów.

Teraz znowu jej twarz, o niemal idealnych rysach, wygląda, jakby była pozbawiona wieku. Wkłada obcisłe džinsy, botki z brązowej skóry o ostrych noskach na wysokich obcasach, szafranową koszulę.

Z innych akcesoriów wybiera męski zegarek, zaręczynowy pierścionek z brylantem, na szyi zawiązuje jedwabną błękitną bandanę. Włosy zaczesuje do tyłu, za uszy, dodatkowo przytrzymuje je nasuniętymi na czoło okularami przeciwsłonecznymi.

Przygląda się sobie z zadowoleniem w lustrze. Nie jest ani trochę podobna do czterdziestokilkuletniej kobiety, która przyjechała dzisiaj pociągiem z Paryża do Amsterdamu: wagon jedenasty, miejsce numer trzydzieści. Nie przypomina też Grace Flint, której zdjęciami mógłby dysponować Shilling.

Zastanawia się, jakie powinna teraz wybrać imię i nazwisko. Była już i Traci, i Ulvhild: dziewczyną z Essex i norweską uwodzicielką, która potrafiłaby swoim urokiem roztopić lód. Imiona są ważne: nadają człowiekowi określony ton, zmieniają sposób poruszania się, nachylenie głowy, układ rysów, nawet sposób odczuwania. Kiedyś w Miami była Neysą i - uwolniona od swojej angielskiej powściągliwości - odkryła, że potrafi tańczyć marimbę, jakby nigdy w życiu nie robiła nic innego.

Kim będzie dzisiaj?

W pociągu pomyślała, że starą panną, niejaką Enid. Dla Maria była Katią, egzotyczną, intrygującą. Wcześniej uchodziła za Suzanne i wtedy...
Coś nie tak!

Jest tego pewna! Czuje to wyraźnie, jakby jakaś niewidzialna ręka wymierzyła jej policzek. Coś jej mówi, że stoi na progu katastrofy. Jak w samolocie, który za chwilę runie w dół. Opiera się o umywalkę i czeka na najgorsze.

Spogląda w lustro. Suzanne! Gdzie jest Suzanne?

Osuwa się na kolana, wyrzuca rzeczy ze swojej torby, szuka paszportu, którym nie powinna się już posługiwać. Nie znajduje go, nie ma też zwitku studolarowych banknotów, które schowała w bieliźnie. Zniknęło pięć tysięcy, za które miała jechać do Kyrenii. Nie ma ich.

Wybiega z kabiny do hali dworcowej. Gdyby mogła, zabiłaby go. Jamie, cholerny Jamie.

Oczywiście myśli o amerykańskim chłopcu, ale teraz obydwaj stają się w jej umyśle jedną osobą.

Przeciska się przez tłum, rozbija łokciami, ma w nosie, że ludzie się na nią wściekają.

Przebiega przez perony, wpada do kiosku z gazetami, do baru, do kantoru wymiany, biegnie na postój taksówek, na przystanek autobusowy, w oczach ma łzy wściekłości.

Raz jeszcze obiega miejsca, gdzie już była, ludzie rozstępują się przed nią.

Traci dech, nie może już biec, nie wie, gdzie szukać chłopaka. Opiera się o jakiś filar, z trudem łapie powietrze.

Powoli wraca do siebie i idzie w stronę damskiej toalety, gdzie zostawiła swoje rzeczy.

Jak mogła okazać się taką idiotką? Jest wściekła na samą siebie. Czuje się samotna, ścigana, chwycona w pułapkę.

Przyznaj, Flint, spieprzyłaś sprawę.

II

Kancelaria prawnicza Stern & Kreindler znajduje się przy zuryskiej Dreikonigstrasse, w budynku, w którym ulokowało się również kilka prywatnych banków. W cztery dni po wybuchu bomby w Galerie Pytheas, doktor Gerhard Kreindler wszedł na trzecie piętro i punktualnie o dziewiątej otworzył drzwi biura. Zwyczajowa godzina, zwyczajowe przywitanie z recepcjonistką i sekretarką, słowem - codzienna rutyna. Kancelarię obsługiwały Lise i Else, dwie siostry Endler, bliźniaczki, stanowiące cały personel, a jako że pan Stern od dawna nie żył, klienci mogli mieć pewność, że o ich sprawach będą wiedzieć zaledwie trzy osoby. Dobry doktor Kreindler często podkreślał w swój dystyngowany sposób zalety takiego układu, który gwarantował całkowitą dyskrecję.

Lista klientów jest nieduża, ale wywodzą się oni spośród ludzi zamożnych, co podkreśla spokojna elegancja wnętrza kancelarii: jasne dębowe boazerie, jasnobezowe dywany, szaroperłowa tapicerka i takie same zasłony. Poza mahoniowym biurkiem, które należało jeszcze do ojca doktora, wystrój jest nowoczesny, o co zadbały siostry Endler, dbające też okazjonalnie o garderobę doktora, który jako człowiek samotny, korzystał niekiedy z rad bliźniaczek.

Kreindler zaczynał dzień od wypicia serwowanej mu przez Lisę gorącej wody z plasterkiem cytryny - kolejny z drobnych codziennych

rytuałów - i zabierał się do przeglądania porannej poczty ułożonej w teczce z cielejącej skóry i posortowanej wedle wagi spraw. Owego szczególnego dnia, trzy dni po tym, kiedy to Gilles Bourdonnec został poddany wyjątkowo ciężkiej, trwającej siedem godzin operacji w klinice St. Claude, Lise stanęła z teczką koło biurka, jakby się wahała, czego nigdy nie robiła.

- Coś nie tak, Frau Endler?

- Niestety, Herr Doktor.

Po otwarciu teczki jego wzrok padł na pierwszy list, zawiadamiający o przedwczesnej, nieoczekiwanej śmierci jednego z klientów.

List nadszedł od paryskiego *avocat*, człowieka niezwykle rzetelnego i pedantycznego, a z jego słów była autentyczna troska, wręcz niepokój. Do listu dołączone były wycinki prasowe dotyczące szczegółów eksplozji, w której ciężko ranni zostali czterej policjanci, dalej potwierdzone notarialnie odpisy aktów zgonu Silvy i jego asystenta, wreszcie zalakowana koperta, opatrzona napisem: „Dla doktora Gerharda Kreindlera. Do rąk własnych. Otworzyć tylko w razie mojej śmierci. Podpisano Mario Silva”.

Doktor ważył kopertę przez chwilę w dłoni.

- To wszystko przyszło pocztą?

- Nie. Dostarczył kurier.

Doktor złamał pieczęć, na biurko wypadły dwa kluczyki i czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów oraz notatka, którą doktor przeczytał i podał Lise.

- Zadba pani o wszystko?

- Oczywiście. Kiedy zamierza pan lecieć?

- Jutro, południowym samolotem.

Schodząc po schodach na parter, doktor zastanawiał się nad swoją wieloletnią znajomością z Silvą, jednym z najbardziej wytwornych spośród klientów kancelarii. Wiedział, że będzie mu brakowało długich wspólnych lunchów, podobnie jak prezentowanej od czasu do czasu przez Silwę butelki dobrego wina, nie mniej niż wysokich honorariów.

Idąc do sejfów bankowych, przeniósł się już myślami do Waszyngtonu. Lubił cywilizowaną atmosferę tego miasta: załatwi, co ma do załatwienia, i zostanie dzień, dwa: pójdzie do Corcoran, może wyskoczy na obiad do Lion d'or.

Strażnik w banku znał go doskonale, ale to Szwajcaria i doktor musiał dopełnić jeszcze kilku formalności, wreszcie został sam w sali pełnej stalowych skrytek kryjących kto wie jakie tajemnice, jakie niegodziwości.

W tej należącej do Silvy znajdowały się tylko kasety wideo. Pięćdziesiąt identycznych nagrań, jak wynikało z notatki przesłanej przez Silwę.

III

Nawet gdy Patrick Shilling był w dobrym usposobieniu, miał taką minę, że według określenia swojej żony mógłby płoszyć konie.

Konie i dzieci, bo właśnie jak zahipnotyzowana obserwowała go jakaś mała dziewczynka i przerażona jego grymasem, gotowa była lada chwila wybuchnąć płaczem. Shilling posłał jej mordercze spojrzenie, które miało powiedzieć, że jeśli smarkata zacznie się mazać, wyrzuci ją za burzę. Dziewczynka miała wszelkie powody do strachu, Shilling nie lubił dzieci i koniec. Nawet własnych.

W tej chwili nie podobało mu się wiele rzeczy. Lekkie kołysanie promu przyprawiało go o mdłości. Francuzi, których wynajął, okazali się skończonymi idiotami i teraz na pewno będzie musiał wysłuchiwać cierpkich komentarzy z ich powodu. Był wściekły, że Cohen chodzi jeszcze po tej ziemi. Był wściekły, że Flint gdzieś przepadła. A już najbardziej wściekało go, że Taggart wezwał go na wyspę Wight, jakby był gówniarzem, chłopcem do bicia.

Zaczął rozważać, czy powinien się przespać z żoną Taggarta; dała mu wyraźnie do zrozumienia, że gdyby chciał, mógłby ją mieć.

Dziecko zaczęło się mazać, matka zaczęła je uspokajać, Shilling odwrócił wzrok, wyjął paczkę marlboro. Siedzący obok niego współpasażer wskazał znak z przekreślonym papierosem, ale Shilling posłał mu tylko wzgardliwe spojrzenie.

Boże, jak tu duszno.

Wyszedł z salonu na pokład. Dopływali do portu, w oddali kołysały się cumujące przy nabrzeżu łodzie żaglowe.

Taggart miał jacht, podobnie jak Kurlack. Nazywał go „Invincible”, niezwyciężony. Sam też się uważał za niezwyciężonego. Dobry żart, zważywszy na fakt, że powłóczył nogą. Dawał do zrozumienia, że to rana wojenna, ale Shilling nie dał się nabrać. O wojnę Kurlack co najwyżej otarł się w kwaterze głównej NATO w Brukseli i to było całe jego „frontowe” doświadczenie. Zresztą to samo odnosiło się do Taggarta: generał brygady i wiceadmirał, którzy nie podnieśli nigdy tyłków ze swoich foteli, oddelegowani do mało ważnych zajęć w wywiadzie wojskowym, bo do niczego lepszego się nie nadawali.

Odezwała się syrena promu, znak, że za chwilę dobiją do nabrzeża.

Chryste, jak on nie znosił tej pieprzonej wyspy Wight.

Katherine Taggart, kręcąc pośladkami, podała herbatę w bibliotece; szumna nazwa jak na pokój z kilkadziesiątoma książkami. Shilling miał zbiór książek z prawdziwego zdarzenia, ale po rozstaniu się z żoną jakoś nigdy nie wypakował ich z kartonów. Kiedyś powiedział żonie, że wybiera się do Borders, żeby kupić jakąś upatrzoną książkę. „Po co? - zapytała - Przecież masz ich już tyle”. Głupia krowa.

- Dziękuję ci, Kate - uśmiechnął się Taggart. - A teraz musimy omówić kilka spraw służbowych. Bądź tak dobra i zostaw nas samych.

- Zawsze te sprawy służbowe - powiedziała z kokieterijnym wyrzutem i zwróciła się do Patricka: - Zostaniesz oczywiście na kolacji? Przenocujesz u nas?

Bardzo byś chciała? - pomyślał Shilling z przekąsem. Stary poszedłby spać, a ty pieprzyłabyś się ze mną w oranżerii.

Tak, Taggart był stary. Kate mogłaby być jego córką. Stary i prawdopodobnie na tyle głupi w starczym zaślepieniu, że uwierzył, iż ta młoda kobieta jest z nim dla bardziej wzniosłych powodów niż pieniądze. Dobry akcent i nieskazitelne maniery wskazywały na dobre pochodzenie, ale Shilling wiedział, że jej matka jest alkoholiczką, a ojciec, fałszywy pułkownik, zajął się handlem podejrzanymi antykami, które wciskał starszym paniom z pretensjami. Wystarczył jeden telefon Taggarta i papa Kate musiałby się gęsto tłumaczyć przed lokalnymi władzami w Turnbridge Wells, gdzie prowadził swoje interesy.

A Kate? Przycinała krzewy różane w ogrodzie, podawała herbatę w bibliotece i znosiła pieścizoty starych dłoni Taggarta, licząc na jego miliony, nowe miliony, które zapewniał mu Shilling.

Kate polowała na pieniądze, szukała złota. Była zwykłą dziwką. Jak one wszystkie.

- Obawiam się, że Shilling będzie musiał wracać do Londynu.

Sprawy wagi państwowej.

- Szkoda.

Następnym razem. Może już niedługo, dziwko.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Admirał Taggart, Nelson myślałby kto. Śmieszny typ, ale teraz gdyby mógł, obdarłby Shillinga ze skóry.

Shilling wzruszył ramionami.

- Spartaczyli robotę.

- To wiem, ale jak do tego doszło?

- Zadzwoiłem do...

- Bez nazwisk!

- Pogadałem z kimś z francuskiego wywiadu i poprosiłem, żeby zajął się Cohenem, tak jak chciałeś. Nie mógł sam, ale skontaktował mnie z... pewnymi ludźmi. Zapewniał, że są skuteczni.

- Skuteczni! Rozwalili rue Seine!

- Raczej nie, zresztą to było później, kiedy dwa razy nie wyszło im z Cohenem.

- Dwa razy facet im się wywija, a ty zlecasz im kolejną akcję.

Musiałeś chyba do końca zgłupieć.

Nie posuwaj się za daleko, Admirale, bo przetrączę ci ten twój chudy kark, pomyślał Shilling.

- Nie było czasu szukać kogoś innego - tłumaczył, siląc się na cierpliwość. Cohen współpracował z francuską policją. Byłem pewien, że dobiorą się do Silvy. I miałem rację: próbowali, a on mógł zacząć sypać.

- Ale bomba? W samym środku Paryża, w porze największego ruchu? Zgodziłeś się?

- Przeliczyli się. Twierdzili, że szyby galerii wytrzymają wybuch. Durnie nie wiedzieli, że owszem, ale od zewnątrz, nie od wewnątrz. Tłumaczę ci, spieprzyli robotę. Co więcej mogę ci powiedzieć?

- I teraz czterech policjantów walczy ze śmiercią.

- Trzech się wykaraska, czwarty raczej nie.

- Raczej nie? - Taggart pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Posłuchaj...

- Nie, to ty posłuchaj, Shilling. Sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli. Nie będę tolerował podobnej niekompetencji. - Taggart trząśniętym głosem wyraził wściekłość, Shilling usiłował panować nad swoją.

- Chcę wiedzieć, jak zamierzasz naprawić to, co spieprzyłeś? Gdzie Flint?

- Zapadła się pod ziemię.

- I?

- Od miesiąca jej nie ma. Prędzej czy później gdzieś się pojawi.

Gdzieś zadzwoni, spróbuje podjąć pieniądze z konta, a ja już się nią zajmę.

- Ile wie?

- Zapytam.

Taggart powoli podniósł się z fotela.

- Co z Cohenem?

- Poleciał do Miami, spotkać się z Cutterem. Wczoraj wrócił z Paryża i od razu ruszył w dalszą drogę. - Krótka pauza i pytanie Shillinga:

- A może Kurlack się nim zajmie?

- Bez nazwisk.

- Jego chłopcy spisali się w Robertson bardzo dobrze. Dlaczego nie? Taggart stał przy oknie, patrzył na ogród.

- Po co pojechał do Cuttera?

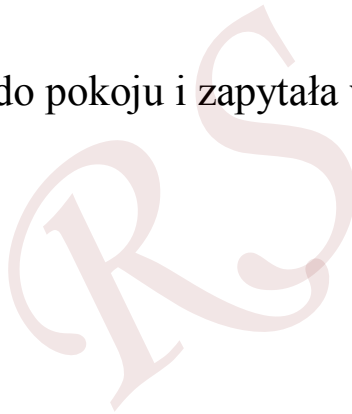
- Nie wiem. Zapytaj Devereaux.

Taggart odwrócił się, jakby ktoś dźgnął go nożem. W jego oczach czaiła się wściekłość. A może panika?

- Ty cholerny idioto!

Kate wetknęła głowę do pokoju i zapytała wesoło:

- Jeszcze herbaty?



ROZDZIAŁ 8

I

Cohen pojechał taksówką ze śródmieścia Miami do Coconut Grove, gdzie prawie pół godziny czekał w restauracji Monthy's, aż Cutter go odnajdzie.

- Pomyślałeś kiedyś, że warto zainwestować w telefon komórkowy. - Cutter miał na sobie szorty, krzykliwą hawajską koszulę i wyraźnie swoim strojem drażnił kelnerkę.

- Słucham? - zapytał Cohen.

- Siedzisz nie w tej knajpie, w której się umówiliśmy. Gdybyś miał telefon, znalazłbym cię.

- Ale przecież powiedziałeś, że spotkamy się w Monthy's.

- Jest stary Monthy's i nowy Monthy's. Przenosimy się. Mają tam wspaniałe steki i podają ogromne kufle piwa. Poza tym czeka na nas ktoś, kogo powinieneś poznać.

W starym Monthy's panowała luźna atmosfera, przy długich drewnianych ławach siedziało dużo młodzieży, przeważnie słyszało się hiszpański. Cutter przeszedł przez salę, prowadząc swojego gościa na taras, skąd rozciągał się widok na Biscayne Bay.

- Dobrze się czujesz? Kiepsko wyglądasz.

- To zmiana czasu - powiedział Cohen. Nie chciał się przyznać, że od kiedy wrócił z Paryża, prawie nie spał. Ilekroć zamykał oczy, słyszał echo eksplozji. Kiedy dobiegł do Gilles'a, ten wyglądał na nieżywego: nogi zmasakrowane odłamkami szkła wyglądały jak krwawa masa. Cohen uniósł piwo w obu dłoniach, usiłując ukryć ich drżenie.

- Jak twój przyjaciel? - zapytał Cutter.

- Nie najlepiej. Ma strasznie pokiereszowane nogi. Jedno płuco rozerwane na kawałki, stracił śledzionę. Leży cały podłączony do aparatury.

- Wiadomo, kto to zrobił?

- Na razie nie mają pojęcia.

- Musimy zadać mu parę pytań. Cohen pokręcił głową, nie rozumiejąc.

- Komu?

- Temu skurwielowi tam.

Cutter wskazał głową jacht przycumowany przy niewielkim moło, jakieś dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie siedzieli. Cohen pospiesznie nałożył okulary i przeczytał nazwę na rufie: „Invincible”.

- Widzisz go?

- Nie.

- Jest na mostku.

Teraz go dostrzegł. Facet siedział w cieniu osłony i obserwował brzeg przez lornetkę.

- Widzisz, jego dupki podłożyły bombę nie w tym samolocie co trzeba. Maitland miał absolutnego świra na punkcie buchalterii. Księgował każdego pieprzonego centa.

- Nie rozumiem.

- Ja dwa dni temu też jeszcze nie rozumiałem. Same liczby, fikcyjne korporacje i konta bankowe, do których nie mieliśmy wglądu. I teraz sobie wyobraź: dostaję telefon z samej centrali, lecę pierwszym samolotem do Waszyngtonu i co widzę?

- Testament Maria Silvy. Jego zabezpieczenie na wypadek śmierci, jeśli tak to można nazwać. Mario zostawił nam precyzyjny zapis, tak precyzyjny, jak to tylko możliwe, i nagle liczby Maitlanda nabrały sensu. Teraz dobierzemy się do skóry Jacksonowi Kurlackowi, zapytamy go o twojego przyjaciela.

Cohen coraz mniej rozumiał.

- Możesz mi powiedzieć, kim jest Jackson Kurlack?

- To on - Cutter ruchem głowy wskazał w stronę jachtu. -General brygady Kurlack, z Agencji Wywiadu Obronnego, obecnie w stanie spoczynku. Facet pracuje pełną parą, on i jego angielski wspólnik. Pamiętasz, co powiedział kiedyś Cavour: „Gdybyśmy dla siebie robili to, co robimy dla naszego kraju, byłibyśmy niezłymi łajdakami”. I oni to właśnie robią. Chwytasz coś z tego wszystkiego?

- Nie. Może spróbowałbyś zacząć od początku?

- Taki mam właśnie zamiar. Zjemy coś i zabiorę cię do swojego biura. Tam się wszystkiego po kolei dowiesz.

- Dzięki.

- Jeszcze nie dziękuj. Twoja żona, twoja nieżyjąca żona, jak się nazywała z domu?

- Taggart. Dlaczego pytasz?

- Tak właśnie przypuszczałem.

Kwatera główna Federal Crimes Joint Task Force okazała się pozbawionym wyrazu trzypiętrowym budynkiem otoczonym wysokim płotem, usytuowanym w North Dade, w pobliżu więzienia, które trochę przypominała: wejścia na teren strzegła metalowa brama, w oknach parteru zamontowane były metalowe żaluzje, na dachu wyrastał dach

anten i szarobrudny talerz satelitarny dopełniające atmosfery. Całość sprawiła na Cohena wrażenie miejsca przygotowującego się do długiego oblężenia.

Cutter przeprowadził Cohena przez bramkę elektroniczną i wyłączył alarm.

Gliniarz z lokalnej policji North Dade, siedzący w dyżurce osłoniętej grubą akrylową szybą, zajrzał do swojej książki i zapytał przez mikrofon.

- Broń jest?
- Wiesz przecież, Jerry, że jest - odparł Cutter.
- A pana przyjaciel ma broń? Cutter uśmiechnął do Cohena.
- Co z tobą, Harry? Masz broń? Cohen pokręcił głową.
- Nie.

Policjant omiół Cohena obojętnym wzrokiem.

- Może wyjmie pan z kieszeni wszystkie metalowe przedmioty i jeszcze raz przejdzie przez bramkę?

- Musisz to zrobić, Harry, bo inaczej cię nie wpuści. Cohen zastosował się do polecenia i policjant nacisnął przycisk otwierający wewnętrzne drzwi.

- Witaj w strefie wojennej - powiedział Cutter.

W przestronnym biurze Cuttera na trzecim piętrze, pozbawionym okien, przypominającym bunkier, czekało już trzech swobodnie ubranych, może z racji soboty, młodych ludzi i drobna kobieta o zaciętej twarzy, która na wstępie oznajmiła:

- Jeszcze raz powtarzam, że jestem przeciwna temu spotkaniu.
- Harry Cohen, Carrie Evanovich - dokonał prezentacji Cutter. -

Najlepszy zastępca prokuratora w okręgu południowym, tyle że straszna

zołza. Doszła do wniosku, że skoro jesteś Angolem, musisz być szpiegiem i gejem. Potwierdziłem oczywiście, że jesteś szpiegiem, bo po jaką inną cholere miałbyś tu przyjeżdżać.

- Nie pieprz, Aldous, sprzeciwiałam się, bo to wbrew przepisom - oznajmiła, na co Cutter nie zareagował. - Jeśli zaś chodzi o pańską orientację seksualną, dla mnie może pan paradować nawet w sukni.

- Poznaj, Harry, Jacka Stenninga, Dietera Brancha, Olivera Barry'ego. Siadajmy i do roboty. Chłopcy, niech któryś zgasi światło. Kiedy w pokoju zaległ mrok, rozjaśnił się ekran umieszczony na ścianie za biurkiem Cuttera. Najpierw pojawiło się trochę niewyraźne białoczarne zdjęcie robione z daleka, teleobiektywem, przedstawiające mężczyznę stojącego na skrzyżowaniu ulicy.

Gerhard Kreindler, Szwajcar urodzony w 1940 roku. Czysty, nic na niego nie mamy w naszych archiwach. Tym razem na ekranie ukazało się zbliżenie tej samej twarzy. Prowadzi niewielką kancelarię adwokacką w Zurychu. Dwa dni temu przyleciał Swissairem do Waszyngtonu, wynajął limuzynę, wkroczył do naszej kwatery głównej i zażądał widzenia z samym dyrektorem. Kiedy już nasi ludzie ochłonęli, prześwietlili faceta i zaprowadzili do jednego z wiceszefów, gdzie Gerhard wyjaśnił, że jest pełnomocnikiem niejakiego Maria Silvy.

Na ekranie pojawiła się poważna twarz mężczyzny.

- Rozpoznajesz go?

- Nie. Widziałem go tylko z daleka, przelotnie, a po śmierci nie było już czego identyfikować.

Cutter ciągnął dalej:

- Mario Silva, nasz oplakiwany nieboszczyk, urodzony w Portugalii 9 czerwca 1958 roku, zamieszkały w Paryżu, handlarz antykami, jeśli wierzyć Gerhardowi. Mniej więcej miesiąc temu, w kilka dni po śmierci Maitlandów i Hechtera, Gerhard otrzymuje telefon od swojego klienta. Silva jest zaniepokojony. Ma informacje, niebezpieczne informacje. Boi się o swoje życie. Mówi, że przygotował nagranie wideo i umieścił je w bezpiecznym miejscu...

Obraz na ekranie na moment znika i znowu pojawia się Silva: siedzi w fotelu, sprawia wrażenie odprężonego, dłonie splótł pod brodą, założył nogę na nogę, przygotowuje się do rozpoczęcia relacji.

- Mario uprzedza swojego adwokata, że jeśli coś mu się stanie, chce odwetu. „Zobowiązuję cię, żebyś przekazał nagranie władzom”. Dieter, możesz powiedzieć, co oglądamy?

W ciemnościach, gdzieś z sąsiedniego krzesła odzywa się głos:

- To na pewno nie oryginał. Druga albo trzecia kopia. Nie ma żadnych cięć, żadnych wklejek. Nagranie wygląda tak, jak zapewne Silva je sporządził.

- Wiesz, co się stało z oryginałem, Harry? Chcesz usłyszeć moją opinię?

Cohen domyśla się:

- Mówiła zagadkami - wspominał Gilles. - „Kamera nigdy nie kłamie, ale film może być zwodniczy”. Flint ją ma - kończy Cohen i Cutter wybucha śmiechem.

- No, przewińcie taśmę, chłopcy. Pokażmy Cohenowi, jaki Silva był chytry.

Doszli do tego momentu, kiedy Mario stoi przy tablicy i rysuje strukturę Enterprise. Cohen czuje ucisk w piersi, jakby przygniatał go wielki ciężar.

Admirał, pisze Mario i dodaje w nawiasie (NATO SAC?). Teraz dziwne pytanie Cuttera nabiera sensu. Sir Adrian Taggart, były wiceadmirał pracujący kiedyś w sztabie głównym NATO. Ojciec Annie, teść Cohena.

Taggart. Tak myślałem - powiedział przecież Cutter.

Cohen patrzy na ekran, ale przed oczami ma zupełnie inne obrazy: lodowate spojrzenie Taggarta, kiedy Annie powiedziała mu o zaręczynach, sucha notka informująca, że nie będzie na ślubie, wysyłane z Belgii, adresowane „panna

A. TAGGART", nazwisko zawsze kapitalikami i jeszcze podkreślone. Annie chowała przed mężem te listy. Po jej śmierci znalazł jeden, w którym Taggart nazywa Cohena „Twoim Żydkiem”.

Umierała na wyspie Wight, zbyt wyniszczona rakiem, by przeciwstawiać się woli ojca. Cohen nie mógł zrozumieć tej decyzji, co jeszcze pogorszyło i tak wystarczająco ciężką sytuację. W ostatnim miesiącu jej życia w ogóle już ze sobą nie rozmawiali.

Widzi siebie na pokładzie samochodowym promu. Skulony przed wiatrem płynie na pogrzeb Annie, na który nie został zaproszony.

A potem sama ceremonia na cmentarzu, stoi z boku, z dala od reszty żałobników.

„Wróciła na dobre tu, gdzie jej miejsce”, tylko tyle miał mu do powiedzenia Taggart, tym swoim pełnym wyniosłości tonem. I nagrobek z wrytym nazwiskiem Taggart, nie Cohen.

II

- Z tego, co wiemy, poznali się w Sztabie Generalnym NATO.

Taggart stacjonował tam od maja 1990 roku do października 1993. W tym okresie Kurlack sześć razy odwiedzał Brukselę, ale najprawdopodobniej zetknęli się wcześniej. Sprawdzamy to.

Oliver Barry spojrzał na Cuttera, jakby chciał powiedzieć: „Musimy się spieszyć, nie mamy wiele czasu”, na co Cutter skinął głową.

- Jakież informacje, Harry? Wspominał kiedykolwiek o jakichś bliższych kolegach z okresu natowskiego?

- Nigdy.

- Nigdy nie rozmawiał z tobą o swojej pracy w Brukseli?

- Prawie w ogóle ze mną nie rozmawiał. O niczym. Cutter nie chciał wnikać w rodzinne układy Cohena, ale

Carrie Evanovich zapytała:

- Dlaczego?

- Bo mnie nie znosił od pierwszego wejrzenia. W końcu i ja zacząłem go nie znosić. - Carrie uniosła brew, jakby nie zadowolila jej ta lakoniczna odpowiedź. Cohen dodał: - Nie chciał, żeby córka poślubiła Żyda.

- Miłe - rzucił Cutter i zwrócił się do Olliego: - Mów dalej.

- Kurlack odszedł na wcześniejszą emeryturę w czerwcu 1994 roku w wyniku redukcji w DIA. Został po prostu wylany, zamieszkał na Florydzie w Lauderdale, a już trzy tygodnie potem Taggart przylatuje na MIA, Miami International, żeby odwiedzić swojego współnika.

Barry wyjął z teczki kartę wjazdową do USA z wypisanym nazwiskiem Taggart, pisanym tym samym charakterem pisma, którym adresował pełne złości listy do córki, i podsunął dokument Cohenowi.

- Taggart spędził w Stanach około trzech tygodni. Nadal szukamy w archiwach służb potwierdzenia jego wyjazdu. Mógł opuścić USA pod sam koniec 1994 roku. Trzy tygodnie później nastąpiło aresztowanie Harlinga i Silvy i pan Brown, jeśli wierzyć jego oświadczeniu, wyciąga Harlinga z opresji.

- Brown, czyli Patrick Shilling - wtrącił Cutter.

- Potem mamy serię kontaktów między Harlingiem i Shillingiem, których kulminacją będzie spotkanie w Royal Garden Hotel w maju 1995 roku.

- Powiedz nam, Jack, dlaczego uważasz tę datę za istotną? Jack miał przed sobą otwarty, gruby na pięć centymetrów, wypełniony dokumentami skoroszyt. Cohen dojrzał kartkę z pieczęcią.

- Trzydziestego pierwszego maja 1995 Maitland przyłącza Strongbow Trust. Oczywiście bzdura. Nieistniejąca firma z kilkoma podstawionymi nominalnymi szefami, którymi mogły być chociażby urzędniczki z banku.

Stenning przerzuca kartkę.

- Tego samego dnia Strongbow otwiera konto w New World: zwykła procedura przyjęta przez Maitlanda. Niezwykle jest tylko to, że na koncie w momencie jego otwarcia nie ma ani grosza. Wszystkie inne firmy, które miały konta w New World, a było ich w sumie tysiąc sześćset siedemdziesiąt pięć, wpłacały na początek przynajmniej kilka tysięcy

dolarów. Dopiero ósmego czerwca Maitland przelał na konto Strongbow z konta Tindale okrągły milion.

- „Podziękowanie” Bullera - powiedział Cohen.

- Nie. Tindale należy do Harlinga. Pamiętasz, co mówił Maitland: że to jedyne konto, o którym wiedział, do kogo w rzeczywistości należy.

Buller dokonał wpłaty dopiero trzynastego czerwca.

Cohen nie krył zdziwienia.

- Harling nie wspomina o tym ani słowa w oświadczeniu.

- Ano jakoś nie wspomina - zachichotał Cutter. - Mario też nic nie mówi o tym w nagraniu. Rodzi się zatem pytanie, dlaczego Frank zapłacił milion i dlaczego wszyscy milczą na ten temat. Co o tym myślisz, Harry?

Cohen w odpowiedzi nachylił się po swoją teczkę. Podczas lotu z Londynu usiłował zrekonstruować kolejność wydarzeń. Teraz wyjął swoje notatki.

- Na dzień przed tym transferem Silva został skazany na dwa lata więzienia za malwersacje finansowe, chociaż powinien spodziewać się dziesięciu. Zbieg okoliczności?

- Wierzysz w zbiegi okoliczności, Harry?

- Nie za bardzo.

- Podobnie jak ja. Myślisz, że dotarli do sędziego?

- Nie wiem - powiedział Cohen. - Z doniesień prasowych wynika, że sędzia mówił o „okolicznościach łagodzących”, ale nie sprecyzował, co ma na myśli.

- Shilling postanowił ratować Maria? Szepnął sędziemu kilka słów o tym, jakie to bliżej nie sprecyzowane przysługi Silva może wyświadczyć królowej i ojczyźnie.

- Kto wie. - Cohen zaczął się kręcić na krześle.

- Cholera! Zrobiłbyś kiedyś coś takiego, kiedy jeszcze pracowałeś w wydziale?

Cohen nie odpowiedział, ale w jego umyśle formowała się pewna myśl, tak koszmarna, że poczuł lodowate ciarki.

Wpatrywał się w Cuttera bez słowa, a ten widząc, że nie doczeka się odpowiedzi, rzucił ze zrezygnowanym uśmiechem:

- Mów dalej, Jack.

Stenning monotonnym głosem wyliczał kolejne przelewy dokonywane na konto Strongbow Trust: daty, sumy, wpłacający, wszystko precyzyjnie odnotowane przez Maitlanda. Cohen nie słuchał szczegółów; jego podejrzenia zaczynały powoli przeradzać się w pewność. Devereaux, tylko o nim mógł w tej chwili myśleć.

Devereaux w winiarni mówiący z sarkazmem: „Naprawdę przypuszczałeś, że mógłbym w tym maczać palce? Że mógłbym być łajdakiem? Naprawdę mnie podejrzewałeś, ty niewdzięczniku?”.

Cohen przeklinał teraz własną głupotę.

- Harry, słuchasz? - dobiegł go głos Cuttera.

- Słucham, słucham.

- Cieszę się. Podsumowując: na konto Strongbow wpłynęło mniej więcej przez rok około pięćdziesięciu milionów dolarów. Tak, Jack?

- Czterdzieści osiem milionów, sześćset tysięcy i coś tam jeszcze. Od pierwszego przelewu z Tindale w czerwcu 1995 roku, skończywszy na czterech milionach wpłaconych dwudziestego czwartego sierpnia 1996 roku.

Cztery dni później powiedziałem mu, że wiem, pomyślał Cohen.

Pójdę zadzwonić. Powiem mojej sekretarce, że nie wrócę już do biura, a ty tymczasem zamów jeszcze coś do picia. Oczywiście nie wrócił.

- Gdzie dalej wędrowały? - zapytał Cutter i Stenning podjął swoją litanię.

Pieniądze wpływające na konto Strongbow natychmiast były przelewane dalej: do banków w Liechtensteinie, na wyspie Man, na wyspach kanału La Manche, na Kajmanach, Bermudach i w innych zakątkach świata, gdzie diabeł mówi dobranoc.

- Co z resztą, Jack?

- Resztę Maitland w gotówce zawoził do Miami, wszystko skrupulatnie dokumentując.

- Ile razy był na Florydzie w ciągu tych czternastu miesięcy? Stenning zajął do dokumentów.

- Dziewięć.

- Ile w sumie przewiózł do Stanów?

- Osiem i pół miliona, podjętych z konta Strongbow.

- Czy Maitland podróżował również do Wielkiej Brytanii? Stenning potwierdził to, co Cutter już wiedział. Maitland był osiem razy w Londynie, gdzie zawiózł w sumie jedenaście milionów dolarów. Cutter pokiwał głową.

- Masz już w miarę pełen obraz, Harry?

- Nie wiem. Chcecie powiedzieć, że Maitland zawoził pieniądze Kurlackowi, Taggartowi, może Shillingowi... - Cohen przerwał, niepewny, dokąd prowadzą go własne przypuszczenia. - Po co? Przecież lokowali pieniądze na bezpiecznych kontach na całym świecie. Bez żadnych

przeszkód. Dlaczego mieliby ryzykować, że Maitland na granicy wpadnie z gotówką?

- Mieli wydatki, Harry! Musieli opłacać tych wszystkich drani, którzy dla nich pracowali: gliny, agentów, wszystkich tych dupków, którzy sprzedawali swoje usługi i czekali na kasę. Takie zero, które zdradza, domaga się swoich judaszowych srebrników, prawda?

- Być może, ale to tylko przypuszczenia.

- Akurat - mruknęła Carrie i Cutter posłał jej uśmiech.

- Nie potraficie nawet udowodnić, że to Kurlack i Taggart kierowali Enterprise. Na pewno nie na podstawie oświadczeń Harlinga i Silvy. Tutaj trzeba czegoś więcej.

- Masz rację - przyznał Cutter. - Dieter, puść taśmę.

- Chwileczkę, Aldous! - Carrie Evanovich zerwała się jak oparzona. - Nie możesz tego zrobić.

- Uspokój się - powiedział Cutter, po czym zwrócił się do Cohena: - Carrie się denerwuje, bo...

- Aldous, nie!

- Bo namówiłem ją do zrobienia czegoś, na co nie miała ochoty.

- Aldous!

- Wczoraj rano wydała nakaz założenia podsłuchu w telefonie Kurlacka na podstawie, nazwijmy to, dość wątpliwej przesłanki.

- Chryste!

- Stanowimy jeden zespół, Carrie. Komu on miałby się wygadać?

Powiesz komuś, Harry?

- Nikomu - zapewnił Cohen. - Nic nie słyszałem. W ogóle nie wiem, o czym mówicie.

- Widzisz, Carrie. Niepotrzebnie tak się unosisz. Harry jest niczym jeden z tych mnichów, którzy składają śluby milczenia. Odpręż się, siadaj.

Evanovich usiadła, ale gdyby spojrzenie mogło zabijać, Cutter byłby już trupem.

- Założyliśmy, że ma jakiś bezpieczny sposób komunikowania się. W końcu pracował w wywiadzie - ciągnął, jakby nic się nie stało. -

Bezpieczny przynajmniej w jego mniemaniu. Problem w tym, dla Kurlacka oczywiście, że wypadł z gry ponad cztery lata temu. Przez ten czas technika poszła naprzód, pojawiły się rozwiązania, o których nawet mu się nie śniło. Nasza droga Carrie - skinął głową w stronę ciągle kipiącej ze złości Evanovich - postarała się o nakaz, który pozwolił nam przez pięć dni prowadzić podsłuch rozmów Kurlacka. Puść kasetę, Dieter.

Dieter Branch nacisnął przycisk pilota, w pokoju rozległ się suchy trzask, potem wysoki pisk, po czym odezwał się głos z angielskim akcentem.

- Już możemy mówić.

- Mów.

- Rozmawiałem z nim.

- Zatrzymaj na moment, Dieter - poprosił Cutter i zwrócił się do Cohena: - To Taggart?

- Tak.

Z całą pewnością. Ten sam ostry ton. „Chciałbym rozmawiać z moją córką”.

- Potwierdzi pan to pod przysięgą w sądzie? - zapytała Evanovich.

- Tak.

- Nie ma pan żadnych wątpliwości, że to on?

- Najmniejszych.

Nawet jeśli uspokoiły ją te zapewnienia, nie dała nic po sobie poznać. Cutter skinął głową i Dieter na powrót uruchomił taśmę.

- I co?

- Tłumaczył się nieprzekonująco, jego propozycje też wydały mi się nieprzekonujące. Staje się dla nas ciężarem.

- Jest nam potrzebny. Nie możemy się go pozbyć. Nie teraz.

- Oczywiście, że nie teraz. We właściwym czasie. Kiedy uporamy się z aktualnymi problemami.

- Może. Gdzie Żyd?

- U ciebie. Pojechał do grubasa.

- To o mnie - wtrącił Cutter, tak jakby ktokolwiek miał jakieś wątpliwości.

- Z czym?

- Pewnie z niczym. Nasz przyjaciel miał nieszczęśliwy wypadek, zanim Żyd zdążył go przycisnąć.

- I bardzo dobrze. Co z dziewczyną?

- Tu gorzej. Mogła się skontaktować z naszym przyjacielem. Była tam.

- Kiedy?

- Jakies cztery tygodnie temu. To potwierdzone. Mieliśmy ją na oku.

Wydaje się, że szuka Orła.

Odezwał się znowu ostry pisk, po czym Kurlack na nowo mógł podjąć rozmowę.

- Wiecie, gdzie jest teraz?

- Nie. Zniknęła, ale jej szukamy. Uruchomiliśmy nasze kanały i czekamy, aż panienka wypłynie na powierzchnię.

- Wypłynie, wcześniej czy później gdzieś się pojawi.

- Miejmy nadzieję, że wcześniej niż później.

- Co z kwestią żydowską?

- Może miałeś rację, że powinniśmy rozwiązać ją tutaj.

- Jesteś w stanie go namierzyć?

- Bez problemu. Jeśli tylko jest u grubego, znajdę go w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Załatw to, tak będzie najlepiej.

III

Flint zaszyła się na Kerkstraat, na poddaszu wiekowej kamieniczki. Za swój pokój płaciła dwieście sześćdziesiąt pięć dolarów tygodniowo; nic tańszego nie można już było znaleźć. Dwa razy oglądała każdy grosz, zanim go wydała, ale jej zasoby wkrótce zaczęły się wyczerpywać. Na domiar złego przyplątało się zapalenie gardła. Podwyższona temperatura sprawiała, że Flint czuła się jak w letargu, bez sił, pozbawiona energii i woli.

Jutro, mówiła sobie. Jutro podniesie się z łóżka. Od pięciu dni powtarzała to samo. Marcel, właściciel kamieniczki, chciał wzywać lekarza, ale Flint uznała, że nie warto. Lekarz przepisze antybiotyki, które zbiją temperaturę, a co potem?

Nie miała pieniędzy, żeby wykupić lekarstwa. Na stole leżało trzydzieści pięć dolarów, jakieś drobne guldeny i to wszystko. Miała jeszcze *Vise*, ale nie odważyłaby się z niej skorzystać.

Po raz setny rozważała swój plan. Gdyby wróciła niepostrzeżenie do Anglii i omijając z dala Londyn, Scotland Yard, własne mieszkanie, dotarła do któregoś z oddziałów jej banku, byle nie własnej filii, może zdołałaby, pod warunkiem że kierownik nie byłby kompletnym idiotą, podjąć resztę oszczędności. Sęk w tym, że Shilling wiedziałaby o tym w ciągu kilku minut. Dla MI5 monitorowanie stanu konta, podobnie jak wszystkich operacji przeprowadzanych przy użyciu karty kredytowej, to dziecinna igraszka. Jeśli jednak zaszłaby go z flanki, może udałoby się jej zniknąć z pieniędzmi, zanim zdążyłby zareagować. W trawionym gorączką umyśle wymyślała sposoby wjechania do Anglii i wyjechania natychmiast bez okazywania paszportu, by zmylić psy gończe Shillinga, które węszyły za nią wszędzie, tylko nie w Amsterdamie, gdzie powinna wrócić, by odebrać nowe dokumenty przygotowywane przez Klausa.

Teoretycznie plan wydawał się dobry. Mogłaby pojechać do Francji, tam wsiąść na prom do Irlandii i przekroczyć granicę Wielkiej Brytanii w jedynym punkcie, gdzie nie musiałaby pokazywać paszportu. Potem z Belfastu kolejnym promem mogłaby przepłynąć do Liverpoolu. Tam podjęłaby pieniądze, po czym tą samą drogą wróciłaby do Holandii. Zatrzymałaby się jeszcze w Dublinie, „gubiąc” swoją **Vise**. Ktoś, kto by ją znalazł, albo zwróciłby się do banku, albo, jeszcze lepiej, spróbowałby zrobić z niej użytek. Tak czy inaczej psy gończe Shillinga straciłyby trochę cennego czasu, szukając jej w Irlandii, ona tymczasem byłaby już z powrotem w Amsterdamie.

Świetnie, ale podróż obmyślana w wyobraźni wymagała przebycia półtora tysiąca kilometrów: rzecz raczej niewykonalna, gdy człowiek ma do dyspozycji trzydzieści pięć dolarów i kilka guldenów.

Jutro, mówiła sobie. Jutro pójdzie do lombardu i zastawi zegarek, który dostała od ojca na dwudzieste pierwsze urodziny, jedyną rzecz, która była jej naprawdę droga. Odzyska go natychmiast po powrocie do Amsterdamu. Jeśli w ogóle uda się jej wrócić do Amsterdamu. Chłopcy z brygad specjalnych pilnujący przeprawy z Irlandii do Wielkiej Brytanii mogą ją wziąć za działaczkę IRA i zażądać jakiegoś dokumentu. Jej twarz mogą rozpoznać kamery podłączone do baz danych ze zdjęciami osób poszukiwanych przez MI5. Mnożyły się wątpliwości...

Zmęczona ich natłokiem uciekła w sen.

Jak co dzień pojawił się Marcel z kolacją: najprawdziwszym rosółem z kury, domowej roboty, kilkoma skibkami ciemnego chleba i sokiem jabłkowym z butelki.

Został chwilę i pilnował, by zjadła. Przysiadł w nogach łóżka i po chwili wahania zapytał:

- Nie moja sprawa, ale czy przypadkiem nie znalazłaś się w kłopotach?

Spojrzała na niego nieufnie, czekając na pierwszy fałszywy ruch.

- Tak sobie pomyśleliśmy, że musisz się przed kimś ukrywać. Przed glinami, przed swoim chłopakiem...

- Kto, my?

- Nieważne. Nic nikomu nie powiemy. Po prostu martwimy się o ciebie. Sprawiasz wrażenie miłej osoby... Może mógłbym zawiadomić kogoś... kogoś, komu ufasz.

- Nie - powiedziała Flint.

- Rodziców? Matkę?

- Nie mam matki.

Marcel skinął głową, jakby to wszystko wyjaśniało. Miał około pięćdziesiątki, okrągłą twarz i pachniał lekko olejkiem dla niemowląt. Miał też sukę Morelę, małą, długowłosą terierkę, która nie odstępowała go na krok. Teraz też leżała na jego kolanach i wpatrywała się w tacę z jedzeniem.

- A ojciec?

- Nie chcę zawiadamiać nikogo, absolutnie nikogo. Nie dzieje się nic złego. Jestem po prostu zmęczona i muszę trochę odpocząć. Jeśli martwisz się o czynsz...

Marcel skrzywił się, jakby chciał powiedzieć, że czynsz jest tu najmniej ważny.

- Posłuchaj, Marcel, to miłe, że się o mnie troszczysz, że mnie karmisz. Jesteś dla mnie bardzo dobry. - Uśmiechnęła się i ciągnęła: - Masz rację. Uciekłam od chłopaka. Nie wyszło nam. On to bardzo przeżywa. Wiem, że mnie szuka... a ja nie zniosłabym kolejnych scen. Nie mam na to siły. Nie chcę, żeby mnie znalazł.

- Tutaj nikt cię nie znajdzie - zapewnił Marcel.

- Dziękuję ci - powiedziała zawstydzona swoimi marnymi kłamstwami.

„Może mógłbym zawiadomić kogoś, komu ufasz?”.

Sama nieustannie zadawała sobie to pytanie, znajdowała kolejne odpowiedzi i odrzucała je po uważnym rozważeniu.

Kiedy Marcel i Morela wyszli, raz jeszcze zaczęła rozważać w myślach różne ewentualności.

Komandor Glenning i Aldous Cutter nie wchodzili w rachubę, i to nie tylko ze względu na ostrzeżenia Maria dotyczące zasięgu Enterprise.

Obydwaj równie dobrze mogli zdradzić w przypadku Ellis, obydwu podejrzewała. Tylko im powiedziała o bezcennym archiwum Maitlanda, tylko oni wiedzieli o oświadczeniu Franka Maitlanda. Być może nie byli sprawcami śmierci Hechtera i Maitlandów, przynajmniej nie świadomymi sprawcami: to raczej sprawa Shillinga. Tak czy inaczej, któryś z nich musiał się wygadać i w efekcie jedyne, co pozostało z Hechtera, to kawałek jego ręki, którą Flint oglądała w cuchnącej kostnicy w San Juan.

Czy mogła zaufać im teraz, zdradzając tajemnicę kasety Silvy, tajemnicę, która mogła sprowadzić na nią śmierć? Nie, na pewno nie, odpowiadała sobie w myślach.

To, co w tej chwili wiedziała, powodowało, że każdy glina, każdy agent, nawet Gilles, był podejrzany. Nikomu nie mogła ufać.

Przypominała sobie, czego uczyli ją w Hendon: tam, gdzie pojawia się korupcja, gdzie pojawia się jedno zgniłe jabłko, mówili instruktorzy, zapomnijcie o skrzynce zgniłych jabłek, gnije cała jabłoń.

Ba, zdaniem Flint cały sad zdawał się gnąć. Widziała w gorączce szerniałe pnie, suche gałęzie. Tylko ona jedna mogła ujawnić zakres zniszczeń, zasięg korupcji. Wiedziała dokładnie, jak tego dokonać: historia Enterprise musi trafić do gazet, możliwie wielu gazet na całym świecie. Dzięki Mario za twoją sugestię. Gazety będą jednak chciały dowodu, a ona dysponowała tylko swoimi bazgranymi w pośpiechu notatkami. Dlatego musiała odnaleźć Franka Harlinga, jedyne świadka. Jakoś przekona go, by opowiedział, co wie, perswazją, podstępem, wszystko jedno. Pod groźbą pistoletu, jeśli będzie trzeba.

Czy to ironia, myślała, że on, jej prześladowca, stał się teraz jej jedyną nadzieją. „To nie ma nic wspólnego z szukaniem zemsty”,

powiedziała Cutterowi, kiedy pierwszy raz wypłynęło nazwisko Franka.
„Akurat - krzyknął wtedy - masz obsesję na jego punkcie”.

I tak, i nie, panie Cutter.

Owszem, teraz zgodziłaby się z Cutterem: miała obsesję na punkcie Harlinga, bo tylko on mógł jej pomóc osiągnąć, co zamierzała.

Jeśli dotrze do niego, zanim Enterprise dotrze do niej.

Jeśli jakimś sposobem zdobędzie potrzebne pieniądze.

Wyobraziła sobie, jak dzwoni do Jamiego. „Wybacz to, co się stało ostatnim razem. Strasznie cię przepraszam, ale czy mógłbyś podrzucić mi kilka tysięcy funtów do Amsterdamu? Aha, i nikomu ani słowa, nawet matce twojego bękarta”.

Cha, cha.

Mogłaby zadzwonić do Dominique, ale Dominique nie ma żadnych sekretów przed Gillesem.

Którejś bezsennej nocy przyszło jej do głowy, że mogłaby zadzwonić do ojca. Tak, ze wszystkich możliwości ta wydawała się najlepszym rozwiązaniem. On jeden byłby w stanie jej pomóc. Ochłonęła z nadejściem świtu: to ostatnia rzecz, jaką mogłaby zrobić. W jej aktach w Scotland Yardzie figurował numer telefonu Johna, osoby, którą należy powiadomić, gdyby zginęła w czasie pełnienia służby. Telefon ojca zapewne od dawna był na podsłuchu.

Cholera, cholera, cholera!

Usłyszała ciche skrobanie do drzwi. To Morela widocznie chciała sprawdzić, czy nie zostało coś z rosołu. Flint podniosła się z łóżka i nagle ją olśniło. Chwytnąjąc notes, zbiegła pędem na dół w towarzystwie

ujadającej Moreli. Marcel, którego znalazła w kuchni, spojrzał na nią zaskoczony.

- Jest ktoś, kto mógłby mi pomóc. Zadzwoń, proszę, pod ten numer we Francji. Ja nie chcę, żeby ktoś słyszał mój głos. Poproś do telefonu doktora Richarda Holta. Powiedz mu, że najlepsza przyjaciółka jego córki musi się z nim widzieć. Użyj dokładnie tych słów. Powiedz, że nikomu nic nie powinien mówić, nawet Dominique. Jak się mogę dostać do Brestu? Nieważne. Powiedz, że przyjadę jutro, najpóźniej pojutrze.

- Ufasz temu doktorowi?

- Już raz uratował mi życie.

- Chcesz, żebym cię tam zawiózł? - zapytał Marcel, podnosząc słuchawkę telefonu.

Najchętniej uściskałaby go, ale wystukiwał już numer. Długo czekał, aż ktoś się zgłosi. Nikt nie odebrał telefonu.

IV

Cutter wyśmiał zapewnienie Jacksona Kurlacka, że ten jest w stanie znaleźć Cohena w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Facet sugeruje, że ma u nas wtyczki. Mój zespół jest czysty, Harry. Chłopcy za dobrze mnie znają, żeby ryzykować. Wiedzą, co zrobiłbym z takim. Tu nie ma przecieków. Możesz spać spokojnie.

A jednak wywieźli go z Miami, jakby był zadżumiony. Jeden z ludzi Cuttera, młody chłopak, który nawet nie próbował ukrywać broni spoczywającej w kaburze pod pachą, zawiózł Cohena pospiesznie do hotelu.

- To już staje się nawykiem - zauważył Cohen, pakując swoje rzeczy.

- Co takiego?

- Niedawno pewien francuski policjant dał mi do zrozumienia, że jeśli chcę zginąć, wolałby, żebym nie robił tego na jego terenie.

- Miał trochę racji, nie sądzi pan?

Cutter czekał już na lotnisku przy stanowisku British Airways i mówił urzędnikowi, co mu robi, jeśli zakończą odprawę, zanim pojawi się Cohen.

Nie dostał nawet karty pokładowej, nie przeszedł nawet przez kontrolę. Zdyszany, stojąc na rampie, zdążył jeszcze uścisnąć dłoń Cuttera, jakby przypieczętowali układ. Zanim zamknęły się za nim drzwi samolotu, usłyszał jeszcze głos Aldousa;

- Pamiętaj, Harry, nikomu ani słowa.

- Nie mogę, Tom - upierał się Cohen. - Wybacz, ale dałem mu słowo. A i to niewiele, co ci powiedziałem, musi zostać tylko między nami. Nikt nie powinien nic wiedzieć, dopóki ludzie Cuttera nie dokończą swojej roboty.

Nie zgodził się spotkać z Glenningiem w Yardzie. Zadzwoił do niego do domu z Heathrow, budząc go, i zaproponował, żeby zobaczyli się w St. James Park, koło jeziora, po którym pływały łabędzie.

- Devereaux wie?

- Nie, i nie będzie wiedział. Jeszcze nie teraz. Wszyscy są podejrzani.

- Z wyjątkiem ciebie, mnie i Cuttera.

- Ty też jesteś podejrzany, Tom.

Glenning zatrzymał się nagle, Cohen odwrócił się, by spojrzeć na niego.

- Ja cię nie podejrzewam. Nie mogę działać sam, muszę komuś zaufać, postanowiłem zaufać tobie.

- Ale nie do końca - rzucił Glenning z goryczą.

Cohen się przygarbił. Nie mógł powiedzieć nic więcej, wyjaśniać przemilczeń w swojej opowieści, tłumaczyć niespójności, powodów, dla których zataja szczegóły. Wspomniał o nagraniu Silvy, o jego oskarżeniach, ale nic o samym Enterprise i kto przypuszczalnie stoi na czele firmy. Podobnie ani słowem nie zająknął się na temat szeroko zakrojonej akcji rozpoczętej przez Cuttera, wymierzonej w Kurlacka, Taggarta i Shillinga.

Glenning niespiesznie zapalił fajkę, czuł ogromny ciężar, niczym jarzmo.

- Tom... - zaczął Cohen.

- Daj spokój, nie próbuj nic tłumaczyć. Musisz robić to, co uważasz za słuszne. - Skinął głową w stronę Queen Anne's Gate i Home Office. - A co z nimi? Z Nicolsonem, z ministrem?

- Nic.

- Chryste! Niezłe bagno. Zostałeś zupełnie sam. Cohen wzruszył ramionami.

- Nie mam wyboru, Tom. Pomyśl, ktoś daje ci słowo, że będzie milczał. Jak byś się czuł, gdyby je złamał? Co pomyślałbyś o takim człowieku? Powiedzmy, że to tobie obiecuję dochować tajemnicy, po czym przekazuję ją Cutterowi?

Szli dalej w milczeniu, Glenning dyktował tempo, wybrał kierunek. Wyszli z parku na Horse Guards Parade, stanęli na pustym placu.

- W czasie spotkania w Reform - odezwał się w końcu Glenning - kiedy wyszedłeś z pokoju, Nicolson zapytał, czy aby na pewno nadajesz się do tej roboty. Devereaux powiedział: „Nie mamy nikogo innego”.

Rzuciłem na to, że to nieprawda, że mogą jeszcze mieć mnie, że jestem gotów pracować razem z tobą. Było mi przykro, ale podtrzymuję swoją ofertę. Jestem do twojej dyspozycji. Powiedz tylko, co mam robić.

Cohen poczuł ulgę.

- Flint - mruknął. - Musimy znaleźć Flint, zanim oni ją znajdą.

Glennig wzruszył ramionami.

- Robimy, co możemy. Interpol szuka jej po całym świecie.

- To nie wystarczy, Tom. Zrozum jedno. Flint ma kopię nagrania Silvy, ale też coś ponadto, czego nie było na taśmie. Wie, gdzie jest Harling. Powiedziała Bourdonnecowi: „Wiem, gdzie go szukać”. Poszła jego tropem, bo rozumie, że Harling jest jedynym żyjącym świadkiem afery. Jego oświadczenie ma oczywiście wagę dowodu, i to dość mocnego, ale są w nim luki. Harling nie mówi w nim wszystkiego. Jeśli mamy rozwikłać sprawę, musimy mieć Harlinga.

- Co proponujesz?

- Trzeba dobrać się do tych... z drugiej strony...

- O której nie chcesz mi powiedzieć - dokończył Glennig.

- Nie mogę - warknął Cohen - a nie nie chcę. Chodzi o to, że ci ludzie zdają sobie sprawę, jak ważny jest dla nas Harling, i zrobią wszystko, żeby go ukrywać. Albo zlikwidować, jak zlikwidowali Silwę. Nie możemy go znaleźć, nie wiemy nawet, od czego zacząć poszukiwania. Jedyna nadzieja we Flint. Tylko przez nią dotrzemy do Harlinga.

- Mówiłem ci...

Cohen odwrócił się poirytowany. Nie spał całą noc, był od wielu dni kompletnie wyczerpany, jego cierpliwość zdawała się sięgać kresu. Nie zamierzał słuchać raz jeszcze wyjaśnień Glenninga.

- Co mam zrobić? - zapytał tamten.

- Chcę, żebyście zaczęli prawdziwe polowanie, żebyście umieścili nazwisko Flint na każdej liście poszukiwanych. Żebyście monitorowali jej konto bankowe i karty kredytowe. Chcę, żebyście założyli podsłuch na telefonach wszystkich jej znajomych, do których mogłaby próbować dzwonić. Chcę, żebyście opublikowali jej zdjęcie w gazetach i telewizji. Chcę, żeby jej rysopis znalazł się na każdym posterunku policji w Europie. Chcę, żeby jeśli ją zobaczą, została natychmiast aresztowana.

Glennig patrzył na niego jak na wariata.

- Za co?

- Za zamordowanie Hechtera i Maitlandów, Silvy, za próbę zamordowania Gillesa Bourdonneca i jego ludzi. Za cokolwiek, co wam przyjdzie do głowy. Bylebyście ją znaleźli.

V

Harry Cohen wpatruje się w ciemność sparaliżowany przerażeniem. Nie może ani do końca unieść powiek, ani ich zamknąć.

Gdzieś w pobliżu miejsca, gdzie leży, dzwoni telefon, ale Cohen nie jest w stanie się poruszyć, obrócić się, tym bardziej usiąść. Zupełny paraliż.

Próbuje coś powiedzieć, ale z gardła nie dobywa się żaden dźwięk.

Jest pewien, że musiał mieć wylew. To jedyne wyjaśnienie. Próbuje sobie przypomnieć, gdzie jest, jaki to dzień, ale nic nie pamięta. Poza tym, że szarym świtem wysiadał z samolotu na Heathrow.

Co potem? Gdzie jestem?

Gdzieś z prawej strony sączy się słaby poblask. Zbyt słaby, by pomógł mu zorientować się, jak wygląda wnętrze, w którym się znalazł.

Gdyby choć o kilka centymetrów mógł obrócić głowę w kierunku źródła światła, blasku cyferblatu kwarcowego budzika, wiedziałby, że leży na kanapie we własnym gabinecie.

Cholerny telefon nie przestaje dzwonić, kpi sobie z niego fałszywą obietnicą pomocy. Wreszcie litościwie milknie, by po chwili odezwać się znowu. I tak bez końca. Wciąż i wciąż.

Dobra, założmy, że jestem w domu, powiada sobie Cohen. Jaki mamy dziś dzień?

Odpowiedź jest bardzo istotna, bo dwa razy w tygodniu, we wtorek rano i w piątek po południu, przychodzi pani Manning posprzątać mieszkanie. Ma własny klucz, więc będzie mogła wejść i w końcu, Boże dopomóż, znajdzie go w gabinecie. Pomyśli, że umarł, jak zobaczy go w takim stanie? Nie, chyba nie. To roztropna kobieta, zapewne wezwie pomoc. *Tylko jaki dziś dzień?*

Cohen pamięta dokładnie, że wyleciał z Miami w niedzielę wieczorem, dotarł zatem na Heathrow w poniedziałek rano. Teraz znowu jest noc, a może już wtorkowy ranek, pociesza się. Oby, myśli. Jeśli tak, za kilka godzin powinna pojawić się pani Manning; usłyszy zgrzyt klucza w drzwiach i rytualne wołanie: „Jest pan tam gdzieś, panie Cohen?”.

Po chwili przychodzi mu do głowy inna myśl, że oto całe dwa dni mogły umknąć z jego pamięci; jest noc z wtorku na środę i pani Manning pojawi się dopiero w piątek, tymczasem on będzie tu umierał.

Jezu miłosierny!

A więc noc z poniedziałku na wtorek czy z wtorku na środę? Od odpowiedzi na to pytanie zależy, czy umrze, czy przeżyje.

Próbuje skupić myśli, odtworzyć godziny, dni, wymazane z życiorysu.

Heathrow, byłeś na Heathrow. Miałeś tylko bagaż podręczny, nic do oclenia. Pokazałeś paszport i dziewczyna na stanowisku odprawy paszportowej skinęła głową. Co działo się potem? O tej porze nie ma jeszcze korków, więc zamiast jechać metrem, zapewne poszedłeś na postój taksówek. Stałeś w kolejce? Musiałeś czekać?

Nie, chwileczkę! Nie wyszedłeś z lotniska. Nie od razu. Coś jeszcze zrobiłeś. W terminalu. Skup się!

Potrzebowałeś pieniędzy na taksówkę, szukałeś bankomatu? Wymieniałeś dolary z powrotem na funty? Nie, miałeś pieniądze, pamiętasz? Miałeś w portfelu pięćset funtów, których przed wyjazdem nie wymieniałeś na dolary. A więc chodziło o coś innego. O co? Skup się, do jasnej cholery!

Telefon przestaje dzwonić i Cohen oddycha z ulgą, jeśli w ogóle można mówić o uldze.

Zaraz. Moment. Telefon. Tak! Dzwoniłeś. Kupiłeś w kiosku kartę telefoniczną i zadzwoniłeś. Do kogo? Do kogo dzwoniłeś? Z kim rozmawiałeś? Z Devereaux? Nie, nie z Devereaux. Z Glenningiem? Dzwoniłeś do Glenninga?

Zatrzymuje się przy tym pytaniu, powtarza je kilka razy w myślach, zastanawia się.

Glenning. Glenning. Dlaczego miałbyś dzwonić do Glenninga? Tak wcześnie rano? Chciałeś się z nim spotkać, powiedzieć mu coś ważnego?

Nagle pamięć ożywa, pojawia się uderzająco wyrazisty obraz, niczym obraz na ekranie kinowym.

Cohen podnosi słuchawkę: nie dzwoni, odbiera rozmowę. Jest u siebie, w swoim domu, w kuchni. Słyszy głos Sary Spenny: „Jak się masz, Harry, ty cholero?”.

- Jak się masz, Harry, ty cholero? - tak powiedziała.

- Witaj, Saro. Nieźle, dziękuję - odpowiedział zgodnie z prawdą. Po spotkaniu z Glenningiem wrócił do domu w Holland Park; było mu lekko na duchu, miał poczucie, że przekazał pałeczkę Tomowi, zrzucił z barków przytłaczający ciężar. Położył się spać i przespał spokojnym, głębokim snem dziewięć godzin. Po raz pierwszy od wielu dni nie śniły mu się koszmarne eksplozje. Wstał, wziął prysznic, ogolił się: nowo narodzony człowiek. Głodny jak wilk zaczął smażyć jajecznicę, kiedy zadzwonił telefon. W słuchawce odezwał się głos Sary Spenny.

- Wszystko w porządku, czuję się świetnie. Co u ciebie?

- Nie najlepiej - odpowiedziała. - Muszę się z tobą spotkać, Harry. Wahał się chyba o kilka sekund za długo.

- Harry, na litość boską, to bardzo ważne.

- Chodzi o to, Saro, że...

- Poświęć mi tylko pół godziny swojego cennego czasu.

- Kiedy?

- Zaraz.

Jeszcze nie przekonany próbował się targować.

- Możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

- Nie przez telefon. Chodzi o Wydział, Harry. Wiem o czymś, co powinnam komuś przekazać, i ty jesteś jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać. - Zamilkła na moment, po czym dodała stłumionym, zalęknionym głosem: - Ktoś próbuje mnie zabić.

Musiała dzwonić z budki w pobliżu, bo już po pięciu minutach stała uśmiechnięta na progu domu Cohena. Opalona, zalotna, w krótkiej białej sukience, nie wyglądała na osobę przerażoną, której grozi śmierć.

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w usta.

- Dzięki, że zgodziłeś się ze mną spotkać - powiedziała. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, ruszyła energicznym krokiem w stronę kuchni.

- Robisz dla nas jajecznicę! - zawołała. - Jesteś niesamowity.

- Cóż - bąknął, wchodząc za nią do kuchni, trochę zaskoczony, że usadowiła się wygodnie na blacie.

- Muszę się koniecznie czegoś napić. Natychmiast - oznajmiła.

Cohen z góry się poddał. Sara należała do osób, które można było poskromić tylko chamstwem albo bezczelnością, a jemu obce było zarówno jedno, jak i drugie. Niech to cholera, pomyślał z rezygnacją.

- Whisky? - zaproponował.

- Bardzo proszę. Dużą. - Założyła nogę na nogę i zaplotła dłonie na kolanie. - Boże, jak się cieszę, że cię widzę, Harry.

Cohen wrzucił lód do szklanek i nalał do obydwu solidne porcje szkockiej. Stuknęli się w pierwszym toaście.

- Co to za historia, Saro? Kto cię próbuje zabić? - zapytał lekko, niby żartem.

- Devereaux.

- Devereaux?

Upiła solidny łyk whisky.

- Pieprzony A.J. Devereaux. Twój kumpel.

- To jakiś absurd, Saro. Dlaczego, na Boga, Devereaux miałyby usuwać cię z tego świata?

Kolejny łyk whisky, gorzki uśmiech.

- Za dużo wiem. O nim. O Wydziale. Cohen pokręcił głową.

- Coś pleciesz.

Tym razem Sara uśmiechnęła się prawie zalotnie, przechyliła lekko głowę.

- Nie bądź niemiły. Okaż mi trochę sympatii. - Zsunęła się z blatu, stanęła blisko Cohena, bardzo blisko, i spojrzała mu w oczy. - Zrobię nam jeszcze po drinku, nakryję do stołu, a ty przygotujesz tymczasem kolację. Potem usiądziemy sobie spokojnie, zjemy, napijemy się dobrego wina i pogawędzimy o dawnych, dobrych czasach. Może tak być? Potem, jeśli będziesz chciał, opowiem ci o Devereaux, ale musisz mi obiecać, że nie będziesz się na mnie złościł. Nie patrz na mnie takim groźnym wzrokiem, i tak jestem już śmiertelnie przerażona.

- Nie patrzę, Saro. Ja po prostu...

Zamknęła mu usta długim pocałunkiem. „Zapamiętaj moje słowa, Harry. Ta kobieta postanowiła cię zdobyć” - przypomniał sobie Cohen słowa Devereaux.

Sara dotrzymała słowa, w czasie kolacji nie wspomniała słowem o swoich obawach: dolewała wina, chwaliła kulinarne zdolności Cohena i rozprawiała o „dawnych, dobrych czasach” - jak je sama zapamiętała.

Dla Cohena była niegdyś zaledwie koleżanką, jedną z wielu dziewcząt pracujących w ponurym gmachu archiwum na Curzon Street, zanim jeszcze MI5 zostało przeniesione do Thames House. On sam urzędował, jak większość kierownictwa Wydziału, na Gower Street i

rzadko bywał w biurze na Curzon. Zaczął się tam pojawiać regularnie dopiero pod sam koniec swojej kariery w MI5, kiedy zauważył, że coś dziwnego dzieje się z dokumentami, które w tajemniczy sposób znikają z archiwów. Ale nawet wtedy pewnie nie poznałby bliżej Sary, gdyby nie to, że była przyjaciółką Annie, szkolną przyjaciółką, bywającą w domu Cohenów. Uważał, że jest bystra i ładna, może trochę za bardzo rozpieszczona przez rodziców.

To wszystko. Nie zaprzętał sobie nią głowy, nie była nigdy ważną osobą w jego życiu.

Ona jednak inaczej zapamiętała tamte lata.

- Dlaczego zacząłeś mnie unikać, Harry? - zapytała teraz. - Czy ze względu na Annie, na to, co jej powiedziałam o tobie?

Cohen słuchał z zakłopotaną miną; nie miał pojęcia, o czym Sara mówi.

- Wiem, że ci się podobałam. Ty też mi się podobałeś. Myślałam, że coś z tego będzie, tymczasem...

- Co ty wygadujesz, Saro! Co powiedziałaś Annie?

- Że jeśli ona cię nie zechce, to ja owszem. Cohenowi na moment zrobiło się ciemno przed oczami.

- Na litość boską! Kiedy jej to powiedziałaś?

- Jakoś w czasie jednej z ostatnich wizyt u was, może w czasie ostatniej. Przez cały wieczór zachowywała się wobec ciebie obrzydliwie, jak ostatnia wydra...

- Była ciężko chora, Saro. Cierpiała.

- Tak, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. - Wzruszyła ramionami. - Kiedy zmywałyśmy naczynia po kolacji, powiedziałam jej,

że chciałąbym być z tobą, skoro ona ma cię już dość. I że ty pewnie też chciałybyś być ze mną.

- Jak mogłaś? - Cohen najchętniej odszedłby od stołu, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

- Myślałam, że powtórzyła ci tę rozmowę i że dlatego zacząłeś mnie unikać.

- Nie wiem, co ty... - Nie potrafił zbudować sensownego zdania.

- Interesowałeś się mną. Prawie codziennie przychodziłeś na Curzon Street: „Saro to, Saro tamto, bardzo ci dziękuję, Saro”. Zawsze tylko ja i ja. Nie pamiętasz? Komplementy, napomknienia. „Ładną masz sukienkę”, „Jakich perfum używasz?”, „Miło spędziłaś weekend?”. A potem zacząłeś zapraszać mnie do winiarni w Covent Garden, piliśmy szampana, a ty wypytywałeś o archiwum, o moją pracę... To co mogłam pomyśleć?

„Że jesteś dla mnie źródłem informacji” - tak powinien odpowiedzieć, ale zabrakło mu słów.

- Główny doradca prawny Wydziału rozmawia z małą urzędniczką na temat archiwum, tak jakbym to ja je stworzyła.

Rzeczywiście interesuje go sposób prowadzenia rejestrów równoległych i podkatalogów komplementarnych? Mało prawdopodobne. Myślałam, miałam nadzieję, że to ja cię interesuję. Zdradzę ci mały sekret. Pewnego wieczoru, kiedy siedzieliśmy w tej małej niszy pod oknem, poszłam do toalety, zdjęłam rajstopy, majtki, schowałam je do torebki i tak wróciłam do naszego stolika. Liczyłam na to, że w każdej chwili możesz mi wsunąć rękę pod spódnicę. Byłam gotowa na ciebie, a ty niczego się nie domyśliłeś. - Przerwała. - Co ci jest, Harry, dobrze się czujesz? Nie najlepiej wyglądasz.

Cohen nie był w stanie wykrztusić słowa, pokręcił tylko głową.

Sara wstała, podeszła do niego.

- Powinieneś się chyba położyć. Pozwól, zaprowadzę cię. Okazała się znacznie silniejsza, niż mógł przypuszczać.

Postawiła go na nogi, zarzuciła sobie jego rękę na szyję i tak w pół go ciągnąc, w pół niosąc wyprowadziła z kuchni. Spojrzała na schody wiodące na piętro, potem na te do przyziemia i z oczywistych względów wybrała drugie.

Cohen bał się, że lada chwila upadnie, ale sprowadziła go bezpiecznie do gabinetu, ułożyła na kanapie i klęknęła obok.

- No, wreszcie widzę cię w pozycji horyzontalnej - powiedziała, przeczesując palcami jego włosy. Czuł, jak przesuwają się niżej, po policzku, ku szyi, jak powoli rozpinają guziki jego koszuli.

- Wiesz, że taka dziewczyna jak ja nie odmówi sobie skorzystania z okazji. - Palce Sary sunęły coraz niżej, ku lędzwiom Cohena. - Coś się tam dzieje? Chcesz, żebym cię przeleciała, Harry? Wypieprzyła tak, że fiut ci odpadnie?

Położyła się na nim, przycisnęła mocno do niego i zaczęła wodzić językiem po jego nosie. Otworzyła usta, jakby chciała go pochłonąć, po czym złożyła wargi i plunęła mu w oczy.

Teraz obrazy stają się zamazane, mniej czytelne. Cohen leży na kanapie w swoim gabinecie, zdaje sobie z tego sprawę. Nie może wykonać żadnego ruchu, bezradnie tylko patrzy, co robi Sara.

Oto jedno po drugim zdejmuje metodycznie zdjęcia z tablicy: klatka schodowa na Belgravii, Pete Pendle w kałuży krwi, Flint ze zmasakrowaną twarzą, wnętrze mieszkania Flint fotografowane przez Cohena.

Teraz przeszukuje jego biurko, segregatory. Nie znajdzie ani oświadczenia Franka Harlinga, ani notatek Flint, te spoczywają bezpiecznie w skrytce depozytowej w banku Cohena.

Znajduje jednak w magnetowidzie kasetę z nagraniem Silvy. Włącza magnetowid, siada na kanapie obok Cohena, opiera się łokciem o jego pierś, patrzy, słucha wymienianych przez Maria nazwisk, bawi się cienkim złotym łańcuszkiem, który ma na szyi. Drugą dłonią szarpie i ciągnie Cohena za włosy, co jest cholernie bolesne. Ślina zaschła już na powiekach niczym strup.

Sara podnosi słuchawkę, wystukuje numer.

Cohen słyszy, jak mówi: „Drozd - i dalej - wie o tobie, Taggarcie, Kurlacku”. Chwila ciszy, rozmówca musi ją rugać, bo Sara zaczyna się bronić: „Nie słuchasz mnie. On wie. Silva wszystko powiedział. O co ci do cholery chodzi?”.

Znowu milknie, najwyraźniej wysłuchuje instrukcji, wreszcie odkłada słuchawkę i idzie powoli ku schodom, znika z pola widzenia Cohena.

Wraca po chwili ze szklanką, przykłęka obok kanapy, unosi mu głowę. „Wypij to”, mówi i wlewa Cohenowi pozbawiony smaku płyn do ust.

Potem zapada ciemność. Cohen nie pamięta, by widział, jak Sara wychodzi.

Odzywa się dzwonek przy drzwiach, natarczywy, uporczywy dźwięk. Zapomniała kluczy, myśli Cohen. Ciągle jednak jest ciemno. Za wcześnie na panią Manning. Ktokolwiek przyszedł, oby nie odszedł, modli się Cohen, i dziękuje w duchu Bogu, słysząc brzęk tłuczonego szkła.

Ale ulga zaraz zamienia się w lęk. Może to Sara wróciła, by sprawdzić, czy on już nie żyje? Sara, Shilling albo któryś z ich ludzi. Cohen nie ma już wątpliwości, że Sara pracuje dla Enterprise: Mała Archiwistka na usługach Wielkiego Przedsięwzięcia.

Słyszy odgłos otwieranych drzwi i przyspieszone bicie własnego serca. Czeką, że ten, kto wszedł, zapali światło, ale intruz tego nie czyni; posługuje się latarką, bo Cohen widzi jej odbłask na schodach, słyszy kroki w holu. Odbłask znika, wraca ulga. Sara, czy ktokolwiek przez nią przysłany, skierowałaby się prosto do gabinetu. Przecież wie doskonale, gdzie go zostawiła.

Cohen czeka. Dom nie jest duży. Na poddaszu pokój Annie, pozostawiony w takim stanie, w jakim był za jej życia, miejsce, gdzie lubiła spędzać samotne godziny i gdzie kryła się coraz częściej w miarę postępującej choroby. Dwa pokoje gościnne na drugim piętrze, sypialnia małżeńska na pierwszym, z przyległą garderobą, gdzie ciągle jeszcze wiszą ubrania Annie.

Niewiele miejsc do przeszukania. Nie będzie długo czekał.

Odbłask powraca, snop światła tańczy na schodach, coraz jaśniejszy. W miarę jak się zbliża, rośnie nadzieja Cohena. Znowu znika. Nie szkodzi, mówi sobie Cohen. Intruz jest metodyczny, przeszukuje wszystko dokładnie. Sprawdzi pomieszczenia na parterze, dopiero zejdzie do przyziemia. Salon, jadalnia, kuchnia, niewielki pokój kredensowy. Cohen śledzi w wyobraźni kroki intruza i nakazuje sobie cierpliwość. Nie ma żadnych podstaw, by tak sądzić, ale ma dziwne przekonanie, że ten, kto wtargnął do jego domu, jest przyjacielem, nie wrogiem. Znajdzie go i wezwie pomoc.

Wkrótce nieuzasadniony optymizm zostaje nagrodzony. Światło wraca, omiata z góry wnętrze gabinetu, znowu znika. Cohen nie może uwierzyć, ale kroki się wycofują, zmiernają w kierunku drzwi frontowych. „Zejdź na dół! Zejdź na dół, na Boga!” - krzyczy, ale z gardła nie dobywa się żaden dźwięk.

Słyszy, jak drzwi się otwierają i zamykają. Robi mu się niedobrze, dławii się, łyzi pieką pod powiekami, ale nie może nawet zamrużyć.

Wtem - dobry Boże - słyszy głosy, widzi przez łyzi blask, już nie snop z latarki. Ktoś zapalił światło w holu.

Kroki się zbliżają ku schodom, głosy są wyraźnie słyszalne.

- Nie ma go. Musiał wyjść, sir.

- A to co?

- Klucz.

- Pasuje do zamka? Pasuje. Nie mógł chyba wyjść, nie zabierając klucza, prawda?

- Sprawdzalem wszędzie. Obszedłem cały dom.

- Harry!? Jesteś tam? - Cohen rozpoznaje głos Toma Glenninga.

- Byłeś na dole?

- Tam jest jego gabinet. Zszedłem kilka stopni w dół, poświeciłem latarką.

- Harry!? - Glenning woła głośniejszym głosem niż poprzednio. - Harry!?

- Chłopcze, co się z tobą dzieje. Zapal światło, zejdź i rozejrzyj się porządnie.

VI

Flint trzy razy powtórzył swojej zastępczyni, co ma robić, gdzie co leży, kiedy i jakie lekarstwa ma podawać pacjentom. Upewniwszy się, że

wszystko zapamiętała, wsiadł do land-rovera i wyjechał z domu. Za wsią skręcił w A44 na południe, jakby kierował się w stronę Londynu: wszystko zgodnie z instrukcjami córki.

„Jedź wolno, uważaj na samochody, które wlokłyby się za tobą, na wozy parkujące na poboczu. Skręć dopiero, kiedy będziesz pewien, że nikt cię nie śledzi”.

Dotarł prawie do Eynsham, zanim nabrał pewności, że nikt za nim nie jedzie. Dopiero wtedy skręcił w A40, na zachód, w kierunku Gloucester, potem na północ, na Moreton. Zatoczywszy zwodnicze koło, zakończył podróż na podjeździe farmy Simkinsów.

Otworzył okna. Wiatr owiewał mu twarz, mierzwił włosy. Od dawna nie czuł się tak lekko, radośnie. Miał wrażenie, że ubył mu dziesięć lat, że nagle wszystkie jego troski wyparowały niczym mgła w porannym słońcu.

Kątem oka zobaczył swoje odbicie w lusterku. Uśmiechał się szeroko, szerzył zęby. Tak go to rozbawiło, że wybuchnął głośnym śmiechem i uderzył dłonią w kierownicę. Zaczął nucić pod nosem „Amazing Grace”, piosenkę, którą śpiewał córce, kiedy była mała. Grace zwykle robiła się czerwona jak burak i prosiła: „Tato, przestań”. Nie zamierzał przestać. Jego Grace była Niezwykłą Grace. Wszystko było niezwykle.

Poprzedniego wieczoru Sally Barton zawołała zza baru:

- Telefon do pana, doktorze.

Jęknął. Znowu wezwanie. Że też ludzie nigdy nie dadzą mu odetchnąć. Ledwo wszedł do pubu, nie zdążył nawet zamówić kolacji.

- Kto dzwoni, Sally? - chciał wiedzieć.

- A jakiś cudzoziemski.

Niewiele to wyjaśniało. Dla Sally każdy, kto nie pochodził z okolic Eynsham, był „cudzoziemski”.

Z ociąganiem ruszył do telefonu mieszczącego się w korytarzu koło toalet, podniósł słuchawkę do ucha.

- Słucham?

Cztery stłumione słowa w jednej chwili postawiły jego świat na głowie.

- Chodzi o pańską córkę. - Męski głos z wyraźnym obcym akcentem. Rzeczywiście „cudzoziemski”.

- Kto mówi?

- Proszę słuchać. Musi pan znaleźć inny telefon. Nie we wsi. Szybko. Szybko? W piersi Flinta wezbrała wściekłość. Raz już przez to przeszedł, kiedy po zniknięciu Mad jakiś szalowiec wydzwaniał do niego, że ma Mad, i opowiadał, nie szczędząc obleśnych szczegółów, co zamierza z nią zrobić.

- Słuchaj no, ty! - ryknął.

- Nie. To pan niech mnie słucha. Ona mówi, żeby skorzystał pan z telefonu u Loudona. Okay?

- Żadne okay! Co to ma do cholery znaczyć?

- Spokojnie... Ona mówi, że uwielbia Klaudiusza.

Jakiś obłąd. Nagle Flint zrozumiał, co oznacza ta wiadomość. Tylko Grace mogła ją przekazać. Jego córka żyje!

- Zrozumiałem - wykrztusił wreszcie.

- Dobrze. Podam panu numer, pod który ma pan zadzwonić. Proszę pisać.

- Chwileczkę. - Flint zaczął nerwowo szukać po kieszeniach jakiejś kartki i długopisu. - Niech pan mówi.

- To nie będzie cały numer. Będzie pan musiał dodać numer kierunkowy kraju i dwie pierwsze cyfry.

- Jak mam to do diabła zrobić?

- Ona mówi, żeby przypomniał pan sobie swoje bazgroły. Rozumie pan?

Bazgrołami Flint nazywała powieści kryminalne ojca.

- Tak.

- Mówi, żeby pan pamiętał przeprosić Alfreda. Dopiero po chwili do Flinta dotarło znaczenie tych słów.

Alfred, czyli Hitchcock. Grace uważała, że ojciec powinien przeprosić mistrza za to, że ukradł mu i sparafrazował tytuł jednego z jego najstarszych filmów. Swoją ostatnią książkę zatytułował *31 potknięć*, nawiązując do *39 kroków*.

- Rozumiem.

- Mówi, żeby przypomniał pan sobie zwyczaj pańskiej siostry.

„Nieodmiennym zwyczajem siostry Anny było rozpoczynanie każdego dnia od zmówienia dwudziestu zdrowasiek. Ni mniej, ni więcej. Codziennie dwadzieścia zdrowasiek, jakby od tego miał zależeć jej żywot wiekuisty". Tak zaczynała się ostatnia powieść Flinta.

- Rozumiem.

- Alfred, potem siostra, potem...

W chwilę później Flint wypadł z pubu, wskoczył do swojego landrovera i pełnym gazem ruszył w kierunku Great Tew, małego,

sielskiego miasteczka założonego w szesnastym wieku przez niejakiego Loudona. Johna *Klaudiusza* Loudona.

Kiedy Grace bywała w domu, po rozpadzie małżeństwa, między kolejnymi operacjami plastycznymi, przyjeżdżali tu na lunch do gospody Falkland Arms. Chcąc ją rozbawić, Flint udawał otrutego przez Messalinę cesarza Klaudiusza. Nakładał nakrochmaloną serwetkę na głowę niby koronę i jękającym się głosem mówił: „Ja, Klaudiusz... umieram”.

W Falkland Arms było tak tłoczno i gwarno, że Flint nie próbował nawet przeciskać się do telefonu. Ruszył w stronę staroświeckiej czerwonej budki koło poczty. Nawet lepiej, bo stąd mógł rozmawiać spokojniej.

- Chwileczkę - odezwał się męski głos i słuchawkę przejęła Grace. Powiedziała ojcu, że jest cała i zdrowa, że go kocha i że bardzo go potrzebuje.

Flint słuchał jej, potakiwał, kiedy to było konieczne, i łzy jak groch płynęły mu po policzkach.

Do domu wracał w transie. Nie pamiętał, jak dotarł na farmę. Nie spał całą noc, rozmawiał ze zwierzętami, rano załatwił zastępstwo i pojechał do banku. Podjął dziesięć tysięcy funtów, znacznie więcej, niż Grace prosiła. Suma nie miała znaczenia. Dałby córce ostatni grosz, zapożyczyłby się, mógłby nawet kraść.

- Słucham? - zapytała kasjerka.
- Przepraszam?
- Myślałam, że coś pan mówił. Flint uśmiechnął się szeroko.
- Widać gadałem do siebie.

Z lotniska Schiphol John Flint, kierując się instrukcjami córki, dotarł na dworzec główny w Amsterdamie. Tu miał czekać na Grace w hali głównej pod zegarem. Wyglądał jej niecierpliwie w tłumie. A jeśli nie przyjdzie? Jeśli nie będzie mogła przyjść?

- Tatku.

Wpatrywał się zaskoczony w stojącą przed nim kobietę: krótkie postawione na żel włosy we wszystkich możliwych kolorach, kolczyk w nosie, mocno umalowane usta, na policzku wytatuowany wąż. Zarzuciła mu ręce na szyję i objęła mocno. John miał uczucie, że za chwilę serce mu pęknie ze szczęścia.

VII

- Dała ci GHB, gammahydroksybutyrat. - Glenning uśmiechnął się lekko. Siedział koło łóżka Cohena w jego pokoju w Harley Street Clinic. - Wygląda jak woda. Odrobina działa podobno świetnie na potencję, ale tak naprawdę jest to środek usypiający, stosowany czasami przy narkozie. Wlała w ciebie całą butelkę tego świństwa. Lekarze nie mogą się nadziwić, że przeżyłeś.

- Bo też nie przeżyłbym, gdyby nie ty - powiedział Cohen, na co Glenning wzruszył tylko ramionami. - Ciągle nie mogę uwierzyć. Gdzie ona to zdobyła?

- Można to dostać w każdej dyskotecie. Płynna ecstasy, tak ją nazywają małolaty, chociaż z ecstasy nie ma nic wspólnego. Jest tańsza i znacznie bardziej niebezpieczna, szczególnie kiedy ją mieszać z alkoholem. I tak właśnie było w twoim przypadku. Dolała ci tego do whisky albo do wina. Może do jednego i drugiego. Nie wiemy, bo umyła szklanki i butelkę. Czyścioszka.

Cohen założył ręce pod głowę, przeciągając się i rozkoszując możliwością ruchu. Ratowali go przez trzydzieści sześć godzin. Teraz był już na tyle silny, że tego popołudnia mógł po raz pierwszy pójść do toalety, ale ciągle jeszcze dostawał kroplówkę z glukozą i witaminami.

- Sara naturalnie zniknęła.

- Gdzieś się zaszyła. Shilling też przepadł. Szukamy ich oczywiście.

Obstawiliśmy wszystkie przejścia graniczne, ale wyjechali zapewne już we wtorek, zanim mogłeś powiedzieć nam cokolwiek.

Dopiero w środę wieczorem Cohen mógł wydobyć z siebie słowo, około północy na tyle odzyskał siły, by opisać, co się stało. Od tamtej chwili Glenning nie zmrużył oka. Tak w każdym razie wyglądał, jakby w ogóle nie spał ostatniej nocy.

- Mam dla ciebie dobrą i złą wiadomość. Wolisz najpierw usłyszeć złą?

Nie, niekoniecznie, ale Cohen powiedział:

- Tak.

- Jeśli to, co wiesz, a czego nie chciałeś mi powiedzieć, jest zapisane, nagrane, w jakikolwiek sposób utrwalone, Sara to ma. Dokładnie wyczyściła twoje mieszkanie. Nie ma tam nic, co wiązałoby się ze sprawą Harry.

Wiadomość nie zaskoczyła Cohena, ale świadomość porażki i tak ciążyła. Przez jego głupotę tamci mieli teraz nagranie Silvy i notatki z jego spotkania z Cutterem.

Wiedzieli teraz prawie tyle, ile wiedział Cutter. Skoro tak, Cohen uznał, że może powiedzieć wszystko Glenningowi. Nie było już sensu zachowywać tajemnicy, jeśli nie zachował jej przed wrogiem.

Powoli, nie pomijając żadnego szczegółu, opowiedział wszystko, czego dowiedział się w Miami. Glenning słuchał w milczeniu. Pokręcił tylko głową, kiedy Cohen doszedł do Taggarta.

- To mój teść - kończył swoją relację Cohen. - Teraz już wie. Shilling musiał mu powiedzieć. Kurlack też wie. To koniec operacji Cuttera. - Westchnął ciężko na myśl, co go czeka. - Muszę zadzwonić do Cuttera, powiedzieć mu, co się stało.

- Może - rzekł Glenning takim tonem, jakby był wręcz przeciwnego zdania. Widząc pytające spojrzenie Cohena, dodał: - Nie spiesz się, Harry. Poczekaj. Zastanów się nad konsekwencjami.

Wstał z krzesła i zaczął chodzić po pokoju, niby odwołujący się do swojego doświadczenia generał na chwilę przed rozpoczęciem bitwy.

- Zastanów się. Szczury tym się odznaczają, że myślą wyłącznie o sobie. Kiedy opuszczają przysłowiowy tonący statek jeden drugiemu nie pomaga, prawda? Każdy ratuje tylko własną skórę, zapominając o innych, może słabszych. Nie wiedzą, co to lojalność, nie mają sumienia. Spróbuj spojrzeć na sprawę z punktu widzenia Shillinga, postaw się w jego sytuacji, jeśli potrafisz. To szczur, nie ma wątpliwości. Sara dzwoni do niego, mówi, co znalazła u ciebie. Ten natychmiast się orientuje, że statek idzie na dno. Co robi? Wie, że Taggart i Kurlack są obserwowani, podsłuchiwani. Kontaktuje się z nimi i mówi: „Ratujcie się, chłopaki”? Żeby jeszcze bardziej się pograć? Może, ale bardzo w to wątpię. Jestem gliną od trzydziestu dwóch lat, Harry. Miałem do czynienia z tysiącami podobnych sytuacji. Kiedy statek idzie na dno, każdy szczur myśli tylko o sobie.

- Muszę powiedzieć Cutterowi - upierał się Cohen.

- Naprawdę? Po co? Powiesz mu i facet zamknie akcję, zostanie z pustymi rękami. Koniec historii. Jak mu nie powiesz, będzie dalej siedział na karku Taggartowi, Kurlackowi i kto wie, może coś uzyskać. Dobrze, założmy, że Shilling nie jest zwykłym szczurem. Powiedzmy, że dzwoni do nich i mówi: „Żyd wie wszystko, ale go załatwiliśmy” - tak przecież myślą on i Sara. Taggart i Kurlack zaczynają się zastanawiać, co wie Cutter. Są spanikowani, zastanawiają się głośno, co robić. Jeśli Cutter nagra coś z tych ich rozmów, będzie miał szczere złoto, Harry.

Cohen nie wyglądał na przekonanego.

- Wiesz, kto jest tego samego zdania? - Glenning odwrócił się gwałtownie ku Cohenowi. Opadło z niego całe zmęczenie, znowu tryskał energią. - Cutter. Dzwoniłem do niego wczoraj w nocy, kiedy już wyciągnąłem z ciebie, co się stało. Opowiedziałem mu o wszystkim. Był przerażony. Tobą, oczywiście. Twoim stanem. Z drugiej strony uszczęśliwiony perspektywą tego, co jego ludzie mogą wychwycić. Chcesz mu to wszystko popsuć? Po co?

- Bo dałem mu słowo, że nikomu nie powiem. I co zrobiłem?

Glenning popatrzył na Cohena z ironią.

- Dorośnij wreszcie, Harry.

W pokoju pojawiła się młoda, czarnoskóra pielęgniarka. Zmierzyła Cohenowi temperaturę, sprawdziła poziom płynu w kroplówce.

- Niech go pan nie przemęcza - zwróciła się do Glenninga.

- Zaraz wychodzę. Cohen zaprotestował żywo:

- Najpierw musisz mi powiedzieć, co to za dobra wiadomość.

Potrzebuję dobrych wieści.

Obojętna na sprawy wielkiej wagi państwowej dziewczyna zmierzyła obu surowym spojrzeniem.

- Zaraz przyjedzie wózek z herbatą, szanowni panowie się napiją po filiżance, a potem - wskazała na Glenninga - pan wychodzi.

Glenning uniósł dłonie na znak, że się poddaje.

- Posłałem posterunkowego, bo przez pół nocy usiłowałem się do ciebie dodzwonić - podjął, kiedy pielęgniarka wyszła. -Chciałem ci powiedzieć, że chyba wiem, jak znaleźć Flint. Teraz już jestem pewien.

- Dotarłeś do niej?

- Jeszcze nie, ale prawie.

Glenning znowu zaczął chodzić po pokoju. Opowiadał z należną skromnością, jakby relacjonował rutynowe działania.

- W poniedziałek wieczorem, kiedy ty podejmujesz kolacją Sarę Spenny, ktoś dzwoni do Johna Flinta do pubu Pod Psem i Koniem. Męski głos. „Chodzi o pańską córkę”, to pierwsze słowa, które Flint słyszy. - Cóż - dodaje, widząc zaskoczenie na twarzy Cohena. - On tam prawie mieszka. Kiedy kazałem założyć podsłuch na jego domowym telefonie, dodałem i pub. Nicolsowi nie bardzo się to podobało, ale w końcu go przekonałem.

- Jak?

- Powiedzmy, że mu wykręciłem rękę.

- Tom?

- Powiedziałem mu, że nie jestem ciebie pewien. Że coś przede mną ukrywasz. Co było zresztą zgodne z prawdą. Zasugerowałem mu, że coś obaj z Flintem kombinujecie w tajemnicy przed nami i że dzwonisz do niego do pubu. Uzyskałem zgodę, ale wyłącznie na nagrywanie rozmów

między tobą i Flintem, Flintem i córką albo jej dotyczących. W każdym razie...

- Ty przebiegły sukinsynu.

- W każdym razie... Chwilę pogadali. Flint dostaje polecenie, żeby dzwonił „od Loudona”. Nie rozumie jeszcze, o co chodzi, więc mężczyzna przekazuje mu szyfrem, że Grace „uwielbia Klaudiusza”. To przekonuje Flinta. Mężczyzna podaje mu numer telefonu, cztery pierwsze cyfry znowu szyfrem, więc nie wiemy, o jaki kraj chodzi. Flint wybiega z pubu. A my tracimy oczywiście trop. Po to dzwoniłem, żeby ci przekazać, co usłyszeliśmy. O drugiej w nocy zacząłem się niepokoić, dlaczego nie odbierasz telefonu. Wiedziałem, że musiało stać się coś złego.

- Bogu niech będą dzięki za twoją intuicję.

- Pani Glenning byłaby zapewne innego zdania, ale... -Glenning odczekał, aż umilknie gwar głosów na korytarzu.

- We wtorek rano moi najlepsi chłopcy siedzieli już na karku Flintowi. Pestka, bo Flint odbył długą rozmowę telefoniczną, opowiadając komuś, że wypadło mu coś pilnego i że musi jechać do Londynu. Co oznaczało, że może się wybierać wszędzie, tylko nie do Londynu.

- Dlaczego?

- Ponieważ córka go ostrzegła, że ma na telefonie podsłuch. Bała się nawet rozmawiać z nim w pubie. Wymyśliła te wszystkie szyfry. Kazała mu mącić, mówić wszystko, byle nie prawdę.

- Ale przecież wiedziała, że wy się nie nabierzecie...

- Zapewne. Gramy w tę samą grę. Kwestia, kto okaże się lepszy. - Glenning wyciągnął fajkę, zaczął się nią bawić.

- Późnym rankiem Flint jedzie do Barclays Bank w Chipping Norton i podejmuje dziesięć tysięcy funtów. Nie narzeka na brak forsy, ale nigdy wcześniej tego nie robił. Nigdy nie podejmuje więcej niż kilkaset funtów w gotówce. Teraz już wiem, co jest grane. Grace od miesiąca nie ruszała własnego konta, nie używała karty kredytowej. Brak jej kasy. Ojciec zatem podejmuje dla niej pieniądze. Tak musi być. Wystarczy go śledzić, a dotrzemy do Flint. Cały dowcip polega na tym, że Grace wie, że będziemy go śledzić, musi więc znaleźć sposób, żeby ojciec nas zgubił.

- Znalazła?

- Tak. Faceta o nazwisku Simkins. Myślisz, że mógłbym zapalić, gdybym otworzył okno?

- Myślę, że siostrzyczka urwałaby ci jaja. Glenning chrząknął.

- Pewnie masz rację. No więc Simkins... Moi chłopcy umieścili nadajnik w land-roverze Flinta, kiedy był w banku. Nie mogli za nim jeździć, bo Grace musiała ostrzec ojca przed taką ewentualnością. Pewnie mu też powiedziała o nadajniku, ale niefachowiec go nie znajdzie, musiałyby mieć detektor. Nasz umieściliśmy w antenie radiowej, jego wykręciliśmy, wkręciliśmy naszą. Na oko nie dostrzeżesz różnicy. Zakres piętnastu kilometrów, więc chłopcy mogli jeździć za Flintem zupełnie spokojnie, choć staruszek kluczył jak mógł: na południe, zachód, północ, znowu na południe. Godzinę się z nim mordowali.

- Zmienił samochód?

- Tak. Po prostu. Ale byliśmy przygotowani, czując, że Grace pomyśli i o takiej ewentualności. Flint musiał przecież do kogoś zadzwonić, umówić się. Nie zrobił tego. W każdym razie my nic o tym nie wiedzieliśmy.

- Zadzwoił z banku - próbował zgadywać Cohen, ale okazało się, że nie.

- Poprosił menedżera, żeby zadzwonił! Jak myślisz, co z tą herbatą? Glenning podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz: ani śladu wózka.

- Potem dopiero sprawdziliśmy. Za późno. Ale czy moi chłopcy mogli przewidzieć, że wiejski weterynarz okaże się takim lisem? Chyba że jego córką jest Grace Flint. Otóż poprosił menedżera, żeby zadzwonił do Simkinsa, którego obydwaj dobrze znają. Menedżer dzwoni, mówi, że doktor Flint chciałby pożyczyć wóz, bo jego jest w nie najlepszym stanie, a doktor musi właśnie jechać do Londynu i nie chciałby utknąć po drodze i że wpadnie po samochód po południu. Moi chłopcy nic o tym nie wiedzą. Doktor jedzie do Simkinsa, gadu-gadu i tu ładny chwyt: „Wiesz, Artur, nie mam pojęcia, co się dzieje z tym roverem. Twój Tommy zna się jak mało kto na samochodach. Mógłby przejechać się jeszcze dzisiaj moim staruszką, sprawdzić, jak chodzi?”. No i Tommy zaczyna wozić moich chłopców za sobą.

Cohen parsknął śmiechem, Glenning się skrzywił.

- Cieszę się, że cię rozbawiłem.

- Przecież to genialne.

- Ja też byłem genialny. Wiedziałem, że telefon do pubu był z zagranicy, więc przewidziałem, że Flint albo polecą, albo popłyną na spotkanie z córką. Ale jak to przewidzieć? Skąd będzie się wyprawiał? Grace zakłada, że my zakładamy, że będzie nas zwodzić, że każe ojcu wyprawić się z najmniej oczekiwanego miejsca. Błefuje, potem podwaja błef, by wreszcie go odrzucić.

- Nie nadążam za tobą.

- Zawsze powtarzam moim chłopcom: „Podstawowa zasada Glenninga, kiedy macie wątpliwości, szukajcie najbardziej oczywistego rozwiązania”. Tak też zrobili. Spojrzeli na mapę. Najbliższe dla Flinta lotnisko z połączeniami międzynarodowymi to Birmingham. Pojechali, a tam na parkingu stoi sobie najspokojniej w świecie land-rover Artura Simkinsa. Spóźnili się o kilka godzin.

- Dokąd poleciał?

- Do Amsterdamu. Nie robił oczywiście żadnej rezerwacji. Liczył na to, że będą wolne miejsca. Zapłacił gotówką. Przypuszczam, że miała rezerwowany plan: gdyby ojciec nie dostał się na samolot do Amsterdamu, mógł lecieć do jakiegokolwiek miasta w Europie, to nie miało wielkiego znaczenia.

Cohen wyglądał na wyczerpanego.

- Holenderska policja go szuka?

- Nie. Nie wszedłem w tę grę. To, że poleciał do Amsterdamu, wcale nie oznacza, że ona tam jest. Albo ja tak mam myśleć, albo...

- Przestań - poprosił Cohen. - Tak czy inaczej straciliśmy trop. Nadal nie wiemy, gdzie ona jest.

- Na razie. Zastępstwo załatwił sobie tylko do jutra. - Glenning uśmiechnął się. - Flint musi wrócić, prawda? Jutro wieczorem albo pojutrze rano. Inaczej pacjenci mu wyzdychają.

- Rozumiem. To nie przebiegły sukinsyn, tylko szczwany lis. Glenning opisywał właśnie, jakie przygotowania poczynił, kiedy drzwi otworzyły się z impetem i w progu stanęła pielęgniarzka w wojowniczej pozycji, z morderczą miną.

- Pan - wskazała na Cohena - ma odpoczywać. A pan - to pod adresem Glenninga - się wynosi!

- Nie wypiliśmy jeszcze herbaty.

- Wynocha!

Nie sięgała mu nawet do ramienia, ale komandor Glenning został wyprowadzony z pokoju, nie próbował stawiać oporu.

VIII

- Doktor Flint? Doktor John Flint?

Potężny mężczyzna w granatowym garniturze blokował przejście przy odprawie paszportowej, drugi, który mógłby być jego bliźniakiem, stał z boku. Obydwaj mieli wąskie usta o wygiętych w dół kącikach. Bracia Grimm, pomyślał Flint.

- Tak. Z kim mam przyjemność?

- Wydział specjalny. - Mężczyzna sięgnął do kieszeni i mignął Flintowi przed oczami legitymacją. - Proszę z nami.

Flint uniósł brodę. Grace ostrzegała go, że na lotnisku w Birmingham może czekać komitet powitalny, był więc częściowo przygotowany, na tyle przynajmniej, żeby przyjąć zaczepny ton.

- Dokąd?

- Tędy - powiedział gadatliwy Grimm, wskazując głową bliżej nie określony kierunek. Milczący Grimm stanął obok Flinta z miną, która zdawała się mówić: „Jeśli będę musiał, wezmę cię pod ramię”, ale Flint nie zamierzał poddać się tak łatwo.

- O co chodzi?

- Chcemy zadać panu kilka pytań. - Gadatliwy Grimm nachylił się konfidencjonalnie ku Flintowi. - Nie zamierzamy pana aresztować,

przynajmniej na razie. Ale możemy. Jeśli chce pan robić tu sceny, proszę bardzo.

- Będą cię prowokowali - ostrzegła Flint. - Postaraj się zachować spokój, nie unos się.

- Nie chcę robić scen. - Sztywno, jak człowiek usiłujący zachować godność w trudnej sytuacji, Flint pozwolił poprowadzić się Grimmom do pokoju w biurze urzędu celnego: przygnębiające wnętrze bez okien, biurko z blatem z laminatu, kilka krzeseł, gołe ściany, jeśli nie liczyć wielkiego znaku zakazu palenia, wykładzina w kolorze musztardowym. Spędził kiedyś zbyt wiele czasu w podobnym pokoju, czekając na przesłuchanie w sprawie domniemanego zabójstwa żony.

- Zrobią wszystko, żebyś poczuł się możliwie najgorzej -ostrzegła Flint, a on jakoś zdołał się powstrzymać, by nie powiedzieć: „Kiedyś już próbowali, kochanie”.

- Poproszę pana torbę - powiedział brat Grimm wymowny. Odpieprz się pan, pomyślał Flint. Może trochę się uniosę.

- Chyba że ma pan nakaz.

- Siadać! - Grimm nie należał do ludzi obdarzonych spokojem. - Nie potrzebuję nakazu, żeby wziąć pana torbę - po chwili dodał - sir - co zabrzmiało w jego ustach jak przejęzyczenie.

- Nakaz będzie mi potrzebny dopiero wtedy, kiedy zechcę tę torbę otworzyć, dostanę go najwcześniej rano, a to oznacza, że trafi pan na noc za kratki. Był pan już kiedyś aresztowany... sir? Powiedziałem, siadać! Flint usiadł, Grimm oparł się dłońmi o stół. - Niech pan nie przeciąga struny.

W torbie nie było nic, co dotyczyłoby Grace.

Niech Grimm ma swoją małą satysfakcję, pomyślał Flint.

- Rób, co chcesz, człowieku.

Nieoznakowany wóz policyjny z Cohenem i Glenningem w środku pędził w stronę Birmingham.

Jak przy wyjeździe, tak teraz Flint nie zrobił rezerwacji, licząc na to, że będą wolne miejsca. Ryzykował, bo w piątek wieczorem, kiedy biznesmeni wracają do domów, na liniach międzynarodowych jest zawsze większy ruch. Glenning o jego powrocie dowiedział się w ostatniej chwili, kiedy z Schiphol przyszła informacja, że doktor właśnie kupił bilet.

- Jadę z tobą - oznajmił Cohen.

- Nie jestem pewien, czy masz dość sił - wahał się Glenning. Tego popołudnia przywiózł Harry'ego ze szpitala i został z nim „na wszelki wypadek”. Przed domem stał ostentacyjnie zaparkowany wóz policyjny, w domu zamieszkali uzbrojeni policjanci, którzy mieli tu spędzić najbliższy, nie wiadomo jak długi czas.

- Jesteś czy nie, to ja powinienem z nim rozmawiać. W cztery oczy.

- Wykluczone - prychnął Glenning, jakby już sam pomysł wydał mu się absurdalny.

- Dlaczego?

- Ponieważ jesteś cywilem, sprawa Flint należy do policji. Mam ci przypominać, że jego córka jest poszukiwana za morderstwo?

- Przecież wiesz, że to wymysł, Tom.

- Dla ciebie. Dla policji to wersja oficjalna. Sam tego chciałeś. Mam teraz powiedzieć moim ludziom, że żartowaliśmy? Oficjalnie jest osobą poszukiwaną, jej ojciec również. Za udzielanie pomocy. A to też przestępstwo - przypominam ci, gdybyś nie wiedział.

- Nie bądź śmieszny - zirytował się Cohen. - Usiłujemy znaleźć Harlinga, a nie zapuszkować Flint czy jej ojca. O to nam przecież chodzi, prawda? Tylko o to.

- Nie masz z tym nic wspólnego.

Widząc, że tą metodą nic nie wskóra, Cohen, wytrawny prawnik, zmienił taktykę.

- Musisz zrozumieć jedną rzecz, Tom. Ja znam Johna Flinta. Co prawda spędziłem z nim tylko jeden dzień, przepiłem pół nocy, ale otworzył przede mną duszę. Wiem, jak z nim rozmawiać. Wiem też, że jest absolutnie lojalny wobec Grace. Oddałby za nią życie i to nie w przenośni, ale dosłownie.

- Ja też mam córkę - mruknął Glenning.

- Wiem. Ale jej matka nie zniknęła nagle w nie wyjaśnionych okolicznościach, jakby się rozplynęła w powietrzu. Twoja córka nie dorastała w przekonaniu, że zgwałciłeś i zabiłeś własną żonę, rozbijając jej czaszkę młotkiem, a potem pochowałeś ciało pod podłogą stodoły. Twoja córka...

- Rozumiem.

- Nie sądzę, żebyś rzeczywiście rozumiał. Flint kocha Grace w sposób wręcz niewyobrażalny, bo też trudno sobie wyobrazić aż tak głębokie uczucie. Kocha ją jak szalony, dlatego że mu wybaczyła. Chociaż przecież nie zrobił nic złego. Ona myślała, że zrobił, i Flint przez całe lata żył z poczuciem winy. Dopóki mu nie wybaczyła. - Cohen wpatrywał się w Glenninga, oczekując zrozumienia. - Pozwól, że zadam ci pytanie. Zabiłbyś dla swojej córki?

- Teraz ty jesteś śmieszny.

- John Flint zabiłby. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Zabiłby mnie, ciebie, każdego, kto chciałby ją skrzywdzić. Zatrąby wodociągi, gdyby w ten sposób miał uratować Grace. A ty nic nie możesz mu zrobić, niczym go nie zastraszysz. Nie zmusisz w żaden sposób, żeby zdradził Grace. Teraz jesteśmy jego wrogami, a właściwie ty jesteś wrogiem. Dlaczego? Bo Harling i Silva powiedzieli jej, że całe jej królestwo przenika zło, że system jest przegniły do samych korzeni. Każdy może być po stronie zła: ty, Cutter, każdy, z kim kiedykolwiek współpracowała -tak teraz myśli Grace. Każdy może być powiązany z Enterprise i John Flint nie powie ci słowa na temat swojej córki, choćbyś go błagał na kolanach albo żywcem obdzierał ze skóry.

- Nie mogę się zgodzić na waszą rozmowę w cztery oczy.

- Owszem, możesz - oznajmił Cohen z determinacją, chwytając się ostatniego, wątpliwego pomysłu, który zaświtał mu w głowie. - Będę występował jako jego pełnomocnik. Jego adwokat. Wiem, że się zgodzi. A skoro się zgodzi, mogę z nim rozmawiać sam na sam do upojenia.

- Naprawdę? - sarknął Glenning. - Nie sądzisz, że byłaby to pewna sprzeczność interesów, biorąc twoje obecne zobowiązania wobec rządu Jej Królewskiej Mości?

Kłócili się tak całe popołudnie, ale nie doszli do porozumienia. Wyczerpawszy wszystkie argumenty, Cohen popadł w ponure milczenie. W końcu uzyskał tyle, że jechał do

Birmingham, ale atmosfera w samochodzie była wyjątkowo ciężka. Przez dziewięćdziesiąt kilometrów nie padło ani jedno słowo.

- Coś ci powiem - odezwał się Glenning, kiedy dojeżdżali do lotniska. - Nie zostawię was samych, ale ty prowadź z nim rozmowy. - W ten sposób zawarli rozejm.

Trzymali Flinta w zamkniętym pokoju, jakby chcieli dać mu do zrozumienia, że należy teraz do nich.

- Może po prostu trzeba było wsadzić go do celi? - rzekł Cohen zgryźliwym tonem, ale ironia jego pytania nie dotarła do panów z wydziału specjalnego.

Kiedy otworzyły się drzwi, Cohen zobaczył, że pokój Flint nie dość, że wygląda jak cela, to pozbawiony jest na dodatek klozetu. Rzucił Glenningowi wściekle spojrzenie.

Flint siedział przy stole. Wyglądał znacznie młodziej, niż Cohen go zapamiętał. Zmierzył stojących w drzwiach lekceważącym spojrzeniem.

Cohen przecisnął się między panami z wydziału specjalnego, podszedł do Flinta z wyciągniętą ręką.

- John - powiedział serdecznie, ale w oczach Flinta nie dojrzał nic, co wskazywałoby, że ten go rozpoznaje. - To ja, Harry Cohen. Byłem u ciebie w domu.

- Pamiętam - oznajmił Flint obojętnie.

- Chryste, co to za miejsce! - Cohen odwrócił się do Glenninga. - Nie moglibyśmy rozmawiać gdzie indziej?

- Bez znaczenia, gdzie będziemy rozmawiać - powiedział Flint. - Nie mam wam nic do powiedzenia. Absolutnie nic.

Cohen miał już ułożone w głowie całe przemówienie, ale go nie wygłosił.

- Znajdziemy jakiś przyzwoitszy pokój i postaram się o coś do picia - obiecał Glenning. Zechce pan pójść z nami, doktorze Flint? Ze względu na Grace.

- A pan kim jest, do diabła?

Glenning zdawał się przez chwilę zastanawiać nad odpowiedzią.

- Oprócz Harry'ego, i pana, być może tylko ja mogę uratować pana córkę.

Glenning poprowadził ich do pubu na piętrze terminalu; tylko tam mógł zapalić swoją ukochaną fajkę. Bez pytania przyniósł z baru trzy podwójne whisky.

- Gliny nie mogą pić na służbie - powiedział, stawiając szklanki na stoliku. - *Ipso facto* nie jestem na służbie. - Uniósł swoje szkło. - Za Grace.

Flint nie ruszył swojego drinka.

- Muszę wracać do domu. Czekają na mnie pacjenci. Nie ma się nimi kto zająć.

- Ma. - Glenning uśmiechnął się radośnie. - Dzisiaj rano rozmawiałem z pana zastępczynią. Odwołała swoje inne zobowiązania i zostanie z pacjentami do pana powrotu.

Flint, chociaż nadrabiał miną, był u kresu wytrzymałości.

- Wspaniale! - zawołał wściekły. - Co pan jej powiedział? Że zostałem aresztowany? Chryste!

Kobieta przy sąsiednim stoliku spojrzała niespokojnie w jego stronę, odsunęła trochę swoje krzesło i zaczęła coś szeptać do swojej towarzyszki.

- Nikt pana nie aresztował. Powiedziałem, że się pan przeziębił. Przedstawiłem się jako pana znajomy, kolega. O niczym nie ma pojęcia. Nikt nie będzie miał pojęcia, jeśli przestanie pan krzyczeć.

Flint nie dał się tak łatwo ułagodzić.

- Skoro nie jestem aresztowany, wracam do domu.

- Proszę bardzo - powiedział Glenning tonem, który miał oznaczać: „wszystko mi jedno”. Flint wstał od stołu i Cohen pomyślał, że to koniec, wszystko stracone. Po chwili doktor opadł na krzesło, spojrzał bezradnie na Cohena.

- Nie wiem, co robić - westchnął ciężko.

- Na pana miejscu pojechałbym do domu - poradził Glenning. - Ale wziąłbym ze sobą Harry'ego. Niech opowie panu, co wie, niech powie, jak powinien pan, jego zdaniem, postąpić. Potem będzie pan mógł podjąć decyzję. Ja tymczasem, ponieważ nie jestem na służbie, zamówię sobie jeszcze jedną whisky, a potem kierowca odwiezie mnie do Londynu. Będę czekał na wiadomość od was.

Wstał i ruszył w stronę baru niczym przygodny znajomy, człowiek, który przysiadł się na chwilę, ale doszedł do wniosku, że nie odpowiada mu towarzystwo.

303

Później, już po wszystkim, Cohen pytał Glenninga, dlaczego zmienił zdanie, na co Glenning odparł:

- Zrozumiałem, że miałeś rację. Że tylko ty możesz się z nim dogadać.

Chociaż wtedy nic jeszcze na to nie wskazywało.

Dobrze po północy usiedli na tarasie domu Flinta. Następnego dnia, mówił Flint, przypadała trzydziesta czwarta rocznica jego ślubu. Cohen przemilczał, że dziwnym zbiegiem okoliczności niedługo miał minąć rok od śmierci Annie. Nie chciał powiększać i tak już wystarczającego bólu.

Nie wiedział, jak zacząć, do jakiego sposobu się uciec. W drodze na Glebe Farm Flint prawie się nie odzywał, tak jakby wyczerpali już wszystko, co mieli do powiedzenia na temat jego córki, a innych wspólnych tematów nie znajdowali.

Cohen wiedział jedno: musiał przełamać jakoś nieufność Flinta. By użyć metafory, sięgnął po to, co samo nawijało się pod rękę.

- Powiedziałaś jej o mnie, prawda? Uważa, że jestem jednym z nich?

- Jakich „nich”?

- Enterprise.

Flint nic nie odrzekł. Nie musiał. W barze na lotnisku był taki moment, kiedy pomyślał, że być może Grace nie ma racji, ale chwila wątpliwości szybko minęła. Teraz Cohen widział chłód w jego oczach.

- Jak mogę cię przekonać, że nie jestem z Enterprise?

- Nie możesz.

- Grace się myli. Obydwoje się mylicie. - Cohen podniósł się z krzesła, stanął na skraju tarasu, skąd widział skąpany w blasku księżyca samotny jesion, smutne upamiętnienie życia i śmierci Mad Flint. Pomyślał z rezygnacją, że może wkrótce wyrośnie przy nim drugi, równie smutny znak innego straconego życia.

- Sir Adrian Taggart, mój teść - zaczął i zanim mógł się powstrzymać, zaczął opowiadać. Odwrócony plecami do Flinta, mówił o nienawiści Taggarta do niego, o tym, jak teść starał się obrócić przeciwko niemu Annie, o nagrobku, na którym nie było jego nazwiska, jakby nigdy nie miał żony. Mówił i mówił, nic nie ukrywając, jakby nie był w stanie zapanować nad strumieniem wspomnień. Mówił o spółce Taggarta z Jacksonem Kurlackiem, o Gilles'ie leżącym w kałuży krwi w galerii Silvy,

o tym, jak sam leżał w ciemnościach, czekając na śmierć. Mówił, wbrew sobie, o tajemnicach, które zawierzył mu Cutter. O skomplikowanym systemie podsłuchu, o szeroko zakrojonej operacji, która miała na celu rozbicie Enterprise, ale której efekty mogą przyjść zbyt późno. Zbyt późno, by ocalić życie Grace.

- Na litość boską, człowieku...

Wyczerpawszy wszystkie słowa, stał dalej na skraju tarasu i patrzył, jak nad łąką zatacza leniwe koła sowa. Wyruszyła na nocne łowy w poszukiwaniu ofiary, jak Grace, która wyruszyła szukać Franka Harlinga.

- Nie wiedziałem o Gilles'ie - powiedział Flint cicho. - Widziałem w wiadomościach coś na temat eksplozji, ale nie powiązałem jednego z drugim...

Cohen wstrzymał oddech.

- Grace też nie wie. Zanim zadzwoniła do mnie, próbowała wiele razy skontaktować się z ojcem Dominique, ale nikt nie odpowiadał. Widocznie Holt jest w Paryżu.

- Tak - przytaknął Cohen. - Spotkałem się z nim. Jest cały czas z Dominique.

Usłyszał skrzypnięcie krzesła Flinta, czuł, że tamten podchodzi, po chwili zobaczył jego woskową twarz uniesioną ku niebu, jakby tam dojrzał coś przekraczającego możliwość pojmowania.

- Czy Grace zdaje sobie sprawę, z czym walczy? - zapytał Cohen.

Flint powoli pokręcił głową.

- Nie wiem. - Przycisnął knykcie do ust.

- Ona potrzebuje pomocy, John.

Flint skinął głową. Po chwili się opanował.

- Chce znaleźć Harlinga... Zawiozłem jej pieniądze, prosiła, żebym kupił jej nowy paszport... Kupiłem u jakiegoś ciemnego typu, jakiegoś Klause. Chcesz znać wszystkie szczegóły?

- Proszę.

- Ale jest już za późno, żeby ją zatrzymać. Wyleciała z Amsterdamu godzinę przed moim odlotem do Birmingham. Do Stambułu, stamtąd do Antalyi, potem promem na Cypr... Do Kyrenii. Tam podobno ukrył się Harling.

- Chryste.

- Wiem. Państwo-parias. Będzie wam tam ciężko cokolwiek zdziałać. - Flint uśmiechnął się blado.

- Pewnie chcesz zadzwonić?

Może cuda się jednak zdarzają? - pomyślał Cohen.

ROZDZIAŁ 9

I

Fotografia Franka Harlinga pochodziła sprzed trzech lat. Nawet gdyby była aktualna, nie na wiele mogła się zdać. Policyjne zdjęcie zrobione z ukrycia w którymś z nocnych klubów West Endu. Obok Harlinga siedzi bardziej rozebrana niż ubrana hostessa, którą Harling obejmuje i przygarnia do siebie. Wgapiony w jej piersi, z otwartymi ustami, wygląda idiotycznie, zupełnie inaczej, niż zapamiętała go Flint.

„Nie chcę rozmawiać z twoimi znajomymi”. Harling mówi do Bullera, ale patrzy na Flint, zaciska usta, oczy ma ukryte za przyciemnionymi szklami okularów. „Wiesz, co to za jedni? To gliny”.

Niestety, to jedyne zdjęcie, jakim dysponowała policja. To ono pojawiło się w telewizji, kiedy wyniesiono Flint na noszach do ambulansu. Musi się nim zadowolić. Z nim w rękę będzie zaczepiała poczciwych mieszkańców Kyrenii: „Szukam tego człowieka”.

Jak bardzo mógł się zmienić w ciągu trzech ostatnich lat?

Być może trochę przytył. Frank lubił dobrze zjeść, był typem *bon viveur*, jak wynikało z obserwacji policyjnych. Już kiedy zobaczyła go na Belgravii, nie należał do szczupłych, a w czasie pobytu we Włoszech, w Villa Donati, zapewne dogadzał swojemu podniebieniu. Włosi twierdzili, że żył samotnie, sam wykonywał większość domowych czynności. Flint widzi go w kuchni: misa dymiącego makaronu, w rondlu dochodzi gęsty od śmietany sos, na stole stoi butelka czerwonego wina. Co tam kalorie. Nie, nie będzie szukała smukłego Franka, tego jest pewna.

Ta twarz, której nigdy nie zapomni.

Na zdjęciu Frank nosi bokobrody i wąsy opadające lekko przy kącikach ust. Potem je zgolił. Na zdjęciu paszportowym, które widziała w Ellis, obnażona górna warga, zbyt nikła w stosunku do wydatnego nosa i szerokiego czoła, nadawała mu drapieżny wygląd, sprawiając przy tym, że proporcje twarzy zdawały się mocno zachwiane, jakby góra przytłaczała dolną część. Wąsy to korygowały. Frank jest próżny, zatem na pewno znowu je zapuścił.

A włosy? Kiedy go widziała, miał lekką łysinę na czubku głowy: znak charakterystyczny, który trudno zatuszować. Ale skoro, jak się rzekło, Frank jest człowiekiem próżnym, łysinka dawno zniknęła, w jej miejsce pojawiła się imponująca czupryna. Peruka? Nie, Frank nie nosiłby raczej peruki.

O oczach potrafi powiedzieć niewiele, bo nigdy ich dobrze nie widziała, nawet na zdjęciu paszportowym Frank ma lekko przyciemnione okulary. Zresztą oczy, w przekonaniu Flint, nie są dobrą cechą identyfikacyjną: łatwo zmienić ich kształt, nawet kolor. Sama zawsze miała imponującą kolekcję barwnych szkieł kontaktowych.

Ważniejszy jest wzrost i postura. Na Belgravii miał buty na dość wysokich obcasach, ale gdyby stanęli plecami do siebie, boso, byłaby od niego wyższa o jakieś pięć, siedem centymetrów.

A więc tak wyglądasz, Harling. Niski, tęgi, z łysiną. Odrażający. Nie ukryjesz się przede mną.

Sprowadziwszy potwora do normalnych wymiarów, usnęła spokojnym snem bez snów w pokoju 309 w Dome Hotel. Zdjęcie Harlinga zostawiła na szafce nocnej, jakby chciała upewnić się, że jest blisko. Bardzo blisko. Czuła to.

W Amsterdamie, zaraz po przyjeździe ojca, kiedy już zmyła farbę z włosów, usunęła tatuaż-kalkomanie i przylepiony do nosa niby-kolczyk, poszli do indonezyjskiej restauracji. Przy kolacji opowiedziała mu, czego zdołała się dowiedzieć na temat Enterprise, mówiła też trochę o sobie, oszczędzając Flintowi szczegółów i lekceważąc niebezpieczeństwo. On ze swej strony udawał, że we wszystko wierzy. W jej opowieściach chłopcy z obstawy zawsze znajdowali się na czas tam, gdzie powinni. Z wyjątkiem tego jednego razu, na Belgravii. Ale o tym jednym, jedynym razie oboje nigdy nie wspominali.

Flint pewne rzeczy po prostu przemilczała, przeinaczała fakty.

Na Lawrence Islands nie było najmniejszej szansy, żeby znalazła się w samolocie, który runął do morza. Nie wspomniała, jak się awanturowała z Cutterem, że chce ją wysłać inną drogą do domu i nie godzi na wspólny lot z Hechterem.

W Paryżu rzeczywiście poszła do klubu w uwodzicielskiej sukni, żeby przyciągnąć uwagę Maria. Doprowadziła ojca do łez, relacjonując, jak Gilles omal nie zdradził Dominique z piękną Amazonką, ale nie opowiadała o nocy spędzonej u Silvy. Jakimś sposobem dostała się do jego mieszkania, kiedy poleciał do Zurychu, i tam znalazła nagranie.

Opowieści brzmiały lekko, ale John Flint od razu się zorientował, że Grace jest w poważnych tarapatach. Polowano na nią i ta myśl przyprawiała doktora o lodowaty dreszcz. Przekonywała go, że potrafi znaleźć Franka Harlinga, *na pewno go znajdzie*, i problemy się skończą.

- Nie rozumiem jednego, kochanie. Kiedy go już znajdziesz, co zamierzasz zrobić?

Dobre pytanie. Sama je sobie zadawała. Wiedziała doskonale, że Harling się nie podda nawet i za milion lat. Już prędzej roześmieje się albo zmasakruje jej twarz, jeśli mu się uda. Ale tymi wątpliwościami nie podzieliła się z ojcem.

- Przekonam go - skłamała. - Pamiętasz, jak byłam początkującą gliną, o taką - wyciągnęła dwa palce, pokazując, jak małą. - Goniałam jakieś dzieciaki. Była między nimi czternastoletnia smarkula, dostała się na dach wysokiego budynku, bałam się, że skoczy, weszłam za nią. Opowiadałam ci, pamiętasz?

Patrzył na nią pustym wzrokiem. Nie, nie opowiadałam, pomyślała. *Dwadzieścia metrów nad ziemią, ciemna noc, choć oko wykol, zimny deszcz i rozwścieczona smarkula z nożem.*

- Nie wiedziałam, co robić, jak ją przekonać. Połączyłam się z posterunkiem. - Flint udała, że trzyma w dłoni nadajnik. - „Trzask, trzask, trzask. Co mam mówić, sierzancie? Trzask, trzask, trzask. Ty zawsze wiesz, co powiedzieć, Flint. Trzask. Trzask”. Przeklęty, bezczelny gnojek. - Flint zrobiła nadętą minę i ojciec prychnął śmiechem.

„Gadu, gadu, gadu”. Wyobraziłam sobie, że ta smarkata to Ollie, że leżymy już w łózkach, w internacie i zwierzamy się sobie z kłopotów. Nie przestawałam mówić, plotłam, co mi ślina na język przyniosła. W końcu ten dzieciak prawie mnie błagał, że chce zejść.

Po czterech godzinach na gzymsie zbyt wąskim, żeby usiąść. Byłam tak zdrewniała z zimna, że nie mogłam się ruszyć. Smarkula zsunęła się pod drabinie jak małpa, a mnie musieli ściągać. Ale to inna historia, drogi tatku.

- Gracie, Harling nie jest smarkulą na dachu.

- Kto wie. Jest w opałach. Przyparty do muru. Nie ma gdzie uciekać, do kogo zwrócić się o pomoc. Ja zawsze mam się do kogo zwrócić, muszę tylko mieć pewność, kto siedzi w Enterprise, a kto jest czysty. Frank zdradził przyjaciół, sporządzając swoje oświadczenie, i świetnie o tym wie, nawet jeśli oni jeszcze nie wiedzą. Kiedy się dowiedzą, zabiją go. Ja jestem jego jedyną szansą, jeśli mu życie miłe. Muszę się tylko dowiedzieć, skąd poszedł przeciek na temat Ellis. Kto kazał mu uciekać z Włoch?

- I sądzisz, że ci powie?

- Tak. Przemówię mu do rozsądku. W końcu będzie mnie błagał, żebym go wysłuchała.

Naprawdę?

- A jeśli nie będzie chciał z tobą rozmawiać, Grace? *Wtedy zrobię to, co będę musiała zrobić.*

To znaczy? Och, zamknij się!

- Będzie, tatku.

II

Nigdzie nie mogła dostać porządnego planu Kyrenii. Jak przypuszczała, ze względów wojskowych. Na redzie portu stały dwa tureckie okręty, w mieście kręciły się tureckie patrole wojskowe.

W hotelu kupiła wreszcie ręcznie rysowany, kolorowany plan z małymi stateczkami przy brzegu i barwnymi parasolami dla oznaczenia plaż.

Jeśli wierzyć skali odręcznej mapki, International Hotel i Szkoła Gastronomiczna były największymi budowlami w Kyrenii. Musiała się zadowolić tym, co zdobyła. Podczas śniadania na tarasie Dome podzieliła

plan na kwadraty, które zamierzała przeszukać jeden po drugim, zaczynając od tej części miasta, gdzie znajdowało się najwięcej atrakcji turystycznych i dokąd nigdy nie udało im się dotrzeć z Jamiem.

Nie, nie oczekiwała, że Frank będzie udawał turystę, raczej bogatego rentiera, który zamieszkał w Kyrenii, kierując się kaprysem, przyciągnięty klimatem i zerowymi podatkami.

Wróciła do pokoju, żeby się przebrać: sandały, szorty, luźna bluzka, letni kapelusz z szerokim rondem, osłaniającym kark i pół twarzy przed słońcem. Przejrzała się w lustrze i uznała, że wygląda odpowiednio, nawet trochę komicznie: typowa turystka w śmiesznym kapeluszu.

Ze zdjęciem Franka w kieszeni szortów ruszyła w stronę portu.

„Szuka pani mężczyzny? A ja się nie nadam?” albo: „Już go pani znalazła”, „Powinna pani poszukać prawdziwego mężczyzny”. Kilka takich odpowiedzi i miała już serdecznie dość, ale nie rezygnowała. Pokazywała zdjęcie Franka każdemu taksówkarzowi w mieście, który mógł go kiedyś wieźć, każdemu kelnerowi, który mógł go kiedyś obsługiwać. Raz na trzy razy na twarzy pytanego pojawiał się obleśny uśmiešek, wiedziała już doskonale, co oznacza. W jakimś podejrzanym barze musiała nawet kopnąć faceta w krocze, żeby zrozumiał, że „nie” znaczy nie.

Po czterech godzinach bezskutecznych wypytywań, kiedy zrobiło się zbyt gorąco, żeby chodzić dalej po mieście, opadła na wiklinowe krzesło w jakiejś nadbrzeżnej kawiarence, pustej jak wszystkie pozostałe, i zatopiła się w myślach, wracając wspomnieniami do wakacji, które spędziła w Kyrenii z Jamiem. Nie było tu wtedy tak pusto, nie czuło się wojny. Kyrenia się zmieniła. Ona też.

Ocknęła się dopiero na widok kelnera z krzywym uśmiechem, który stał przed nią, czekając na zamówienie. Nie wyglądał na durnia, który rzuci kolejny kretyński żart, zaryzykowała zatem i wyciągnęła zdjęcie Franka. Oglądał je przez chwilę uważnie.

- Może... Nie jestem pewien... Za dużo ludzi przychodzi.

- Nie dzisiaj - mruknęła.

Zamówiła sałatkę, butelkę wody, zdjęła kapelusz. Koło stolika pojawił się jakiś optymistycznie nastawiony kot, usadowił się pod krzesłem. Flint pomyślała o ojcu, o tym, że John czeka na jej telefon.

- Przyrzeknij, że zadzwonisz - prosił, kiedy zegnali się na lotnisku.

- Natychmiast jak tylko będzie po wszystkim. Wnosząc z tego, co zwojowała rano, może to potrwać.

Tymczasem ojciec będzie żył w ciągłym strachu. Choćby tylko przez wzgląd na niego powinna jak najszybciej wznowić poszukiwania. To tak jakby chodzić od drzwi do drzwi, pukać tysiąc razy na próżno, ale nie można przestać, bo być może odpowiedź kryje się za tysiąc pierwszymi drzwiami.

Powinna mówić: „Szukam tego mężczyzny” i mieć w nosie przygłupich donżuanów. Jeśli będzie musiała, pokaże zdjęcie Harlinga każdemu mieszkańcowi Kyrenii.

Po południu metodycznie przemierzała ulice, wchodziła do każdego sklepu, każdego baru, do urzędów pocztowych i banków. Zaczepiała każdego napotkanego taksówkarza, każdego policjanta, nawet żołnierzy.

Nikt nie rozpoznał twarzy Harlinga. Już zaczęła się zastanawiać, czy tak radykalnie odmienił swój wygląd. Być może Thrush, wyprawiając go pospiesznie za granicę, poradziła mu, żeby zaraz po ucieczce poddał się

operacji plastycznej? Nagle przyszło jej do głowy, że nie rozpoznając Franka może podejść do niego na ulicy, pokazać mu jego dawne zdjęcie i zadać to samo pytanie, które zadawała dziesiątkom innych ludzi.

Gdyby się odezwał, wiedziałaby, z kim ma do czynienia.

„Kończ, Buller. Skończ z nią, do jasnej cholery”.

Ciągle słyszy ten głos, jest w stanie powtórzyć brzmienie każdej głoski.

Wieczorem tuż przed zamknięciem weszła do jakiegoś banku i wręczyła zdjęcie urzędnikowi. Przez moment miała wrażenie, że wreszcie znalazła swojego Graala, że w oczach mężczyzny dostrzegła błysk rozpoznania. Przyglądał się przez chwilę zdjęciu, a potem obojętnie, może zbyt obojętnie, zapytał:

- Jak on się nazywa?

Nie miała pojęcia, jakim nazwiskiem Harling może się posługiwać, uśmiechnęła się więc uśmiechem rozkosznie bezradnej kobietki.

- Nie wiem. Nie przedstawił mi się. - Spuściła oczy zażenowana.

Chwilę zdawał się zastanawiać nad jej odpowiedzią, po czym oddał zdjęcie.

- Nigdy go nie widziałem.

- Na pewno?

- Na pewno - powiedział i Flint wiedziała już, że kłamie. Kiedy zamknął za nią drzwi i obserwował przez szybę, jak odchodzi, przez głowę przemykały jej szalone pomysły, co teraz powinna robić: śledzić go, sprawdzić, gdzie mieszka, zdobyć nagrania z jego telefonu, porozmawiać z sąsiadami, obserwować bank; jednym słowem pilnować na wszystkie sposoby, dopóki coś nie doprowadzi jej do Franka. *Aha!*

Przygnębiona poczuciem własnej bezradności, szła powoli w stronę hotelu. Marzyła o tym, żeby wziąć prysznic, przebrać się i wypić drinka.

Musiałby się zdarzyć cud, Flint. Inaczej nigdy nie znajdziesz Harlinga.

Och, zamknij się!

Zaczynała złościć się na samą siebie. W końcu to dopiero pierwszy dzień, na litość boską! Czego się spodziewała? Że ktoś jej poda Harlinga na tacy? Musi szukać, działać, węszyć, aż trafi na trop. Rozczulanie się nad sobą to strata czasu.

Na litość boską!

Zacząła iść szybciej, wyprostowała się. Do hotelu weszła już energicznym krokiem.

Wieczorem znowu była na bulwarze i rozglądała się za Frankiem. Usiadła w restauracji, wybierając tak miejsce, by dobrze widzieć przechodniów i nadchodzących gości. Nie było ich wielu, większość stolików świeciła pustkami, znudzeni kelnerzy zerkali na zegarki, poganiając wlokący się czas.

- Daj mi spokój! - rozległ się wysoki kobiecy głos.

Flint odwróciła głowę. Kilka stolików dalej siedziała jakaś para, kobieta z obrażoną miną i starający się ją udobruchać mężczyzna. Flint przyjrzała mu się już wcześniej. Wyglądał na miejscowego i z pewnością nie przypominał Harlinga, chyba że ten poddałby się transplantacji ciała. Kobieta gniewnym ruchem sięgnęła po kartę, ostentacyjnie separując się od towarzysza. Mężczyzna próbował pogłaskać kobietę po dłoni, cofnęła ją.

- Nie - prychnęła. - Powtarzam, nie.

Dziwne, pomyślała Flint. Ona i Jamie nigdy się nie kłócili, nawet nie sprzecznali. Bywało, że wpadała w gniew, ale Jamie zawsze potrafił rozbroić ją swoim wdziękiem. Kiedy to się zmieniło? Po tym, jak w życiu Flint pojawił się Frank Harling.

Kiedy leżała w szpitalu, Jamie zachowywał się wspaniale. Wziął wolne w pracy, przez pierwsze doby nie odchodził od jej łóżka. Dopóki pielęgniarki nie poddały się i nie przyniosły mu polówki, spał na podłodze. Jeśli w ogóle spał. Ilekroć Flint budziła się z transu, w jaki wprawiały ją środki znieczulające, był przy niej. Czujny, troskliwy. Jeszcze teraz słyszała jego cichy, troskliwy głos.

Kobieta mówiła coś do kelnera, o coś go prosiła, mężczyzna uśmiechał się szeroko. Flint doszła do wniosku, że nie jest jej towarzyszem. W zachowaniu kobiety było coś z angielskiego poczucia wyższości, jakaś wyniosłość. Na Flint sprawiała wrażenie turystki, do której przyczepił się namolny miejscowy Romeo. Teraz on mówił, żywo gestykułując. Kelner wzruszył ramionami i odszedł. Kobieta wyglądała na mocno nieszczęśliwą i Flint zaczęła się już zastanawiać, czy nie powinna interweniować.

Często nie mogła się powstrzymać: reagowała odruchowo. Pamiętała pierwszą poważną awanturę z Jamiem. Wyszli wtedy wieczorem po raz pierwszy od wielu miesięcy, i to tylko do kina, bo Flint nie chciała pokazywać ludziom pokrytej bliznami twarzy. W drodze powrotnej zobaczyli trzech białych osiłków napastujących czarną dziewczynę. Kpili z koloru jej skóry, wyzywali od „asfaltowych cip” i gorzej. Flint wyjęła z torebki gaz, który miała prawo nosić na wypadek, gdyby Frank Harling zatęsknił za jej widokiem, podeszła do typków i psiknęła jednemu z nich

prosto w twarz. Przez moment miała wrażenie, że dwóch pozostałych rzuci się na nią. Czekala: niechby spróbowali. Widocznie wyczytali tę gotowość w jej pokiereszowanej twarzy, bo wycofali się, zabierając swojego kumpla. Nawet nie obrzucili jej wyzwiskami.

Po powrocie do domu Jamie wpadł we wściekłość: nigdy go jeszcze takiego nie widziała.

- Chryste! Jeszcze ci nie dość? Szukasz śmierci?

- Jestem gliną, Jamie. To moja praca. Powinnam reagować, jeśli trzeba. Wiesz: bronić obywateli, czuwać nad porządkiem, takie rzeczy...

- Jesteś na zwolnieniu. Nie potrafisz chociaż na chwilę zapomnieć, że... Nie możesz sobie czasami odpuścić?

No nie. Nie chciała mu wyjaśniać, że ta wieczna potrzeba interweniowania ma jej skompensować to, że nie mogła pomóc swojej matce, że nie zapobiegła temu, co stało się z Mad. Mogła mu jeszcze powiedzieć, że została gliną właśnie po to, żeby interweniować, żeby pewnego dnia wystawić się na ostateczne ryzyko, większe niż na Belgravii, aż zniknie dręczące poczucie winy.

Odpowiedziałby: „Na litość boską, Grace, miałaś wtedy sześć lat!” albo coś w tym rodzaju. Mogliby tak dyskutować godzinami, a on i tak nic by nie zrozumiał.

Zamiast zagłębiać się w mroczną przeszłość, powiedziała tylko:

- Mogłeś coś zrobić.

Jamie przyjął to jako obelgę, zaczął krzyczeć, że robi z niego tchórza. W pewnym sensie miał rację.

Do kobiety podszedł teraz jakiś człowiek, zapewne właściciel restauracji, jak przypuszczała Flint.

Docierały do niej oderwane słowa: „w spokoju... prześladowe od miesięcy... każe mu wyjść stąd”. Rozeźlony Romeo podniósł się od stolika. Właściciel krzyczał na niego, tamten nie pozostawał dłużny. Wyglądało na to, że zaraz zacznie się szarpanina.

Romeo w końcu odszedł. Kiedy był już na ulicy, krzyknął jeszcze coś po turecku, co brzmiało wyzywająco, wnosząc po tonie głosu, ale kobieta go zignorowała. Roztrzęsiona, wyraźnie jeszcze zdenerwowana zagłębiła się ponownie w studiowanie karty.

„Prześladuje od miesięcy”? Mózg Flint pracował szybko. To znaczy, że ona tu mieszka.

Kiedy już upewniła się, że Romeo zniknął, podeszła do stolika kobiety z ledwo napoczętą butelką wina.

- Dobry wieczór. Pomyślałam, że kieliszek dobrze pani zrobi.

- Słucham? - Kobieta zmierzyła ją wrogim spojrzeniem. Mogła mieć niewiele ponad czterdzieści lat. Była mocno opalona, gładko zaczesane do tyłu włosy podkreślały wydatne kości policzkowe i długą szyję. Płócienna koszula, stare spodnie, żadnej biżuterii poza jakimś drobiazgiem, wszystko to świadczyło o świadomej niedbałości, ale w niczym nie umniejszało urody kobiety.

- Nie mogłam nie zauważyć. - Uniosła butelkę. - Jeśli wróci, niech mu pani da tym w łeb, chociaż szkoda byłoby wina.

- Mam nadzieję, że nie będzie potrzeby, ale dziękuję.

- Drobiazg.

- Muszę wracać do domu.

- Oczywiście. - Flint się odwróciła.

- Nie chciałam, żeby zabrzmiało to nieuprzejmie - rzuciła za nią kobieta.

- Rozumiem. Jeśli nie ma pani ochoty na towarzystwo... Chwila wahania, a potem:

- Jestem Stella. Stella Montague.

- Gillian Stone - przedstawiła się Flint. - Gill.

- Przyszłam, żeby coś zjeść, ale ten...

- Dupek? - podsunęła Flint. - Kretyn? Bałwan?

- Wszystko naraz i jeszcze gorzej. Kobieta zaczęła się uspokajać.

- Jadła już pani?

Flint wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, czy mam ochotę. - Zawahała się. - Dobrze, zjem coś, jeśli pani też będzie jadła, ale najpierw... - Uniosła butelkę.

- Tak. Muszę się czegoś napić - powiedziała Stella.

* * *

Stella Montague była wdową. Jej mąż zginął w karambolu na autostradzie M4.

- Zawsze jeździł zbyt szybko - opowiadała obiektywnym tonem. - Była wtedy straszna mgła, praktycznie zero widzialności, a on gnał sto czterdzieści kilometrów na godzinę. Kompletny wariat.

A więc nie jest sentymentalna, pomyślała Flint.

Wyjechała z Anglii mniej więcej przed rokiem, głównie ze względu na podatki i zdecydowała się zamieszkać w Kyrenii, właściwie nie bardzo wiedząc, dlaczego akurat tutaj. Życie było tu tanie, klimat cudowny, ale miasto było nędzną dziurą, w dodatku pełną Anglików. Angielski pub,

angielskie sklepy, angielska szkoła, nawet, uwierzyłaby pani, angielski kościół.

- Tak? - zdziwiła się uprzejmie Flint, jakby o tym nie wiedziała. -
Utrzymuje pani kontakty z angielską kolonią?

- Nie, staram się trzymać z boku. Lubię grać w brydża, mamy tutaj klub brydżowy, ale właściwie to wszystko, poza klubem nie spotykam się z Anglikami. Staram się wtopić w miejscowe życie.

Wkrótce po przyjeździe Stella zaczęła uczyć się tureckiego i w ten sposób, pośrednio, poznała Ahmada.

- Ahmada?

Stella wskazała głową w kierunku, gdzie zniknął Romeo. Prowadził garaż, a ona postanowiła kupić samochód, jako że kobieta, u której trzy razy w tygodniu brała lekcje tureckiego, mieszkała strasznie daleko, wiele kilometrów od miasta, na wzgórzach. Miała już dość płacenia za taksówki, które czekały na nią przez dwie bite godziny za każdym razem, kiedy mordowała się nad zawłościami języka, który ma więcej spółgłosek niż samogłosek i nie uznaje rodzajów gramatycznych. Ahmad sprzedał jej małego forda w niezłym stanie. Kilka razy jeździła do niego na przeglądy i tak zaczęła się ta znajomość.

- Przespałam się z nim raz czy dwa, nic poważnego, ale ten idiota albo powiedział żonie, albo dowiedziała się jakimś sposobem, w każdym razie zaczęła wydzwaniać, wyzywać mnie, histeryzować. Nie rozumiałam połowy z tego, co wykrzykiwała. W końcu do mnie przyszła, wpadła do domu, zaczęła pokazywać zdjęcia swoich dzieci. To przesądziło sprawę. Ahmad był dobry, ale nie aż tak dobry. Dwa czy trzy miesiące temu

powiedziałam mu, żeby spadał, tymczasem on przyczepił się do mnie jak rzep.

- Groził ci?

- Nie, Boże uchroni. Wręcz przeciwnie. Deklaruje dozgonną miłość. Gotów jest zostawić żonę i małe Ahmadziątka. Mam już szczerze dość.

- Może powinnaś pójść na policję.

- Chyba żartujesz.

Flint już chciała przekonywać Stellę, ale się powstrzymała. Cutter powiedział jej kiedyś: „Jesteś dobra, Flint, bo nigdy nie zapominasz, kogo grasz”.

- Tak, pewnie masz rację - przytaknęła. - Przespałaś się z facetem, więc o co chodzi? Gliny nie bawią się w takie subtelności.

- Mówisz tak, jakbyś znała to z własnego doświadczenia.

- Kiedyś zostałam zgwałcona. Problem polegał na tym, że zgwałcił mnie facet, z którym mieszkałam przez rok, więc jaki gwałt, co za gwałt? Wyobrażasz sobie?

Stella zapaliła papierosa.

- I dlatego tutaj przyjechałaś?

- Po części dlatego. Chciałam cię o coś zapytać.

W oczach Stelli pojawiła się czujność.

- Szukam jednego Anglika. Może go znasz.

- Jak się nazywa?

- Za czasów, kiedy go znałam, nazywał się Harling. Frank Harling.

Stella zastanawiała się przez chwilę.

- Nigdy o nikim takim nie słyszałam, ale mówiłam ci, trzymam się z daleka od naszej kolonii.

- Teraz facet na pewno nazywa się inaczej. Zmienia nazwiska równie często jak majtki.

- Jesteś w ciąży, tak?

- Nie przyjechałam tutaj się z nim awanturować. Chcę tylko pogadać. Stella wzruszyła ramionami na znak, że niewiele ją to obchodzi.

- Mówiłaś, że macie tutaj klub brydżowy i że większość członków to Anglicy - ciągnęła Flint.

- Owszem.

- Mam zdjęcie Franka. Może mogłabym pokazać je w waszym klubie. Może ktoś go rozpozna.

Potrzebujesz swojej armii, Flint, armii Anglików.

- Może. - W głosie Stelli zabrzmiała nuta powątpiewania. - Gramy jutro wieczorem. Przyjdź, jeśli chcesz.

Flint skinęła głową.

- Nie mam nic do stracenia. Gdzie jest ten wasz klub?

- A gdzie mieszkasz?

- W Dome.

- Przyjadę po ciebie jutro około szóstej. Flint uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Chodźmy już. Gdzie zostawiłaś samochód?

- Za rogiem.

- Odprowadzę cię.

Uregulowały rachunek i ruszyły nabrzeżem w stronę wznoszącej się stromo uliczki, gdzie stał mały ford. Kiedy Stella zaczęła szukać kluczyków, Flint usłyszała za sobą jakiś odgłos. Odwróciła się i kucnęła, gdy zobaczyła rzucającego się na nią Ahmada. Zbił ją z nóg i przygniótł

całym ciężarem ciała do ziemi. Walczyła jak kocica, próbowała dosięgnąć palcami oczu. Kiedy w trakcie kotłowania znalazła się na górze, poczuła cios w kark; eksplozję bólu w czaszce. Potem ktoś ją podniósł, ktoś inny otworzył drzwiczki samochodu.

- Miałaś z nią kłopoty? - zapytał dobrze jej znany głos.
- Nie - powiedziała Stella. - Nie może się doczekać spotkania z tobą.
- Głupia krowa - prychnął Frank Harling.

III

Przy siadaniu na pasie lotniska w Ercan samolot przechylił się gwałtownie na prawo skrzydło. Cohen poczuł irracjonalny lęk. Nie lubił latać, a do tureckich linii lotniczych nie miał już za grosz zaufania. Kiedy miał szesnaście lat, ojciec zabrał go na mecz rugby Francja-Anglia rozgrywany w Paryżu. Gdyby nie to, że spóźnili się na samolot powrotny, znaleźliby się wśród trzystu czterdziestu sześciu pasażerów tureckiego DC-10 lecącego do Londynu, który runął w lasach Ermenonville.

Na dodatek stary boenig, którym podróżowali na Cypr, czy też Kybris, jak nazywali wyspę Turcy, cały czas rzeził i dygotał, jakby za chwilę miał się rozpaść. Cohen siedział blady, dłonie z całych sił zaciskał na poręczach fotela.

- Zdaje się, że nie za bardzo kochasz latanie - zauważył Alexander Bland.

Bland był jednym z ludzi Cuttera. W każdym razie Cutter go wysłał. Formalnie zajmował jedno z wyższych stanowisk w ambasadzie USA w Ankarze i o ile Cohen się nie mylił, kiedyś zaczynał swoją karierę w Turcji jako agent CIA.

- Alex to mój stary kumpel - powiedział Cutter enigmatycznie. -
Możesz mu całkowicie ufać, Harry. Jest dobry w swoim fachu.

I rzeczywiście. Kiedy Cohen snuł się po Stambule, Bland starał się wykorzystać wszystkie możliwe kanały dyplomatyczne dla negocjacji z państwem, które nie istniało. Nikt nie uznawał Republiki Tureckiej Cypru Północnego poza samymi Turkami i - „A prawda - mówił Bland - Mozambikiem”. Nikt też nie uznawał jej prezydenta Raufa Denktasa.

- Trudno negocjować z kimś, kogo przez ćwierć wieku nazywa się przestępcą i kogo nadal trzeba nazywać przestępcą, niezależnie od tego, co dla ciebie robi - ciągnął Bland.

W każdym razie wynegocjował rozmowę z Denktasem. Prezydencka limuzyna czekała już na nich na lotnisku.

- A więc jest pan prawnikiem, panie Cohen - odezwał się prezydent.
- To tak jak ja.

- Zaledwie rejentem - odparł Cohen. - Żołnierzem piechoty.

- Niemniej jestem pewien, że rozumie pan prawną złożoność sprawy. Przerażliwą złożoność.

- Sprawa istotnie jest złożona, sir.

- Och, więcej niż złożona, panie Cohen. Popatrzmy. - Prezydent nałożył okulary i otworzył zaskakująco grubą teczkę. Niejaki Harling, którego mamy panom pomóc odnaleźć i aresztować, nie popełnił, o ile mi wiadomo, żadnego przestępstwa na terenie naszego kraju. Przekroczył naszą granicę legalnie, pod nazwiskiem, które, jak panowie mówicie, jest jego własnym nazwiskiem. Jakiego używa teraz, to już jego prywatna sprawa. Może nazywać się, jak chce, dopóki nie czyni tego w złych

intencjach. - Zerknął na Cohena znad okularów, jakby chciał się upewnić, czy ten nadaża za jego tokiem rozumowania.

- Natomiast ta kobieta, Flint, wjechała na nasz teren nielegalnie, chyba że naprawdę nazywa się... - sprawdził w dokumentach - Gillian Stone. Tymczasem panowie mówią mi, że to fałszywe nazwisko, sfabrykowane w jakimś barze w Amsterdamie.

- Niekoniecznie sfabrykowane w barze - skorygował Cohen z niejaką pedanterią. - Paszport został kupiony od kogoś, kto pracuje w barze.

Denktas machnął pulchną dłonią na ten mało istotny szczegół.

- Tak czy inaczej kobieta wjechała do naszego kraju na podstawie fałszywych dokumentów, a to u nas przestępstwo. Mogę pana zapewnić, że zostanie aresztowana, panie Cohen.

- Dziękuję, sir.

- Nie, wydaje mi się, że pan mnie nie zrozumiał. Zostanie zaaresztowana za przestępstwo, które popełniła tutaj. Tu będzie sądzona i jeśli sąd orzeknie winę, a orzeknie bezsprzecznie, tutaj odbędzie karę więzienia. Dopiero potem może zostać deportowana.

Cohen z trudem przełknął ślinę.

- Jest poszukiwana za morderstwo, sir. Obydwoje są poszukiwani za dokonanie morderstwa.

- To pan tak twierdzi, panie Cohen, co prowadzi nas do następnego problemu. Proszę mi powiedzieć, panie Bland, gdyby Brytyjczycy zwrócili się do was z prośbą o wydanie obywateli ich kraju, co by się stało?

Bland dostał z Waszyngtonu wyraźne instrukcje, żeby nie wdawał się w dyskusje i pozostawił zadanie prowadzenia rozmów Cohenowi. Miał tylko doprowadzić do spotkania, na tym polegało jego zadanie. Dla

zaznaczenia swojej pośledniej roli, usiadł nawet na kanapie, z dala od prezydenckiego biurka.

- Nie jestem prawnikiem, sir.

- Nie - odparł Denktas cierpko. - Jest pan, jak mi mówiono, dyplomata. Musi pan jednak wiedzieć, że istnieją pewne procedury, których należy przestrzegać i które obowiązują nawet przyjaciół: umowy, traktaty, listy *rogatoire*, ustalone zasady ekstradycji.

- Panie prezydencie, zdaję sobie sprawę, że to, o co proszę, wykracza poza zwykłe zasady postępowania.

- Wykracza poza zwykłe zasady postępowania! Pan mnie prosi o rzecz bezprecedensową. Przychodźcie panowie do mnie, przedstawiciele dwóch mocarstw, które uczyniły wszystko, by zakwestionować istnienie mojego kraju i doprowadzić do jego całkowitej izolacji - chociaż jest on państwem demokratycznym, posiadającym swoją konstytucję oraz kodeksy prawne - i prosicie mnie, żebym łamał obowiązujące prawa. Czy nie tak sprawy wyglądają?

- Tak - powiedział Cohen.

- A do tego jeszcze mamy zagadkowe zaangażowanie rządu USA, który ze wszech miar popiera pańską prośbę, panie Cohen. Przecież to wewnętrzny problem brytyjski, prawda?

- Nie do końca - powiedział Cohen. - Jak zapewne panu wiadomo, Harling i Flint są podejrzani o podłożenie bomby na podkładzie samolotu, w wyniku czego zginęło czworo ludzi. To był amerykański samolot. Pilot i jeden z pasażerów byli amerykańskimi obywatelami, mówiąc ściśle, agentami federalnymi.

- Cieszę się, że pan o tym wspomniał. - Denktas wyjął z teczki faks listu gończego rozesłanego przez Interpol za Flint. Niebezpieczna fikcja, którą sam wymyślił, zaczynała teraz żyć własnym życiem.

- Flint jest, jak widzę, poszukiwana także za dokonanie zamachu bombowego w Paryżu, czy tak?

- Jest jedną z osób do przesłuchania w tej sprawie - sprostował Cohen.

- Ale nie przez Francuzów. Człowiek, który zginął...

- Był Portugalczykiem, sir.

- A niechby był i Malajem, panie Cohen, ale zginął w Paryżu i kilku francuskich policjantów zostało rannych w czasie eksplozji, a jednak Francuzi jakoś nie popierają pańskiej prośby. Dwóch Amerykanów ginie w amerykańskim samolocie i chociaż pan Bland przybył tu z panem, nie domaga się wydania tych dwojga terrorystów władzom USA, nie odzywa się właściwie słowem. Więc jest to sprawa czysto brytyjska czy nie, panie Cohen?

- Początkowo była...

- Początkowo?

- W tej chwili Flint i Harling są poszukiwani jako podejrzani o morderstwo. Nikt nie twierdzi, że to oni podłożyli obydwie bomby. Raczej należą do większej grupy przestępczej, która działała także na terenie Wielkiej Brytanii.

- Ach, rozumiem! - powiedział Denktas, jakby nagle przejrzał poprzez gęstą mgłę. - Początkowo sądziliście, że Flint i Harling mogli należeć do grupy przestępczej, po części działającej na terenie Wielkiej Brytanii. A jeśli nie? A jeśli działali równocześnie w Paryżu, Nowym

Jorku, Amsterdamie? Co wtedy? Przekażecie ich Francuzom, Amerykanom czy Holendrom?

- Technicznie...

- Technicznie, panie Cohen.

W greckiej części Cypru, gdzie Denktas był znienawidzony, nazywano go „osłem”, na Whitehall swoim uporem zasłużył sobie na przydomek „muła”. Przypomina raczej lisa, pomyślał Cohen.

- Możliwe, panie prezydencie, że jeśli nie zostaną oskarżeni w Wielkiej Brytanii, upomni się o nich jakieś inne państwo.

Denktas pokręcił głową.

- I tu dotarliśmy do sedna sprawy, panowie. Nie istnieją żadne umowy między RTCP i Zjednoczonym Królestwem, rząd Wielkiej Brytanii nie wystąpił z formalnym żądaniem ekstradycji, brak choćby *prima facie* dowodów, a wy, panowie, prosicie, żebym wydał wam Flint, która popełniła przestępstwo, wjeżdżając do mojego kraju, oraz Harlinga, który nie popełnił tu żadnego przestępstwa. A to wszystko po to, byście mogli przekazać potem oboje władzom amerykańskim, francuskim, holenderskim, a może portugalskim? Tak czy inaczej władzom, które nie uznają naszej republiki, nie podpisały nigdy z nami żadnego traktatu, nie przedstawiły nam żadnych dowodów, nie wystąpiły do nas z żadną prośbą. Zbyt wiele pan żąda, panie Cohen.

Denktas zdjął okulary, zamknął teczkę.

- Takiej decyzji nie podejmuje się w ciągu kilku minut. Teraz każę odwieźć panów do hotelu. Zostaniecie poinformowani we właściwym czasie. - Tu prezydent zajął się innymi pilnymi dokumentami.

Bland nie wytrzymał:

- Czego trzeba, żeby powiedział pan „tak”, panie prezydencie?

- Jednego słowa, panie Bland. Nie od pana. Z Waszyngtonu. Od waszego sekretarza stanu. Musiałby do mnie zadzwonić osobiście.

- Zakładając niemożliwe, jak miałyby brzmieć to słowo, sir? Denktas nie podniósł nawet głowy znad biurka.

- „Proszę”.

Hotel znajdował się na samej granicy greckiej i tureckiej części Cypru, tuż przy tak zwanej zielonej linii biegnącej przez sam środek Nikozji - Lefkozy, jak nazywają ją Turcy - podzielonej na dwie części murami, barykadami i zasiekami z drutu kolczastego. „Linii” od ćwierćwiecza strzegły oddziały ONZ. Ze swojego pokoju Cohen widział okopy Turków i cała sytuacja wydawała mu się surrealistyczna. Miał wrażenie, że mur berliński nie upadł, tylko został przeniesiony w inną część świata, o nieco cieplejszym klimacie.

Tuż za ścianą Bland w swoim pokoju cały czas rozmawiał przez telefon. Przywiózł ze sobą walizeczkę, w której mieścił się sprzęt zabezpieczający przed podsłuchem telefonicznym, ale nie mógł unieszkodliwić „pluskiew” zainstalowanych w pokoju; jeśli ktoś pofatygował się je zainstalować.

- Zakładam, że je zainstalowano - przestrzegał Cohena - i że będą słuchać wszystkich twoich rozmów, podobnie jak moich.

Cohen nie przejmował się tym, co mogą usłyszeć Turcy. W końcu Denktas nie był wrogiem.

- To ja - zaczął, dzwoniąc na bezpośredni numer Glenninga do Scotland Yardu.

- Za dwadzieścia minut. - Glenning odłożył słuchawkę. Żeby zabezpieczyć się przynajmniej przed bezpośrednim podsłuchem, chociaż nie przed satelitarnym systemem GCHQ, za miejsce rozmów wybrali automat telefoniczny w Crowne Plaza Hotel przy Buckingham Gate. Glenning mógł tam dotrzeć w ciągu kilku minut, zamówić sobie drinka, a nawet zapalić fajkę, jeśli bardzo by chciał.

- Jak idzie?

- Za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć. Co u ciebie?

- A.J. pluje krwią. Twierdzi, że nie byłeś z nim do końca szczery.

Peter doszedł do tego samego wniosku. Teraz, wobec tego, co im powiedziałem o twoim spotkaniu z weterynarzem, wszyscy trzej zgodnie uważamy cię za podejrzanego.

- I?

- A. J. zażądał „wglądu”.

- Wglądu w co?

- We wszystkie twoje kontakty. Oni to jest my, nie możemy ci ufać, Harry. Podejrzewamy, że Cutter cię omotał, cytuję słowa A. J.. A ponieważ Cutter nie powie nam słowa, jesteś właściwie skończony.

- Kiedy A. J. może się pojawić?

- Niewykluczone, że właśnie nas słucha.

- Rozumiem. Zadzwoń, jak będę coś wiedział.

- Czekam. Słuchaj, Harry, jesteś pewien, że wiesz, co robisz?

- Nie, ale nie mam wielkiego wyboru.

Cohen odłożył słuchawkę i telefon odezwał się niemal natychmiast.

- Jednak wchodzimy do gry - odezwał się Bland. - Bądź za pięć minut na dole. I o nic nie pytaj.

Nawet jeśli prezydent Denktas w głębi duszy uważał, że dokonał największego manewru politycznego od czasów Jałty, był na tyle światowcem, żeby tego nie okazać. Przywitał Blanda i Cohena w swoim gabinecie, jakby wyszli zaledwie na kilka minut dla rozprostowania nóg.

- Przed nami trochę pracy, panowie.

Wcześniej zdążył zdjąć marynarkę i krawat, pozbywając się tym samym oznak ceremonialności. Nie siedział już za biurkiem, ale na kanapie; przed nim na stoliku leżała otwarta teczka z dokumentami.

- Okazuje się, że Flint przyплыnęła do Kyrenii w czwartek późnym popołudniem promem z Antalyi. - Podał Cohenowi kartę przekroczenia granicy, na której widniało nazwisko Stone, ale prezydent nie uczynił żadnego komentarza na ten temat. - Zastanawiam się, dlaczego nie przyleciała prosto ze Stambułu?

- Linie lotnicze sporządzają listy pasażerów - wyjaśnił Cohen. - Linie promowe nie mają tego zwyczaju. - Oczywiście. Zatrzymała się w Dome Hotel, nie dokonując wcześniej rezerwacji. Gdyby nie ciężkie czasy, nie znalazłaby tak łatwo wolnego pokoju. Ale czasy, niestety, mamy ciężkie. Panie Bland, pozwoli pan, że zadam panu pytanie. Myśli pan, że nasi przyjaciele po drugiej stronie są na tyle szaleni, by użyć rakiet?

- Nie mam na ten temat żadnego zdania, sir.

- Ja mam - oznajmił Denktas. - Wycofają się. Muszą się wycofać. Jeśli nie, użyjemy siły, będziemy bombardować ich stanowiska.

Cohen zastanawiał się, czy pani sekretarz stanu poruszyła w czasie rozmowy, której w ogóle nie powinna była prowadzić, tym bardziej

przyznawać oficjalnie, że ją przeprowadziła, kwestię wiszącą nad Cyprem wojny. Jeśli tak, znała już stanowisko Turków.

- Flint spędziła czwartkowy wieczór w swoim pokoju. Nikt z dotąd przepytanych nie przypomina sobie...

- Czy mogę panu przerwać, sir? - Cohen nie mógł się powstrzymać. To, co mówił Denktas, bardziej przypominało pobieżny raport policyjny dotyczący osoby zaginionej niż kogoś, kto ma być śledzony. - Chce pan powiedzieć, że Flint zniknęła?

- Zaraz do tego dojdziemy, panie Cohen. Wszystko we właściwym czasie.

Chryste!

Cutter uprzedzał go, że musi działać szybko. Że tamci są przerażeni. Nie wiedzą, co się dzieje, będą chcieli wyciągnąć z Flint, ile zdołają.

- Wczoraj, w piątek, była bardzo zajęta.

- Proszę, panie prezydencie! Muszę wiedzieć, co się stało. Denktas nachmurzył się, ale odpowiedział:

- Zniknęła w dziwnych okolicznościach.

- Co pan przez to rozumie?

- Wczoraj wieczorem jadła kolację z jakąś kobietą w restauracji w porcie. Wyszły razem, po czym Flint nie pojawiła się już w hotelu. Jej rzeczy nadal tam są, łącznie z paszportem, z obydwoma paszportami, które zdeponowała w sejfie hotelowym razem z kilkoma tysiącami funtów brytyjskich. Zdaniem policji to dziwne, że zostawiła w hotelu tak dużą sumę pieniędzy. Chyba że uciekła w panice. To możliwe. *Spóźniłeś się! Spóźniłeś się, do jasnej cholery!*

- Kim jest ta kobieta, z którą jadła kolację?

- Tego nie wiemy. - Denktas zerknął do teczki z dokumentami. -
Mamy tylko bardzo przybliżony opis. Około czterdziestu lat,
najprawdopodobniej Angielka, rude włosy, nieatrakcyjna, niedbałe
ubranie, bez biżuterii, tylko jeden złoty drobiazg.

Złoty drobiazg.

- Czy miała na szyi cienki złoty łańcuszek? - zapytał Cohen. Denktas
ponownie zajrzał do papierów.

- Tak. Złota obrączka na palcu i złoty łańcuszek na szyi. Pan ją zna?
To też kryminalistka? Ktoś z tej samej grupy?

- Niewykluczone.

Cohen miał przed oczami Sarę, jej palce, złoty łańcuszek, którym się
bawi, oglądając taśmę. Denktas źle zrozumiał jego zdenerwowanie.

- Zapewniam pana, że prowadzimy zakrojone na szeroką skalę
poszukiwania. Zniknęli oboje: Flint i Harling. Brygada specjalna
odwiedziła dzisiaj rano jego mieszkanie. - Denktas przerwał, uśmiechnął
się. - Mówię, odwiedziła, chociaż wątpię, czy pukali. W każdym razie nie
zastali go, zniknęły też jego rzeczy. Sąsiedzi widzieli, jak wyprowadzał się
wczoraj po południu. Mamy opis samochodu.

Denktas podał Cohenowi dokument napisany po turecku, opatrzony
kilkoma pieczęciami i podpisami.

- To *laissez passer* podpisane przeze mnie, szefa policji i ko-
mendanta sił wojskowych. Będzie panu potrzebne, bo drogi zablokowane
są przez nasze patrole. Na dole czeka już samochód z szoferem.

- Dokąd mam jechać?

- Do Kyrenii. Na pewno ich znajdziemy, a że tylko pan może zidentyfikować Flint i Harlinga, pańska obecność będzie niezbędna. Nie sądzi pan?

- Tak - przytaknął Cohen.

Boże, pozwól mi tam dotrzeć, zanim będzie za późno.

- Dziękuję. - Spojrzał na Blanda z niemą prośbą w oczach. *Co mam robić? Co mam, do diabła, robić?* Bland wzruszył ramionami, podniósł rękę w geście pożegnania.

- Pan Bland i ja mamy teraz kilka innych spraw do omówienia.

Prezydent Denktas ujął dłoń Cohena w obie ręce.

- Życzę powodzenia, panie Cohen. Udanych łowów.

IV

Grace Flint leży w białym pudle ciasnym jak trumna, ale wie przecież, że trumny nie mogą być wewnątrz białe. Są wyłożone czerwonym pluszem albo nie są niczym wyłożone, ot, sosnowe deski. Poza tym w trumnach nie ma światła-oślepiającego światła, które drażni nerw wzrokowy i doprowadza do szału - trudno też usłyszeć w trumnie, jak Annie Lennox śpiewa „I may be mad... Ja szalona, ślepa ja, nie-skończenie zła”. Okrywa ją prześcieradło, a może całun, biały jak skóra na jej twarzy, biały jak jej włosy. Wszystko jest białe. Gdyby mogła spojrzeć z zewnątrz, zobaczyłaby, że ginie pośród tej doskonałej bieli. Niewidoczna zapada się, zapada, zapada...

Nagle budzi się z halucynacji, wraca do świadomości. Nie znajduje się w żadnym pudle, tylko w jakimś pokoju. Leży na czymś twardym, może na stole. W pokoju jest ktoś jeszcze, ubrany na biało. To wszystko, co do niej dociera, po czym znowu zaczyna się zapadać...

Annie Lennox śpiewa: „This is fear... Oto lęk, oto strach, w głowie mojej tłumy zjaw”. Annie jest ubrana na biało, nachyla się nad nią, zadaje ból.

- Zostaw mnie! „Nieskończenie zła... ”.

Annie wbija coś w jej ramię, uderza ją w twarz, woła do niej. „Oto lęk, oto strach... ”.

Zostaw mnie, suko!

Flint czuje coś w ustach i po chwili następuje eksplozja bólu.

* * *

Stella Montague wyjmując termometr z ust Flint, sprawdza temperaturę.

- W porządku - mówi i zwraca się do Flint: - Jak się czujesz, kochanie?

Ma na sobie białą tunikę, zsunęła z ust maskę chirurgiczną, rozpuszczone włosy opadają swobodnie na ramiona. Flint milczy, nie zamierza odpowiadać ani słowem.

- Pewnie chce ci się pić, ale musisz jeszcze chwilę wytrzymać. Nie ruszaj się, kochanie. Nie trzeba.

Tak jakby mogła się ruszyć! Czuje, że jest przywiązana do stołu dwoma pasami.

- Za chwilę wracam.

Stella znika za białym prześcieradłem wiszącym mniej więcej na poziomie piersi Flint i ograniczającym widok wnętrza. Flint nie może dojrzeć nic poza zasłoną, ale czuje, że Stella nie jest sama w pokoju.

- Kończmy - mówi Frank Harling.

- A teraz kochanie - to głos Stelli - musisz unieść trochę biodra i obrócić się na bok, tak żebyśmy mogli widzieć twój kręgosłup.

Flint leży sztywno, ani drgnie.

- Ależ z ciebie cipa. Frank, obróć ją.

Czuje na biodrach czyjeś dłonie, ktoś ją obraca do żądanej pozycji.

- Teraz poczujesz ukłucie. Nie bój się, nie będzie bolało, ale musisz leżeć spokojnie. Jeśli się ruszysz, wtedy rzeczywiście może boleć i będziemy musieli zaczynać wszystko od początku. Odpręż się.

Palce na ciele, potem lekkie ukłucie.

- Przytrzymajcie ją - odzywa się jakiś męski głos.

- Bardzo dobrze - chwali ją Stella. - Jeszcze tylko kilka sekund... i już po wszystkim!

Zasłona na moment się unosi i Flint widzi nad sobą uśmiechniętą twarz Stelli.

- No widzisz, to nie było wcale straszne, prawda?

Flint czuje szloch podchodzący do gardła, ale udaje się jej zapanować nad sobą.

- Zaraz do ciebie wracam.

Flint słyszy dochodzący zza zasłony cichy szcęk odkładanych narzędzi chirurgicznych i znowu pojawia się Stella, tym razem z wózkiem, na którym jest jakaś butla. Tlen, myśli Flint.

- To na wszelki wypadek - mówi Stella. - Nie chcemy przecież, żebyś nam umarła, prawda?

- Daj spokój. Po cholere - odzywa się Frank Harling. Stella nie zwraca na niego uwagi, zajęta aparatem tlenowym sprawdza połączenia.

- Chyba wszystko w porządku. A teraz...

Nachyla się nad Flint, dotyka jej czoła, bada puls na szyi.

- Bardzo dobrze. - Przysiada na krawędzi stołu. - Wy tłumaczę ci, co zamierzamy zrobić.

Flint napływają łzy do oczu. Mruga kilka razy powiekami, żeby się ich pozbyć. Chce wyraźnie widzieć Stelle.

- Chcemy zapytać cię o kilka rzeczy. Przede wszystkim musimy wiedzieć, co ci powiedział Maitland, jakie dokumenty ci przekazał, co w nich było i kto jeszcze je widział poza tobą. I rzecz jasna, gdzie one teraz się znajdują. Mamy jeszcze wiele innych pytań, ale zacznijmy od tych, dobrze. Ponieważ jesteś cipą, małą, dzielną cipą, nie będziesz nam chciała nic powiedzieć, to rozumiame.

- Na litość boską! - Zza zasłony dochodzi zniecierpliwione sarkanie Harlinga.

Stella uderza lekko Flint zaciśniętą dłonią w ramię.

- Wyjaśnię, co zamierzamy zrobić - nachyla się, przybliżyła twarz do twarzy Flint. - Tam, za zasłoną, jest chirurg, który zaraz zacznie usuwać ci wszystkie organy wewnętrzne. Jeden-po-drugim.

To jakiś koszmar. To nie może dziać się naprawdę. Za chwilę się obudzę.

- Nie bój się, to bardzo dobry chirurg. Ze względu na pewne kłopoty z etyką lekarską nie praktykuje w tej chwili, właściwie nie wolno mu praktykować, ale to naprawdę znakomity specjalista. Jesteś w dobrych rękach. Czy chciałabyś coś powiedzieć?

Odpierdol się. Zdechnij.

- W porządku. Czujesz teraz miłe, odrętwiające ciepło? Powinnaś czuć. Spróbuj, czy możesz unieść nogę, bardzo cię proszę. No, kochanie,

spróbuj. Inaczej nie będziemy wiedzieli, czy epidural zaczął działać. Nie chcesz chyba, żeby doktor ciął cię na żywca. No, spróbuj.

Wbrew sobie Flint zastosowała się do polecenia; nie była w stanie poruszyć nogą.

- Wspaniale. Zaczniemy od drobiazgu. Doktor coś ci usunie, a ty tymczasem będziesz miała czas się zastanowić.

Wysunęła rękę poza zasłonę i poklepała Flint po brzuchu.

- Masz tam sporo rzeczy, bez których będziesz mogła się obejść.

Dotknęła teraz piersi Flint, uszczypnęła lekko sutek.

- Na twoim miejscu nie czekałabym, aż dojdzie do serca. Stella pocałowała Flint w czoło, pogłaskała ją po włosach.

- Coś jeszcze muszę ci powiedzieć. Znałam kiedyś człowieka, któremu operowano przepuklinę. Podali mu epidural. Coś poszło nie tak i nagle zaczął się dusić. Zdażyli jeszcze podać mu tlen i wtedy nagle... eksplozja w głowie. - Stella wstała, rozłożyła dłonie. - Dwie godziny zbierali go z sufitu. Jeśli będziesz miała trudności z oddychaniem, krzycz.

Flint, chociaż przyrzekła sobie milczeć, nie wytrzymała:

- Pierdol się.

- Nie, to ty się pierdol - powiedziała Stella łagodnie i zniknęła za zasłoną.

- Kto by chciał ją pierdolić - Harling się zaśmiał. - Popatrz na nią. Sama skóra i kości.

- Uciszcie się na moment, z łaski swojej - odezwał się drugi mężczyzna i Flint wyobraziła sobie, że właśnie rozcina jej ciało.

Usiłowała oddychać spokojnie, siłą powstrzymując się od płaczu.

- Wiesz, co jest naprawdę śmieszne? - odezwała się niewidzialna Stella. - Kiedy siedziałyśmy w restauracji i powiedziałaś mi, że jesteś w ciąży, pomyślałam, z kogo ona robi wariata? Nie licząc mnie, jesteś chyba ostatnią kobietą na świecie, która chciałaby zajść w ciążę. Gdyby się zdarzyło, nie zastawiałabyś się ani chwili nad skrobanką, prawda? Kto chciałby wysłuchiwać tych wrzasków, babrać się w gównie?

Chwila przerwy.

- Wiesz, Grace, w pewnym sensie wyświadczamy ci przysługę. Zaczęli od jajników.

RS

ROZDZIAŁ 10

I

Na białej ścianie sali odpraw w tureckiej bazie wojskowej osiem kilometrów od Kyrenii pojawiło się ogromne powiększenie twarzy Flint.

- Terrorystka Flint - oznajmił kapitan Zulu. - Niedawno przybyła na wyspę.

Cohen musiał przyznać, że istotnie przypominała trochę terrorystkę. Powiększenie zrobione ze zdjęcia paszportowego - Flint zdeponowała paszport, podobnie jak pieniądze w sejfie hotelowym - ukazywało ponurą, wychudzoną kobietę, która ukrywa się przez całe miesiące, nie dbając o właściwe odżywianie: wypisz, wymaluj uparta kontynuatorka tradycji Baader-Meinhoff albo Czerwonych Brygad.

Tak ją widziano, terrorystka Flint. Cohen sam się do tego przyczynił. Teraz musiał znaleźć przekonujący sposób odwołania swojego kłamstwa, ale nie był pewien, czy ktokolwiek mu uwierzy.

Chociaż ludzie kapitana Zulu wiedzieli, że Cohen ma informacje, którymi chce się z nimi podzielić, jego obecność wyraźnie im przeszkadzała. Czuł, że najchętniej czym prędzej by się go pozbyli. Kapitan Zulu naprawdę nie nazywał się Zulu, pozostali też używali pseudonimów, wziętych z alfabetu fonetycznego i widniejących na przypiętych do piersi identyfikatorach. Był tu Bravo, Oskar, Sierra i tak dalej. I tylko jeden pan Cohen, obcy między nimi, w dodatku cywil.

- Niech nam pan powie, co pan wie o Flint. - Zulu mówił płynnie po angielsku, tylko z lekkim akcentem.

Cohen powoli wszedł na podwyższenie, stanął przed czternastką milczących, ubranych na czarno komandosów rozpartych w plastikowych krzesłach.

Kilku z nich paliło, w powietrzu unosił się silny zapach tytoniu.

Zulu powiedział, że będzie tłumaczył na turecki.

- Nie chcę żadnych nieporozumień.

- Dobrze - zgodził się Cohen. - Dziękuję, kapitanie. Obawiam się, że mogę panów nieco zaskoczyć. - Odchrząknął - Chciałbym przedstawić w miarę precyzyjny obraz Flint. - Jak panowie wiecie, Flint jest oficerem policji.

- Jest?

- Była oficerem policji. - Cohen skinął głową na znak, że uznaje sprostowanie kapitana Zulu. - Została tymczasowo zawieszona w czynnościach, ale chcę wyraźnie powiedzieć, że w żadnym razie nie jest terrorystką. Nie mamy najmniejszych podstaw sądzić, by kiedykolwiek dokonywała aktów przemocy.

Przerwał, czekając na darmo, żeby Zulu przełożył jego słowa.

- Podłożyła bombę w samolocie - odezwał się jeden z komandosów, Whiskey, jak wynikało z identyfikatora.

- Nie, nie - powiedział Cohen. - Stąd właśnie wynikło całe zamieszanie. Zrobił to ktoś inny, a Flint jest tylko podejrzana, podkreślam z całą mocą, tylko podejrzana o to, że miała z nimi kontakty... Do końca nie wiadomo, jakiego rodzaju kontakty.

- Nakaz zatrzymania mówi, że jest współwinna spowodowania eksplozji - powiedział kapitan Zulu.

- Owszem - przyznał Cohen - ale to mocno przesadzone stwierdzenie. - W pokoju odpraw było duszno, dym z papierosów przyprawiał Cohena o ból głowy. Zamknął oczy, szukając słów, które przybliżyły jego słuchaczom prawdę. - Prawdą jest, że Flint ma niezwykle istotne informacje na temat tych ludzi. Dlatego jej szukamy i dlatego musimy ją znaleźć. Żeby przesłuchać. Jestem pewien, że zrozumiawszy sytuację, będzie gotowa do współpracy.

Zulu powiedział kilka słów po turecku, po czym zwrócił się do Cohena:

- Potrafi posługiwać się bronią.

- Nie. Tylko nieliczni brytyjscy policjanci przechodzą przeszkolenie w tym zakresie. Flint nigdy nie nosiła broni i nie posługiwała się nią.

- Ale w Ameryce... - zaczął Zulu.

- Była oficerem kontaktowym.

- W Ameryce przeszła szkolenie - upierał się Zulu. - W Quantico.

- O czym pan mówi?

Zulu wyciągnął z kieszeni kurtki kartkę, rozłożył ją i przeczytał na głos:

- Między majem 1997 roku a czerwcem 1998 roku Flint przeszła szkolenie w posługiwaniu się bronią, osiągając bardzo dobre wyniki...

- To jakiś kompletny nonsens - zaprotestował Cohen.

- W czerwcu i lipcu 1997 roku Flint była na kursie w akademii FBI w Quantico, w stanie Wirginia...

- Żeby zapoznać się z metodami działania FBI.

- Owszem, ale potem przeszła szkolenie dla członków grup antyterrorystycznych. Był pan kiedyś w Quantico, panie Cohen? Ja znam

stosowane tam metody. To znakomita szkoła, najlepsza. Wychodzą z niej naprawdę świetnie przygotowani ludzie.

Czy to możliwe? Cohen ponad miesiąc zapoznawał się z życiorysem Flint i przeoczyłby tak ważną informację? Wyciągnął rękę po kartkę. Zulu podał mu ją bez sprzeciwu.

- Skąd pan to ma? - zapytał.

Napisany po turecku tekst był dla niego całkowicie nieczytelny.

- Od attache wojskowego ambasady tureckiej w Londynie - powiedział Zulu. - Otrzymał te informacje dzięki swoim kontaktom w brytyjskich służbach specjalnych.

Cohen poczuł się tak, jakby ktoś zdzielił go pięścią w głowę.

- Wygląda na to, że pewni pańscy koledzy nie podzielają pańskiego zdania.

Zulu wziął kartkę i zwrócił się do swoich ludzi. Cohen nie musiał rozumieć słów, by wychwycić ich sens. Wystarczyło zresztą spojrzeć na zacięte twarze: Flint przeszła doskonałe szkolenie, jest niebezpieczna.

- A teraz przejdźmy do terrorysty Harlinga... - powiedział Zulu.

II

Flint leżała na łóżku polowym. Przez niewielkie okno, tak małe, że nie precisnęłoby się przez nie nawet dziecko, sączyło się szare światło. W czasie operacji straciła przytomność i obudziła się dopiero tutaj, w tym pokoju, z katerem w żyłę, osłabiona, dziwnie nieobecna. To, co z nią zrobili, zdawało się odległe, trudne do pojęcia, nierealne.

Dotknęła obolałego podbrzusza i poczuła pod palcami opatrunków na ranie. Szwy są nisko, blizny nie będzie widać spod bikini, pomyślała obojętnie. To świetny specjalista, zapewniała Stella.

Chryste! Przestań!

Domyślała się, że w kroplówce musi być środek oszalamiający i przez chwilę zastanawiała się, co mogłaby zrobić, żeby nie przenikał do jej krwi, ale pytanie wydawało się zbyt trudne, by mogła się na nim skupić. Myśli zdawały się biec własnym torem, niezależnie od woli.

Czy chciała mieć dzieci? Jamie chciał. W pierwszych latach małżeństwa robił wszystko, żeby ją przekonać. Kiedy pewnego razu nie dostała na czas okresu, w miarę mijających dni zdążyła pogodzić się z faktem. Jamie był wniebowzięty. Kiedy powiedziała mu, że to fałszywy alarm, nie mogła patrzeć na jego rozczarowanie.

Później wielokrotnie ją namawiał, żeby „spróbowała raz jeszcze”, tak jakby za pierwszym razem rzeczywiście „próbowała”, ale nie potrafiła podjąć jednoznacznej decyzji. Wiedziała, że może urodzić dziecko i wrócić do pracy, wahała się, rozważała taką możliwość. Powstrzymywała ją jednak świadomość, że zbyt często narażona jest na niebezpieczeństwo; Jamie chyba nie zdawał sobie nawet sprawy, jak często. Wystarczyło, że pewnego dnia posunie się za daleko i osierociłaby dziecko, tak jak ona została osierocona przez matkę. Nie mogła do tego dopuścić, tak jak nie potrafiła cofnąć się znad krawędzi, na której cały czas balansowała. Żyła ryzykiem, potrzebowała nagłych zastrzyków adrenaliny, a skoro tak, uznała, że nie nadaje się na matkę.

- Może muszę dojrzeć do tego, żeby mieć dziecko - tłumaczyła Jamiemu, usiłując go udobruchać. - Może w przyszłym roku.

Kiedy Caroline urodziła Jamiemu dziecko, Flint zaczęła się zastanawiać, czy aby miała rację.

Teraz problem przestał istnieć. Rozwiązali go za nią.

Na miłość boską, Flint, skup się na tym, co powinnaś zrobić.

Sięgnęła do strzykawki, żeby odłączyć kroplówkę. Ciągłe jeszcze nie pojmowała w pełni potworności tego, co się stało. Powoli, powoli narastała w niej skowycząca jak zranione zwierzę wściekłość.

Metin Cadessi wyłonił się z kuchni.

- Mam ją nakarmić?

- Po co? - warknął Harling.

Cadessi wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że jemu wszystko jedno.

- Może później - dodał Harling. Leżał na kanapie i spod przymkniętych powiek obserwował Sarę Spenny i Patricka Shillinga żywo o czymś dyskutujących na tarasie.

- A im coś przygotować?

- Metin, do cholery, to nie hotel.

Od chwili kiedy przyjechali z Kyrenii, wioząc ze sobą nieprzytomną Flint, Harling był w podłym humorze. Cadessi koniecznie chciał mu opowiedzieć, jak doskonale odgrywał Ahmada, zakochanego Romea, ale Harling nie miał ochoty słuchać. Zaraz po przyjeździe kazał mu wykopać dół w lesie. Shilling zapytał po co.

- A jak myślisz?

- Nie - powiedział Shilling.

- Co, nie?

- Musimy z nią porozmawiać. Musimy się dowiedzieć, co wie.

- Ja wiem, co ona wie. Wie o wiele za dużo. Myślisz, że ją stąd wypuszczę?

- Niech zacznie mówić, wtedy zdecyduję, co z nią zrobić.

- Ty zdecydujesz? - zirytował się Harling, ale Shilling nie próbował nawet odpowiadać na jego pytanie. Przez chwilę stali na podjeździe przed domem, mierząc się wzrokiem niby dwa napięte koty gotowe lada chwili rzucić się sobie do gardeł. Dopiero Spenny otworzyła torebkę, wyjęła z niej mały czarny rewolwer i powiedziała spokojnie:

- Zachowuj się, Frank. - I Harling otrzeźwiał.

- Później - oznajmił w końcu. - Później o tym porozmawiamy.

Cadessi, który nieraz doświadczył wybuchów wściekłości Harlinga, pomyślał tylko, że Flint nie będzie w tym towarzystwie jedyną osobą, która skończy w dole.

- Może chcesz się czegoś napić.

- Odczep się, do cholery, Metin, dobrze?

- Dobrze, dobrze. - Cadessi poprawił polana na kominku. Nawet latem trzeba było go rozpalać. W upalny dzień grube ściany domu zapewniały miły chłód, wieczorem jednak, kiedy podnosiła się mgła, można było przemarznąć do szpiku kości. - Co mnie to obchodzi.

To Cadessi znalazł ten dom, po tym, jak Harling znalazł Cadessiego. Otrzymał pewnego dnia telefon ze Stambułu z bardzo lukratywną propozycją i dwa dni później pojawił się w domu Cadessiego, oferując mu pięć tysięcy dolarów miesięcznie za usługi, których bliżej nie precyzował. Na pokątnym handlu ikonami kradzionymi z kościołów Cadessi nigdy tyle nie zarabiał, przystał więc bez zastanowienia.

- Potrzebuję jakiegoś bezpiecznego miejsca. - To była pierwsza rzecz, z którą zwrócił się do niego Harling. Szukał domu poza miastem, gdzie mógłby się ukryć w razie potrzeby.

Cadessi powiedział, że dom Volkera nadałby się w sam raz.

Niekiedy prowadzili wspólne interesy, ale Volker na pewien czas wyjechał do Niemiec, zostawiając Cadessiemu klucze, i dom wysoko w górach stał pusty.

Harling pojechał go obejrzeć; osiem wietrznych, prawie pustych pokoi w ruinach jakiegoś klasztoru, po czym wynajął za sumę znacznie mniejszą niż zaproponowana przez Cadessiego, a wynegocjowaną kilkunastoma kopniakami, przed którymi powalony na podłogę Cadessi, niegdyś zapaśnik, nie potrafił się obronić.

- Nigdy, ale to nigdy nie próbuj robić ze mnie wała -oznajmił Harling i zawiózł ledwie przytomnego do szpitala.

Kiedy Cadessi wyszedł po dwóch dniach, posiniaczony, ale cały i zdrowy, Harling dał mu dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i kazał dom doprowadzić do porządku, wyposażyc, zamienić w ludzkie mieszkanie. Nauczony bolesnym doświadczeniem Cadessi przezornie zadbał, by mieć pokwitowanie na każdego wydanego centa, ale Harling, raz wyłożywszy swoje racje, nawet nie chciał ich oglądać.

Na tarasie Shilling i Spenny najwyraźniej kończyli rozmowę. Sara wstała z murku, przeciągnęła się w promieniach zachodzącego słońca. Z daleka wyglądała dziewczęco, niegroźnie: ktoś, kogo nie trzeba się obawiać. Wiedząc, jak potrafi być niebezpieczna, Harling z lękiem myślał o nadchodzącej konfrontacji.

- Metin, masz pistolet?

Zaskoczony pytaniem Cadessi już miał skłamać, ale w porę się zreflektował.

- Jasne. Dziewięćmilimetrową berette.

- Gdzie?
- U siebie w pokoju.
- Od tej chwili noś go przy sobie.
- Myślisz, że mogą być kłopoty?

Harling podniósł się z kanapy, wstrząsnął nim dreszcz.

- Tak - powiedział. - Podłóż do ognia na kominku, bo zdechniemy tu z zimna.

- Spróbuję raz jeszcze ci to wytłumaczyć. - W głosie Shillinga brzmiało zmęczenie, jakby miał do czynienia z krnąbrnym, upartym dzieckiem. - Musimy wiedzieć, co Rykow jej powiedział. Co Maitland powiedział. Musimy wiedzieć, do jakich dokumentów dotarła. Dopiero wtedy będziemy mogli ocenić rozmiar wpadki. Kto jest spalony, kto bezpieczny. Jakich kont można nadal używać. Kto sypał poza **Silvą**. Co tylko podejrzewają, a co mogą udowodnić. Powoli tracę cierpliwość, Frank. - Shilling podniósł głos. - Czy jest jeszcze coś, czego nie rozumiesz?

- Owszem - odparł Harling spokojnie. - Po jaką cholere? Silva powiedział im wszystko, co chcieli wiedzieć.

Siedzieli przy stole, kończąc jedzenie przygotowane, nie bez oporów, przez Cadessiego.

Kiedy Spenny zapytała: „Co będzie na kolację?” - odpowiedział jak Harling: „To nie hotel” - myśląc, że zasłuży sobie na pełen aprobaty uśmiech, ale Harling posłał mu takie spojrzenie, że Cadessi natychmiast poszedł do kuchni. Wrócił z gulaszem z puszki, miską owoców i kwaśnym czerwonym winem, w sam raz odpowiednim do panującej atmosfery.

- Sęk w tym, że Silva wysunął wiele przypuszczeń, których nie może już powtórzyć. Nie mają żadnego świadka? A może mają, Frank? Jak dowiedzieli się o Silvie?

- Maitland? - podsunął Harling nieobowiązującym tonem.

- Gówno. Maitland nie miał pojęcia o istnieniu Silvy. -Shilling zapalił papierosa, wydmuchując dym w kierunku Harlinga. - Nie, to nie Maitland, Frank. W dokumentach bankowych nie było nic, co pomogłoby naprowadzić na jego ślad. Tak przecież działał twój bank, prawda? Nie można było zidentyfikować klientów, tak?

Harling milczał.

- A może się mylę. Może Flint wpadła na trop Silvy na podstawie danych, które znalazła w New World. Może czegoś nie dopilnowałeś. - Shilling spojrzał na Spenny, potem znowu na Harlinga. - Przyszła ci do głowy taka możliwość, Frank? Bo nam tak. - Nie otrzymawszy odpowiedzi, ciągnął: - Jeśli mogła poznać tożsamość Silvy, być może FBI zidentyfikowało także innych klientów. Jeśli tak, spora grupa ludzi, mnie nie wyłączając, chciałaby o tym wiedzieć. I Flint nam powie. O to chodzi, Frank.

Spenny wzięła pomarańczę z misy.

- Nie chcesz się dowiedzieć, Frank, jak trafiła na trop Silvy?

- Co chcesz przez to powiedzieć? Ostre paznokcie zagłębiły się w skórę.

- Że w twoim systemie mogły istnieć słabe punkty. Warto by to wiedzieć, nie sądzisz?

Harling pokręcił głową.

- Nie wierzę własnym uszom. Co się z wami dzieje? Powie nam i co? Wszystko jedno, co ma do powiedzenia. Nie rozumiecie? Wszystko jedno, bo Silva zrobił nas w wała. Mnie, was, wszystkich. - Nachylił się do Shillinga, zdmuchując dym. - O-to-chodzi.

- Niekoniecznie - odparł Shilling.

- Chryste!

- Ciebie Silva zrobił w wała. Musisz zniknąć, Frank. - Spenny włożyła do ust kawałek pomarańczy. - Znajdź sobie jakąś inną norę. Dla ciebie to żadna nowina. Od lat się ukrywasz. Mnie Mario nie zrobił w wała, bo nie mógł. Nigdy nie widział mnie na oczy, nigdy o mnie nie słyszał. Jeśli chodzi o Patricka, Mario był jego informatorem. Kilka rzeczy w nagraniu zbliża się do prawdy, ale Mario przekreślił je dla własnych celów. - Spenny wzruszyła ramionami. - Informatorzy czasami już tacy są.

- Myślicie, że oni to kupią? - zapytał Harling. Spenny oblizwała palce.

- Zaczynasz svirować. Załatwmy sprawę i zmywajmy się stąd.

- Najpierw ta suka musi nam wszystko powiedzieć. - Shilling mówił monotoniem, jakby powtarzał mantrę.

- Jeśli już przy niej jesteśmy - Spenny podniosła się - pójdę sprawdzić, jak się czuje.

Kiedy przechodziła obok Shillinga, ten dotknął jej ramienia.

- Powiedz tej dziwce, że jutro usuniemy jej nerkę.

Słyszając zgrzyt klucza w zamku, Flint szybko podłączyła kroplówkę do katerera, przymknęła oczy, zaczęła płytko oddychać, jakby cały czas była pod wpływem środka odurzającego.

- Jak się miewamy, kochanie? - zapytała słodkim głosem siostra Stella.

III

Komandosi Zulu stali wokół makiety górskiego terenu w pobliżu Kyrenii, gdzie prawdopodobnie ukrywali się Flint i Harling. Makieta miała piętnaście metrów na sześć - każdy metr odpowiadał kilometrowi, była poprzecinana labiryntem dróg, górskich szlaków, upstrzona wioskami z papier-mache. Szeroko gestykulując, Zulu wyjaśniał swoim ludziom, że oddziały tureckie metodycznie przeszukują cały teren.

- To stara makieta - zwrócił się do Cohena. - Sprzed dwudziestu pięciu lat, mówiąc ściśle, ale może dać panu pewne pojęcie, o czym mówimy.

- Ogromnie trudne zadanie - odparł Cohen, pilnując, żeby jego głos nie zabrzmiał nadto optymistycznie. Nie próbował już wyjaśniać kapitanowi Zulu, że Flint nie jest groźną terrorystką, i w duchu modlił się o czas.

- Gównu - rzucił Cutter krótko, kiedy Cohen zadzwonił do niego z bazy, żeby mu powiedzieć o domniemanych szkoleniach, które Flint przeszła w Stanach. Nigdy nie miała broni w ręku.

- A co z Quantico? Naprawdę była tam na kursie?

- Nic o tym nie wiem, ale sprawdzę. Jeśli okaże się, że to nieprawda, zawiadomię Blanda, a on już pogada z tymi w Ankarze.

- Musi się spieszyć.

- Wiem - przytaknął Cutter, wziął głębszy oddech. - Jak myślisz, Harry, kto im wstawia te pierdoły? Kto wrabia Flint?

- Gdybym miał zgadywać na oślep, powiedziałbym, że A. J.

- Tak, zupełnie na oślep - zgodził się Cutter.

Zulu skończył odprawę, jego ludzie rozdzielili się na dwie grupy. Po sali poniosł się metaliczny szcęk sprawdzanych automatów. Czterech komandosów kalibrowało noktowizory karabinów snajperskich.

Cohen wyszedł na zewnątrz, żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Na lądowisku czekały już skąpane w poświacie księżyca dwa helikoptery bojowe.

Rooivalk leciał tuż nad wierzchołkami drzew, to nurkując, to znów się wznosząc. Dwóch ludzi w noktowizyjnych goglach wypatrywało celu. Cohen siedział wciśnięty między Alfę i Limę. Z przodu, w słuchawkach na uszach, Zulu odbierał komunikaty z ziemi. Od czasu do czasu klepał pilota w ramię, a wtedy helikopter zniżał lot, by po chwili, gdy któryś z komandosów pokazywał skierowany w dół kciuk - znowu nic - ponownie nabrać wysokości. Mniej więcej półtora kilometra dalej drugi rooivalk w podobny sposób penetrował teren.

Już od dwóch godzin prowadzili polowanie i miało ono, jak powiedział Zulu, trwać następne cztery: do znalezienia celu albo do wyczerpania paliwa. W tym drugim wypadku mieli wrócić do bazy, napęlnić zbiorniki i wznowić poszukiwania. I tak do skutku.

Jeśli Cutter nie dostał jeszcze negatywnej odpowiedzi z Quantico, która pozwoliłaby Blandowi przekonać Ankarę i spowodowała zmianę taktyki kapitana Zulu, Cohen po znalezieniu Flint miał krótką chwilę na przeprowadzenie negocjacji i namówienie jej do poddania się.

Znajdą ich, zapewniał Zulu. To tylko kwestia czasu.

Kolejny komunikat z ziemi i Zulu znowu klepie pilota w ramię. Rooivalk przechyla się na bok i schodzi ku górskiemu wąwozowi, za nim drugi: dwa drapieżne ptaki w poszukiwaniu ofiary, gotowe do mordy.

IV

Metin Cadessi pierwszy stanął na czatach. Spenny poszła do łóżka, Harling drzemał na kanapie przy kominku. Cadessi nie wiedział, gdzie jest Shilling, ale był pewien, że tamten na pewno nie śpi. Ani trochę nie ufał Frankowi, pewien, że wystarczy minuta nieuwagi i Flint nigdy już nie powie ani słowa.

Cadessi wybrał sobie punkt obserwacyjny w zagajniku na wzniesieniu znajdującym się około stu metrów od klasztoru. Widział stąd odrestaurowane skrzydło, otwartą szopę, gdzie stał ford i jeep, oraz górską drogę wijącą się w dół. Za pasem miał berette, w ręku automat M4, w który zaopatrzył go Frank. Siedemset strzałów na minutę. Frank ciągle go zaskakiwał. Kiedy Cadessi go zapytał, gdzie zdobył taką broń, nie odpowiedział. Jedno naciśnięcie spustu i można wybić pół plutonu. Albo załatwić Spenny i Shilinga. Ciekawe, czy o to Frankowi chodziło?

Flint zasnęła i nie słyszała, jak otwierają się drzwi. Obudziła ją dopiero jego obecność. Otworzyła oczy: w nogach łóżka stał Frank Harling z obojętnym wyrazem twarzy. Rozpoznałaby go natychmiast na ulicy lub podczas policyjnej konfrontacji. Zeszczupłał trochę, był opalony, nosił brodę, ale był to ten sam człowiek, którego widziała na klatce schodowej.

- Szmata czasu.

- Trzy lata - powiedziała cicho. - Trzy lata, jeden miesiąc i... mam ci powiedzieć, ile dni?

- Nie musisz. - Wskazał głową na odłączoną kroplówkę. - Ty to zrobiłaś?

- Tak. Nie chciałam być odurzona, kiedy tu przyjdiesz. Skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że podjęła rozsądną decyzję.

- Zanim cię zabiję, musisz mi coś powiedzieć.

„Zanim cię zabiję”, jak to zwyczajnie zabrzmiało w jego ustach. „Zanim siądziemy do lunchu”. „Zanim wyjdę”. Poczula suchość w gardle, ze wszystkich sił usiłowała opanować narastającą panikę.

- Kto ci powiedział o Silvie?

Zmierzyła go zimnym, pełnym nienawiści wzrokiem. Chciała, żeby dostrzegł, poczuł tę nienawiść.

- Powiedz mi, a obiecuję, że nic nie poczujesz. Jeśli będziesz milczała, potrafię zadać ci taki ból, że zaczniesz mówić, i dopiero potem cię zabiję. Tak czy inaczej będziesz musiała powiedzieć. To, co Buller ci zrobił, to drobiazg w porównaniu z tym, co ja mogę zrobić.

Przerażała ją całkowita obojętność Harlinga, brak złości w jego głosie, w oczach. „Tak czy inaczej będziesz musiała powiedzieć”, zwykłe stwierdzenie faktu.

- Więc?

Powinna coś powiedzieć, cokolwiek. Podręczniki szkoleniowe zalecały, żeby mówić, mówić. Tylko podręczniki nie przewidywały sytuacji, kiedy leżysz przywiązana do łóżka w zamkniętym pokoju, mając przed sobą psychopatę, którego w gruncie rzeczy gównem obchodzi, co masz do powiedzenia na temat Silvy.

- Po co ten pośpiech, Frank? - Usiłowała mówić tonem równie obojętnym jak on. - Myślałam, że znowu będziecie mnie kroić.

- Nie. To ich sprawa. Według mnie tylko tracą czas. Po co się z tobą bawią? Po co narkoza? Po co oszczędzać ci bólu?

- Bolało, Frank. Zapewniam cię. Inaczej niż myślisz, ale bolało.

Poczuła, że odrzuca prześcieradło i chwyta ją za nogę.

- Jeszcze raz pytam, skąd wiesz o Silvie?

Powoli zaczął odginać jej kciuk. Flint wyrzuciła z siebie to, co i tak zamierzała mu powiedzieć.

- Od ciebie!

Ani trochę nie zmniejszył ucisku.

- Mów dalej.

- Czytałam twoje oświadczenie.

- Jakie oświadczenie?

Zamknęła oczy, usiłując przypomnieć sobie dokładnie, jak brzmiały pierwsze słowa.

- „Ja, Frank Arthur Harling, zamieszkały w Villa Donati, w Vorno, Włochy stwierdzam pod przysięgą, co następuje... ”.

Jeszcze chwila, a zaczniesz krzyczeć.

- „Sporządzam to oświadczenie dla zabezpieczenia oraz jako świadectwo na wypadek, gdyby przydarzyło mi się coś złego”.

- Ty pierdolona suko!

- „Wszystkie przytoczone poniżej fakty... ”.

Harling ścisnął mocniej, ból tak dojmujący przeniknął całe ciało, że Flint wygięła się w łuk, poderwała pięść do ust, przygryzając knykcie. Nie będzie krzyczeć. Jeszcze nie.

Puścił jej stopę, przysunął sobie do łóżka krzesło, na którym leżało jej ubranie. Zrzucił je na podłogę, krzesło obrócił, usiadł na nim okrakiem, położył ręce na oparciu.

- Jeśli będę musiał, połamię to krzesło na kawałki i wepchnę ci je tam, gdzie wolałabyś, żebym nie wpychał. Zrozumiałaś?

O, tak. Świetnie zrozumiała. Często, nawet teraz, po tylu latach, prześladowała ją wizja bezbronnej, skatowanej matki wydanej na łaskę jakiegoś zwierzęcia podobnego Harlingowi. Wyobrażała sobie, co do niej mówił, co robił. Widziała, jak z nią kończy, a potem kopie dół, do którego wrzuca ciało, zasypuje ziemią.

Na Boga, mów coś!

- Wyjmij rękę z ust - odezwał się Harling. - Czy rozumiesz, co zamierzam z tobą zrobić?

- Tak, rozumiem, że jesteś bydlęciem, Frank.

- Czy to Maitland dał ci oświadczenie?

- Nie bezpośrednio. Znalazłam je w Ellis.

- W Ellis?

- W twojej ewentualnej kryjówce, Frank. Jednej z wielu, jak się domyślam. Na plantacji, którą Maitland kupił dla ciebie.

- Kto jeszcze je czytał?

- Hechter.

- Kto to jest Hechter? - wypytywał Harling cierpliwie.

- Był, Frank. Był amerykańskim agentem federalnym, dopóki nie zginął od bomby, którą podłożyłeś w samolocie.

- Kto jeszcze?

Dlaczego to dla niego takie ważne?

- Nie wiem. Nie wiem, czy Hechter miał je ze sobą w samolocie, czy było z innymi dokumentami, które zatrzymaliśmy. Jeśli dotarło do Miami, zapewne przeczytali je wszyscy.

Dlaczego to dla niego takie ważne? Po co wypytuje?

- Komu powiedziałaś?

- Aldousowi Cutterowi z FBI, mojemu szefowi w Londynie, komandorowi Glenningowi.

Harling poprawił się na krześle.

- Co dokładnie im powiedziałaś?

- Nie pamiętam, co dokładnie. Że się zabezpieczyłaś, na wypadek gdyby chcieli zrobić ci kuku. Że pod przysięgą wrobiłaś sporą grupę ludzi. Coś takiego. Że oni cię osłaniają, że znaleźli dla ciebie kryjówkę, wywieźli z kraju.

- Kto jeszcze wie? Co powiedziałaś Silvie?

- O tobie? Nic.

- To dlaczego dał ci kasetę? Serce zabiło jej gwałtowniej.

- Jaką kasetę?

- To pieprzone nagranie, które zrobił.

Skąd wie o kasecie? Nikt o niej nie wiedział, nie powiedziała nikomu, poza ojcem. *Boże!*

- Nie dawał mi żadnej kasety.

Harling wstał, gwałtownie chwycił krzesło, jakby zamierzał je połamać.

- Przysięgam. Możesz go zapytać.

- Zapytać? - Harling zdzielił Flint krzesłem w głowę. - On nie żyje, ty głupia krowo.

- No i co, powiedziała ci?

Shilling czekał na niego w salonie, sącząc brandy.

- Jeszcze nie. Uparta suka.

- Jesteś wyjątkowo spostrzegawczy, Frank.

- Coś kombinuje - powiedział Frank, puszczając mimo uszu uszczypliwość.

- Mianowicie?

- Zaczęła mówić. Powiedziała, że Maitland trzymał całe swoje archiwum na jakiejś farmie, w Ellis, tak podobno nazywa się to miejsce. W każdym razie wskazał, gdzie trzyma wszystkie dokumenty. Cholera wie, co sobie wyobrażał. Twierdzi, że ich nie przejrzała dokładnie, bo odesłali ją do Miami, ale że Maitland miał jakąś listę i że na niej było między innymi nazwisko Silvy.

Shilling udał, że się śmieje.

- I ty jej wierzysz?

- Oczywiście, że nie. - Harling nalał sobie kieliszek brandy. - Maitland mógłby się potknąć o Silvę i nie wiedziałby, z kim ma do czynienia.

- Otóż to.

- Ciekaw jestem, o co jej chodzi? Kogo próbuje chronić?

- Siebie.

- Jest coś jeszcze. - Powąchał brandy i skrzywił się. - Kłamie na temat Cuttera. To nie jemu powiedziała. Wiesz, co myślę? Miała u nas jakiegoś informatora, pewnie on jej też powiedział, gdzie ma mnie szukać.

- Silva jej powiedział.

- Nie. Nie mógł. Nie wiedział. To świństwo cuchnie naftą - powiedział Harling, ale upił solidny łyk. - Spojrzał Shillingowi w oczy. - No więc, kto wiedział, Pat? Poza tobą?

- Nie pieprz - zirytował się Shilling. - Zaczynasz wygadywać bzdury.

- Naprawdę? Przypadkiem nie wspomniałeś nic Taggartowi albo Kurlackowi? Nie powiedziałaś: „Nasz bankomat znajduje się teraz w pieprzonej Republice Tureckiej Cypru Północnego? A jej kiedy powiedziałaś? - Harling uniósł głowę, wskazując na górną kondygnację, gdzie spała Spenny. - Dowiem się, zapewniam cię.

Shilling zjeżył się i warknął:

- Uważaj, Frank.

Harling wlał resztkę swojej brandy do kominka.

- I smakuje jak nafta. - Patrzył na błękitne płomienie. Podniósł kciuk i wycelował palec wskazujący w pierś Shillinga. -Później pogadamy.

- Dokąd idziesz?

- Idę zobaczyć, czy Metin nie zasnął. Harling wyszedł z domu, zabierając ze sobą klucz do pokoju Flint.

V

W czasie tego roku, kiedy chirurdzy usiłowali odtworzyć jej twarz, pomiędzy operacjami, które zdawały się nie mieć końca, Flint poznała psychoterapeutę Adama Ballantine'a, specjalistę od opieki nad policjantami, którzy byli ofiarami albo świadkami wyjątkowo okrutnej przemocy. Flint nie uważała się za ofiarę, nie chciała się przyznać przed sobą, że to, przez co przeszła, było traumatycznym przeżyciem. Poszła jednak do Adama, wiedząc, że inaczej nie będzie mogła wrócić do służby. Kiedy mu powiedziała, że nie potrzebuje terapii, odparł:

- W porządku, żadnej terapii, po prostu sobie pogawędzimy.

I „gawędzili” rzetelnie, trzy razy w tygodniu, aż zapadło orzeczenie, że jej stan zdrowia jest zadowalający i może znowu podjąć pracę. O czymkolwiek rozmawialiby podczas kolejnych sesji, zawsze dochodzili w

końcu do tematu Belgravii. Adam, na swój subtelny sposób, usiłował uchwycić moment, kiedy przerażenie Flint zamieniło się w rezygnację, kiedy pogodziła się z tym, że za chwilę może umrzeć. Ponieważ różne zadawał pytania, dawała różne odpowiedzi, ale trwała z uporem przy jednym: nie chciała śmierci. Bała się jej -owszem, oczekiwała - może, ale ani przez moment się z nią nie pogodziła. Kiedy Buller bezskutecznie usiłował zarepetować broń, kiedy miażdżył jej obcasami twarz, kiedy Harling wołał: „Skończ z nią”, wierzyła, że przeżyje. Coś nie pozwalało jej się poddać. Adam nazwał to wewnętrzną nadzieją.

Cóż, ciągle nosiła w sobie tę nadzieję i czuła, jak się ona umacnia. Flint wierzyła, że trzyma Franka Harlinga za jaja. Uderzył ją krzesłem w twarz i chyba złamał jej nos, czuła ciągle skapującą krew, ale to nie miało znaczenia. Nie miało znaczenia, ponieważ dla Harlinga było istotne, w jaki sposób trafiła na ślad Silvy.

„Kto powiedział ci o Silvie?”.

„Ty”.

To była jej szansa na wydostanie się z więzienia, jej karta przetargowa, jeśli dobrze ją rozegra.

„Ty mi powiedziałaś, a oni o tym nie wiedzą, prawda?”.

Wyszedł z pokoju bez słowa; już nie groził, że ją zabije, nie straszył, że jeszcze wróci. Wróci, tego była pewna, a wtedy ona z lodowatym spokojem zacznie mu grozić.

„Jak myślisz, Frank, co zrobią, kiedy powiem im o twoim oświadczeniu? Że ich sprzedałeś? Zdradziłeś? Być może nie chciałeś, ale przez ciebie wpadli. Myślisz, że puszczą ci to płazem? Nie wydaje mi się”.

„Ty krowo, ty kurwo, zdziro skończona - obsypie ją wyzwiskami, które słyszała już wiele razy. - Zabiję cię”.

„Tak? I jak im to wytłumaczysz? - zapyta. - Oni czekają na wyjaśnienia. Pozbędziesz się mnie, będą wiedzieli, że coś ukrywasz. Nie zdziwiłabym się, gdybyś to ty wkrótce znalazł się na stole operacyjnym. Nie masz co prawda jajników, ale mogą zacząć od fiuta”.

Będzie chciał zadać jej ból. Może będzie bił po twarzy, łamał palce, znowu opowiadał, jak użyje połamanego krzesła.

„To, co Buller ci zrobił, to drobiazg w porównaniu z tym, co ja mogę zrobić”.

Jasne, możesz, Frank. Wiele razy przez to przechodziłam.

Tym razem będzie krzyczała. Jeśli tylko Harling spróbuje jej dotknąć, zacznie krzyczeć ile sił w płucach, aż w końcu pojawią się tamci i wtedy powie im wszystko, wszystko, co będą chcieli wiedzieć.

Co potem?

Zamknij się.

Jak myślisz, co z tobą zrobią? ZAMKNIJ SIĘ!

Potrzebowała spokoju, musiała przemyśleć swoją sytuację. Nie, to on powinien przemyśleć swoją.

„Zastanów się, Frank. Zabiją cię, na pewno cię zabiją, tak samo jak mnie. Widzisz jakieś rozwiązanie? Powinniśmy się stąd wydostać. Razem”. Potem może posłać mu krzywy uśmiech. „Co za ironia losu. Ty i ja, Frank. Jesteśmy dla siebie jedyną nadzieją”.

Czepiając się swojej wewnętrznej nadziei, czekała na powrót Harlinga.

Słyszając szelest liści, trzask gałęzi, Metin Cadessi odbezpieczył M-4 i zaczął się rozglądać. Broń dodawała mu odwagi, ale i uczyniła zbyt pewnym siebie. Za późno się odwrócił. Frank Harling wytrącił mu automat z ręki. Kiedy Cadessi schylił się i próbował podnieść karabinek, Frank wykręcił mu ramię.

- Odpierdol się, człowieku! Mogłeś zginąć.

- Zabiłeś kiedyś kogoś, Metin? - zapytał Harling.

- Pewnie.

- Kiedy? - Harling puścił Cadessiego, pozwalając mu się wyprostować. - W czasach zmarnowanej młodości? - Cadessi często chełpił się, jak to razem z kumplami terroryzował Kurdów na przedmieściach Sztambułu.

- W wojsku - mruknął, rozcierając ramię.

- Byłeś w wojsku?

- W Turcji każdy musi odsłużyć swoje.

- I gdzie prowadziłeś tę swoją wojnę?

- Tutaj. W jednostce stacjonującej w pobliżu Famagusty. Którejś nocy jacyś Grecy próbowali przekroczyć linię demarkacyjną. - Kilku nieuzbrojonych, pijanych cypryjskich Greków, ale o tym Cadessi już nie wspomniał. - Zastrzeliłem jednego z nich z odległości osiemdziesięciu metrów. - Dotknął miejsca między brwiami, gdzie trafił swojego Greka.

Harling pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „Całkiem niezłe”.

- Jak się potem czułeś?

- W porządku. - Prawdę mówiąc, niezupełnie. Spędził pięć miesięcy w wojskowym areszcie, dopóki wszyscy nie zapomnieli o przykrym incydencie. - Okay.

- Mógłbyś znowu to zrobić?

Pytanie Harlinga zabrzmiało nieobowiązująco, ale Cadessi nie dał się zwieść.

- Po co?

- Gdybyś musiał? Gdyby zaatakowali cię uzbrojeni ludzie?

Powiedzmy, siedzisz tu sobie między drzewami i nagle widzisz, że idą na ciebie jakieś fiuty. Nie wiesz kto, nie wiesz dlaczego, ale widzisz, że mają broń. Powiedzmy, że pojawiają się tam - Harling wskazał na miejsce, gdzie podjazd łączył się z drogą. - Co byś zrobił?

- Kto miałby tu przyjść, Frank?

- Fiuty z bronią! Co byś zrobił?

- Strzelałbym, Frank. Prosto między oczy.

Harling przez chwilę rozważał odpowiedź Cadessiego, jakby odznaczała się ogromną głębią. Po czym:

- Tak właśnie myślałem. I po to tu jesteś. Jasne?

Drzemała, kiedy wśliznął się do jej pokoju. Stał nad nią z nożem, ręką zamknął jej usta, dopiero wtedy się ocknęła.

- Nie krzycz - powiedział, przecinając pasy, którymi była przywiązana do łóżka. - Wstawaj.

- Po co?

- Wstań i ubierz się.

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. To wykraczało poza jej plany.

- Rusz się! Chcesz żyć? - Podniósł jej ubranie z podłogi i rzucił na łóżko. - No, dalej. - Ściągnął z niej prześcieradło.

- Co się dzieje, Frank?

- Zmiana planów. Koniec zabawy. Postanowili cię zabić i są gotowi to zrobić.

- Oni chcą mnie zabić? A ty?

- Wiem, co to znaczy, kiedy ginie glina. Nie pamiętasz?

Prześladowaliście mnie przez lata. Nie chcę powtórki. Ubieraj się. Możesz się uratować. Daję ci szansę.

- Oszalałeś. - Jedno z nich musiało oszaleć. Co on zamierzał? - Nie mogę uciekać. Jestem po operacji. Wycięliście mi jajniki, do jasnej cholery!

- Nie, nie wycięliśmy - powiedział, dotykając opatrunku.

- Co robisz?

Zerwał gazę jednym ruchem.

- Sama zobacz.

Nie było szwów, tylko płytkie nacięcie na skórze.

- Nie tknęliśmy cię. Miałaś myśleć, że robimy operację. Patrzyła na niego, ale go nie widziała. Po chwili zwinęła się w kłębek i bezgłośnie szloch wstrząsnął jej ciałem. Nie wiedziała, dlaczego płacze, i wiedziała.

- Kurwa mać! - Chciał jej dotknąć, ale się na to nie zdobył.

Znajdowała się zbyt daleko, gdzieś, gdzie on nigdy nie miał dotrzeć.

Już ubrana usiadła na podłodze, podciągnęła kolana pod brodę.

Trzymała w dłoni pistolet, który jej dał, i słuchała, jak snuje swoje chore plany. Nigdy w życiu nie czuła do nikogo takiej nienawiści.

„Czy kiedykolwiek strzeliłaś do kogoś, Flint? - dopytywał się Cutter z szerokim uśmiechem, kiedy zabrali już Rykova. - Mogłabyś strzelić facetowi w jaja?”

Prawdę mówiąc nie. Wtedy jeszcze nie. Teraz mogłaby.

Naprawdę?

Może mi pan wierzyć.

- Rusz się wreszcie - przynaglał Harling. - Powiem im, że wyrwałaś mi pistolet. Zamknij mnie, schowaj klucz. Podniosę krzyk w chwilę potem, jak wyjdiesz. Będą musieli wyważyć drzwi, żeby zobaczyć, co się stało. To da ci trochę czasu. Drzwi wyjściowe są po prawej, otwarte. W porządku?

Nie, nie w porządku.

- To jakiś idiotyzm - powiedziała. - Kompletny idiotyzm.

- Słuchaj, co mówię! - Myślała przez moment, że chwyci ją i zacznie nią potrząsać. - Kiedy wyjdiesz na zewnątrz, biegnij ścieżką do drogi. Biegnij ile sił w nogach, bo od tego zależy twoje życie. Będą cię ścigali, ale masz broń. Wiesz, jak się nią posługiwać?

Owszem.

Ruger P97, magazynek z siedmioma nabojami. Skinęła głową.

- Jeśli zaczną cię doganiać, strzelaj, ale pamiętaj, oni też mają broń. Schowaj się gdzieś na poboczu drogi i przeczekaj do świtu. Mam nadzieję, że nas już tu nie będzie. - Wzruszył ramionami. - Tyle mogę dla ciebie zrobić.

Nie drgnęła nawet.

- Rusz się wreszcie. Rób, co mówię.

- Dobrze, Frank- powiedziała, po czym uniosła rugera i strzeliła.

VI

Kolejny fałszywy trop. Rooivalki wzbijają się ponad wąwóz, rozdzielają, każdy podąża swoją trasą. Monotonny terkot wirników coraz bardziej działa Cohenowi na nerwy. Poszukiwania zbyt się przedłużają.

Zdrętwiał już, chciałby wstać, rozprostować nogi, ale w ciasnej kabynie helikoptera jest to niemożliwe. Siedzi wciśnięty między Alfę i Lime, nie może się poruszyć.

Zulu zdejmuje słuchawki, odwraca się i woła coś do niego, usiłując przekrzyczeć warkot.

- Co?

- Do pana. Ktoś chce z panem rozmawiać. *Cutter, Boże spraw, żeby to był Cutter.*

Rzeczywiście słyszy w słuchawkach głos Cuttera. Cutter ma dla niego informacje, których Cohen wolałby nie otrzymać, ale przyciska słuchawki do uszu, nachyla się, chroniąc przed wiatrem.

- Okazuje się, że nasz przyjaciel miał rację. Flint miała w Miami kumpla, niejakiego Singletona z policji stanowej. Porządny gość, czasami z nami współpracuje, nazywamy go Żyleta. Otóż brał czasami Flint na strzelnicę gdzieś w pobliżu Everglades i uczył posługiwania się bronią. Rozmawiałem z nim przed chwilą. Nie ucieszy cię to, co powiedział: jego zdaniem Flint jest urodzonym strzelcem. Żyleta wie, co mówi, on...

Głos Cuttera niknie, zagłuszany przez zakłócenia.

- Powtórz! Halo, Aldous?

- ... w Wietnamie.

- Powtórz, nie dosłyszałem.

- Żyleta był w marines i wie, co mówi. Był snajperem w Wietnamie. Cohenowi nie przychodzi do głowy żadna sensowna odpowiedź.

- Z Quantico też prawda. Dziewczyna przeszła pełne szkolenie dla grup antyterrorystycznych. Skończyła kurs z bardzo dobrymi ocenami. - Cutter milknie na moment, potem dodaje: - Przykro mi, Harry.

Powiniennem o tym wiedzieć, ale nie wiedziałem. Rozumiem, że chciałeś usłyszeć coś innego.

- Skąd się dowiedział?

- Kto?

- Devereaux.

- Diabli wiedzą. Zapytamy go w swoim czasie. Mam teraz inne kłopoty na głowie.

Nie tak poważne jak ratowanie Flint, myśli Cohen. Dziękuje Cutterowi i oddaje słuchawki kapitanowi Zulu.

- W porządku - odpowiada, widząc podniesiony w geście pytania kciuk.

Cohen zdaje sobie sprawę, że rozmowa z Cutterem musiała być monitorowana przez Turków i że Zulu lada moment usłyszy w słuchawkach ostrzeżenie: „Szkolił ją strzelec wyborowy”.

Widzi, że kapitan sztywnieje. Pilot musiał też usłyszeć ten sam przekaz, bo odwraca się do Zulu, oczekując rozkazów.

- Mamy informacje o strzelaninie - mówi Zulu do Cohena. Rooivalk zmienia kurs i leci nad wierzchołkami drzew, Flint na zbugę.

Kierują się sygnałami świetlnymi z ziemi, prowadzą ich komandosi, którzy są na dole. Dziewięć żółtych błysków, jeden czerwony, znowu dziewięć żółtych i jeden czerwony. Jeden z obserwatorów w kabinie helikoptera liczy błyski. Podnosi rękę, potem opuszcza ją zdecydowanym ruchem.

Zulu mówi coś do mikrofonu, śmigłowiec przechyla się, nawraca. Pilot wyłącza silnik, zapada cisza. Przechylony rooivalk opada ku leśnej polanie niczym zraniony ptak i osiada płynnie na ziemi.

Drugi rooivalk już wylądował, wysypują się z niego uzbrojeni po zęby komandosi, wszyscy w czarnych kominiarkach. Zulu daje Cohenowi czarny skafander z kapturem, po chwili dodaje kamizelkę kuloodporną, przykładając palec do ust: „Od tej chwili ani słowa”.

Jak w transie Cohen wysiada za Zulu z helikoptera.

Czterech snajperów podkrađło się niczym pantery do tonącego w ciemnościach domu, poszukując, każdy na własną rękę, najdogodniejszych pozycji w zaroślach. Nie mieli już co prawda identyfikatorów, ale nadal posługiwali się pseudonimami. Victor przyczał się w jakimś zagłębieniu około dwustu metrów od drzwi frontowych, oparł lufę swojego remingtona o gałąź sosny. Whiskey podkrađł się do otwartej szopy i ukrył za białym formem, natomiast X i Yankee zajęli pozycje w zagajniku na wzniesieniu, po czym cała czwórka wyszeptała cicho do mikrofonów, gdzie który się znajduje.

- Snajperzy są już na stanowiskach - powiedział Zulu do Cohena.

Teraz przyszła kolej na dwie grupy uderzeniowe, każda po pięciu ludzi, prowadzone przez Alfę i Bravo. Cohen zobaczył ich dopiero, gdy Zulu podał mu noktowizor: nieziemskie, zielonkawe zjawy między drzewami.

Kiedy byli już blisko starego klasztoru, Zulu gestem nakazał Cohenowi, żeby położył się na ziemi. Ukryty za krzakami, wsparty na łokciach Cohen obserwował, jak grupa Alfy dociera do celu. Dwóch ludzi stanęło po obu stronach drzwi wejściowych, przywierając plecami do muru, pozostała trójka przyczała się pod oknami. Grupa Bravo gdzieś zniknęła.

Pograżony w ciemnościach dom zdawał się wymarły, tylko w jednym oknie, tak się przynajmniej wydawało Cohenowi, dało się dojrzeć słaby odblask płomieni. Poza tym ani śladu życia. Tylko niewielka część klasztoru została odrestaurowana, reszta dawno popadła w ruinę i przypominała jakiś upiorny szkielet.

Zulu mruknął coś do mikrofonu i podniósł dwa palce, co miało oznaczać, że akcja rozpocznie się za dwie minuty. Jeszcze dwie minuty i Cohen będzie musiał dokonać cudu. Albo nie. W tym towarzystwie tylko jemu zależało na wyniku akcji. Zulu i jego ludzie woleliby pewnie, żeby negocjacje skończyły się fiaskiem.

Zulu wskazał na dach i Cohen zobaczył pięć postaci w oknach ruin: manekiny na tle rozgwieżdżonego nieba, grupa Bravo zaopatrzona w liny, z karabinami na razie przewieszonymi przez ramię. Jeden po drugim spuszczała się bezszelestnie na dach zamieszkałej części klasztoru.

Jeden palec uniesiony. Minuta do rozpoczęcia akcji.

Jeszcze w śmigłowcu Cohen powtarzał sobie dziesiątki razy, co powie, jak zacznie. „Harling, Flint, nazywam się Harry Cohen” albo „Panie Harling, pani inspektor Flint, reprezentuję Home Office”. I tak w nieskończoność, w różnych wariacjach. Wszystkie brzmiały jednakowo absurdalnie. W końcu postanowił, że powie, cokolwiek przyjdzie mu w decydującym momencie do głowy.

Bravo i jego ludzie zajęli już pozycje na samej krawędzi dachu, zabezpieczeni linami, których końce owiązali wokół komina.

- Gotów? - zapytał bezgłośnie Zulu. Cohen ściągnął kominiarkę, kiwnął głową. - Zaczynamy.

- Harling, Flint, Spenny, ktokolwiek jest w domu, wysłuchajcie mnie.

Co za cholera! Nagi Metin Cadessi zsunął się z łóżka na podłogę, przyciskając M-4 do piersi.

- Nazywam się Cohen. Chciałem wam powiedzieć, że to koniec. Jesteście otoczeni przez oddział komandosów. Musicie się poddać, nie macie innego wyjścia.

Głos dochodził gdzieś z zewnątrz, z podjazdu. Cadessi podczołgał się do okna.

- Harling, Spenny, jeśli zrobicie coś Flint, zginiecie. Odłóżcie broń i stańcie w oknach z podniesionymi rękami. Czekam.

Cadessi wstał i przyciskając plecy do ściany zerknął na zewnątrz. Około dwudziestu metrów od domu stał samotny mężczyzna w czarnym kombinezonie. Dwadzieścia metrów to żadna odległość.

- Jesteście otoczeni przez oddział tureckich komandosów -powtórzył Cohen.

Jacy komandosi. Cadessi nie mógł dojrzeć żywej duszy poza samotnym mężczyzną.

- Jeśli nie wyjdziecie, wtargną do domu. Nie macie żadnych szans.

Pierdol się, pomyślał Cadessi. Tak jak widział to w tylu filmach, odwrócił się gwałtownie do okna i wypalił z biodra. Nie odrywał palca od spustu, dopóki nie wystrzelał całego magazynku.

Ze swojej pozycji Victor dojrzał przez teleskop karabinu ruch w oknie, zobaczył pękającą szybę, błysk lufy, zarys sylwetki -wycelował. Ulubiony przez niego model remingtona był nie tyle szybki, ile celny. Wystarczył jeden strzał. Prosto w głowę.

Cohen, leżąc na plecach wśród odłamków betonu, widział, jak pięciu komandosów Bravo spuszcza się na linach z dachu.

Kiedy byli na wysokości okien pierwszego piętra, z gracją synchronicznych pływaków wszyscy równocześnie rozkołysali się i wystawiając nogi do przodu uderzyli w szyby, po czym zniknęli Cohenowi z oczu. Dojrzał tylko błysk eksplozji i w sekundę później kolejnych pięciu ludzi wpadło do wnętrza domu przez wyważone drzwi wejściowe.

- Nic się panu nie stało? - Zulu dotknął jego ramienia i pobiegł za grupą Alfy.

Cohen usiadł na ziemi. W tej samej chwili usłyszał potężną detonację granatu.

Nie, nic mu się nie stało. Rozpiął kamizelkę kuloodporną, dotknął piersi, poczuł lepkie strużki krwi, nic wielkiego.

Z domu doszły go odgłosy strzałów, po czym zapadła martwa, ogłuszająca cisza. Dopiero po chwili rozległy się stłumione głosy nawołujących się wzajemnie ludzi kapitana Zulu, w oknach pojawiły się błyski latarek.

Zapaliły się światła, w drzwiach pojawił się Zulu. Ściągnąwszy kominiarkę i rękawiczki dał znak snajperom, że akcja skończona. Cohen wstał, ruszył powoli w jego stronę. Wiedział, co usłyszy, i bał się.

- Wszyscy nie żyją. Niech pan wejdzie i sam zobaczy. Cohen wszedł za kapitanem do dużego cuchnącego jeszcze prochem wnętrza. Na zasłanej odłamkami szkła podłodze przy drzwiach po prawej dojrzał wielką kałużę krwi.

- Tam jest jeden z nich.

Cohen zagryzł wargi i podszedł do drzwi, za którymi leżało ciało Patricka Shillinga; miał dziurę w skroni i pierś posiekaną strzałami. W szeroko otwartych oczach widniało zdziwienie, jakby śmierć była dla niego wielkim zaskoczeniem.

- Zna go pan?

Właściwie nie, pomyślał Cohen. Nie potrafił zliczyć zebrań w Thames House, na których się spotykali, doskonale pamiętał, z jaką ironią Shilling przyjmował jego prawne zastrzeżenia, ale nigdy chyba nie zamienili ze sobą słowa poza zwyczajowymi grzecznościami.

- Tak - odparł. - Nazywa się, nazywał, Patrick Shilling. Był jednym z podejrzanych o podłożenie bomby w samolocie.

- Nie żył już, kiedy tu weszliśmy.

- Słucham?! Jest pan pewien?

Zulu przekroczył kałużę krwi, wszedł do pokoju i nachylił się nad ciałem Shillinga.

- Widzi pan. - Zulu wskazał dziurę w skroni. - To od pistoletu. My nie używamy pistoletów. A stąd - uniósł głowę Shillinga i Cohen omal nie zwymiotował na widok wielkiej rany z tyłu czaszki - to bajoro krwi. - Wyprostował się, dotknął końcem buta kałuży. - Już zaczyna krzepnąć.

- A te... - zaczął Cohen i przerwał, jakby uznał, że żadne pytania nie mają już znaczenia.

- Chodzi panu o rany na piersi - domyślił się Zulu. - To nasi chłopcy. Chcieli mieć pewność. Proszę za mną, pokażę panu resztę.

Zaprowadził Cohena do sypialni na piętrze, gdzie przy oknie leżało ciało Metina.

- On właśnie chciał pana zabić. Czy to Harling?

- Skąd mogę wiedzieć? - Cohen zbladł, widząc miazgę w miejscu gdzie powinna być twarz.

- Jak wysoki jest Harling?

- Mojego wzrostu. Nie, niższy o jakieś pięć centymetrów.

- Zatem to nie on. Co by znaczyło, że Harlinga tu nie ma. Jest jeszcze tylko jedno ciało, kobiety. Też zginęła, zanim weszliśmy do domu.

Zulu zaprowadził Cohena do następnej sypialni, gdzie leżało na podłodze nagie ciało Sary Spenny z zakrwawionymi udami i podciętym od ucha do ucha gardłem.

VII

Grace Flint siedziała za kierownicą jeepa i patrzyła w dół na Nikozję, ciągle jeszcze oświetloną latarniami, chociaż było już jasno.

Zaledwie osiem kilometrów dzieliło ją od celu, strzeżonej przez oddziały ONZ „zielonej linii”, biegnącej przez samo serce miasta. Osiem kilometrów i jedna przeszkoda, turecki punkt kontrolny tuż za zakrętem drogi.

Jadąc bez świateł, omal tam się nie znalazła, ale jakiś instynkt kazał jej zjechać do zatoczki na poboczu. Zgasiła silnik, wysiadła, wspięła się na skałki. Widziała stąd białe hełmy żandarmerii wojskowej. Nie było samochodu, którego by nie zatrzymali.

Sprawdzali każdy wóz bardzo metodycznie. Najwyraźniej szukali kogoś lub czegoś. *Szukają ciebie, Flint. Dlaczego?*

Przypomniała sobie nagranie Silvy i tablicę ze strukturą Enterprise. „W Wielkiej Brytanii — Mario wskazuje prawą kolumnę - mamy Admirala. Nie znamy jego nazwiska, ale przypuszczamy, że sprawuje bądź sprawował wysoką funkcję w dowództwie NATO”.

A Turcja jest członkiem NATO.

Mario zwraca się do kamery: „Jak widzicie panowie, macki Enterprise sięgają daleko”. Jasna cholera!

Wskoczyła z powrotem do jeepa, zawróciła i skręciła na oślep w pierwszą boczną drogę, licząc, że może tędy dotrze do linii podziału, ale droga urwała się po kilkuset metrach, prowadząc donikąd.

Postanowiła przeczekać, aż obudzi się dzień i zwiększy się ruch. Może Turcy zlikwidują blokadę albo wybuchnie wojna, albo wydarzy się jeszcze coś innego, co pozwoli jej przejechać na drugą stronę. Coś przecież musi się stać.

Naprawdę?

Odwróciła się, słysząc jęk Harlinga. Leżał na tylnym siedzeniu oparty o drzwiczki, przykryty kocem. Opatrzyła go najlepiej jak umiała, ale stracił dużo krwi.

- Nie umieraj mi tu, Frank - poprosiła. - Nie teraz. Jesteśmy już blisko.

Przed sobą, a nie zrobiłaby tego przed nikim innym, mogła się przyznać do własnej hipokryzji. Kula, która przeszła przez ramię, uszkadzając ścięgna i roztrzaskując kość, miała trafić w serce.

- No dalej, kurwo, zrób to.

- W porządku, Frank. - Nacisnęła spust. Chciała go zabić, zamierzała zabić. Nie potrafiła wytłumaczyć, jak to się stało, że chybiła z tak bliska. Strzeliła, Frank obrócił się, chwycił za ramię i upadł.

- Chryste - wycharczał, usiłując odczołgać się jak najdalej. Flint stanęła nad nim, chciała strzelić jeszcze raz. Zrobiłaby to, gdyby potrafiła uciszyć głosy, które odezwały się w jej głowie.

CO TY WYPRAWIASZ? Cicho!

To morderstwo. Gorzej - egzekucja.

Po tym, co zrobił. To wymierzenie sprawiedliwości.

Czyżby? Od kiedy to jesteś sędzią i lawą przysięgłych w jednym?

Co mam w takim razie zrobić?

Jesteś glina, Flint. Powinnaś go aresztować.

A co potem mam z nim zrobić?

To już twój problem. Po to tu przyjechałaś. A może okłamywałaś się?

Od samego początku zamierzałaś go zabić? Cicho!

O to ci chodziło? Zamknij się!

W takim razie nie jesteś wcale lepsza niż on, Flint.

Stała nad nim, celując w głowę, z palcem na spuście rugera.

Wystarczyło nacisnąć.

- Harling!

Łomotanie w drzwi, ktoś szarpie klamkę.

- Co tam się dzieje? Otwórz.

Rozpoznała głos. „Uciszcie się na moment, z łaski swojej”. Niby-chirurg, który udawał, że usuwa jej jajniki.

Odsunęła się od Harlinga, wycelowała pistolet w drzwi i zawołała histerycznie.

- Nie, Frank, proszę, nie!

Mocne kopnięcie, drzwi ustąpiły i na progu stanął mężczyzna.

Zamarł na widok Flint, w ułamku sekundy ocknął się i podniósł pistolet, który trzymał w dłoni. Strzeliła mu w głowę.

„Strzeliłaś kiedyś do kogoś, Flint?”.

„Tak, panie Cutter. Dwa razy. Jest pan zadowolony?”.

Wstrząs sprawił, że głosy w głowie ucichły. Już nie prowadziła wewnętrznego sporu z samą sobą. Była absolutnie spokojna, wyraźnie wiedziała, co ma robić.

Zgasiła światło i przekraczając ciało martwego mężczyzny, weszła do salonu. Rozejrzała się po wnętrzu. Przy drzwiach wejściowych znalazła wyłącznik światel. Chwilę odczekała, aż oczy przywykną do ciemności rozpraszanych tylko przez ogień na kominku, zdjęła buty. Dwa piony zbite, został jeszcze jeden. Stella.

Flint zjadła na śniadanie trochę z tego, co poprzedniego dnia przyniósł jej Cadessi: kilka sucharów, kawałek koziego sera, pomarańczę i jogurt. Próbowwała dać Harlingowi trochę wody, ale był nieprzytomny i nie mógł pić. Miał gorączkę, majaczył, nadal krwawił pomimo opatrunku. Kula utkwiała w ramieniu. Flint zdawała sobie sprawę, że jeśli nie zajmie się nim szybko lekarz, Frank umrze.

Sprawdziła broń. Magazynek beretty Cadessiego był pełen, w rugerze zostało jeszcze pięć naboí. Mogły zostać cztery, ale kiedy zobaczył, co zrobiła z Harlingiem i Shillingiem, bez oporu oddał pistolet.

- Pamiętam cię, Romeo Stelli. Gdzie twoja ukochana? Mimo że przystawiła mu lufę do skroni, zaklinał się, że nie wie.

Berettę schowała pod siedzeniem, rugera w kieszeni sukienki. Nie zamierzała wypowiadać wojny armii tureckiej. Liczyła, że ulitują się nad posiniaczoną, nieszczęśliwą kobietą, której mąż został ranny w tym samym wypadku. Musi go zawieźć do szpitala. Natychmiast. Jeśli nie uwierzyliby w tę historyjkę, zagrozi bronią. Liczyła, że element zaskoczenia da jej przewagę.

Naprawdę?

- Jasne - mruknęła, naśladowując akcent Cuttera. - Noga w strzemię i do dzieła, panowie.

Uruchomiła silnik i ruszyła powoli, uważając, by jeep zbyt nie wytrząsał Harlinga. Zatrzymała się na skrzyżowaniu. Ruch w obie strony odbywał się płynnie. Wyglądało na to, że żandarmeria zlikwidowała blokadę.

Błąd, Flint - nie zlikwidowała.

Kiedy dojechała do zakrętu, zobaczyła, że na punkcie kontrolnym kręci się około dwudziestu ludzi: żandarmów i żołnierzy w panterkach. Obstawili obydwie pobocza i zaglądali do każdego przejeżdżającego samochodu. Właśnie zatrzymali autobus i kontrolowali wszystkich pasażerów, ściśle mówiąc, wszystkie pasażerki.

Wiedziała, że nie przejedzie. Była absolutnie pewna, że to jej szukają. „Macki Enterprise sięgają daleko”.

Zdjęła dłoń z kierownicy i sięgnęła po rugera.

Poczuła, że zalewa ją niepohamowana wściekłość. Nienawidziła w tej chwili Bullera, Harlinga, Shillinga, Spenny i całą resztę. Nienawidziła ich za to, co zrobili z Pete'em Pendle'em, Kevinem Hechterem, z innymi, którzy musieli umrzeć przez ich chciwość. Najbardziej nienawidziła ich za to, że zmusili ojca, by powiedział im o kasecie Silvy.

Ruch się na moment zatrzymał, zablokowany przez autobus i jakąś ciężarówkę. Flint wykorzystała ten moment. Nacisnęła na klakson i pełnym gazem ruszyła w stronę żołnierzy. Widziała ich zdumione twarze, widziała, jak uskakują przed pędzącym jeepem, chwytają za broń. Była już za punktem kontrolnym i pędziła środkiem drogi, pomiędzy jadącymi w

obydwie strony samochodami. Kula rozbiła tylną szybę, ale Flint nic już nie mogło zatrzymać.

VIII

W polowanie na Harlinga i Flint zostały zaangażowane setki ludzi. Pod klasztor ciągle podjeżdżały ciężarówki z kolejnymi oddziałami żołnierzy. Ponieważ ford Harlinga nadal stał w szopie, kapitan Zulu przypuszczał, że zbiegowie uciekli pieszo. W trudnym górskim terenie nie mogli ująć daleko, ale na wszelki wypadek Zulu zawiadomił wszystkie punkty kontrolne na wyspie. W swoim komunikacie ostrzegał, że poszukiwani są uzbrojeni i bardzo niebezpieczni: winni dwóch morderstw, a w sumie czterech, licząc trupy znalezione w klasztorze.

Co się tu, na Boga, stało? Cohen obserwował dwóch detektywów zabezpieczających ślady. Ciało już zabrano, ale wewnątrz nadal wyglądało jak rzeźnia, na górze, gdzie znaleziono Stellę i mężczyznę ze zmasakrowaną twarzą, było jeszcze gorzej. Patolog, który przyjechał z Nikozji stwierdził, że Stella została zgwałcona albo bezpośrednio przed śmiercią albo zaraz po niej. Zbójca poderznął jej gardło tak głęboko, że praktycznie odciął jej głowę. Cohen przypomniał sobie, jak Sara klęczy koło niego i podaje mu napój, który miał go zabić. Pomimo wszystko było mu jej żal. Dlaczego Harling obszedł się z nią tak okrutnie? I jeszcze gorsza myśl: co taki człowiek może zrobić Flint?

Cohen był niemal pewien, że Harling zabił Shillinga i broń zabrał ze sobą. W domu znaleziono tylko mały czarny pistolet koło ciała Shillinga, ale nikt z niego nie strzelał. Dlaczego nie zabił Flint i nie zostawił jej tutaj, w domu? Kim był człowiek ze zmasakrowaną twarzą, dlaczego Harling darował mu życie, co go zatrzymało w tej kostnicy?

Wszystkie scenariusze, które Cohen próbował rozpatrywać, okazywały się nieprawdopodobne. Nie przyszło mu do głowy, że to Flint, nie Harling, zastrzeliła Shillinga, że to Harling, nie Flint, był teraz więźniem. Uświadomił mu to dopiero Zulu, który wpadł do pokoju z najnowszą wiadomością.

- Przejechała przez punkt kontrolny na drodze do Nikozji. Chwycił Cohena za ramię i pociągnął w stronę rooivalka, którego śmigła już się obracały.

- Ma Harlinga - domyślał się Cohen, usiłując odgadnąć następne ruchy Flint. - Będzie chciała przeprowić się przez zieloną linię.

- To niemożliwe.

- Być może, ale to właśnie zamierza.

- Jeśli tak, to już nie żyje.

Już w Nikozji Flint odkryła, że zielona linia zamiast w sposób klarowny wyznaczać granicę, biegnie meandrami przez labirynt tysiącletnich uliczek. Jedyne oficjalne przejście było zbyt dobrze strzeżone, by mogła się przez nie przeprowić. Lepiej spróbować w innym miejscu, pomyślała, oglądając barykady z beczek, drutu kolczastego i worków z piaskiem. Musiałaby tylko znaleźć uliczkę, na której na tyle zdołałaby rozpędzić jeepa, by staranował przeszkodę. To jedyna szansa. Musiała zaryzykować, nie miała innego wyjścia. Już jej pewnie szukają, lada chwila jakiś przestrzegający porządku obywatel zamelduje, że właśnie widział podejrzanego jeepa z kobietą za kierownicą.

Harling, teraz nieprzytomny, powinien jak najszybciej trafić do szpitala. Potem ekstradycja i więzienie. Czekwała na moment, kiedy będzie mogła mu powiedzieć: „Franku Arthurze Harlingu, jesteś aresztowany”.

Jeśli Harling przeżyje. Zamknij się.

Jechała równolegle do zielonej linii, zatrzymując się na każdym skrzyżowaniu, przyglądając się uliczkom prowadzącym do barykad, samym barykadom.

Za wąsko, zbyt mały dystans na rozpędzenie jeepa, za dużo parkujących samochodów, zbyt wielu żołnierzy.

Coraz bardziej zrezygnowana zbliżała się już do wschodnich obrzeży miasta, gdy znalazła odpowiednie miejsce: długą mniej więcej na pięćset metrów ulicę, pustą, stosunkowo szeroką, zagrodzoną tylko płotem z łańcuchów. W pobliżu nie dostrzegła żadnych patroli.

Skręciła w uliczkę, zatrzymała się i niczym pilot gotujący się do startu sprawdziła wszystkie instrumenty, zwolniła hamulec ręczny, po czym ruszyła pełnym gazem w kierunku zapory.

Zanim do niej dojechała, przestrelili jej przednie opony.

Zulu rozmawia przez radio, wydaje polecenia pilotowi, przekazuje nowiny swoim ludziom, pochrząkuje zadowolony. Alfa i Lima nachylają się i przed nosem Cohena przybijają piątkę.

- Mamy ją.

- Żywą? - pyta Cohen.

- W potrzasku.

Zulu pokazuje Cohenowi na planie starego miasta uliczkę, gdzie osaczono Flint. Ukryta za przewróconym jeepem, z bronią w ręku nie chce się poddać.

- Musicie mi pozwolić z nią porozmawiać.

Rooivalk schodzi ostro w dół, Zulu wskazuje na dwa minarety meczetu wystrzelające w niebo niby dwie rakiety.

- Tam wylądujemy. Jeśli w ciągu najbliższych dziesięciu minut nie popełni żadnego głupstwa, może pan spróbować.

* * *

Flint pomyślała, że została jej ostatnia karta do rozegrania, nie żaden as, raczej trójka.

Zwisająca nieruchomo w narastającym upale flaga sygnalizuje obecność punktu obserwacyjnego oddziałów ONZ. Kiedy wjeżdżała w uliczkę, był pusty, teraz zaroił się od błękitnych hełmów; obserwują ją przez lornetkę. Flint oddarła kraj sukni i macha nim w kierunku żołnierzy ONZ. Jeśli Turcy ją zastrzelą, jej śmierć wywoła być może pytania, spowoduje drobny incydent międzynarodowy. Być może.

Wyjazd z uliczki zablokowały wozy policyjne i wojskowe. Flint została pochwycona jak szczur w pułapkę. Ukryła się za wrakiem jeepa; w środku ciągle jeszcze jest Harling. Jeśli umrze, cała reszta nie będzie miała najmniejszego znaczenia.

- Nie za blisko - powiedziała, kiedy był od niej jakieś pięć metrów, i wskazała na wyciekającą z baku benzynę. Powinien zrozumieć, że w razie strzelaniny on też zginie od eksplozji.

- Zdejmę to. - Niezgrabnym ruchem jedną ręką rozpiął kamizelkę kuloodporną, drugą podniósł. Wyglądał trochę śmiesznie w wojskowym kombinezonie: Anglik w średnim wieku, średniej budowy, średniego wzrostu o sennych brązowych oczach.

- Nazywam się Cohen. Harry Cohen z Home Office w Londynie. Jestem tutaj, żeby pani pomóc. Jeśli potrafię.

Czyżby?

- Robił wrażenie porządnego człowieka - przekonywał ją ojciec w Amsterdamie, zaskoczony uporem, z jakim Grace obstawała przy swoim: Harry Cohen nie jest tym, za kogo się podaje. Ojciec w końcu przyznał, że nie dzwonił do Home Office, nie prosił Cohena, żeby się wylegitymował.

- Boże, myślisz, że to jeden z nich? - przeraził się, kiedy zrozumiał swój błąd.

- Wiem, kim jesteś - rzuciła sucho.

- Nie. Zdaje ci się, że wiesz. - Nie była pewna, czy to strach, czy złość nadawały jego głosowi kłótniwy ton. - Twój ojciec powtórzył mi, co mówiłaś, jakie masz podejrzenia. Nie dziwię ci się, ale...

Przerwał, bo Flint wycelowała lufę rugera w jego głowę.

- Gdzie on jest? Co mu zrobiliście?

- Zrobiliśmy? Nie wiem, o czym mówisz.

Była gotowa go zastrzelić.

- Rozmawiałem z nim, Grace. Przysięgam ci, tylko rozmawiałem. To wszystko. Rozmawialiśmy przez wiele godzin. Spotkałem się z nim na lotnisku, potem pojechałem z nim do domu, usiedliśmy na tarasie i opowiedziałem mu wszystko, co wiem. Mówiłem, czego się dowiedziałem przez ostatnie cztery tygodnie, ile zrobiliśmy, żeby cię znaleźć.

Przekonałem go, że chcemy cię uratować.

- Kto, my?

- Glenning, Cutter, Bourdonnec. Ludzie, którzy są po twojej stronie.

- Flint pokręciła głową, ale Cohen ciągnął: - Wiem, co myślisz o Glenningu i Cutterze, ale nie masz racji, podobnie jeśli chodzi o moją osobę. Sądzisz, że pomogłby mi, gdyby nie był przekonany, że jestem po twojej stronie? Myślisz, że zdradziłby cię?

- Gdzie jest mój ojciec?

- W domu, opiekuje się swoimi pacjentami. Pewnie teraz zamartwia się tobą na śmierć.

Pojawiły się pierwsze wątpliwości. Flint nie była już tak pewna swego jak przed chwilą.

- Siadaj na ziemi, ręce trzymaj przed sobą i gadaj. Powtórz dokładnie, co powiedziałeś mojemu ojcu, spróbuj mnie przekonać.

Cohen spojrzał ku wylotowi ulicy.

- Nie dadzą nam tyle czasu.

- Nic mnie to nie obchodzi. Musisz coś zrozumieć, Cohen, jeśli rzeczywiście tak się nazywasz. W tej chwili liczy się tylko jedno, dla ciebie też powinno być to ważne: jeśli kłamiesz, zabiję cię.

Zulu powiedział: „Ma pan trzydzieści minut”. Trzydzieści minut dawno minęło i Cohen bał się, że w każdej chwili kapitan zażąda, żeby Flint się poddała. Ze względu na jej dobro próbował pomijać fragmenty swojej opowieści, ale Flint była skrupulatna.

- Ile jest tam schodów?

- Słucham?

- Mówiłeś, że zatrzymałeś się u Gilles'a i Dominique. Ile jest tam schodów?

Pamiętał, jak długo się wspinał do mieszkania Bourdonneców.

- Dużo, Ponad sto. Około stu trzydziestu.

- Poczęstowali cię kawą?

- Tak - Skrzywił się. - Mam dość neski na całe życie.

- Gdzie spałeś?

- W pokoju chłopców. Baptiste i Gaspard przenieśli się do siostry.

- Jak ma na imię?
- Lucile.
- Co wisi nad łóżkiem Gasparda?
- Helikopter. Groźna maszyna.
- Ile wzrostu ma Dominique?

Cohen zawahał się.

- Mówiłeś, że ją poznałeś. Musisz wiedzieć, ile ma wzrostu. Jest wyższa ode mnie, niższa?

- Jedyne raz, kiedy widziałem Dominique, leżała przykryta kocem, po prozkach - przyznał wreszcie.

- Coś się stało?

- Jej nic. Gilles'owi. Był tuż koło galerii Silvy, kiedy wybuchła bomba.

Cohen znowu pomyślał, że go zastrzeli.

- Żyje - powiedział szybko. - Jest w szpitalu, na oddziale intensywnej opieki.

- Mów dalej.

- Odłamki szkła bardzo poraniły mu nogi. Lekarze robią, co w ich mocy, ale... może skończyć się amputacją.

Widział, jak Flint drżą ręce.

- Uratował mi życie, Grace. Dwa razy. Czuję się tak samo podle jak ty.

- Nic nie wiesz o tym, jak ja się czuję - powiedziała głosem jak zza grobu.

Co w końcu przekonało Flint, że Cohen mówi prawdę, i uratowało życie obojgu, to rewelacja, że Silva jednak spełnił swoją groźbę; po jego śmierci kasetę z nagraniem trafiła w ręce władz. Panika w kwaterze głównej FBI wywołana przez nieznanego człowieka, który żądał widzenia z samym dyrektorem, ryzykowana gra podjęta przez Cuttera, by uzyskać zezwolenie na podsłuch, jego determinacja, by dostać w swoje ręce „pieprzonego Kurlacka”, to wszystko brzmiało prawdziwie. Flint знаła wszystkich ludzi Cuttera, którzy uczestniczyli w zebraniu w Miami, znała też Carrie Evanovich. Niemal słyszała wściekłość w głosie pani prokurator, kiedy Cutter zaradzał Cohenowi wewnętrzne sekrety, i spokojne zapewnienia Cuttera: „Stanowimy jeden zespół, Carrie. Komu on miałby się wygadać?”.

Kiedy zaczął opisywać, jak Sara Spenny znalazła nagranie Silvy w jego gabinecie, kiedy opowiadał, jak chciała go zabić, kiedy przyznał, jak bardzo czuł się bezradny i przerażony, nie wątpiła już, że Cohen mówi prawdę. Miała przed sobą kogoś, kto jak ona cudem uszedł śmierci. Nabrała wreszcie absolutnej pewności, że ten spocony Anglik, któremu kazała tyle czasu smażyć się na słońcu, jest jej sprzymierzeńcem i nie będzie musiała już walczyć sama.

- Powiedziałem ci wszystko, co mogłem. Spojrzała w kierunku wozów blokujących wylot ulicy.

- Co teraz?

- Muszę z nimi porozmawiać.

- Co to za jedni?

- Tureckie oddziały specjalne. Komandosi. Opuściła pistolet.

- Idź. Powiedz im, że muszę zawieść Harlinga do szpitala. Cohen wstał, rozmasował zdętwiałe nogi.

- Obawiam się, że sprawa będzie bardziej skomplikowana. Muszę cię o coś zapytać. Zanim tu przyjechaliśmy, byliśmy w domu w górach. Co się tam wydarzyło?

- Jeśli masz na myśli ciało, które znaleźliście, to był jeden z nich. Shilling, jeśli się dobrze domyślam. Musiałam go zastrzelić, inaczej on zastrzeliłby mnie.

- A Sara?

- Zamknęłam ją w pokoju na piętrze. Nie znaleźliście jej tam?

- Owszem, znaleźliśmy. Z poderżniętym gardłem. Spojrzała na niego niedowierzająco.

- Oni myślą, że ja to zrobiłam?

- Między innymi.

Kątem oka dostrzegła sylwetki ubranych na czarno żołnierzy podkradających się w jej stronę. Uniosła pistolet i wycelowała w brzuch Cohena.

- Co jeszcze miałam zrobić ich zdaniem?

Cohen nie miał odwagi przyznać się, co zrobił.

- Grace, proszę, nie mamy już czasu. - Wyciągnął rękę. - Oddaj mi broń.

IX

Na platformie obserwacyjnej ONZ, przy jedynym oficjalnym przejściu z tureckiej do greckiej części Nikozji A. J. Devereaux obserwował Flint przez lornetkę w takim napięciu, jakby chciał odczytać jej myśli.

Stała samotnie po greckiej stronie w srebrnej poświacie księżyca. W cieniu, kilka kroków za nią, grecki oficer w mundurze polowym mówił coś przez radio.

Zbliżała się północ, ale nadal panował nieznośny, lepki od wilgoci upał. Devereaux najchętniej zdjąłby marynarkę, ale nie miał gdzie jej odwiesić, poprzestał więc na tym, że rozluźnił krawat.

- Jest inna, niż się spodziewałem - rzekł.

- Słucham? - Cohen ocknął się z zamyślenia.

- Rozczarowała mnie.

- O czym ty mówisz?

- O Flint. Inaczej ją sobie wyobrażałem. Brak jej ikry.

- Alan, bywają takie momenty, kiedy... - Cohen przerwał. Nie chciał wdawać się w kolejną bezsensowną utarczkę z Devereaux. Kłócili się niczym stare, zmęczone sobą małżeństwo, od chwili kiedy poprzedniego wieczoru eskortowani przez tureckich żołnierzy Cohen i Flint przekroczyli linię podziału. Ona milcząca, pełna rezerwy, on wyczerpany trwającymi dwa dni negocjacjami, które zakończyły się uwolnieniem Flint. Devereaux czekał już na nich w strefie buforowej: z zaciętą miną, ostry wobec Flint, niemal ordynarny. Nie usiłując nawet wyjaśniać swoich uprawnień, kazał Flint natychmiast udać się do biur British High Commission i siadać do pisania raportu. Kiedy Cohen się obruszył: „Na litość boską, Alan, ta dziewczyna naprawdę wiele przeszła”, odwarknął: „Jak my wszyscy”, po czym wziął go na stronę i zrugął jak smarkacza.

- Nie jesteśmy z ciebie zadowoleni, Cohen. Kiedy minister dowiedział się, że zatrzymałeś dla siebie informacje o Taggarde, naprawdę wściekł się na ciebie. Zapamiętaj sobie, w Whitehall jesteś skończony.

- Szczerze mówiąc, Alan, akurat ty nie masz żadnego prawa czynić mi wyrzutów, że cokolwiek „zatrzymałem dla siebie”.

- Co masz na myśli?

- Harlinga.

- Dalej nie rozumiem, o czym mówisz.

- Doskonale rozumiesz.

Devereaux zamilkł, zacisnął usta. Zmęczony tą wymianą zdań Cohen odwrócił się na pięcie.

- A ty dokąd?

- Do High Commission. Ja też muszę napisać raport.

- O nie, nie będziesz pisał żadnego raportu. Nie przekroczysz nawet progu biur Wysokiej Komisji. Twoja rola skończona, dostaliśmy Harlinga, od tej chwili nie masz nic wspólnego z całą sprawą. Dziękujemy ci za usługi. Dostaniesz niewielką gratyfikację i ciche podziękowanie. Kiedyś w przyszłości, o ile minister ci wybaczy, twoje nazwisko znajdzie się może na liście honorowej, na samym dole listy, ale nie liczyłbym na to na twoim miejscu.

- Idź do diabła, Alan.

Devereaux uśmiechnął się.

- O ile dobrze pamiętam, już mi to kiedyś powiedziałeś.

Tylko dwóch żołnierzy pilnowało przejścia po stronie tureckiej, ale z okopów dochodziły głosy innych. Jeśli miałyby się zacząć wojna, tutaj przebiegałaby linia frontu; w najbardziej zmilitaryzowanym miejscu na świecie, nie licząc granicy między Koreą Północną i Południową. Flint powtórzyła mu żart Harlinga: „Zupełnie jak w Korei Północnej, tylko jedzenie lepsze, klimat też”.

Wściekła się, kiedy usłyszała, że Harling zostanie po tureckiej stronie.

- W takim razie ja też zostaję - oświadczyła.

- Grace, zrozum, że jesteś tutaj nikim. Nie możesz aresztować Harlinga. Wjechałaś do tego kraju nielegalnie, pod przybranym nazwiskiem i oficjalnie zostałaś deportowana. Nie masz wyboru. - Nie odpowiedziała ani słowem, mierzyła tylko Cohena zimnym wzrokiem, ręce założyła na piersi w pełnym uporze goście, ciągnął więc: - Mówiąc szczerze, powinnaś się cieszyć, że tak to się skończyło. Mogli cię zatrzymać, chcieli zatrzymać, mieli dość zarzutów, żeby to zrobić.

Ciągle się upierała, dopiero kiedy kapitan Zulu zagroził, że ją zaknebluje, zwiąże i wsadzi do czekającego wozu, ustąpiła, ale w ogóle nie odzywała się do Cohena. Przemówiła na wiadomość, że jednak będzie mogła aresztować Harlinga.

- A co ten gnojek ma do gadania?

- Devereaux? Żądał, żeby Yard przysłał kogoś innego, ale Glenning nawet nie chciał o tym słyszeć, Wysoki Komisarz go poparł i Devereaux musiał ustąpić. Wolał nie wszczynać awantury. I miał powody, by milczeć.

Spojrzała na niego pytająco tymi swoimi niezwykłymi oczami, ale Cohen pokręcił głową.

- Nie teraz. Jak już będzie po wszystkim. W Thames House nie darzą cię specjalną miłością, ale dla Toma Glenninga i jego ludzi jesteś swojego rodzaju bohaterką.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Jeśli Tom będzie miał w tej sprawie coś do powiedzenia, a będzie miał na pewno, to, co zrobiłaś, nie przejdzie nie zauważone.

- Nie o to chodzi - burknęła.

- Wiem - przytaknął Cohen.

Flint dotknęła lekko jego ramienia.

- Dziękuję.

- Za co?

- Za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

- Jezu, nie bądź sentymentalna, jak powiedziała Cutter. Cohen zerknął na zegarek i ziewnął.

- Muszę zaczerpnąć powietrza, wrócę za chwilę.

- Przypomnij jej, gdzie jest i po co, dobrze? - zawołał za nim Devereaux, kiedy Cohen był już na schodach. - Że reprezentuje rząd Jej Królewskiej Mości i że to nie jest jej prywatna wendeta. Zrób to dla mnie, Harry, bądź dobrym chłopcem.

* * *

Detektyw inspektor Grace Flint z policji londyńskiej czeka na przejściu granicznym na Franka Harlinga, w kieszeni swojego najlepszego letniego żakietu ma nakaz aresztowania. Będzie musiała zaczekać jeszcze trochę, aż przewiozą go do brytyjskiej bazy lotniczej, pozostałości z czasów kolonialnych. Dopiero tam będzie mogła powiedzieć: „Franku Arthurze Harlingu, aresztuję cię za zamordowanie Pete'a Pendle'a”. Doda jeszcze: „Masz prawo do milczenia... cokolwiek powiesz... ” i tak dalej, aż wszystkim formalnościom stanie się zadość.

Chcesz wiedzieć, Frank, jak długo to trwało? Trzy lata, jeden miesiąc i dwadzieścia sześć dni. Mam ci też powiedzieć, ile godzin...

Przypomina sobie, jak stał w nogach jej łóżka. „Zanim cię zabiję... ”.

Widzi, jak Harling zaciska ręce na oparciu krzesła. „Połamie je na kawałki i wsadzę ci tam, gdzie nie chciałybyś ich mieć”.

Czuje jeszcze ból wykręcanych palców.

Na posterunku policji w tureckiej Nikozji, w śmierdzącej moczem celi o brudnych zielonych ścianach, pytali ją, dlaczego strzeliła do nieuzbrojonego człowieka. Czy naprawdę musiała go zranić?

Tak.

Właściwie nie. Mierzyłam w serce.

Widzi przerażoną twarz Cadessiego, który klęczy na podłodze, przełykając łzy.

„Mówił ci, co zamierza, jaki ma plan?”.

„Nie ma planu, nie ma żadnego planu”.

„Zabiję cię, Metin. Jeden mniej, jeden więcej nie czyni żadnej różnicy”.

„Powiedział, że ktoś wybiegnie z domu i że mam strzelać”.

„Kto miał wybiec z domu?”.

„Ktoś z bronią”.

„Z tym pistoletem, Metin?”.

„Tak, chyba tak”.

Przypomina sobie, jak Cadessi idzie po schodach i woła Spenny, tak jak mu kazała.

„Saro, gdzie jesteś?”.

„*To ty, Cadessi? - Zza drzwi sypialni dochodzi stłumiony głos Sary.*
- *Co tam się, do cholery, dzieje?*”

„*Straszne. Frank zastrzelił kobietę. Zastrzelił pana Shillinga.*
Musiałem zastrzelić Franka”.

„*Co takiego?*” - Sara otwiera gwałtownie drzwi, wychodzi na korytarz. „*Cześć, Stello*”.

„*Ty kutasie.* - Cała wściekłość Sary kieruje się na Cadessiego, że ją wystawił. - *Śmierdzące tureckie gównno, pieprzony...* ”. „*Ucisz ją, Metin, i zamknij w pokoju*”.

Pokazali jej potem zdjęcia Sary, nagiej, z poderżniętym gardłem. W jej pochwie znaleziono nasienie Cadessiego. Widocznie w ten sposób, jedyny sobie znany, postanowił odzyskać męskość, podważoną przez dwie kobiety.

Widzi zmęczonego Cohena, jak schodzi po stopniach do jej celi i w końcu mówi jej, co zrobił.

„*Musiałem mieć nakaz aresztowania, żeby zaczęli intensywne poszukiwania. Musiałem cię znaleźć, zanim oni to zrobią i nie potrafiłem wymyślić innego sposobu*”.

„*Niezbyt ci się udało*”, zauważa kwaśno, ale nie widzi powodów, by oszczędzać Cohena. Wtedy jeszcze uważała, że to głównie on stoi między nią i Harlingiem.

Zabrzączał telefon tkwiący w kieszeni Devereaux. To Glenning z Londynu. Zadzwoił wcześniej, niż zapowiadał. Devereaux nie miał wielkiej ochoty z nim rozmawiać.

- Tak - odezwał się lodowatym tonem.

- Chodzi o Taggarta. Spóźniliśmy się.

- To znaczy?

- Zastrzelił się dzisiaj po południu. Żona znalazła go w bibliotece.

Paskudny widok. Włożył sobie lufę do ust i pociągnął za spust.

Devereaux spróbował wyobrazić sobie tę scenę.

- Halo, jesteś tam?

- Jesteś pewien, że to było samobójstwo? - zapytał.

- Ekipa ciągle jeszcze pracuje na miejscu, ale wszystko wskazuje na samobójstwo. Jego pistolet, jego odciski. Żona mówi, że od wielu dni chodził przygnębiony.

- Nie zostawił listu?

- Chyba że wysłał go pocztą.

- Cóż za bezmyślność - westchnął Devereaux.

- Powiesz Harry'emu?

- Co?

- Nie utrzymywali stosunków, ale to w końcu jego teść.

- Powiem - obiecał Devereaux nieobowiązująco. - Do widzenia.

Harry będzie rozczarowany, pomyślał Devereaux. Cohen zwierzył mu się, że perspektywa konfrontacji z Taggartem dodawała mu sił. Być może, ale Devereaux nigdy nie dopuściłby do konfrontacji.

- Na sto kilometrów nie zbliżysz się do wyspy - powiedział Cohenowi poprzedniego wieczoru.

Teraz Cohen może tam sobie jechać. Zmienić nazwisko na nagrobku żony.

Devereaux podniósł lornetkę do oczu i znowu zaczął obserwować przejście. Już niedługo.

- Rozmawiałam z Dominique dzisiaj po południu - powiedziała Flint.

- Mówią, że chyba obejdzie się bez amputacji, ale długo jeszcze nie będzie mógł chodzić. Jeśli w ogóle.

- Dzwoniłaś do ojca?

Po raz pierwszy, od kiedy Cohen ją zobaczył, uśmiechnęła się.

- Tak. U niego wszystko w porządku. Prosił, by cię pozdrowić.

Prawdę mówiąc, był o wiele bardziej wylewny, ale nie chcę, żebyś się zaczerwienił.

- Bardzo cię proszę. Odwdzięczę ci się tym samym. Rozmawiałem z Cutterem. Jest z ciebie całkiem zadowolony. Dzisiaj aresztowali Kurlacka.

- Cohen się wyprostował. - Widzisz światła?

- Tak

- Już czas.

Obydwoje zanurkowali pod czerwono-białym greckim szlabanem i stanęli dokładnie pośrodku pasa ziemi niczyjej, gdzie czekała ciężarówka ONZ z włączonym silnikiem. Za obopólną zgodą Greków i Turków to żołnierze oddziałów rozjemczych mieli przetransportować Harlinga i ciała pozostałych do brytyjskiej bazy lotniczej, oszczędzając obydwu stronom bezpośredniego kontaktu. Kapitan ONZ z Gwardii Irlandzkiej zasalutował Devereaux, kiedy ten się zbliżył.

- Jakież nowiny? - zapytał Cohen.

- Jakie niby?

- Od Glenninga - uściślił Cohen.

- Trochę za wcześnie, nie sądzisz? - ostudził go Devereaux. - Może później. - Zwrócił się do Flint: - Jak się pani czuje, inspektorze? Nie, nie

musi pani odpowiadać. - Zachichotał. - Jeśli dobrze pamiętam, ostatnio to pytanie zadała pani Sara Spenny i proszę, jak skończyła.

- Czuję się świetnie, sir - odparła Flint.

Do przejścia podjechała ciężarówka Czerwonego Półksiężyca, tyle że za kierownicą siedział żołnierz, a obok niego kapitan Zulu, ciągle jeszcze w czarnym uniformie. Zeskoczył na ziemię, najwyraźniej się spieszył i nie miał czasu bawić w uprzejmości.

- Panie Cohen, panno Hint, dostarczyliśmy, co mieliśmy dostarczyć.

- Rzucił rozkaz i czterech żołnierzy zaczęło wyładowywać z ciężarówki proste drewniane trumny: jedną, potem drugą. Zanim pojawiła się ostatnia, Cohen wiedział już, co zrobili.

Flint odgadła prawdę moment później.

- Gdzie jest Harling?

- Tutaj, panno Flint. - Kapitan Zulu dotknął końcem buta trzeciej trumny. Jest pani lepszym strzelcem, niż twierdził pan Cohen. Rana okazała się śmiertelna.

- Chwileczkę - zawołała Flint, ale Zulu wskoczył już z powrotem do ciężarówki.

Zatrzasnął drzwiczki, wychylił się przez okno.

- Mam panu przekazać, panie Cohen, że zawsze będzie pan mile widziany w RTCP. Natomiast pani, panno Flint, nie. Sprawa zabójstwa Shillinga i Harlinga pozostaje otwarta. Spowodowała pani ponadto uszkodzenie dwudziestu trzech pojazdów, to też przestępstwo. Następnym razem, jeśli zdarzy się następny raz, pan Cohen nie będzie mógł interweniować.

Przyłożył palce do czoła, niby salutując, po czym ciężarówka zawróciła i odjechała na turecką stronę.

- Cóż, zgrabne, żeby nie powiedzieć w pełni satysfakcjonujące zakończenie - podsumował Devereaux. Odwrócił się do kapitana ONZ: - Ładujemy?

- Otwórzcie ją - zażądała Flint.

Devereaux machnął ręką, jakby powiedziała coś bez sensu.

- Kapitanie, czy może pan polecić swoim ludziom, żeby otworzyli wieko tej trumny? Jeśli nie, poproszę o narzędzia i sama to zrobię.

Devereaux próbował chwycić ją za ramię, ale strząsnęła jego rękę.

- Oszalała pani?

- Niech pan mnie nie dotyka, sir. - W jej głosie zabrzmiał groźny ton, który Cohen słyszał już wcześniej.

- Młoda kobieto, proszę nie nadużywać mojej cierpliwości. Jest pani oficerem policji, na litość boską, i musi pani wiedzieć, że to, co określamy mianem „śmierci w podejrzanych okolicznościach”, leży w gestii koronera. Trumny są zaplombowane i tylko koroner może wydać pozwolenie ich otwarcia. Czy to jasne? - Cohen nigdy nie widział Devereaux tak zdenerwowanego. - Bardzo proszę, kapitanie, niech pan robi, co do niego należy.

- Nie - Flint nie ustępowała. - Nie pozwolę ładować tych trumien.

- Harry, przemów tej kobiecie do rozumu.

- Nie mogę. Nie mam żadnych uprawnień. Ty też nie. Jesteśmy tylko obserwatorami, kapitanie. Inspektor Flint ma wszystkie uprawnienia. Chce sprawdzić, czy w jednej z tych trumien rzeczywiście znajduje się człowiek, którego miała aresztować...

- Zadzwońię do Londynu - oznajmił Devereaux i ruszył w kierunku punktu obserwacyjnego.

- Pracował dla pana, prawda? - zawołała za nim Flint i Devereaux zniechęconym głosem. - Harling, pracował dla pana, tak? Przez cały czas był jednym z „aktywów” MI5. Tak ich, zdaje się, nazywają? - zwróciła się do Cohena.

- Czasami - odrzekł cicho.

- Kapitanie, zechce pan zostawić nas na chwilę. - Devereaux wrócił rozwścieczony do białości.

- Niech zgadnę, sir...

- Proszę w tej chwili przestać.

- Początkowo działał legalnie, na tyle, na ile pańscy ludzie działają legalnie. Miał prawdziwy talent. Daliście mu coś w rodzaju żelaznego listu, a on w zamian udzielał wam informacji o swoich podejrzanych klientach. Pośredniczył Shilling, tak? Poszedł do sędziego i wstawił się za Frankiem za pana wiedzą i na pańskie polecenie. Jak to brzmi?

- Ostrzegam panią, Flint.

- Maitland zawozi mnie do Ellis i orientuje się pan, w co gra Shilling, jak by powiedział Cutter. Wie pan, że on i jego kompani wykorzystują informacje dostarczane przez Franka, żeby wyciągać pieniądze od jego klientów. Fatalnie, ale robi się jeszcze gorzej.

Flint, mówiąc, zataczała niewielkie koła, z każdym zbliżała się do ciężarówki ONZ. Niby przypadkiem znalazła się wreszcie koło paki i szybko znalazła na niej, czego szukała.

- Z oświadczenia Harlinga, które podałam wam na tacy, dowiedział się pan, że Shilling osłaniał Harlinga także i po tym, jak ten został

oskarżony o zabicie oficera policji, po tym, co zrobili mnie. To Shilling załatwił fałszywy paszport, znalazł bezpieczne schronienie i wywiózł go z kraju jednym z waszych samolotów. Wszyscy uważają, że Harling tkwił po uszy w operacji zmontowanej przez Shillinga, ale pan zna prawdę. Tkwił, ale był równocześnie pańskim agentem. Doktor Jekyll i pan Hyde. Kiedy się pan zorientował, panie Cohen?

- Podczas ostatniego pobytu w Miami.

Flint z łomem w ręku podeszła do trumny wskazanej przez Zulu. Devereaux ruszył w tamtą stronę.

- Panie Devereaux, jeśli spróbuje pan przeszkodzić oficerowi policji w wykonywaniu czynności służbowych, będę musiała użyć siły, by pana powstrzymać. Zdziele pana tym w głowę.

- Ona to zrobi, Alan - ostrzegł Cohen i Devereaux się zatrzymał.

- Kiedy zwrócił się pan do Cohena, żeby zbadał sprawę, chodziło panu wyłącznie o Shillinga. O Shillinga, Taggarta, Kurlacka, wszystkich tych sukinsynów. Przepraszam, panie Cohen, że nazywam tak pańskiego teścia.

- Sukinsyn to bardzo dobre określenie - zgodził się Cohen.

- Miał także odnaleźć mnie, ale tylko po to, żebym nie dotarła do Harlinga. Czy tak, sir? Ani przez chwilę nie chciał pan, żebyśmy aresztowali Harlinga.

- Pani opowiada bzdury, Flint.

- Dlaczego? - Nachyliła się i zaczęła szukać szczeliny, która pozwoliłaby jej podważyć wieko. - Dlatego że jestem gliną, czy dlatego że jestem dziewczyną? A może jedno i drugie? Gdyby pan Cohen nie znalazł mnie na czas, zginęłabym w tej pańskiej grze, ale dla pana to nie miało

znaczenia. Ot, o jednego gliniarza mniej. Dość takich jak ja chodzi po świecie.

- Wątpię - mruknął Cohen.

- Niech mnie pani posłucha, Grace Flint. Jeszcze nie jest za późno, by mogła pani wszystko naprawić i otrzymać nagrodę, która słusznie się pani należy. Nawet ty, Cohen, masz jeszcze szansę. Proszę zostawić tę trumnę.

- Dlaczego, sir? Co pańskim zdaniem w niej znajdzie?

- Są sprawy, które pani nie powinny interesować i których nie zamierzam tłumaczyć.

- Tak właśnie myślałam.

Podważyła jednym mocnym ruchem wieko i spojrzała bez szczególnego zdziwienia na zmasakrowane ciało Metina Cadessiego.

Grace Flint i Harry Cohen znajdują się na pokładzie samolotu lecącego do Londynu. Flint śpi z głową opartą na ramieniu Cohena.

Devereaux powiedział im, że rząd Jej Królewskiej Mości wystąpi z oficjalnym żądaniem do RTCP, w którym będzie się domagać naprawienia „błędu”: wydania ciała Franka Harlinga lub jeśli Harling nadal żyje, ujawnienia jego miejsca pobytu. Słaba pociecha, biorąc pod uwagę fakt, że rząd Jej Królewskiej Mości nigdy nie uznał Republiki Tureckiej Cypru Północnego.

Flint poruszyła się i powiedziała:

- On nie wyjedzie, prawda? Myślę o Franku. Nie miałby gdzie się podziać, w każdym razie w tej chwili.

Cohen westchnął.

- Zulu nie żartował. Nie możesz tam wrócić, Grace. Podniosła twarz i spojrzała na Cohena, a on pomyślał, że ojciec Flint nie miał racji: wszystko można było znaleźć w jej oczach, tylko nie rezygnację.

RS

Epilog

W pół roku później Flint ucztuje w pretensjonalnej kawiarni Buccaneer Hotel: Cutter stawia.

- Spóźnię się - powiedział, dzwoniąc do niej z komórki. -Zamów sobie te frymuśne truskawki. Na mój rachunek.

Dla uczczenia faktu, że tego ranka sędzia Walter R. Patterson odrzucił kolejną apelację obrony, zamówiła też frymuśnego szampana z nektarem brzoskwiniowym. Sprawa Jacksona „Pieprzonego” Kurlacka będzie toczyła się dalej i Flint unosi kieliszek w cichym hołdzie dla Kevina Hechtera.

Minęło wystarczająco wiele miesięcy, by znowu mogła pamiętać Kevina całego i zdrowego. Tylko czasami w koszmarnych snach wraca widok jego oderwanej ręki.

Zadzwoiła wcześniej i zarezerwowała ten sam stolik, przy którym kiedyś siedziała z Cutterem i Rykowem. Zrobiła to dlatego, że to Rykow pośrednio doprowadził ją do Harlinga i dzisiejsze spotkanie jego ma właśnie dotyczyć. „Mam dla ciebie coś na temat Harlinga”, zapowiedział Cutter. Uznała więc, że to najwłaściwsze miejsce, żeby wysłuchać rewelacji Cuttera.

Widzi, jak Cutter wpada do sali ze swoją zwykłą szybkością stu kilometrów na godzinę. Chociaż jest w Miami od trzech miesięcy, by uczestniczyć w postępowaniu przeciwko Kurlackowi i zaspokoić apetyt Carrie Evanovich, która domaga się bez przerwy coraz to nowych szczegółów, widziała Cuttera zaledwie dwa razy, przelotnie, bo ten większość czasu spędza w Waszyngtonie; zbyt wielu ludziom w stolicy

zależy na wyciszeniu sprawy Kurlacka, ograniczeniu jej jedynie do katastrofy samolotu, ale Cutter jest nieprzejednany i na razie wygrywa. Sprawa nadal będzie rozpatrywana „w jej szerszym aspekcie”.

- Kogo ja widzę. Pani Breslin. - Cutter uśmiecha się szeroko, w oczach zapalają się chochliki.

- Cześć, panie Cutter - Przyjacielskie powitanie, ale wypowiedziane z odrobiną rezerwy. Wie z doświadczenia, że Cutter potrafi nie wiedzieć kiedy wpakować człowieka po uszy w kłopoty. „Co ty na to, kochanie? Zostaniesz tutaj z Władimirem? My tymczasem dobijemy targu. Zgoda, skarbie?”.

Nie. Nie tym razem.

- Alex poszedł do toalety. Za chwilę do nas dołączy - mówi Cutter, siadając przy stoliku.

- Alex?

- Aha. Alex Bland. Musiałem ci o nim wspominać. Co pijesz? Szampana?

Kiwa głową i Cutter mówi dalej:

- Carrie powiedziała mi, jakie orzeczenie wydał dzisiaj sędzia. Dobra robota, Grace.

- Zasługa Carrie. Ja tu tylko sprzątam. Miałaś mi powiedzieć, kim jest pan Bland.

- Prawda. Pracuje w naszej ambasadzie w Ankarze. Nie wciskaj mi, że tu tylko sprzątasz. Cały zespół pracuje nad sprawą. Wiem od Carrie, ile zrobiłaś.

- Dziękuję. Czy pan Bland też należy do zespołu?

- W pewnym sensie - mówi Cutter. - Sama go możesz zapytać. Tutaj, Alex.

Alex Bland zbliża się lekko przygarbiony, jakby przepraszał za swój wzrost. W przeciwieństwie do Cuttera jest szczupły, ma bujną ciemną czuprynę, zmysłowe usta i niebezpieczne oczy. Niebezpieczne dla Flint, bo bardzo się jej podobają: zły znak.

Kładzie na stole paczuszkę owiniętą w srebrny papier i przewiązaną szkarłatną wstążką, po czym wyciąga rękę do Flint.

- Wiele o pani słyszałem. Same dobre rzeczy.

- Alex był z Harrym w Nikozji - mówi Cutter. - Urabiał Denktasa.

- Po części mnie może pani podziękować za kapitana Zulu. - Bland uśmiecha się ciepło, uśmiechem, który rozjaśnia całą twarz. Kolejny znak, że Flint powinna mieć się na baczności. - Przepraszam.

- To nie była pana wina, sir.

Bland ciągle trzyma jej dłoń w swojej.

- Tylko nie sir, bardzo proszę. Czuję się, jakbym był twoim ojcem.

- Ile masz zatem lat? - pyta Flint z kamienną twarzą.

Udając przerażenie, Bland cofa dłoń.

- Nie twoja sprawa.

- Tak jak nie moją sprawą jest to, czym się zajmujesz? W ambasadzie, oczywiście.

Bland wybuchając śmiechem i odgarnia niesforny kosmyk z czoła.

- Ostrzegalesz mnie, Aldous.

- Jest czujny, Flint - mówi poważnie Cutter. - Dlatego tu dzisiaj przyszedł. - Wskazuje na paczuszkę: - I przyniósł to.

Kiedy już zamówili, Flint w milczeniu czeka na relację Blanda.

- Pierwsze, co do nas dotarło, to, że jest wolny i czysty. W ranę wdała się infekcja, musieli nastawić złamaną kość, w sumie przez trzy tygodnie leżał w szpitalu. Potem wrócił do Kyrenii, zaszył się w domu, nigdzie nie pokazywał. Takie dostał polecenie: „Siedź cicho, dopóki sprawa nie przyschnie”.

- Nigdy nie przyschnie - wtrąca Cutter. - Póki Flint oddycha. Bland wzrusza ramionami.

- Protest Angoli to była zwykła granda. Turcy odesłali go wysokiemu komisarzowi w greckiej Nikozji z komentarzem, że jeśli chce uzyskać informacje, powinien zwrócić się z formalną prośbą, tu cytuję: „jak jest przyjęte między dwoma suwerennymi rządami”, i na tym się skończyło.

- Zgodnie z kalkulacjami Devereaux - mówi Cutter.

Na wzmiankę o Devereaux Flint sięga po kieliszek.

- Najpewniej - przytakuje Bland. - Ale... Mniej więcej dwa tygodnie temu doszły mnie słuchy, że Harling zaczyna się denerwować, że chciałby wydostać się z wyspy. Ma pieniądze, więc to żaden problem. Tylko gdzie miałby się przenieść? I tu doszła do mnie kolejna informacja, że gotów jest iść na układy, ale nie z Angolami, tylko z nami.

- Z nami? - Flint przerywa milczenie.

- Dokładnie mówiąc, z agencją. Przekazał wiadomość do Langley, że Enterprise przeszkodziło CIA w kilku operacjach i że gotów jest zdradzić szczegóły w zamian za znalezienie mu bezpiecznej przystani. Jeśli mu pomożemy, wyjawি wszystko, co wie o Devereaux, o MI5 i MI6, każdy sekret, ale to już należy czytać między wierszami. Langley nie powiedziało nie, ale chciało wiedzieć, co może dostać. Dziesięć dni temu

wysłało człowieka do Harlinga. Harling zaproponował spotkanie w Dome. I tu popełnił błąd.

- Nie powinien był umawiać się w miejscu publicznym - wyjaśnia Cutter.

- Mieli spotkać się ponownie następnego wieczoru, ale Harling już się nie pojawił.

- Jak długo czekaliście? - pyta Flint i Bland się uśmiecha.

- Został aresztowany jeszcze tego samego dnia po południu.

Właściwie nie tyle aresztowany, ile zatrzymany na „punkcie kontrolnym” zorganizowanym przez ludzi Zulu. Dwa dni później byłem w Nikozji i dostarczono to do mojego pokoju.

Przez „to” rozumie paczuszkę, która leży teraz na krześle koło Flint.

- Była przeznaczona dla ciebie, ale o tym dowiedziałem się dopiero po rozpakowaniu paczki. - Wyjmuje z kieszeni otwartą kopertę, podaje ją Flint. Flint czyta kartkę, która była w środku: „Przeznaczcie to Flint. Oko za oko”.

- Możesz mi uwierzyć albo nie, ale Harling nie żyje.

Nie, nie mogę uwierzyć, myśli Flint.

- Skąd wiesz? - pyta.

Tu wtrąca się Cutter:

- Trzy dni temu wysoki komisarz został powiadomiony, że w wypadku drogowym zginął brytyjski turysta, Gerald Sutton. Turcy dostarczyli ciało na przejście graniczne, po czym przewieziono je do Londynu. Właśnie rozmawiałem z Glenningiem, dlatego się spóźniliśmy. Nie ma żadnych wątpliwości, że to Harling. Sprawdzili odciski palców.

Flint nic nie mówi, sięga po paczuszkę, waży ją dłoni. Jest już niemal pewna, że mówią jej prawdę: Frank Harling znalazł się ostatecznie poza jej zasięgiem.

- Wierzycie, że to był wypadek? - pyta w końcu.

- Nie - mówi Cutter. - Ty też nie uwierzysz, kiedy otworzysz przesyłkę.

Flint zaczyna odwiązywać wstążkę, ale Cutter ją powstrzymuje:

- Nie tutaj.

- A gdzie? - Patrzy to na jednego, to na drugiego, wreszcie Bland mówi z rezygnacją:

- Wynająłem pokój na górze.

Jadą na szóste piętro. Bland wysiada pierwszy, Flint z paczką idzie za nim, Cutter z tyłu.

W pokoju siada na łóżku i zaczyna rozpakowywać przesyłkę. Ma przed sobą niewielkie kartonowe pudełko z naklejonym na wierzchu zdjęciem trumny.

- Jesteś pewna, że chcesz zajrzeć? - pyta Bland.

I tak, i nie, czuje jednak, że musi otworzyć pudełko. W środku znajduje gipsowy odlew, maska pośmiertna pokazująca straszliwie zdeformowane rysy, znak, że Frank nie miał spokojnej śmierci.

Oko za oko, maska za maskę. Jego o wiele bardziej trwała niż jej.

- Co czujesz?

Dobre pytanie. Po powrocie do swojego tymczasowego mieszkania nad Key Biscayne Flint usiłuje uporać się z targającymi nią emocjami. Czuje ulgę, że wreszcie wszystko się skończyło, złość, że Devereaux tak łatwo zamknął sprawę, i swoją bezsilność wobec tego człowieka. Czuje

satysfakcję, że Harling doświadczył bólu i przerażenia, które były jej udziałem, i wyrzuty sumienia, że czerpie stąd pociechę. W gruncie rzeczy gubi się wśród sprzecznych uczuć. Dopiero Gilles Bourdonnec zmusza ją do ich uporządkowania.

- Grace, jesteś tam?

- Myślę, że przede wszystkim czuję się oszukana.

- Oszukana? - Połączenie jest świetne, głos Gilles'a dochodzi do niej wyraźnie. - Nie rozumiem.

Zawahała się. Nie wie, czy może powiedzieć Gilles'owi to, czego nie powiedziała nikomu na świecie.

Dlaczego nie? Widzi Gilles'a uwięzionego na wózku inwalidzkim, w maleńkim mieszkaniu, z którego nie może się wydostać, chyba że znajdzie się ktoś, kto go zniesie i wniesie. Po stu trzydziestu siedmiu stopniach. Z jej powodu. Z powodu jej obsesji. Jest mu winna prawdę.

- Grace?

- On był mój, Gilles. Należał do mnie. Zamierzałam po niego wrócić.

- Co? To jakiś obłąd! Nigdy nie mogłabyś wrócić po niego.

- Owszem, mogłabym - mówi spokojnie.

- Kiedy? Jak? Nie wierzę...

Przerywa mu:

- Po zakończeniu procesu Kurlacka wzięłabym urlop. Między RTCP i Libanem kursuje prom. Nie musiałabym przejeżdżać przez Turcję. Przy odrobinie szczęścia obróciłabym w jeden dzień.

- Przecież kontrolują nawet tych, którzy przyplývają z Libanu. Mają jakąś listę osób niepożądanych. Mogliby cię zatrzymać w chwilę zejścia na ląd.

- Nie. Zapominasz, że jestem dobra w udawaniu kogoś, kim nie jestem. Mam nową twarz: Katia Borville, francuska fotoreporterka. Jak ci się podoba?

- Myślę, że twój kapitan Zulu wyświadczył ci ogromną przysługę.

Merde!

- Nie mogłam pozwolić, żeby mi się wymknął, Gilles.

- Dobrze... założmy, że udałoby ci się dostać na Cypr. -W głosie Gillesa narasta irytacja. - I co dalej?

Co dalej? To samo stare pytanie.

- Musiał przecież mieć ochronę.

- Nie, raczej był obserwowany niż chroniony. Nie przyszłoby im do głowy, że będę na tyle głupia, by wrócić. - Flint się śmieje. - Podobnie jak tobie, mój drogi.

- O nie, ja cię znam. Wiem, że potrafisz być uparta jak muł. Dominique mnie ostrzegła: „Ona nigdy się nie podda, nigdy nie zrezygnuje”. Sprzeczałem się z nią. Wiem, że jesteś szalona, ale nie myślałem, że aż tak. Powiedz mi - pyta -naprawdę wierzyłaś, że wsiądziesz z tobą na prom płynący do Libanu?

- Tak - odpowiada Flint po chwili zastanowienia.

- Dlaczego miałyby to zrobić?

- Bo wiedział, tylko on jeden wiedział naprawdę, że kiedy do niego strzelałam, chciałam go zabić. Celowałam w serce, Gilles.

- I?

- Drugi raz już bym nie chybiła.

Gilles wreszcie zrozumiał, dlaczego czuje się oszukana. W słuchawce zapadła cisza.

- Sprawa Kurlacka idzie dobrze? - pyta wreszcie Gilles, jakby sprawa Harlinga przestała go interesować.

- Lepiej niż dobrze. Namierzyliśmy już tych trzech dupków, których Kurlack przysłał na wyspę i którzy podłożyli bombę w samolocie. Jutro zobaczymy, czy Peggy Pringle jest w stanie ich zidentyfikować.

- *Bien*. Zamknięcie sprawy.

- Nie. Musimy jeszcze znaleźć tych, którzy zabili Silwę i zranili ciebie. To następny krok.

- Tym bardziej się cieszę, że Harling nie będzie cię już rozpraszał. Chciałbym, żebyś ich znalazła, Grace.

- Możesz na mnie liczyć - odpowiada, naśladowując akcent Cuttera.

Gilles wybuchając śmiechem i mówi:

- Dominique chciałaby z tobą porozmawiać. *Gros bisous*. Czeka, aż Dominique podejdzie do telefonu, wychodzi na balkon, skąd widzi zatokę i gdzie powiesiła maskę Harlinga.

„Kończ, do jasnej cholery”, zdają się krzyknąć jego otwarte usta.

Skończone, Frank.

- Powiedział ci? - głos Dominique kipi podnieceniem.

- Co miał mi powiedzieć?

- Wstał z wózka.

- Słucham!? Kiedy?

- Dzisiaj. Przeszedł pięć kroków! Jutro przejdzie sześć. Dominique płacze, Flint też ma łzy w oczach.

- Jest coraz lepiej, Grace. Wyjdzie z tego. Wszystko będzie dobrze.

Tak, teraz może wreszcie wszystko będzie dobrze, myśli Flint.